

KLASYCZNA  
SZARADA KRYMINALNA

Patrick **QUENTIN**

ŚMIERĆ DROGIEJ  
KLARY

XXXXXXXXXX

C&T



## PIERWSZE ŚLEDZTWO TRANTA!

Biuro porad literackich szacownej pani Van Heuten ma wielu oddanych klientów. Choć w towarzystwie padają też ciche toasty: „Za naszą wspólną przyjaciółkę, niezrównaną Klarę Van Heuten. Oby prędko zajęła owo należne jej niewygodne miejsce, które trzymają dla niej w piekle”.

Dlatego niewielu chyba zaskakuje wieść, że Klarę znaleziono martwą, z nożem do papieru wbitym w plecy.

W kręgu podejrzanych pozostaje dziewięć osób, które tego dnia odwiedziły biuro ofiary. I każda ma wyraźnie coś do ukrycia. Nie tylko wobec prowadzącego śledztwo detektywa nowojorskiej policji Timothy'ego Tranta.

A gdy zostaje odkryte sekretne, tylne wejście do biura, Trant obawia się o życie kolejnej osoby – tajemniczego świadka morderstwa. I nie bez powodu...

**To w tej powieści Patricka Quentina po raz pierwszy ujawnia swe detektywistyczne talenty przysły porucznik Trant, znany z powieści „Jego dwie żony”, „Śmierć i dziewczyna” czy „Cień winy”.**



ISBN 978-83-7470-076-4



9 788374 700764

C&T

21,90 zł

Nakładem *C&T*

powieści Patricka Quentina:

**SPRAWA VIRGINII DENHAM  
CZŁOWIEK W MATNI  
PORTRET MORDERCY**

Patrick **QUENTIN**  
ŚMIERĆ DROGIEJ  
KLARY

Przekład:  
ALEKSANDRA WOLNICKA

C&T  
TORUŃ

Tytuł oryginału:

DEATH FOR DEAR CLARA

Copyright © 1937 by Q. Patrick

Copyright © for the Polish edition by „C&T” Toruń 2007

Copyright © for the Polish translation by Aleksandra Wolnicka

Opracowanie graficzne:

MAŁGORZATA WOJNOWSKA

Redaktor wydania:

PAWEŁ MARSZAŁEK

Korekta:

MAGDALENA MARSZAŁEK<sup>1</sup>

Skład i łamanie:

KUP „BORGIS”

Toruń, tel. (56) 654-82-04

ISBN 978-83-7470-076-4

Wydawnictwo „C&T”

ul. Św. Józefa 79,

87-100 Toruń,

tel./fax (56) 652-90-17

Toruń 2007.

Wydanie I.

Ark, wyd. 13,5; ark, druk. 15,5.

Druk i oprawa:

Wąbrzeskie Zakłady Graficzne Sp, z o.o.

ul. Mickiewicza 15,

87-200 Wąbrzeźno.

## 1.

Gabinet właścicielki biura porad literackich Van Heuten był po kobiecemu, w kojący sposób urządzone: tkanina w dyskretnym kolorze przesłaniała szeroką przestrzeń okna, wazon z wesołymi bukietami kwiatów stanowiły jakże ważny w interesach, osobisty akcent. Pani Klara Van Heuten prowadziła bowiem swoją firmę z temperamentem i talentem, jako że jej klienci byli ludźmi wymagającymi szczególnie delikatnego traktowania.

Lecz największą ozdobą tego uroczego gabinetu była sama pani Van Heuten. Gdy tak siedziała za swoim biurkiem, częściowo zasłonięta przez stojący wazonie snop złocistych chryzantem i energicznie przeglądała piętrzące się przed nią maszynopisy, zdawała się być wcieleniem wyrozumiałości i życzliwości. Dystygowana biel jej włosów w połączeniu z malującą się w oczach dojrzałą mądrością sprawiała, że ich właścicielka robiła wrażenie osoby jednocześnie matczynej i nowoczesnej, taktownej i dystygowanej. Ta pięćdziesięcioletka była dokładnie tym, na kogo wyglądała: uosobieniem kobiety sukcesu — damy z towarzystwa, która zmuszona była podjąć się prowadzenia interesów w wieku, gdy większość przedsiębiorców myśli już o emeryturze.

„Nie jestem właściwie agentem literackim, moi drodzy — zwykła była mawiać. — Obawiam się, że nie robię niczego praktycznego ani dochodowego. Po prostu staram się pomagać innym i prowadzić tych, którzy mają talent i potrzebę pisania.”

Tak właśnie przed pięcioma laty często powtarzała swoim przyjaciołom z towarzystwa, zanim nagle i niespodziewane ubóstwo po śmierci męża nie uświadomiło biednej, drogiej Klarze różnicy między luksusową zależnością a pracowitą niezależnością. Wszyscy podziwiali jej odwagę, gdy zakładała biuro porad literackich. Znajomi

wysyłali jej próbki swej twórczości. Bo Klara Van Heuten była tak pełna zrozumienia i nie szczędziła słów zachęty — a poza tym pobierała śmiesznie niskie wynagrodzenie za swoje usługi. Jak jej się to w ogóle mogło opłacać?

A jednak opłacało się. Wystarczyło jedno spojrzenie na kosztownie i nowocześnie urządzone biuro, a drugie na doskonale skrojony kostium Klary, prosto od Schiaparelli\*, aby bez chwili wahania stwierdzić, że wzniosła się ona, niczym podstarzały feniks, z popiołów finansowej ruiny. Jej apartament przy Park Avenue był znowu, jak za dawnych czasów, zanim owdowiała, miejscem, w którym śmietanka towarzyska spotykała się ze śmietanką inteligencką — i obie strony czyniły to z nieklamana przyjemnością. Koneksje pani domu były bowiem równie nieograniczone jak jej talent do podejmowania gości. Wiele osób twierdziło nawet, że Klara Van Heuten jest jedną z najczęściej sypiących komplementami i najczęściej komplementowanych kobiet w Nowym Jorku.

\* Elsa Schiaparelli (1890-1973), znana paryska projektantka mody.

Trudno uwierzyć, że ktoś mógłby nie lubić tej dystygowanej, siwowłosej kobiety, która siedziała właśnie przy biurku, częściowo ukryta za bukietem rozkwitłych chryzantem. Było wręcz nie do pomyslenia, aby ktoś taki jak ona mógł w kimkolwiek wzbudzać gwałtowniejsze emocje.

A jednak budziła ona wyjątkowo gwałtowne uczucia dziewięciu różnych osób, których drogi, wytyczane przez nieubłagany los, miały się wkrótce przeciąć w tym właśnie gabinecie. Dziewięć osób, z których każda mogła stać się jej mordercą.

Klara Van Heuten spojrzała na swój maleńki, platynowy zegarek. Wpół do pierwszej. Podniosła się zza biurka z głową pełną przyjemnych myśli o zbliżającym się lunchu i omiotła wzrokiem złociste chryzantemy. Mimowolnie sięgnęła po leżący na biurku stalowy nóż do papieru i odcięła przywiedły pęk.

Jej oczy były spokojne, a spojrzenia nie mąciła żadna troska...

**W** tej samej chwili równie spokojne oczy spoglądały na fotografię oprawioną w nieco zaśniedziałą srebrną ramkę. Trzymała ją w dłoni kobieta znacznie młodsza od pani Van Heuten. Księżna Walońska

siedziała w podłużnym salonie w swojej rezydencji przy Sutton Place, wpatrując się w widniejącą na zdjęciu dedykację.

„Dla moich drogich Patrycji i Dymitra -

Klara Van Heuten.”

Pojedyncze uderzenie stojącego na kominku zegara wyrwało Patrycję Walońską z zadumy. Wolnym ruchem odstawiła fotografię na stolik, na którego blacie, wypolerowanym na wysoki połysk, spoczywały cztery nowiutkie, skórzane nesesery.

Wpół do pierwszej — jej goście powinni zjawić się lada chwila.

Księżna wstała; jej szczupłą, zgrabną postać spowijała czarna, bardzo prosta i bardzo droga suknia. Z wystudiowaną gracją przeszła przez pokój i zbliżyła się do intarsjowanej hebanowej komódki.

Patrycja Walońska była księżną od niecałych sześciu miesięcy, lecz zdążyła już przyswoić sobie królewski sposób bycia godny samej Marii Antoniny i nieuchronnej śmierci na gilotynie. Patrycja Walońska, z domu Cheney, nigdy nie zadowalała się półśrodkami.

W 1929 roku była najbardziej znaną z nowojorskich debutantek. Opisy jej szalonych wybryków zajmowały pierwsze strony gazet na równi z wiadomościami o gwałtownie spadających cenach akcji. Podczas gdy sława jej rywalek z Manhattanu topniała wraz z oszczędnościami ich rodziców, Pat Cheney utrzymywała się na powierzchni w iście ekstrawaganckim stylu. Raz nawet wynajęła samolot i zasypała Piątą Aleję deszczem cieplarnianych chryzantem.

Lecz w końcu czar jej młodości prysł i gdy Cheneyowie przezornie przenieśli swoje jakże cenne poparcie na partię demokratyczną, Patrycja porzuciła kapitalistyczne figle, stając się demokratką z krwi i kości. Pieniądze oraz swoją niespożytą energię inwestowała teraz w takie przedsięwzięcia, jak rozdawanie zupy ubogim albo masła stojącym w kolejce po chleb. Stała się jednocześnie wybawieniem i przekleństwem nowojorskich bezrobotnych.

Później, gdy tak zwany powrót prosperity pchnął ją w ramiona komunizmu, Patrycja poznała i poślubiła wygnańca, księcia Dymitra Walońskiego. Ów autentyczny, choć zubożały arystokrata nakłonił ją do zamiany czerwonego sztandaru na biały. Dzięki temu ostatnimi czasy Patrycja — ten najbardziej wszechstronny kameleon śmietanki



towarzyskiej — udowadniała zadziwionemu światu, że potrafi być najprawdziwszą księżną.

Gdy tak stała przed komódką, trudno byłoby odnaleźć w niej choćby najmniejszy ślad któregośkolwiek z jej dawno zapomnianych wcieleń. A jednak dokładnie w tym momencie Patrycja obmyślała najbardziej szalone, najbardziej bezwzględne i prawdopodobnie najniebezpieczniejsze posunięcie w całej swojej karierze.

Stanowczym ruchem wysunęła jedną z szuflad, w której spoczywały cztery nieduże rewolwery.

Jej dłonie ani razu nie zdrząły, gdy przenosiła je na stolik i wkładała, jeden po drugim, do czterech neseserów. Gdy nacisnęła dzwonek wzywający kamerdynera, jej spojrzenie na dłuższą chwilę zatrzymało się na fotografii przedstawiającej Klarę Van Heuten.

— Lepiej zacznij już przygotowywać koktajle, Williamie. Whisky z lodem, syropem ziołowym i wodą. Moim gościom przyda się coś mocniejszego. — W oczach Patrycji błysnął cień dawnego, niebezpiecznego uśmiechu. — I jeszcze jedno. Ramka tej fotografii jest zaśniedziała. Wyczyść ją i odnieś, kiedy będziesz podawał koktajle.

Po kilku minutach panującą w saloniku ciszę przerwał dzwonek do drzwi, dochodzący z odległego hallu. Patrycja Walońska popatrzyła na cztery nesesery i zaciśnęła usta. Była gotowa na przyjęcie swojego pierwszego gościa.

— Panna Gilda Dawn.

Głos kamerdynera był pełen poszanowania. Służący zabawił przy drzwiach o sekundę dłużej, niż tego wymagała etykieta, nie mogąc oderwać zafascynowanego wzroku od największej gwiazdy Hollywoodu, która właśnie wpłynęła do salonu.

Wspaniała, odziana w tworzywa sztuczne i sobole Gilda Dawn wyciągnęła do pani domu dłoń w rękawiczce i zaszczebiotała:

— Księżno, cóż za rozkoszne spotkanie. Co prawda nie doszłam jeszcze do siebie po niezwykle wyczerpującym występie w Music Hallu, lecz...

Gdy tylko publiczność w osobie kamerdynera znikła za zamkniętymi drzwiami, filmowa Lady Lotus chwyciła Patrycję za ramię i zaapytała szorstko:

— Co to za historia z tym telegramem od ciebie? Prawie umarłam ze strachu. Czego się dowiedziałas?

— Myślę, że powinniśmy poczekać na pozostałych gości — wyszeptwała Patrycja.

Pomimo oszłamiającej fryzury (dawniej barwy hebanu, następnie rudej, a obecnie blond) oraz jedwabnych pończoch za dwadzieścia pięć dolarów oblekających nogi warte dziesięć tysięcy razy tyle, nie ulegało wątpliwości, że Gilda Dawn nigdy nie przestała być podejrzliwą córką farmera z Iowa, która wcześniej nauczyła się nie ufać innym kobietom.

— Czyli to nie żarty? — naciskała teraz. — Wiesz, że jesienią mam grać Marię Magdalenę. Weisnęli mi do kontraktu jakąś diabelną klauzulę dotyczącą moralności, a ja jestem akurat w samym środku rozwodu. Więc jeśli wygrzebałaś jakieś świństwa na mój temat, to zaraz ściągnę tu mojego menadżera, pana Schneidera.

Patrycja uśmiechnęła się cierpko. — Obawiam się, że nawet pan Schneider nie może się o niczym dowiedzieć. Chodzi o pewien drobiazg, który ty, ja i jeszcze dwie inne kobiety musimy załatwić pomiędzy sobą.

Na chwilę zapadła cisza, po czym na korytarzu rozległy się energiczne kroki.

— Domyślam się, że to panna Kennet — odezwała się Patrycja. — Chyba ją znasz.

— Bea Kennet, ta pisarka? — Palce Gildy, o pomalowanych na intensywny szkarłat paznokciach, nerwowo wsuwały papierosa do długiego, zielonkawego ustnika. — Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że ta okropna baba też jest w to zamieszana? — Po chwili, jakby przypominając sobie o swojej pozycji, dodała słodko: — Och, oczywiście, że doskonale znam Beę Kennet. Napisała o mnie kilka tekstów dla Hollywood.

— To jest ta biedna dziennikareczka, która podpięła się pod gwiazdę...

Gilda Dawn odwróciła się, a drwiący głos od drzwi ciągnął:

— ...choć w twoim przypadku, Lady Lotus, była to psia gwiazda.

Beatrice Kennet, autorka co najmniej tuzina efektownie nieprzyzwoitych artykułów dla różnych czasopism, minęła kamerdynera i wkroczyła do salonu. W szytym na miarę tweedowym kostiumie, koszuli i krawacie nadających jej niemal męski wygląd stanowiła -

uosobienie mającej cyganerii. Dłonie wsunęła w kieszenie, a jej krótko przystrzyżone włosy okalały zuchwałą twarz o rysach przemądrego wyrostka.

— Witaj, Pat Cheney. Nie widziałam cię, od kiedy sprawiłaś sobie to słowiańskie nazwisko. Mam cię teraz całować po rękach czy nazywać towarzyszką? I po jakiego czorta przysłałaś mi ten tajemniczy telegram? Rzuciłam wszystko i przybiegłam tu ile sił w nogach, licząc na coś naprawdę pikantnego.

— I nie zawiediesz się — odparła ponuro Patrycja.

Kamerdyner postawił na stoliku fotografię Klary Van Heuten w ramce, która była teraz wypolerowana na wysoki połysk. Obok niej umieścił tacę z koktajlami i wycofał się dyskretnie. Bea Kennet chwyciła kieliszek.

— Koktajle w towarzystwie boskiej Klary Van Heuten! No no, bardzo stosownie! — Przysunęła kieliszek do ust. — A niech to, wypijmy za koniec tego popołudnia.

Gilda Dawn rozsiadła się wygodnie w fotelu, nie przestając jednak mierzyć Patrycji czujnym spojrzeniem. — No dobrze — powiedziała. — Teraz, kiedy jest już z nami panna Kennet, może mogłabyś wreszcie powiedzieć, o co chodziło w tym telegramie?

— Właśnie. — Beatrice Kennet wyciągnęła z kieszeni pomietą kopertę. Jej zwinne palce niemal niedostrzegalnie drżały, kiedy wyjmowała telegram. Zaczęła czytać na głos:

**ODKRYŁAM COŚ BARDZO DLA CIEBIE WAŻNEGO STOP TO MOŻE BYĆ DOSŁOWNIE SPRAWA ŻYCIA LUB ŚMIERCI STOP BĄDŹ U MNIE DZISIAJ O WPÓŁ DO PIERWSZEJ.**

Bystre, ciemne oczy pisarki przyjrzały się uważnie Patrycji. — Czyżby chodziło tylko o powrót do wybryków cieszącej się złą sławą debutantki? A może cenne życie którejś z nas naprawdę jest zagrożone?

— Spodziewam się jeszcze jednego gościa — powtórzyła mechanicznie księżna. — Lepiej będzie, jeśli na niego zaczekamy.

Podeszła do stolika i zaczęła manipulować przy jednym z nesesorów. W jej spokojnych, szarych oczach lśniło coś niepokojącego. Coś, co zbiło z pantafelku nawet Beatrice Kennet.

Ani ona, ani Lady Lotus już się nie odezwały. Pisarka opróżniła jedynie drugi staroświecki kieliszek i odstawiła go ze stukotem na blat stolika. Długi ustnik papierosa Gildy Dawn wybijał nerwowy rytm o popielniczkę.

Obie kobiety drgnęły gwałtownie, gdy drzwi salonu otworzyły się po raz trzeci.

— Pani Johnowa Hobart.

W progu stała dziewczyna. Była bardzo młoda, miała kasztanowe loki i naiwne oczy. Weszła do środka odrobinę zdyszana.

— Och, księżno, przyjechałam, jak tylko otrzymałam pani telegram... — Nieznaczenie, ale jednak sepleniała.

Susan Hobart odziedziczyła siedemnaście milionów dolarów po swoim wuju, Danielu Stuckeyu, Królu Kości z Ohio. Lecz owo nagłe wzbogacenie się w niczym nie zmieniło tego niemal przesadnie prostodusznego, prowincjonalnego Kopciuszka.

— Skoro przebyła pani taki szmat drogi z Ohio, pani Hobart, z pewnością chciałyby pani...

Patrycja sięgnęła po dzwonek, lecz Susan Hobart już podbiegła do niej i chwyciła ją za rękę.

— Proszę zaczekać. Muszę pani o czymś powiedzieć. Wszystkiego się domyśliłam. Dlatego tutaj jestem — żeby nie zrobiła pani żadnego głupstwa.

Spojrzenie jej błękitnych oczu spoczęło na fotografii Klary Van Heuten.

— A więc miałam rację — westchnęła. — Już wiem, co takiego pani odkryła, księżno. Ale nie wolno pani, nie może pani tego zrobić...

— Na miłość boską, dajcie tej dziewczynie coś do picia — wtrąciła uszczypliwie Beatrice Kennet. — Zaczyna mi działać na nerwy.

Susan Hobart obróciła się na pięcie, wytrzeszczając oczy ze zdumienia, jakby dopiero teraz zauważyła pozostałych gości.

— A więc te panie także...!

— Owszem. Wszystkie cztery tkwimy w tym po same uszy. — Patrycja Walońska uśmiechnęła się dziwnie. — Jeśli nawet domyśliła się pani tego, co za chwilę powiem, pani Hobart, to jestem pewna, że zgodzi się pani ze mną, iż niebezpieczną chorobę można zażegnać, jedynie stosując niebezpieczny lek...

W ciszy, jaka po tych słowach zapadła, cztery kobiety zamarzyły teatralnie na środku salonu, tworząc kompozycję pełną zaskakujących kontrastów. Wszystkie były młode, bogate i atrakcyjne. Wszystkie trafiały na pierwsze strony gazet za każdym razem, gdy zatrudniały nową krawcową, odwiedzały nowy klub nocny, brały sobie nowego kochanka lub nowego męża. A jednak, mimo iż wszystkie stanowiły łakomy kąsek dla dziennikarzy, te cztery kobiety, pochodzące z tak całkowicie odmiennych sfer, wydawały się nie mieć ze sobą nic wspólnego poza obecną bliskością i źle skrywanym niepokojem.

— Musimy — powiedziała wolno Patrycja — załatwić razem pewną sprawę. Myślę, że każda z was ma wystarczająco dużo zdrowego rozsądku, aby wiedzieć, że nikt oprócz nas nie może tego zrobić.

Żadna z kobiet się nie odezwała. Atmosfera w salonie stała się równie napięta, jak drut w pułapce gotowej się lada moment zatrzasnąć. Księżna podniosła jeden z neserów i dotknęła zamka.

— To niemożliwe! — Z ust Susan Hobart wyrwał się stłumiony okrzyk. Kobieta wskazywała ręką neser. Otwarty, ukazał oczom zebranych lśniąca lufę rewolweru. — Księżno, nie może pani tego od nas wymagać.

Jej oczy o rozszerzonych strachem źrenicach jeszcze raz zwróciły się na nieruchomą fotografię w srebrnej ramce. — Proszę mi powiedzieć — jęknęła — czy *ona* tutaj przyjdzie?

— Nie. — Patrycja ponownie się uśmiechnęła. Tym razem był to bardzo niebezpieczny uśmiech. — To my cztery odwiedzimy ją dzisiaj po południu. Złożymy wizytę najsprytniejszej i być może najokrutniejszej kobiecie w Nowym Jorku, naszej najdroższej przyjaciółce, Klarze Van Heuten.

**P**ani Klara Van Heuten jest na lunchu. Kto mówi?

— Nazywam się Derek Muir. Dzwonię z polecenia wspólnego znajomego. Chciałbym wiedzieć, czy pani Van Heuten zechce przyjąć mnie dzisiaj po południu.

Po drugiej stronie na chwilę zapadło milczenie, po czym w słuchawce ponownie rozległ się energiczny, szorstki głos sekretarki:

- O wpół do czwartej?
- Świetnie. Znakomicie.

Młody człowiek odłożył słuchawkę i wyciągnął się na odkształconym materacu, z którego wystawały sprężyny. Rozejrzał się po ciastym, ponurym pokoju, a jego usta wygięły się w uśmiechu leniwego zadowolenia.

Dochodziła pierwsza, ale Derek Muir nie kwapił się do wstawania. Cóż mogło być aż tak ważnego, żeby z tego powodu zrywać się rano z łóżka? Śniadanie...? Śniadanie oznaczało wydatek, wydatek zaś oznaczał konieczność pójścia do pracy. A Derek Muir unikał zarówno wydatków, jak i pracy od dnia, kiedy przyjechał na Wschodnie Wybrzeże, czyli od z górą dwóch miesięcy. Żył bez centa przy duszy i bez żadnych większych trosk.

Jednak myśl o popołudniowym spotkaniu skłoniła go do porzucenia zwyczajowego lenistwa. Zsunął z siebie spłowiąłą, lecz wciąż krzykliwą piżamę i podszedł do rozklekotanej toaletki, wyłożonej żalobnym marmurem.

Wyszczerbioną, drewnianą ramę lustra ozdabiała fotografie bańalnych, w większości urodziwych blondynek, pokryte gęsto różnymi zapiskami. Lecz Derek Muir nie zwracał uwagi na owe dowody kobiecej admiracji; w narcystycznym skupieniu studiował odbicie swojej twarzy, która zawsze wydawała mu się atrakcyjniejsza od innych. I nawet upstrzone ciemnymi plamami lustro nie przeszkadzało mu podziwiać jej aż przesadnie doskonałych rysów. Derek Muir przyglądał się sobie z satysfakcją. W tym prostackim, nieczułym świecie samouwieblenie było jedynym luksusem, na jaki mógł sobie pozwolić.

Dziś jednak wyjątkowo miał dostęp do jeszcze innych luksusów. Derek Muir przeniósł spojrzenie z własnego odbicia w lustrze na swoje najnowsze nabytki. Leżały na fotelu obitym zleżałym pluszem, starannie złożone — dokładnie w takim stanie, w jakim wyjął je z firmowych pudełek i opakowań. Szaroniebieski garnitur, koszula z Bond Street, krawat oraz para uwodzicielsko ozdobionych skarpetek. Pod fotelem zaś, szare i miękkie niczym bliźniacza parka gołębi, spoczywały zamszowe pantofle — ostatnia ofiara złożona przez mego na ołtarzu elegancji.

Derek Muir miał prawo być dumny ze swojego nowego stroju. Zapłacił za niego, a raczej przyrzekł zapłacić, prawie dwieście dolarów. Jego celem było olśnienie słabej płci w ogóle, a w szczególności nieznannej mu dotąd pani Van Heuten.

Zaczął się ubierać, pieczołowicie i niemal z szacunkiem dotykając każdej sztuki odzieży, zupełnie jakby był to kruchy ornament, gotów rozpaść się na kawałki przy byle gwałtowniejszym ruchu. Rzucając ostatnie spojrzenie na swoje odbicie w lustrze, Derek Muir zapomniał na chwilę o wstrętnej rzeczywistości: z dawna zaległym czynszu, skąpych posiłkach z automatu oraz nędzy i samotności swojego obecnego bytowania, do którego zmusiły go względy oszczędnościowe. Wyobraźnię wybiegł w jakże obiecującą przyszłość.

Ujrzał w niej siebie samego, posiadacza nie jednego, lecz kilku tuzinów oszalałymi garniturów, przechadzającego się triumfalnie po Lazurowym Wybrzeżu, pozostawiającego za sobą rozbite banki i złamane serca. Zobaczył lśniące limuzyny, dyskretnych służących, sale bankietowe pełne znakomitości łączywie spijających zblazowane żarciki spływające z taką łatwością z jego ust...

Możliwe, że kluczem do spełnienia tych marzeń stanie się ten oto wyświechtany kawałek tekturki oparty o lustro — wizytówka Dane'a Tolfreya, z kilkoma słowami na odwrocie nabazgranymi niepewną ręką pijaka.

Derek Muir podniósł ją od niechcienia i przyjrzał się rekomendacji. Jego wzrok natychmiast przykuły magiczne słowa: nazwisko i adres kobiety, która potrafiła czynić cuda:

*Klara Van Heuten,  
biuro porad literackich.  
Prośba o przyjęcie pana Dereka Muira,  
człowieka o zabójczych talentach.*

Derek Muir zerknął na tani, cynowy zegar stojący na toalecie. Dwadzieścia po pierwszej. Miał jeszcze mnóstwo czasu do umówionego spotkania. Wsunął wizytówkę do kieszeni i wyszedł na korytarz. Jego ruchy, choć swobodne, sprawiały jednak wrażenie ukradkowych. Nie chciał, żeby jego nowy, olśniewający strój zwrócił uwagę pazernej na czynsz gospodyni.

Wydostawszy się bez przeszkód na ulicę, ruszył przed siebie pewnym krokiem kogoś, kto wie, dokąd zmierza. Przed rozmową z tajemniczą panią Van Heuten chciał jeszcze raz spotkać się z Danem Tolfreym. Miał też doskonały pomysł na to, gdzie Tolfrey może w tej chwili przebywać.

Miał rację. Wchodząc do baru Longval, zauważył, że poza Danem Tolfreym w lokalu nie ma prawie nikogo. Ostatni z długiego rodu krótko żyjących Tolfreyów siedział przycupnięty na tym samym co zwykle barowym stołku. Dopiero co wychylił czwarty kieliszek podwójnej brandy i miał właśnie zaaplikować piąty swojej chorej na marskość wątrobie.

— Witam pana, panie Tolfrey.

Przez chwilę Tolfrey wpatrywał się w niego swoimi podpuchniętymi, żółtawymi oczyma, w ogóle go nie poznając; następnie jego twarz rozciągnęła się w sprytnym uśmiechu.

— Ależ tak! To ty jesteś tym zabójczym gościem, który sprawia, że trup ściele się gęsto. — Drwiącym spojrzeniem omiółł szaroniebieski garnitur i zamshowe pantofle Dereka. — A niech mnie, droga kostucho, wychylisz ze mną kieliszeczek?

— Chyba wołałbym coś przekąsić, panie Tolfrey. — Derek Muir przysunął sobie stółek, z którego mógł swobodnie podziwiać odbicie własnej twarzy w wiszącym nad barem lustrze. — Po trzydniowym poście człowiek ma prawo czuć się trochę wygłodniały. Poproszę kanapkę z kurczakiem. I szklankę mleka.

Barman popatrzył z powątpiewaniem na Tolfreya, jednak ekstrawagancka elegancja Muira najwyraźniej go w końcu przekonała.

— A więc nasz zabójczy typ pija mleko! — zachichotał Tolfrey.

— Nie sądzi pan chyba, że wybiorę się nietrzeźwy na spotkanie z panią Van Heuten?

— Fakt... — Tolfrey zerknął na niego z ukosa. — To byłby kiepski pomysł. Klara to twarda sztuka. Najbardziej poważana kobieta w Nowym Jorku.

— Och — mruknął Muir, obserwując jednocześnie w lustrze, jak jego wargi zaciskają się wokół pierwszego kęsa kanapki z kurczakiem.

Barman podsunął Tolfreyowi rachunek. — Pan się tym zajmie, panie Tolfrey?

— A i owszem. — Dane Tolfrey przyjrzał się z powagą świstkowi, a następnie teatralnym gestem wydobył z kieszeni portfel i zupełnie nieprzekonywająco udał zaskoczenie na widok jego pustych przegródek. — A niech to, zapomniałem zająć do banku. Będę musiał wziąć to na kredyt.



Jego jowialny uśmiech nie zrobił najmniejszego wrażenia na barmanie, którego twarz pozostała nieruchoma jak kamień.

— Niestety, panie Tolfrey. Przyjmujemy wyłącznie gotówkę. Już panu mówiłem.

— Co za niezręczna sytuacja! — Tolfrey spojrzął na Muira, który celowo pochylił twarz nad szklanką mleka. — Słuchaj no, stary, wiem, zaprosiłem cię. Ale...

— Z największą przyjemnością. — Z całkowitym spokojem Muir otarł z ust delikatną piankę. — Obawiam się jednak, że będzie pan musiał zaczekać, aż pańska przyjaciółka, pani Van Heuten, zareklamuje mnie masowemu amerykańskiemu odbiorcy. W chwili obecnej nie dysponuję żadną gotówką poza żetonem na wózek bagażowy w Los Angeles.

— Można by powiedzieć — mruknął Tolfrey — że znalazłem się, jak to mówią, w kłopotliwej sytuacji, gdyby nie to, że znam absolutnie wszystkich w Nowym Jorku.

Jego spojrzenie powędrowało chwiejnie przez niemal wyludniony lokal i spoczęło na mężczyźnie w tweedowym garniturze, siedzącym w odległym zakątku baru, za dużą kałużą piwa.

— A to — wykrzyknął — jest, jak to mówią, mój ratunek!

Ześlizgnąwszy się ze stołka, Tolfrey przeszedł przez salę i serdecznie klepnął mężczyznę w plecy.

— A niech mnie, Johnny, co ty u diabła robisz w Nowym Jorku?

Mężczyzna w tweedowym garniturze zwrócił na niego bezczelne spojrzenie oczu o jeden ton ciemniejszy od jego zdrowej, opalonej cery. Muskularne ramię wyciągnęło się leniwie w kierunku rozlanego piwa.

— Wcale mnie tutaj nie ma. — Uśmiech mężczyzny był przyjemny, lecz nieco mniej zdrowy niż jego opalenizna. — Posłuchaj, Tolfrey, nie znam cię, a ty nie wiesz nawet, jak się nazywam. A tak się składa, że nazywam się John Smith. I co ty na to?

— Mąż na wagarach, he? — Obrzmiął palcem Tolfrey dotknął swojego pokrytego czerwonymi żyłkami nosa. — No więc, Johnny, możesz się nazywać John Smith, John NN czy nawet John Paskud, jeśli tylko pomożesz mi załatwić pewną kłopotliwą sprawę z rachunkiem.

— Ależ oczywiście. — Mężczyzna w tweedowym garniturze uśmiechał się teraz wręcz serdecznie. — Postawię ci nawet jeszcze jednego drinka, przez wzgląd na dawne czasy.

Wezwał barmana, złożył zamówienie, po czym, wskazując ruchem głowy pozostawionego samemu sobie Muira, dodał:

— Dorzuc pan jeszcze szklaneczkę mleka dla tamtego samotnego kwiatuszka.

— Domyślam się — szepnął Dane Tolfrey, przysuwając się bliżej i spowijając rozmówcę oparami brandy — domyślam się, że przyjechałeś do Nowego Jorku *incognito*, żeby uregulować zaległe rachunki, co, Johnny? Najwyższa pora, hę?

— Znakomicie, mój drogi Holmesie. — Tylko pięć wypitych kolejno kieliszków brandy mogło sprawić, że Tolfrey nie wyczuł dotąd niebezpieczeństwa czającego się w tym przyjacielskim tonie, w tych podstępnie łagodnych, ciemnych oczach. — Mój podły sekret ujrzał światło dzienne. Dziś po południu wybieram się uregulować zaległe rachunki z pewną damą, którą obaj znamy.

Opalona dłoń chwyciła Tolfreya za ramię akurat w chwili, gdy ten usiłował zamówić u barmana szóstą brandy.

— Chwileczkę, Tolfrey. To wypijmy za jej zdrowie.

Mężczyzna w tweedowym garniturze uniósł w górę kufel z udawaną galanterią.

— Za naszą wspólną przyjaciółkę, niezrównaną Klarę Van Heuten. Oby prędko zajęła owo należne jej niewygodne miejsce, które trzymają dla niej w piekle.

Palce Tolfreya zacisnęły się wokół kieliszka. Zdumiony popatrzył na swojego towarzysza.

— Pożalujesz tego — powiedział, po czym dodał, śmiejąc się wymuszenie: — Chyba że jesteś pijany, rzecz jasna.

— Pijany? Wręcz przeciwnie. Właśnie trzeźwieję.

Mężczyzna, który przedstawił się Tolfreyowi jako John Smith, zerwał się ze stołka. Jego aksamitne, brązowe oczy były teraz równie twarde jak agat.

— A tak w ogóle, Tolfrey, to czy ty przypadkiem nie jesteś pijany?

— Ja? — Ton głosu Tolfreya zdradzał oburzenie człowieka, który od wielu lat nie trzeźwiał. — Pijany? Skądże znowu..

— To znakomicie. W takim razie nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy zrobili to, na co już od dawna miałem ochotę.

I gdy Tolfrey wpatrywał się w niego nic nierozumiejącymi, zapuchniętymi oczyma, mężczyzna w tweedowym garniturze z powagą wskazał mu podłogę.

— Wolisz, żeby twoja głowa wylądowała w tej spluwaczce, czy w tamtej?

— Johnny, chyba nie ośmielisz się...

Lecz niedane mu było dokończyć swojego protestu. Ciemna pięść wystrzeliła w przód i z doskonałą precyzją wylądowała na podbródku Tolfreya. Za siłą uderzenia stało osiemdziesiąt kilo żywej wagi, świetna kondycja i trudna do zmierzenia, pełna wzgardy uraza.

Tolfrey zachwiał się na nogach, bezskutecznie usiłując oprzeć się o bar, po czym runął na podłogę.

Mężczyzna w tweedowym garniturze przyglądał mu się przez chwilę z wyrazem olbrzymiej satysfakcji na twarzy. Następnie posłał uśmiech zaskoczonemu barmanowi i cisnął na kontuar dwa banknoty pięciodolarowe.

— To najlepiej wydane dziesięć dolarów w moim życiu. Trzymaj gębę na kłódkę, reszta dla ciebie.

Wycierając krew z kłykci dłoni, przepchnął się przez grupkę gapiów i odszedł, pogwizdując.

Gdy kilka sekund później Tolfrey odzyskał przytomność, ujrzał nad sobą zatroskaną twarz barmana. Usiłując zachować resztki godności, podniósł głowę z pełnej niedopałków papierosów i cygar spluwaczki, a następnie, ignorując żartobliwe propozycje pomocy, z wysiłkiem stanął na nogach.

Barman wyszczerzył zęby w uśmiechu i podsunął mu szklaneczkę brandy.

— Na koszt firmy, panie Tolfrey. Rany, co to był za cios!

— Nie sędzę, abym wniósł przeciwko niemu skargę — odparł pompatycznie, choć dość niepewnie Tolfrey, strzepując popiół ze swoich przeredzonych włosów. — I sugerowałbym, żeby zapomniał pan o całym zajściu. Gdzie jest tamten dżentelmen?

— Ma pan na myśli gościa, który pana załatwił? — upewnił się barman, usłużnie otrzepując Tolfreyowi płaszcz.

— Ja powiedziałem: „dżentelmen”.

— A, pan mleko i kanapka z kurczakiem! — Barman afektownie przeciągał słowa. — Dał nogę, jak tylko zaczęła się rozróżba. Pewnie na widok krwi zrobiło mu się słabo.

— A więc taki to ptaszek z pana Muira — mruknął pod nosem Tolfrey. — W takim razie już po nim.

Ruszył w stronę drzwi, zataczając się nieco bardziej niż zwykle. Zamierzał natychmiast udać się do pani Van Heuten i przekazać jej swoją opinię na temat pana Muira.

Lecz nagła słabość sprawiła, że poczuł nieodpartą potrzebę, aby odpocząć. Skierował więc kroki do sąsiedniej restauracji.

Nieco oszołomiony, podszedł do najbliższego stolika i opadł ciężko na krzesło, nie zwracając uwagi na to, że przy stoliku już ktoś siedzi.

— Przepraszam, ale to miejsce jest zajęte.

Tolfrey wzdrygnął się i podniósł wzrok na młodego mężczyznę naprzeciwko. Był to dość niechlujnie wyglądający młodzieniec o długich, potarganych włosach i pociągłej, wrażliwej twarzy. W oczach Tolfreya z wolna pojawił się błysk rozpoznania.

— Znam cię — wymamrotał niepewnie. — Znam wszystkich w Nowym Jorku. Jesteś jednym z tych młodych literackich geniuszy Klary. Bobby Bristol.

— Zgadza się. Pan Tolfrey, czy tak? — Chłopak sprawiał wrażenie roztargnionego. — Nie chciałbym wydać się nieuprzejmy, ale właśnie czekam na moją żonę.

— Nie ma sprawy. Tak sobie tylko pomyślałem, że ostatni z majątnych Bristolów mógłby postawić lunch ostatniemu ze zubożałych Tolfreyów.

— Majętni Bristolowie! — Śmiech chłopaka zabrzmiał raczej gorzko. — Być może zainteresuje pana fakt, iż w chwili obecnej cały majątek Bristolów wynosi dokładnie dwieście osiemdziesiąt sześć tysięcy siedemset czterdzieści dolarów. I na nieszczęście dla ostatniego z rodu, jest to kwota na minusie.

— A to szkoda. — Tolfrey cmoknął współczująco. — Ostatnimi czasy cierpią najlepsi. Ucierpiała też moja szczeka. — Dotknął ostrożnie swojego opuchniętego podbródka. — W takim razie, jeśli nie lunch, to może chociaż kawałek krwistego befsztyka, żeby ukoić mój ból?

Lecz Robert Bristol już go nie słuchał. Zerwał się z miejsca, a nagły uśmiech rozjaśnił jego niespokojną twarz. Pałającymi oczyma wpatrywał się w dziewczynę, która przeciskała się ku nim między stolikami.

Dane Tolfrey zauważył zmianę na twarzy swojego rozmówcy. Chociaż był już nieźle zamroczony i sponiewierany, natychmiast zdał sobie sprawę, że nie jest mile widziany. Wstał więc i odszedł, ciężko powłóczęgając nogami.

Bristol impulsywnie skoczył na spotkanie dziewczyny.

— Helen! Dzięki Bogu, że jesteś. Ja... Myślałem, że może...

— Witaj, Bobby.

Zielone oczy Helen Bristol z rezerwą odwzajemniły niespokojne, przeciągłe spojrzenie męża. Była piękna na swój szorstki, kruchy sposób, miała wyraziste rysy i zdecydowany podbródek. Zdjęła szare rękawiczki i upychając je nerwowo w torebce, usiadła na miejscu właśnie zwolnionym przez Tolfreya.

— Miło cię znowu widzieć, Bobby.

Chłodny ton jej głosu i obecność kelnerki pohamowały potok słów, który już, już miał popłynąć z ust Bobby'ego. Kelnerka przyjęła zamówienie i przyniosła posiłek, a oni nadal siedzieli w kłopotliwym milczeniu. Dziewczyna zapaliła papierosa, zaciągnęła się nerwowo, po czym zgasiła go w popielniczce. Oboje pochylili się nad talerzami z udawanym zainteresowaniem.

— Hm, co z twoją powieścią, Bobby? — Głos Helen Bristol, który przerwał w końcu pełną napięcia ciszę, był nienaturalnie ożywiony i opanowany. — Skończyłeś już?

— Od trzech tygodni leży gotowa w wydawnictwie Saltera. Nie wiedziałas? Przecież nadal tam pracujesz, prawda?

— Owszem, ale nie zajmuję się twoimi maszynopisami. — Dziewczyna odłamała kawałek chleba, ale odłożyła go z powrotem na talerz. — To działka Larry'ego Gravesa. Mam nadzieję, że przyjmie ten tekst do druku, Bobby.

— Boże, Helen, ja też mam taką nadzieję. Ta powieść tyle dla mnie znaczy. Wiesz, pani Van Heuten ją czytała. Spodobała jej się, mówi, że jest lepsza od „Paraboli” i... — Bobby Bristol urwał. Nachylając się nad stolikiem, impulsywnie chwycił dłoń żony. — Posłuchaj, Helen, dłużej tego nie wytrzymam. To już trzy miesiące, jak ode mnie

odeszłaś. Te trzy miesiące były prawdziwym piekłem. Nie mogę pi-  
sać, nie mogę spać. Niczego nie mogę robić. Ty... Ty wrócisz do mnie,  
prawda?

Helen Bristol wykonała taki gest, jakby chciała cofnąć rękę, lecz  
ostatecznie pozostawiła ją spoczywającą bezwładnie w dłoni męża.

— Bobby, nie wiem, jak ci to powiedzieć. Ja...

— Musisz do mnie wrócić. — Robert Bristol mówił cicho, z roz-  
paczą. — Przecież... Przecież tak naprawdę nic złego się nie wydarzy-  
ło. Klóciliśmy się czasami. Ale to wszystko wina nerwów. Straciłem  
pieniądze, musieliśmy się przenieść do tej okropnej nory. I jeszcze ci  
wierzyście ojca...

— Nie, Bobby. — Twarz dziewczyny była teraz niewzruszona jak  
kamień. Patrzyła mu prosto w oczy. — Rozstaliśmy się na trzy mie-  
siące, żeby zobaczyć, co się wydarzy. Obiecaliśmy sobie, że będziemy  
całkowicie szczerzy. Będę z tobą szczerą. Nie mogę do ciebie wrócić.

Krew odpłynęła z policzków Roberta Bristola.

— Nie mówisz tego poważnie, Helen.

— Owszem, Bobby. Nienawidzę siebie za to. Ale... Teraz, kiedy  
znowu pracuję u Saltera, jestem szczęśliwa. Lubię swoją pracę.

— Przecież nie musisz z niej rezygnować. — Bobby Bristol roze-  
śmiał się z przymusem. — Będziemy potrzebowali pieniędzy, dopóki  
nie uda mi się sprzedać powieści albo nie trafi się coś innego.

Helen Bristol odwróciła wzrok. Jej palce zaczęły drzeć na drobne  
kawaleczki liść sałaty, którym przyozdobione było jej nietknięte da-  
nie.

— Zrozum, Bobby, to nie tak. Nie mogę do ciebie wrócić, bo...  
bo jest ktoś inny.

Kąciki warg Roberta Bristola nagle zadrżały. Wyglądał teraz jak  
skrzywdzone, zaskoczone dziecko.

— To nieprawda — wyszeptał.

— To prawda, Bobby. Nie myśl, że nic mnie to nie kosztowało.  
Ale musisz mnie zrozumieć. Być może mogłabym jeszcze rzucić to  
wszystko. Ale na dłuższą metę bezinteresowność nie popłaca. Naj-  
pewniej w ogóle nie powinniśmy byli się pobierać. Ty masz swój  
temperament. A ja... — Lekki uśmiech wygiął jej zdecydowane usta.  
— Cóż, jestem od ciebie starsza i — obawiam się — zbyt przyziemna,

żeby być żoną pisarza. Nie będę owijać w bawełnę, Bobby. Chcę rozvodu.

— Rozvodu? Boże, a to zabawne. — Robert Bristol zaśmiał się histerycznie. — Spadek w postaci samych długów i żona, która chce rozvodu. Jeżeli frustracja rodzi geniusz, moja następna książka będzie arcydziełem. — Podniósł się od stolika. — Chyba od razu pójdę do pani Van Heuten i razem napiszemy moją notkę biograficzną.

Rysy dziewczyny stwardniały. — Nie. Nie rób tego, Bobby.

— A dlaczego nie? — Głos Roberta Bristola był szorstki i sarkastyczny. — Przecież teraz, kiedy zdecydowałaś się żyć dalej beze mnie, pani Van Heuten jest jedynym przyjacielem, jakiego mam. Tylko ona miała tyle przyzwoitości, żeby mnie nie opuścić.

Odwrócił się gwałtownie i odszedł między stolikami.

— Bobby...!

Spojrzenie Helen Bristol straciło całą swoją twardość. Gdy patrzyła za swoim pospiesznie odchodzącym mężem, w jej oczach pojawił się wyraz zaniepokojenia. Z wolna wyjęła szare rękawiczki z torebki i zaczęła wsuwać je na dłonie.

Biedny Bobby, pomyślała. Chyba rzeczywiście ma rację. Teraz nie ma już nikogo poza tą kobietą — tą straszną panią Van Heuten.

## 2.

Sprytna... Okrutna... Tajemnicza... Bardzo poważana... Niezrównana... Przyzwoita... Straszna.

W ciągu minionej półgodziny każdy z tych przymiotników był choć raz użyty odnośnie Klary Van Heuten, podczas gdy ona sama, niczego nieświadoma, spożywała lunch w zaciszu swojego klubu. Lecz teraz, gdy ponownie siedziała przy swoim biurku, żaden z tych epitetów nie wydawał się być szczególnie trafiony. W tej chwili jedno słowo opisywało ją najlepiej: spokojna. Jej siwe włosy połyskiwały łagodnie w popołudniowym słońcu, miękkie cienie stojących z boku biurka złocistych chryzantem igrały łagodnie na jej smukłych, zadbanych dłoniach, a delikatne zmarszczki wokół ust i oczu świadczyły o spokoju, z jakim przyjmowała zbliżającą się starość.

Od czasu do czasu pani Van Heuten odrywała wzrok od przeglądanych maszynopisów, żeby zanotować na kartce swoje sugestie: nieco więcej realizmu w szkicu kochanej pani Derain; konieczność złagodzenia zaskakująco młodzieńczej w wymowie trzeciej linijki sonetu starego profesora Stansbury'ego. Pani Van Heuten nauczyła się z powagą traktować nawet najbardziej przeciętne „arcydzieła” swoich klientów. Była to jedna z tajemnic jej sukcesu w interesach — i w życiu towarzyskim.

Gdy do gabinetu weszła dziewczyna zastępująca jej sekretarkę, pani Van Heuten podniosła głowę znad papierów.

Mijał już prawie tydzień, od kiedy Madeleine Price, siostra stałej sekretarki pani Van Heuten, była jedyną pracownicą biura porad literackich, a mimo to jej chlebodawczyni za każdym razem przeżywała lekki wstrząs na widok wyjątkowo nieurodzivej twarzy młodej kobiety. To niezwykle, zauważyła w myślach, że Louise ma siostrę, która jest do niej tak całkowicie niepodobna.

— O co chodzi, moja droga?

— W sekretariacie czeka człowiek, który twierdzi, że zgłosił się w odpowiedzi na pani list — niejaki John Smith.

— Smith? — Ciepły, matczyzny ton głosu pani Van Heuten ochłodził się niemal niezauważalnie. — Nie wydaje mi się, żebym... Och, zaraz, ci pisarze ze swoimi pseudonimami! Jakże mogłam zapomnieć. Wprowadź go, moja droga.

John Smith wszedł do gabinetu. Był to ten sam mężczyzna w tweedowym garniturze, który nie tak dawno czynił dość nieprzyjemne uwagi pod adresem pani Van Heuten. Teraz uśmiechnął się do niej beznamiętnie, opadając na fotel z równie lekceważącą swobodą, z jaką wytrawny gracz w polo wsiadałby na kucyka. Jego aksamitne, brązowe oczy omiotły beczelnym spojrzeniem wychodzącą z gabinetu pannę Price.

— Co to za maskaron, Klaro? Nie mów mi, że Louise od ciebie odeszła.

— Nie, córeczka biednej Louise poważnie zachorowała. Musiała wywieźć małą na wieś. To jej siostra, Madeleine. Pomaga mi do czasu powrotu Louise.

Młody człowiek obojętnie podniósł do ust papierosa.



— No cóż, Klaro, jak tylko dostałem twój list, zaraz wsiadłem do samolotu. A podczas lunchu piłem za twoje zdrowie z naszym starym znajomym Tolfreyem. No i jestem. Teraz powiedz, dlaczego tak bardzo chciałaś mnie zobaczyć?

— Na pewno się domyślasz, John. — Pani Van Heuten ściągnęła lekko usta w wyrazie kokieteryjnej przygany. — Nie znoszę rozmawiać o interesach, jednak uważam, że niezbyt ładnie mnie potraktowałaś.

— Wręcz przeciwnie, Klaro. Jestem żywą reklamą twojego biura — zadowolonym klientem, który odniósł sukces.

— Ale *ja* nie jestem zadowolona — odparła pani Van Heuten z płacziwą determinacją. — Wiesz, jak bardzo staram się iść wszystkim na rękę, John. Pobieram bardzo niskie opłaty od młodych, hm, pisarzy, którzy coś rokują. Ale spodziewam się, że ze swej strony dotrzymają oni naszej wstępnej umowy i przekażą mi rozsądny procent od swoich zarobków po tym, jak już pomogę im znaleźć dochodowe rynki zbytu.

— Przyznaję, że mam u ciebie ogromny dług wdzięczności, Klaro. Ale nie chciałbym urazić swej bliskiej przyjaciółki, spłacając ów dług czymś bardziej namacalnym niż właśnie wdzięczność.

— Doprawdy, to już niewybacalne. — Pani Van Heuten aż spąsowała z oburzenia. — Przeszłam długą i trudną drogę, od kiedy założyłam swoją małą firmę, John, lecz do tej pory zawsze miałam do czynienia z dżentelmenami. Ty jesteś pierwszym klientem, który tak niecznie mnie wykorzystał.

— I co zamierzasz w tej sprawie zrobić? Naślesz na mnie Tolfreya? — Mężczyzna w tweedowym garniturze uśmiechnął się szeroko na wspomnienie otartych kłykci na swojej ogorzalej pięści.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu; przystojna, siwowłosa kobieta i silny, nonszalancki młody człowiek. W końcu pani Van Heuten podniosła z biurka swój grawerowany, stalowy nóż do cięcia papieru i postukała nim w blat.

— Nie, John. Jest jeszcze ktoś, z kim mogę o tej sprawie porozmawiać. I chyba wiesz, kogo mam na myśli.

John Smith roześmiał się. — Jesteś niezwykłą kobietą, Klaro, ale zupełnie przeciętną szantażystką.

— Mówię serio, John.

Mężczyzna przestał się śmiać. Utkwił spojrzenie w nożu do papieru, a jego aksamitne, brązowe oczy zmaćlił cień. — Droga Klaro, coś takiego tylko przysporzyłoby ci dużych kłopotów.

— Nic na to nie poradzę. — Pani Van Heuten odłożyła nóż zdecydowanym gestem. — Masz trzy dni na podjęcie decyzji. Później sama się tym zajmę. Muszę z czegoś żyć.

— Nie bądź tego taka pewna, Klaro. — John Smith nachylił się nad biurkiem, a tęczęwki jego oczu stały się nagle jasnobrazowe. — Mam wrażenie — powiedział wolno — że zaczyna mnie pani nudzić, pani Van Heuten. Przyszedłem dziś tutaj, żeby przekonać się, jak daleko zdołasz się posunąć w swojej impertynencji. Ale był też inny powód. Droga Klaro, moja decyzja jest ostateczna, przemyślana i nieodwołalna. Mam już dosyć ciebie, twoich listów i twoich subtelnych grózb... — Zapalił papierosa, przysuwając płomień zapalki niebezpiecznie blisko twarzy. — A jeśli chodzi o te fajerwerki, o których wspominałaś, obawiam się, że albo okażą się one niewypałami, albo eksplodują ci w rękach, nie robiąc krzywdy nikomu poza tobą.

Pani Van Heuten podniosła się z godnością i odrzekła chłodno: — Doskonale, John. Wiemy więc już, na czym stoimy.

— Bogu dzięki nie jestem na twoim miejscu. I coś mi mówi, Klaro, że bardzo szybko zdasz sobie sprawę, w jak bardzo niebezpiecznej sytuacji się znalazłaś. — John Smith zaśmiał się nieprzyjemnie, wstając z miejsca. — No cóż, muszę złapać powrotny samolot, a my nie mamy sobie już nic więcej do powiedzenia.

Ruszył w stronę drzwi. Wtedy też jego głos odzyskał poprzedni, żartobliwy ton.

— Rozczarowałaś mnie, Klaro. Spotkanie z przyjaciółką i mentorką moich młodzieńczych aspiracji mogło być przecież rozkosznie przyjemne.

Przystanął w progu i uśmiechnął się szeroko, odsłaniając złowrogo błyszczące zęby.

— Mimo wszystko nadal cię lubię, Klaro. Ogromnie, niezmiernie lubię. Kiedyś coś mi poradziłaś. Teraz ja dam ci radę. Sympatyczne, siwowłose panie nie powinny bawić się fajerwerkami. Dlatego, że z dużą dozą prawdopodobieństwa fajerwerki te mogą okazać się łaskami dynamitu. Żegnaj.

Choć ich rozmowa była zdecydowanie nieprzyjemna, wyglądało na to, że zdołała jedynie powierzchownie zburzyć głęboki spokój pani Van Heuten. Przestając z pisarzami, młodszymi i starszymi, zdążyła się już przyzwyczaić do gwałtownych wybuchów temperamentu. Wzruszyła więc tylko ramionami i na powrót zagłębiła się w literaturę współczesną.

Niczym pobłażliwa nauczycielka trzymała w dłoni uniesiony ołówek. Od czasu do czasu z irytacją wykreślała zdanie, które wydało jej się zbyt nowoczesne lub zbyt potoczne. Pani Van Heuten miała szerokie horyzonty, lecz była jednocześnie wystarczająco staroświecka, ażeby uważać, że miejsce na seks jest w małżeństwie, a nie w literaturze.

Zdążyła sporządzić szybką notatkę z uwagami na temat jednego niezrozumiałego opowiadania i kilku aż nadto niezrozumiałych wierszy, gdy do gabinetu ponownie weszła Madeleine Price.

— Niejaki pan Robert Bristol do pani.

— Ależ to się staje nie do wytrzymania! Kolejna z moich porażek. Doprawdy, mogłabyś mu powiedzieć, że...

Urwała, widząc Bobby'ego Bristola, który wpadł do gabinetu, wymijając w drzwiach sekretarkę. Młodzieniec, który wcześniej nazwał panią Van Heuten swoim jedynym przyjacielem, był bardzo błądy. Miał jeszcze bardziej rozczochrane włosy i jeszcze bardziej pociągłą twarz niż w chwili, gdy opuścił swoją żonę, wybiegając z restauracji. Opadł ciężko na fotel, a jego palce zaczęły nerwowo związać i rozwijać koniec sfatygowanego krawata.

— Cóż się znowu stało, Bobby? — W głosie pani Van Heuten brzmiały niepokój i współczucie.

— Cóż się stało? — Wargi Roberta Bristola zadrżały. — Proszę posłuchać, pani Van Heuten, jeżeli zaraz z kimś nie porozmawiam, to... Bóg jeden wie, co zrobię. Jest pani teraz moim jedynym przyjacielem. Helen nie wróci do mnie. Zażądała rozwodu.

W urywanych zdaniach przedstawił jej wszystko, co zaszło między nim a żoną. Dźwięk własnego głosu zdawał się działać na niego uspokajająco. Choć początkowo narracja rwała się i płątała, Klara Van Heuten miała wrażenie, że ma do czynienia raczej z dramatycznym streszczeniem współczesnego dramatu niż z osobistymi

zwierzeniami. Słuchała w milczeniu, a na jej twarzy malował się wyraz tak autentycznego, jak i zawodowego zrozumienia.

— Tak to właśnie było. — Głos Bobby'ego aż drżał z napięcia. — Co ja mam teraz zrobić, pani Van Heuten?

Przez chwilę Klara zwlekała z odpowiedzią, przyglądając mu się z namysłem.

— Cieszę się, że do mnie przyszedłeś, Bobby — powiedziała wreszcie. — Twoja matka była jedną z moich najdroższych przyjaciółek. Dlatego czuję się po części odpowiedzialna za to, co się stało. W końcu poznałeś Helen właśnie dzięki temu, że wysłałam twój maszynopis wydawnictwu Saltera.

Robert Bristol ze znużeniem wrzucił ramionami.

— Poza tym, mój drogi, nie możesz tego aż tak przeżywać. Zawsze byłeś taki spięty. — Ton głosu pani Van Heuten był umiarkowanie kojący. — Może to wcale nie jest aż tak tragiczne, jak by się wydawało. Jeśli mam być całkiem szczerą, Bobby, to zawsze uważałam, że ta twoja Helen jest odrobinę... interesowna.

— Co pani chce przez to powiedzieć? — Robert Bristol gwałtownie poderwał głowę i popatrzył na nią.

— No cóż, mój drogi, jeżeli rzeczywiście chcesz wiedzieć... — Pani Van Heuten przybrała odpowiedni ton osoby światowej. — Kiedy żeniłeś się z Helen, byłeś synem bardzo zamożnego człowieka, Bobby. A ona — ona nie miała niczego poza swoją urodą i niewiele znaczącą posadką w dziale sztuki u Saltera. Była znakomitą partią dla każdej dziewczyny. — Pani Van Heuten odchrząknęła, po czym dodała pospiesznie: — Oczywiście, nie odważyłabym się niczego podobnego powiedzieć, gdyby postępowanie Helen nie dowiodło, że mam rację. Teraz, kiedy twój biedny ojciec nie żyje, a jego majątek jest zagrożony, ona zostawia cię w chwili, w której każda przyzwoita żona zrobiłaby wszystko, byleby cię tylko wesprzeć.

— Ona... Ona nie wyszła za mnie z powodu pieniędzy. — Robert Bristol zerwał się z fotela; jego oczy miały błyskawice. Następnie wyrzucił w górę ramiona w geście rozpacz. — A zresztą, jakie to ma znaczenie? Wszystko tak okropnie się poplątało. Dzięki Bogu, mam jeszcze swoją powieść. Czy pani... Czy dzwoniłi może od Saltera?

— N-nie. — W oczach pani Van Heuten pojawił się wyraz rezerwy. — Kiedy przesłałeś im maszynopis, napisałam specjalny list do

Larry'ego Gravesa. Podkreśliłam w nim, jakie to dla ciebie ważne.

Bobby zawahał się, po czym rzucił impulsywnie: — Jakie to ohydne, że akurat Graves musi decydować o mojej książce. Oczywiście Helen niczego mi nie powiedziała. Ale ja i tak wiem. Domyśliłem się. Jestem prawie pewien, że to za niego chce wyjść za mąż. — Zaśmiał się gorzko. — Mój wydawca kradnie mi żonę! Tego już doprawdy za wiele. Dziś po południu idę do tego wydawnictwa. Podejrzewam, że spróbują mi wtedy powiedzieć prawdę o swoim romansie. Oczywiście w bardzo delikatny i taktowny sposób.

Pani Van Heuten zatrzepotała powiekami. Przez chwilę wydawała się być pogrążona w myślach. Następnie podniosła słuchawkę i powiedziała: — Połącz mnie proszę z wydawnictwem Saltera, Madeleine. — Zasłaniając słuchawkę dłonią, posłała Bobby'emu błady, współczujący uśmiech. — Skoro się tam wybierasz, Bobby, chyba lepiej będzie, jeśli jeszcze raz wstawię się za twoją powieścią.

Bristol wzruszył ramionami. Ponownie opadł na fotel i zaczął niespokojnie bębnić palcami w podłokietniki.

— Wydawnictwo? Poproszę z panią Bristol... Czy to ty, Helen? Mówi Klara Van Heuten. Jest u mnie Bobby. — Ton jej głosu był teraz słodki i smutny jednocześnie. — Helen, tak bardzo mi przykro, że zamierzasz się z nim rozwieść. Naprawdę przykro. Nie, oczywiście nie zamierzam się wtrącać. Wiem, że osobie z zewnątrz nie wypada...hm, wkraczać między małżonków.

Umilkła na chwilę i słuchała tego, co miała do powiedzenia jej rozmówczyni, a na jej twarzy pojawił się wyraz radosnego skupienia.

— Nie, Helen, wcale nie dzwonię w tej sprawie. Chodzi wyłącznie o nasze interesy. Wiem oczywiście, że nie zajmujesz się maszynopisami. Ale postanowiłam zadzwonić nieoficjalnie i poprosić cię, żebyś spróbowała wpłynąć na pana Gravesa i przekonać go do wydania powieści Bobby'ego. Bobby wybiera się do was dziś po południu, żeby dowiedzieć się, jaka zapadła decyzja. Jestem pewna, że zrobisz, co w twojej mocy, ale zanim cokolwiek ustalicie, pamiętaj proszę, że Bobby nie otrzymał jeszcze swojego honorarium za poprzednią książkę. Wiem, że nie jestem jego agentką, ale Bobby jest taki niepraktyczny. Uważam, że ktoś powinien się zająć jego finansami. Jestem pewna, że się zgodzisz...

Zamilkła i słuchała.

— Tak, cieszę się, że mnie rozumiesz, Helen. Wiem, że poprzednio nie było większych zysków. Ale jeśli uda nam się zainteresować pana Gravesa, niewykluczone, że nadrobimy te zaległości za drugim razem. Co mówisz, Helen?... Och.

Pani Van Heuten odłożyła słuchawkę z lekkim grymasem niezadowolenia i skierowała życzliwe spojrzenie na Bobby'ego, który zapytał prędko: — Wspomniała może, czy Gravesowi podobała się moja książka?

— Nie, mój drogi. Nie rozmawiała z nim na ten temat. — Pani Van Heuten zwilżyła usta. — Ale chyba nie możemy być zbyt wielkimi optymistami, Bobby. Pisarstwo to ciężki kawałek chleba. Zawsze chciałam pisać, ale gdy mój mąż zmarł i zostawił mnie w sytuacji gorszej niż twoja obecnie, przekonałam się, że muszę zapomnieć o pisarstwie i wziąć się do prawdziwej pracy.

— Myśli pani, że powinienem czegoś poszukać?

— Cóż, w dzisiejszych czasach wszyscy musimy być realistami, Bobby. — Pani Van Heuten rozejrzała się z zadowoleniem po swoim eleganckim gabinecie. — Mnie się powiodło. I jestem pewna, że tobie również się uda. W końcu jesteś Bristolem.

Urwała, po czym dodała, zerkając z ukosa na niedbały strój młodego człowieka: — Lecz jako przyjaciółka twojej biednej, kochanej matki, muszę dać ci jedną radę. Zadbaj trochę bardziej o swój wygląd, Bobby. Obetnij włosy, wyprasuj garnitur. Jesteś...

Przerwała, słysząc skrzypnięcie otwieranych drzwi. Oboje odwrócili się gwałtownie i ujrzeli mężczyznę w średnim wieku, który wyłonił się ukradkiem zza wysokiego parawanu, zasłaniającego dalszy lewy róg gabinetu.

— A, to ty, Dane.

Pani Van Heuten uśmiechnęła szeroko się do Dane'a Tolfreya, po czym oszczędnie obdarzyła niknącym już uśmiechem młodego Bristola.

— No cóż, Bobby, powodzenia. I pamiętaj — głowa do góry.

— To może być trudne.

Gdy Bristol pospieszenie opuścił gabinet, Dane Tolfrey, który wcześniej nazwał panią Van Heuten najbardziej poważaną kobietą w Nowym Jorku, dotknął ostrożnie swojego opuchniętego podbródka

i opadł na fotel. W wymyślnych słowach i z zawadiacką fantazją opisał swe poranne spotkanie w Longval z mężczyzną w tweedowym garniturze.

— O mój Boże — mruknęła współczująco pani Van Heuten. — U mnie też już był. Cóż za niemożliwy człowiek. Nie ma na niego innej rady jak tylko spisać go na straty, jak nieściągalny dług.

— Popełniłaś błąd, robiąc z nim interesy — wymamrotał Tolfrey. — Tak się składa, że przyszedłem tutaj, żeby uchronić cię przed popełnieniem kolejnego błędu. — Jego podpuchnięte oczka patrzyły złośliwie. — Pamiętasz tego młodego pisarza, którego ci poleciłem — Dereka Muira?

— Owszem. Zadzwoił i umówił się na spotkanie ze mną dzisiaj po południu.

— Z początku myślałem, że jest całkiem niezły — wyglądało na to, że ma talent. Ale zmieniłem zdanie. Gość pije mleko i jest zwykłym żigolakiem. Nikt, kto pije mleko, nie może być dobrym pisarzem — ani kimkolwiek innym, jeśli chcesz znać moje zdanie. To właśnie chciałem ci powiedzieć — szkoda zachodu.

— Na pewno nie chcę mieć nic wspólnego z żigolakiem — odparła pani Van Heuten sztywno. — Zresztą w dzisiejszych czasach fioletowe koszule i tak są już *passé*. Wszyscy szaleją za męskimi, cynicznymi pisarzami. Nie mogę zatem liczyć na pana Muira.

— A skoro już mowa o liczeniu, Klaro. — Rumiana twarz Dane'a Tolfreya przybliżyła się poufale. — Nie pogardziłbym niewielką pożyczką.

— Ile? — Pani Van Heuten zrobiła się nagle czujna.

— Pięć setek zaoszczędzi mi kłopotu pożyczania gdzie indziej.

Pani Van Heuten dosyć niechętnie wyjęła książeczkę czekową i wypisała czek na trzysta pięćdziesiąt dolarów.

— Wiesz, Dane — rzekła, podając mu go. — Jako że jesteś mym najstarszym przyjacielem, zapisałam ci niedużą sumkę w testamencie, ale niewiele z niej zostanie, jak będziesz tak pożyczał.

Tolfrey przyglądał się czekowi z nieco rozczarowaną miną. — Moja droga Klaro, ty przeżyjesz mnie o kilka stuleci.

— Z pewnością, jeśli nadal będziesz tyle pił i uprawiał hazard. — Pani Van Heuten zaśmiała się lekko. — Dobrze wiesz, że powinieneś się ustatkować i ożenić.

— Niestety! — Tolfrey pokręcił głową z udawanym rozrzewnieniem. — Bywam swatem, ale nigdy panem młodym. — Wstał chwiejnie z fotela. — Odejdę równie dyskretnie, jak się pojawiłem — przez umywalnię.

— Och, Dane, właśnie miałam cię za to zrugać. Sto razy ci powtarzałam, żebyś nie korzystał z tylnego wejścia, jeśli akurat mam klienta.

— Wybacz mi, moja droga, strasznie jestem zapominalski...

— No cóż, nie zapomnij o przyjęciu koktajlowym dziś wieczorem. O wpół do siódmej.

Przechodząc koło biurka, Tolfrey nachylił się i złożył delikatny pocałunek na miękkich puklach włosów pani Van Heuten.

— Ani śmierć, ani opary alkoholu, ani koniec świata nie powstrzymają mnie od przyjścia na jedno z twoich uroczych przyjęć, Klaro.

Bezszelестnie zbliżył się do parawanu i zniknął.

Gdy do gabinetu ponownie weszła sekretarka, delikatne nozdrza pani Van Heuten wciąż były ściągnięte z odrazą z powodu silnej woni alkoholu, jaka towarzyszyła pożegnalnej przemowie jej starego przyjaciela.

— Pan Derek Muir.

— Ach tak. Poproś go, Madeleine.

Młody człowiek, dla którego pani Van Heuten była potencjalną cudotwórczynią, wszedł do gabinetu spokojny i nienagannie ubrany. Pani Van Heuten wystarczył jeden rzut oka, aby ocenić oszałamiający, szaroniebieski garnitur, krzykliwy wzór koszuli i krawata oraz szare, zamszowe pantofle.

— Dzień dobry, pani Van Heuten.

Derek Muir podał jej wizytówkę, na której Tolfrey nabazgrał swoją niekonwencjonalną rekomendację... *Człowiek o zabójczych talentach*. Oddała mu ją, ledwie na nią zerknąwszy.

— A, tak. Pan Muir, oczywiście.

— Pozwoliłem sobie wpaść do pani, żeby dowiedzieć się, co pani sądzi o moim talencie. — Derek Muir usadowił się w fotelu, ostrożnie poprawiając ostre jak brzytwa kanty swoich kupionych na kredyt spodni. — Czy podjęła już pani decyzję?



— Owszem, panie Muir. — Ton pani Van Heuten był jednocześnie pogodny, nieznoszący sprzeciwu i matczyzny. — Przeczytałam pana maszynopisy i obawiam się, że nie mam dla pana dobrych wiadomości.

— Jestem przyzwyczajony do złych wiadomości. — Derek Muir wzruszył lekceważąco ramionami, nie dając po sobie poznać, że oto jego marzenia wałę się jak domki z kart. — Rozumiem, że ich pani nie przyjmie?

— Jak pan wie, panie Muir, w dość nietypowy sposób dobieram swoich klientów. Mam kilka drobnych dziwactw. Czasami czuję, że mogę komuś pomóc. Ale... — Jej dłonie zatrzepotały w uroczym kobiecy sposób. — Pewne tematy po prostu nie wchodzą w zakres moich zainteresowań. Nie zniosłabym niczego, hm, brutalnego.

— Szkoda. — Muir opuścił oczy i spojrział ze smutkiem na swój szaroniebieski garnitur. — Wygląda na to, że będę musiał zwrócić te rzeczy do krawca. Poczuję ulgę, widząc je znowu u siebie. Nigdy nie wierzył, że spłacę zaciągnięty kredyt.

— Przykro mi, panie Muir. — Pani Van Heuten znowu wzięła do ręki grawerowany nóż do papieru i bawiła się nim od niechcenia. — Ale zdaje pan sobie sprawę, że nie mogę pomóc wszystkim potrzebującym młodym pisarzom.

— Szczera prawda, choć przygnębiająca. — Derek Muir wstał, musnął palcami węzeł krawata i wolnym krokiem podszedł do drzwi. — A przy okazji, panie Van Heuten — dodał, przeciągając słowa — niewiele o pani wiem. Mam jednak wrażenie, że niektórzy pani znajomi są bardzo porywcy. Domyślam się, że niektórzy z pani niedoszłych klientów nie przyjmują rozczarowania z równie podziwu godną rezygnacją, jaką ja staram się właśnie okazać.

Coś w jego spojrzeniu zaniepokoiło panią Van Heuten. Mężczyzna utkwiał wzrok nie w jej twarzy, ale w jej dłoniach. Z początku wydawało jej się, że jego uwagę zwrócił wielki, pojedynczy brylant w jej pierścionku, lecz wkrótce zdała sobie sprawę, że przygląda się ostremu kawałkowi stali, który ścisnęła w palcach. Na chwilę zakreśliło jej się w głowie. Wypuściła nóż z dłoni, a ten z brzękiem spadł na blat biurka.

Derek Muir uśmiechnął się. — Nie chciałem pani zaniepokoić, pani Van Heuten. Pomimo tak nietypowych referencji, jakie wystawił

mi pan Tolfrey, jestem łagodny niczym baranek i zaskakująco niegroźny. Do widzenia.

Pani Van Heuten nie wróciła tym razem do przeglądania maszynopisów. Siedziała nieruchomo, a jej palce głaskały łagodnie miękkie płatki chryzantem. W tej chwili nie była już tak przekonująco spokojna. Sprawiała wrażenie starszej i mniej pewnej siebie. W pewnym momencie jej spojrzenie padło na nóż do papieru, ale szybko odwróciła oczy.

— W sekretariacie czekają cztery panie...

Pani Van Heuten drgnęła na dźwięk energicznego głosu sekretarki. — *Cztery panie? Kto taki?*

Madeleine Price wymieniła ich nazwiska tonem kogoś, kto za wszelką cenę usiłuje ukryć podniecenie. — Pani Hobart, Beatrice Kennet, Gilda Dawn i księżna Walońska.

— Ale... Czego chcą?

— Nie powiedziały. Nalegają, żeby pani przyjęła je razem.

— Razem? Chcesz powiedzieć, że one *przyszły* tutaj razem? — Pani Van Heuten spochmurniała. — W takim razie poproś je.

Drzwi zamknęły się za sekretarką, by otworzyć się znowu kilka sekund później. Do gabinetu weszły cztery kobiety. Każda z nich zaciskała dłoń w rękawicze na uchwycie czarnego nesesu.

— Jak to miło, że wszystkie mnie odwiedziłyście! — Ton pani Van Heuten był nieco zbyt wylewny.

Żadna z przybyłych nie odpowiedziała. Księżna Walońska zdecydowanym krokiem podeszła do biurka. Jej pięknie rzeźbiona twarz była blada i zdeterminowana, a szare oczy twarde i obojętne jak kamień. Beatrice Kennet stanęła obok niej ze zgryźliwym uśmiechem na wargach, jakby dopiero co skończyła pisać jeden ze swoich zjadliwych epigramatów. Za nimi widać było złowróżbną sylwetkę Gildy Dawn; jej paznokcie połyskiwały szkarłatnie na tle czarnego nesesu.

Jedynie Susan Hobart została w tyle. Wahala się na progu, z szeroko otwartymi oczyma, drżąc niczym przerażone dziecko, któremu powierzono machinę piekielną.

— I każda przyniosła swój maszynopis! Doprawdy, cóż za miła niespodzianka. Może usiądziecie...?

Pani Van Heuten urwała, a jej policzki pokryły się delikatną białością.

Cztery kobiety wpatrywały się w nią, każda z innym wyrazem twarzy, lecz wszystkie podobnie nieprzejednane.

— Owszem. Potrzebujemy twojej pomocy przy pewnym tekście.

Patrycja Walońska była pierwszą, która się w końcu odezwała, lecz Klara Van Heuten miała wrażenie, że wszystkie cztery, tak różne od siebie kobiety, przemówiły do niej jednocześnie.

— Przy pewnym niecodziennym tekście. — Dłoń w rękawiczce szarpnęła zamek nesaseru.

Klara Van Heuten otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, lecz nie padło z nich żadne słowo. Jej oczy, utkwione dotąd w otwieranym przez Patrycję nesaserze, rozszerzyły się w panice, a przerażone spojrzenie zaczęło przesuwac się kolejno po twarzach pozostałych trzech kobiet.

Bowiem w ciemnym wnętrzu każdego z czterech nesaserów zamiast maszynopisu Klara Van Heuten ujrzała niewielki, czarny rewolwer.

### 3.

Minęło prawie pół godziny od czasu, gdy księżna Walońska i jej śmiertelnie poważne towarzyszkę opuściły gabinet pani Van Heuten. Madeleine Price siedziała pochylona przy maszynie do pisania, w skupieniu i z determinacją wystukując kolejne listy.

Na pierwszy rzut oka jej twarz była uderzająco nijaka; na drugi mogła wydać się interesująca. Jeżeli ktoś był na tyle rozumny, aby przyrzeć się jej po raz trzeci, mógł odnaleźć w niej autentycznie piękne rysy. Linia całkiem przeciętnych ust zdradzała silną wolę; nos, choć notorycznie nieupudrowany, był nosem, obok którego trudno było przejść obojętnie; zaś połyskujące pod schludną, nieciekawą fryzurą oczy miały intrygujący odcień, coś między hebanem a barwą miodu.

Lecz żeby ta oryginalna twarz rozbłysła pięknem, trzeba było choćby najmniejszego przeblysku emocji. W tej chwili jednak, gdy jej

właścicielka pracowicie bębniła palcami w klawisze, twarz ta miała wygląd surowy, niemal ponury.

Madeleine Price była wciąż nowicjuską, jeśli chodzi o pisanie na maszynie. Jeszcze do ubiegłego tygodnia maszyna do pisania i praca biurowa nie odgrywały żadnej roli w jej prostym, zdyscyplinowanym życiu. Tylko olbrzymie przywiązanie do owdowiałej siostry Louise i jej córeczki sprawiło, że zgodziła się zamienić bezpieczne schronienie ich małego mieszkanka, gdzie na co dzień zajmowała się prowadzeniem domu, na niepewne wody biura porad literackich.

Nie lubiła swojej nowej pracy. Prawdę mówiąc, nie znosiła jej. Lekarz zalecił jednak jej małej siostrzenicy wiejskie powietrze, zaś pani Van Heuten stwierdziła, że nie stać jej na opłacanie dwóch pensji: Louise i zastępczej sekretarki. Madeleine wiedziała, że Louise rozpaczliwie potrzebuje pieniędzy. Musiała opłacić leczenie, a w przyszłości być może również operację dziecka. Zaofiarowała zatem mężnie swoje skromne usługi w ramach darmowego zastępstwa. I równie mężnie usiłowała sprostać temu zadaniu.

Jeżeli już raz coś postanowiła, Madeleine Price potrafiła dokonać niemal wszystkiego.

Gdy drzwi wejściowe biura otworzyły się gwałtownie, jej spojrzenie odruchowo powędrowało na tarczę ściennego zegara. Za dwadzieścia piąta... Louise kazała jej odnotowywać dokładny czas przyjścia każdego klienta. Teraz robiła to już rutynowo.

Dziewczyna, która weszła do sekretariatu, była atrakcyjna w agresywny, brutalny sposób. Nosiła się modnie i z rozmachem, a wejrzenie jej zielonych oczu było twarde i kompetentne.

— Chcę się widzieć z panią Van Heuten.

— Z kim mam przyjemność?

— Moje nazwisko jest bez znaczenia. Chcę się widzieć z panią Van Heuten.

— Była pani umówiona?

— Nie.

— W takim razie obawiam się, że pani Van Heuten jest zajęta. Jest pani naszą klientką?

— Klientką? — Dziewczyna zaśmiała się nieprzyjemnie. — Uchowaj Boże. Ale choć może się to wydać dziwne, mam coś do

powiedzenia pani Van Heuten. Ona zaś będzie musiała mnie wysłuchać.

W zielonych oczach pojawił się zimny, niebezpieczny błysk. Dziewczyna impulsywnie podeszła do drzwi gabinetu pani Van Heuten, lecz Madeleine Price była szybsza od niej. Zerwała się z krzesła, rzuciła naprzód i własnym ciałem zagroziła przejście. Stała teraz plecami do drzwi, ze skrzyżowanymi ramionami, a jej oczy były spokojne i równie zdeterminowane, jak jej gościa.

— Przykro mi, ale nie może się pani widzieć z panią Van Heuten. Wydała mi wyraźne polecenie, żeby nikt jej nie przeszkadzał aż do godziny piątej.

Zielonooka dziewczyna uśmiechnęła się krzywo. — Będzie się pani ze mną bić?

— Ja tylko wykonuję polecenia. Może pani zostawić jej wiadomość.

— Wiadomość? A po co? — Nagle zmieniła zdanie. — W porządku, zostawię jej wiadomość. Znam dwa krótkie słowa, które w sam raz by się nadawały. Ale ponieważ obie jesteśmy damami... — Znacząco wzruszyła ramionami.

Madeleine popatrzyła na nią niepewnie. Instrukcje, jakie otrzymała od siostry, nie przewidywały podobnych sytuacji. Ale było w tej dziewczynie coś, co przemawiało do jej własnej szorstkiej, bezpośredniej natury.

— Proszę przekazać pani Van Heuten — powiedział wolno niezwykły gość — że jest nie tylko głupia, ale i podła. A to niebezpieczne połączenie. Proszę jej powiedzieć, że któregoś dnia zginie z tego powodu.

Usta dziewczyny były całkiem sine. Odwróciła się na pięcie, dłonią w szarej rękawiczce ściągnęła futrzany kołnierz płaszcza, otulając nim ciaśniej szyję, i wybiegła z biura.

Pani Van Heuten — zginie...!

Przez chwilę Madeleine Price stała nieruchomo przy drzwiach gabinetu. Potem beznamiętnie wróciła do swoich listów.

Zanim wskazówki zegara dotarły do godziny piątej, wystukała ostatnie zdanie. Energicznie zebrała papiery, nakleiła właściwe znaczki na właściwe listy i wygładziła przód swojej bluzki. Wszystkie

jej ruchy były dziwnie mechaniczne. Zupełnie, jakby odgrywała na scenie rolę czyjejś osobistej sekretarki.

Równie zdecydowanie otworzyła drzwi i weszła do gabinetu. Zbliżyła się do biurka pani Van Heuten ze wzrokiem utkwionym w niesionych papierach. Jej oczy były nadal spuszczone, gdy wkładała listy do specjalnego metalowego koszyka na korespondencję.

— Listy, pani Van Heuten. — Jej głos przerwał ciszę.

Dopiero po tych słowach odważyła się podnieść wzrok na swoją chlebobdawczynię. Jej oczy rozbłysły.

Właścicielka biura porad literackich Van Heuten nie siedziała jak zwykle, uśmiechając się wyrozumiale, nad maszynopisem jakiegoś amatora. Póleżała na biurku, z głową spoczywającą spokojnie na zgiętym przedramieniu, a złociste chryzantemy rzucały ruchliwe cienie na miękką biel jej włosów.

— Pani Van Heuten! Już piąta. Czyba nie zapomniała pani o przyjęciu koktajlowym?

Madeleine Price nadal sprawiała wrażenie, jakby odgrywała za-wczasu przygotowaną rolę. Nachyliła się nad biurkiem i dotknęła ramienia swojej chlebobdawczyni.

Przez chwilę jej palce spoczywały na nim nieruchomo, jakby porażone, po czym dziewczyna oderwała je gwałtownie.

— Pani Van Heuten...!

W jej głosie rozległy się przenikliwe nuty hysterii. Madeleine urwała i utkwiała wzrok w plecach swojej szefowej.

Spod lewej łopatkii pani Van Heuten sterczała grawerowana rękojeść jej stalowego noża do papieru, pięknie odbijając promienie zachodzącego słońca.

Madeleine ani drgnęła, jakby w swej naiwności wierzyła, że pozostając w całkowitym bezruchu, zdoła sprawić, iż ta straszliwa scena pozostanie jedynie nierzeczywistym złudzeniem. A mimo to z porażającą ostrością widziała każdy zawijas wygrawerowanego na rękojeści noża napisu i ciemne plamy na miękkiej tkaninie sukni. Krew...!

Poczuła wzbierającą falę mdłości. Myśli przelatywały jej przez głowę niczym pędzone wichrem burzowe chmury. Co takiego powiedziała niedawno tamta dziewczyna? *Któregoś dnia zginie...* Pani Van Heuten została zamordowana... Zasztyletowana swoim własnym nożem do cięcia papieru... Szokujący był kontrast pomiędzy realnością

śmierci a fałszywym spokojem tych siwych, nawet nie potarganych włosów.

Nagle, nie wiedzieć czemu, Madeleine pomyślała o Louise; z zaskakującą jasnością zdała sobie sprawę z konsekwencji, jakie będzie dla niej miało to okropne wydarzenie. Pani Van Heuten nie żyła. A to oznaczało, że Louise straci pracę — i pensję, która tyle znaczyła dla niej i dla jej dziecka.

Z wysiłkiem ponownie przeniosła spojrzenie na nóż połyskujący na tle ciemnej, wilgotnej plamy. Przemogła się i dotknęła martwego ramienia, chcąc upewnić się, że się nie myli.

Dotyk zimnego i nieruchomego ciała sprawił, że nieco się uspokoiła. Minęło jednak trochę czasu, zanim stopniowo odzyskała panowanie nad sobą. Wówczas, ponownie wchodząc w rolę zrównoważonej, obojętnej sekretarki, wyszła z gabinetu i podniosła słuchawkę telefonu.

Czekała bez końca, mając nerwy w strzępach.

— Halo, halo... Czy to policja?... Pani Van Heuten została zamordowana... Mówi... Mówi jej sekretarka... — Po czym dodała, całkiem niepotrzebnie: — Jest trzy minuty po piątej.

Jakimś cudem zdołała udzielić dokładnych odpowiedzi na zadawane ostrym, oficjalnym tonem pytania. Oczywiście zamknie drzwi na klucz i zadba o to, żeby niczego nie dotykano.

Następnie jak automat weszła jeszcze raz do gabinetu. Starając się nie patrzeć na to, co znajdowało się na biurku, podeszła spieszenie do drzwi ukrytych za parawanem i zamknęła je na klucz.

Potem odwróciła się i już chciała odejść, gdy jej uwagę zwróciło coś leżącego na dywanie. Przyciskając dłoń do piersi, wydała z siebie zduszony okrzyk.

Na podłodze, tuż pod malowanym parawanem, leżała mała, damska rękawiczka — szara, zamszowa rękawiczka z czarnym, wytłaczanym wzorem na mankiecie.

Przez chwilę Madeleine Price niczego nie widziała. Cały pokój spowiła mętna, wirująca mgła. Powoli, jak ktoś niewidomy, schyliła się, podniosła rękawiczkę i wsunęła ją za dekolt bluzki.

Następnie wróciła do swojego biurka, zamknęła drzwi gabinetu i położyła na blacie obydwa klucze. Bez względu na to, co się wydarzyło,

ona rachowała spokój i udowodniła, że jest profesjonalistką. Nikt nie musi się dowiedzieć...

Oczekiwanie było nieznośne. Gdyby tylko miała się czym zająć... Czymkolwiek...

Nagle pomyślała o wszystkich ludziach, którzy tego popołudnia odwiedzili panią Van Heuten. Policja na pewno będzie o nich pytać. Drżącymi palcami wsunęła arkusz papieru do maszyny do pisania i wolno wystukała:

GOŚCIE PANI VAN HEUTEN  
PRZYBLIŻONY CZAS PRZYBYCIA I WYJŚCIA

John Smith	14.30 do 14.45
Robert Bristol	15.05 do 15.20
Derek Muir	15.35 do 15.40
księżna Walońska pani Hobart	<i>(weszły razem)</i> 15.50 do 16.15
Beatrice Kennet Gilda Dawn	

Młoda kobieta (*odmówiła podania nazwiska*) nieprzyjęta 16:40

Pisała tak, a oczy jej błyszczały. Jej blade policzki zaróżowiły się, podkreślając ukrytą urodę rysów. Na koniec wyciągnęła kompletny spis z maszyny.

To ich przekona! Zobaczą, że jest naprawdę dobrą sekretarką.

Lecz gdy policja nareszcie się zjawiała, jej przedstawiciele nie interesowali się szczególnie talentami młodej sekretarki. Wyglądało wręcz na to, że jej osoba w ogóle ich nie obchodzi. Oszołomiona Madeleine Price miała wrażenie, że wokół niej roją się dziesiątki mężczyzn przekrzykujących się między sobą. Jeden z nich był wysoki, szpakowaty i wyglądał na kogoś ważnego. Na pewno był inspektorem. Był jeden z aparatem fotograficznym i jeszcze jeden z małą, czarną torbą — wszyscy zatrzymywali się przy niej na chwilę, po czym przechodzili prędko do gabinetu.

W końcu zdała sobie sprawę, że została w sekretariacie sama z jednym tylko policjantem. Był to tęgi mężczyzna w mundurze, o bardzo czerwonej twarzy. Mówił coś do niej. Udało jej się udzielić mu



sensownych odpowiedzi. Potem podała mu spisana na maszynie listę gości, potwierdzającą dokładne godziny ich przyjścia i wyjścia.

— W porządku, panienko. Proszę też zostać tutaj.

Sierżant uśmiechnął się do niej i zniknął w gabinecie.

Madeleine nie wiedziała, jak długo czekała. W pewnej chwili drzwi biura otworzyły się niespodziewanie i wszedł przez nie mężczyzna. Był młody, ubrany w szary garnitur, rdzawoczerwoną koszulę i czarny krawat. Miał sympatyczną, dziwnie frapującą twarz.

W pierwszym momencie Madeleine pomyślała, że to klient albo reporter z gazety. Wtedy jednak zerknął na nią — to było jedno szybkie, uważne spojrzenie — ona zaś z miejsca zrozumiała, że musi być detektywem. Patrzył z życzliwością i zainteresowaniem, ale w jego spojrzeniu było coś, co wytrącało człowieka z równowagi. Madeleine osobiście się o tym przekonała — przez chwilę poczuła się całkowicie rozłożona na czynniki pierwsze.

## 4.

Madeleine Price się nie pomyliła; detektyw Timothy Trant był niezwykle przenikliwym młodym człowiekiem. Syn znanego lekarza i absolwent uczelni w Kent oraz Princeton, porzucił świetlaną przyszłość prawnika, aby zasilić szeregi pracowników nowojorskiego Wydziału Zabójstw z dwóch bardzo konkretnych powodów. Odkrył mianowicie, że zbrodnia interesuje go tylko wtedy, gdy pozostaje nierozwiązana, i że mordercy, choć interesujący na każdym etapie swojej kariery, są szczególnie fascynujący, gdy przebywają na wolności.

Pojawienie się ekscentrycznego, młodego studenta prawa w Wydziale Zabójstw było równie nieoczekiwane, jak pojawienie się młodej pantery w miocie małych lwiatek. Chociaż Timothy Trant zaczął swoją karierę jako zwykły „krawężnik”, szybko przekonał swych przełożonych, że jest zbyt dobrym funkcjonariuszem, aby marnować się, wypełniając porządkowe obowiązki młodszego detektywa. Jego szef dokonał precedensu, powierzając Timothy'emu Trantowi specjalne zadania, pozwalające młodemu człowiekowi na wykorzystanie jego rzadkiego talentu, jakim była umiejętność czytania w umyśle przestępcy. Jednocześnie decyzja ta miała wpłynąć na złagodzenie

jego niekonwencjonalnych metod i ukoić zniecierpliwienie rutynowymi dochodzeniami. Oficjalnie głównym prowadzącym w sprawie o morderstwo został godny zaufania lew, doświadczony inspektor, zaś detektyw Timothy Trant, chimeryczna i subtelna młoda pantera, został z nim złączony stosunkowo niekrępującymi więzami.

W ciągu zaledwie pięciu lat służby Timothy zyskał opinię prawdziwego profesjonalisty. Obecnie, mając za sobą osiem rozwiązanych spraw, jego z lekka nieobliczalny sposób prowadzenia śledztw zyskał sobie niechętny szacunek nawet najtwardszych spośród jego kolegów.

Do sprawy morderstwa pani Van Heuten szef przydzielił go właśnie w oficjalnej roli podkomendnego. Właścicielka biura porad literackich cieszyła się w towarzystwie niezwykle wysoką pozycją, a jej znajomi należeli do tej niebezpiecznie wpływowej warstwy społecznej, z którą nawet Wydział Zabójstw musiał obchodzić się w białych rękawiczkach. Były to wręcz wymarzone okoliczności, żeby spuścić ze smyczy nieufną panterę.

Inspektor Jervis, energiczny, szpakowaty stary wyjadacz, zdążył już zarządzić niezbędne czynności śledcze. Ciało nie zostało jeszcze usunięte z miejsca zbrodni. Fotograf robił właśnie ostatnie zdjęcia, podczas gdy asystujący mu lekarz sądowy kręcił się niecierpliwie, chcąc jak najszybciej przeprowadzić pobieżne oględziny. Specjalista od daktyloskopii, ponuro żując gumę, szukał odcisków palców na lśniącym blacie biurka.

Inspektor Jervis przerwał wydawanie zgryźliwych poleceń swoim nieumundurowanym ludziom i rozbawionym spojrzeniem ogarnął rdzawoczerwoną koszulę i czarny krawat Tranta.

— Czerwień i czerń, Trant. To zły znak.

Timothy miał zwyczaj nosić odzież w jaskrawych kolorach. Owo specyficzne upodobanie stało się z czasem wśród jego kolegów tradycyjnym przedmiotem żartów.

— To przypadkowy hołd złożony gwałtownej śmierci, inspektorze — odparł. — Czerń symbolizuje żałobę, czerwień — morderstwo.

Podszedł do fotografa i przystanął obok, utkwivszy zwodniczo obojętny wzrok w ciele pani Van Heuten. Żeby jakaś sprawa zdołała wzbudzić jego nieopanowany entuzjazm, musiało w niej być coś dziwnego. W tym morderstwie było coś, co już zdążyło go zaintrygować.

Pani Van Heuten była znajomą jego matki. Spotkali się kiedyś, przed kilkoma laty, na jednej z literackich herbatek pani Trant, które ta organizowała od przypadku do przypadku. Timothy zapamiętał Klarę jako niezwykle czarującą, uroczą i bardzo żywotną matrone. Pamiętał też, że z jakiegoś powodu od razu mu się nie spodobała.

W tej chwili, spoglądając w dół na jej głowę tak spokojnie spoczywającą, jakby we śnie, na stercie leżących na biurku maszynopisów, zastanawiał się, co było tego powodem. Z pewnością żadna kobieta nie mogła wyglądać bardziej szacownie i sympatycznie, nawet teraz, gdy śmierć zaostrzyła zmarszczki wokół jej ust. Dlaczego więc jego wspomnienie o niej było aż tak nieprzyjemne?

Może dlatego, pomyślał, że Klara Van Heuten wyglądała nieco zbyt szacownie i zbyt sympatycznie, żeby być wiarygodną.

Z pomrukiem zadowolenia lekarz sądowy zajął wreszcie miejsce fotografa i delikatnie zaczął wyciągać nóż do papieru z pleców ofiary. Timothy zwrócił się do inspektora, który streścił mu naprędce wszystko, co udało mu się dotąd dowiedzieć od sekretarki. Jervis wyjaśnił mu, że panna Price przekazała mu listę klientów, którzy odwiedzili biuro tego popołudnia, lecz on sam nie wydawał się być nimi szczególnie zainteresowany. Wszyscy bowiem przyszli i wyszli, zanim zbrodnia została dokonana. Tym, co go zainteresowało, były ukryte za parawanem drzwi, które prowadziły przez umywalnię na schody pożarowe. Według sekretarki, w godzinach urzędowania nigdy ich nie zamykano.

— Podejrzewam — zakończył inspektor Jervis, który zwykł przyjmować najbardziej przyziemne wyjaśnienia za pewnik i zazwyczaj się nie mylił — że w tej sprawie nic nam nie przyjdzie z twoich sztuczek, Trant. Kobieta w średnim wieku, zajmująca wysoką pozycję w towarzystwie, nie daje raczej ludziom powodów, żeby chcieli ją sprzątnąć. Jest za stara na próbę gwałtu i za bardzo poważana, żeby wymuszać za nią okup. Jeżeli chcesz znać moje zdanie, prawdopodobnie okaże się, że chodziło o zwykłą kradzież. Każdy zbir w Nowym Jorku mógł wejść tylnymi drzwiami, zastraszyć ją, pchnąć ją jej własnym nożem do papieru i zniknąć.

Spojrzenie Timothy'ego przeniosło się wolno z lewej dłoni pani Van Heuten na leżący obok na biurku otwarty portfel.

— I zostawić w spokoju taki pierścionek z brylantem i te kuszące banknoty dziesięciodolarowe? — zapytał.

— Po zabójstwie drobny złodziejasek mógł się wystraszyć — odparł inspektor, który doskonale znał się na drobnych złodziejaskach. — Tacy często dają nogę, niczego nie zabierając.

— Rozumiem — odrzekł potulnie Timothy.

Inspektor rozzłościł się. — Masz jakąś inną teorię?

— Nie — wyznał Timothy. — Ale nie wydaje mi się, żeby pani Van Heuten została zamordowana przez drobnego złodziejaska.

— A to dlaczego?

— Ponieważ... — Timothy obrzucił go roztargnionym spojrzeniem. — Spotkałem ją kiedyś i nie spodobała mi się.

— To faktycznie świetny powód.

— Nie wiem dlaczego — dodał Timothy — ale odniosłem wtedy wrażenie, że wygląda na ofiarę morderstwa. Niektórzy ludzie rodzą się po to, żeby skończyć z nożem wbitym w plecy.

Ignorując zniecierpliwione parsknięcie inspektora, Timothy przeszedł do ukrytych za parawanem drzwi. Zainteresował go już sam parawan. Czy pani Van Heuten ustawiła go w tym miejscu pod wpływem kobiecego impulsu, żeby zasłonić wejście do umywalni? A może z jakiegoś powodu chciała ukryć fakt istnienia drugiego wejścia do jej gabinetu? Przeszedł do niewielkiego pomieszczenia i otworzył kolejne drzwi, prowadzące na podest schodów pożarowych. Jego zainteresowanie jeszcze bardziej wzrosło. Wbiegając do biura, zauważył w sekretariacie jedno wyjście ewakuacyjne na wypadek pożaru. To było dodatkowe. A pani Van Heuten trzymała je otwarte w godzinach urzędowania. Z jakiego powodu powszechnie szanowanej właścicielce biura porad literackich mogło zależeć na posiadaniu dodatkowego wyjścia ewakuacyjnego? I dlaczego miałyby trzymać je otwarte?

Wyszedł na podest zewnętrznych schodów. No tak. Trochę dalej zobaczył właściwe wyjście ewakuacyjne — to prowadzące przez umywalnię było ukryte w niedużej wnęce w murze budynku. Na pierwszy rzut oka było praktycznie niewidoczne. Mało prawdopodobne, pomyślał Timothy, żeby zauważył je jakikolwiek drobny złodziejasek. Prawdę mówiąc, był więcej niż pewien, że nikt z zewnątrz nie trafiłby do zapasowego wyjścia ewakuacyjnego pani Van Heuten, gdyby nie otrzymał wcześniej odpowiednich wskazówek.

Uznał, że to dość osobliwe.

Następnie wrócił do gabinetu i inspektora Jervisa.

— Czym właściwie zajmuje się to biuro? — zapytał.

— To ci się powinno spodobać. — Inspektor skinął w kierunku sterty leżących na biurku maszynopisów. — Czytała te śmieci, kiedy ją zamordowano. Poezja!

Timothy wziął do ręki plik papierów i przebiegł wzrokiem pierwszą stronę.

W rogu białej kartki błysnęła maleńka, szkarłatna plamka krwi. Resztę zajmowała krótka literacka próbka, zatytułowana: „Kopalnia węgla, poemat prozą”.

— Niech pan posłucha tego — powiedział z powagą.

*Promień słońca przebiega chyłkiem kopalnie;  
Smród gazu węglowego w powietrzu jak gwizdek  
bez dźwięku.  
Jestem jak ten gwizdek...*

— Rany, inspektorze, czuł się pan kiedyś jak gwizdek? Co za przygnębiająca rzecz do czytania w chwili śmierci.

Timothy zauważył, że pani Van Heuten postawiła znak zapytania przy słowie „smród” i w zamian zasugerowała słowo „zapach”. Najwyraźniej starała się wygładzać niedostatki warsztatowe swoich klientów. Przejrzał jeszcze sześć innych maszynopisów. Wszystkie były mniej więcej do siebie podobne.

— Inspektorze — odezwał się w zamyśleniu. — Te wiersze są zdecydowanie niskich lotów.

Jervis nic na to nie odpowiedział. Przyglądał się specjalście od daktyloskopii, który rozpoczął oględziny noża do cięcia papieru. Jak większość kolegów, Jervis miał jasno wyrobione zdanie na temat Timothy'ego. Dziwaczny młody człowiek odnosił co prawda sukcesy (zwyczajnie miał szczęście), ale przez większość czasu zachowywał się jak lekko stuknięty, w związku z czym spokojnie można go było ignorować, kiedy zaczynał czynić nieistotne uwagi.

— Nawet bardzo niskich — ciągnął Timothy niewzruszony. — Może pan mi wierzyć na słowo — słowo najgorszego anglisty z Princeton: te wiersze są tak kiepskie, że nikt by ich nie wydrukował.

Mówiąc otwarcie, są do niczego. Jeżeli pani Van Heuten zajmowała

się literaturą tego rodzaju, to jej interes nie mógł być zbyt dochodowy... — Leniwe spojrzenie jego szarych oczu ponownie obiegło pokój. — A jednak to bardzo kosztownie urządzone gabinet w bardzo droгим budynku, a tutaj mamy pierścionek z brylantem wystarczająco dużym, żeby się nim udławić.

Jervis odchrząknął. — Damy z towarzystwa nie zajmują się interesami po to, żeby zarobić — wyjaśnił cierpliwie. — Mają własne pieniądze. Interesy to dla nich tylko hobby.

— A jednak — odparł Timothy — przypominam sobie wyraźnie, że pięć lat temu pani Van Heuten straciła mieszkanie po śmierci męża. Wszystko, co teraz ma, zawdzięcza zyskom swojego ukochanego biura porad literackich.

— Do czego ty u diabła zmierzasz? — zainteresował się Jervis.

— Tylko do tego, że pani Van Heuten uwiła tu sobie przytulne gniazdko i jeśli udało jej się tego dokonać, handlując wierszami takimi jak te, to robi interesy lepiej od samego Mellona\*.

\* Andrew W. Mellon (1855-1937), amerykański finansista i przemyslowiec.

Sprawa pani Van Heuten zaczęła coraz bardziej intrygować Timothy'ego. Nic, co jej dotyczyło, nie było w porządku.

Przekartkował pozostałe maszynopisy, które trzymał w ręku, i aż stęknął ze zdumienia. Między stronami wyjątkowo niezrozumiałego opowiadania tkwiła wsunięta pojedyncza kartka papieru. Nosila aktualną datę, a na środku, ozdobnym, kobiecym pismem pani Van Heuten, skreślono słowa:

*„Ja, Klara Houston Van Heuten, niniejszym oświad...”*

Przez chwilę Timothy Trant wpatrywał się w kartkę, po czym szybkim ruchem podsunął ją inspektorowi.

— Pańscy chłopcy coś przeoczyli, Jervis. Kluczowy dokument w sprawie.

Inspektor przeczytał, a na jego twarzy pojawił się wyraz niedowierzania i podniecenia.

— A niech mnie, Trant, chyba faktycznie na coś wpadłeś! Musiała zacząć to pisać dziś po południu i wsunęła kartkę między rękopisy, bo ktoś jej przeszkodził...

— Prawdopodobnie morderca — podsunął Timothy.

— *Ja.... niniejszym oświad...* — Krzaczaste brwi Jervisa zmarszczyły się w wyrazie skupienia. — Może rzeczywiście masz rację. Może w grę wchodzi coś poważniejszego niż zwykła próba kradzieży. To mi wygląda na początek testamentu.

— W rzeczy samej — zgodził się Timothy z roztargnieniem.

— A kiedy zdrowa i nie tak znowu stara kobieta pisze testament, to zwykle robi to dlatego, że jest wściekła na kogoś, kto figurował w jej poprzednim testamencie, albo...

— Boi się, że umrze — dokończył Timothy. — Albo, być może, ponieważ obawia się, że zostanie zamordowana.

Odwrócił się w stronę biurka i zaczął przerzucać listy, które Madeleine Price pozostawiła w metalowym koszyku. Korespondencja biznesowa i kilka rachunków z dołączonymi czekami. Odłożył je na bok i tak długo przeszukiwał szuflady, dopóki nie znalazł książeczki czekowej pani Van Heuten. Przebiegł wzrokiem odcinki kontrolne, zatrzymał się przy jednym z nich i zerknął na mężczyznę w cywilnym ubraniu, który klęcząc z ponurą miną, zaglądał akurat pod biurko.

— Przeszukałeś już gabinet, Mac?

— Z grubsza.

— A nie znalazłeś luzem żadnych czeków?

— Tylko to, co było w koszyku.

— Hm. — Timothy wyglądał na zaintrygowanego. — Inspektorze, czy mogę zobaczyć listę ludzi, którzy tu dzisiaj byli?

Gdy inspektor mu ją podał, Timothy przebiegł listę wzrokiem i uśmiechnął się zagadkowo. — Bardzo ciekawe — powiedział. — Ta sprawa wprost roi się od poszlak.

— Co tam znowu znalazłeś? — dopytywał się inspektor, wciąż pod wrażeniem odkrycia przez Timothy'ego niedokończonego dokumentu.

— Sam nie wiem. — Timothy schował korespondencję wraz z książeczką czekową do kieszeni. — Ale mam wrażenie, że to kolejna zagadka. Zatrzymam również tę nad podziw dokładną listę, jeśli pan pozwoli...

Obaj z inspektorem odwrócili się, słysząc w tym momencie zgrzytliwy pomruk specjalisty od daktyloskopii. Dotychczas pochylony nad nożem, teraz wyprostował się i przyglądał mu się z wyraźnym niedowierzaniem.

— A niech to wszyscy diabli! — wykrzyknął. — Od dziesięciu lat szukam odcisków palców na różnych nożach, ale po raz pierwszy udało mi się cokolwiek znaleźć.

Ubrany po cywilnemu mężczyzna, fotograf, lekarz sądowy oraz inspektor otoczyli go ciasnym kołem.

— Naprawdę zostawił ślady? — zawołał inspektor, jak gdyby zaszokowany takim niedbalstwem zabójcy.

— *Zostawiła* — poprawił go specjalista od daktyloskopii. — To odcisk palca kobiety. Poza nim na nożu nie ma absolutnie żadnych innych śladów. Najpierw pomyślałem, że może należeć do pani Van Heuten, ale odciski się nie zgadzają. Nie należy też do sekretarki, dobrze przyjrzałem się jej rękom, kiedy tu przyszedłem. Ma szerokie palce, zupełnie jak mężczyzna. A ten tutaj jest mały, prawie jak u dziecka.

— Mamy przełom — mruknął ponuro Jervis. — Mamy przełom.

Jeden Timothy zdawał się być nieszczerze zainteresowany tym nagłym postępem w śledztwie. Stał całkiem nieruchomo, spoglądając przez przesłonięte elegancką zasłoną okno.

— W takim razie — oznajmił — porozmawiam z tą sekretarką.

— Najpierw ją tu do nas przyślij — burknął Jervis. — Na wszelki wypadek sprawdzimy jej odciski palców.

Timothy ruszył w stronę drzwi. W progu przystanął.

— Odcisk palca kobiety, zbędne i niezamknięte drzwi, kiepskie maszynopisy, kosztownie urządzone biuro i niedokończony dokument bardzo przypominający testament. Trochę za dużo tego dobrego, co, inspektorze?

Wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Może jednak przydadzą nam się w tej sprawie jakieś moje sztuczki — pomimo wszystko...

## 5.

Wchodząc do sekretariatu, Timothy zastał Madeleine Price siedzącą na krześle, bladą i wyprostowaną jak struna. Uśmiechnął się do niej.

— Stróża prawa pożądamy pani odcisków palców, panno Price. Pora spełnić swój obowiązek.



Gdy dziewczyna, drżąc na całym ciele, zniknęła w gabinecie, opadł na zwolnione przez nią krzesło. Potrzebował kilku minut w samotności, żeby wszystko przemyśleć. Jak dotąd zdążył odkryć kilka potencjalnych zagadek związanych ze śmiercią pani Van Heuten. Lecz było jeszcze za wcześnie, żeby się nimi przejmować.

Chociaż Timothy nigdy nie uważał, że posiada parapsychologiczne czy nawet tylko psychologiczne zdolności superdetektywa, głęboko wierzył w swój instynkt i wrażenie, jakie robili na nim różni ludzie. Klarę Van Heuten znieubił od razu, jak tylko zobaczył ją w domu swojej matki. Co było w niej takiego, że aż tak mu się nie spodobała? Jeśli tylko na to wpadnę, powtarzał sobie z uporem, będzie to więcej warte niż setka bardziej namacalnych dowodów.

Ciągle trzymał w dłoni napisaną na maszynie listę gości, którzy odwiedzili biuro tego popołudnia. Prawdopodobnie Jervis miał co do nich rację. Godziny ich przyjść i wyjść wskazywały na to, że wszyscy opuścili miejsce zbrodni, zanim do niej doszło. Chociaż każdy z nich mógł wrócić tylnymi drzwiami, nie było żadnych podstaw ku temu, aby podejrzewać ich bardziej niż kogokolwiek innego w Nowym Jorku. A mimo to go intrygowali. Jedno nazwisko szczególnie się wyróżniało. *Robert Bristol*. Był pewien, że zna jakiegoś Roberta Bristola. Poza tym były tam jeszcze księżna Walońska, Beatrice Kennet, Gilda Dawn i Susan Hobart, które zostały przyjęte wszystkie razem. Co u diabła mogło skłonić cztery tak różne znakomitości do złożenia pani Van Heuten wspólnej wizyty? Czyżby wszystkie jak jeden mąż poczuły nagłą i jednoczesną potrzebę uzyskania porady literackiej?

Madeleine Price wychynęła z gabinetu.

— No i cóż, panno Price, czy zostanie pani aresztowana?

Sekretarka usiadła za biurkiem. — Wzięli tylko moje odciski palców. — Po czym dodała z rozbrajającą szczerością: — Byli tak mili, że nie omieszkali zauważyć, iż mam wyjątkowo duże dłonie.

Timothy nachylił się ku niej ze śmiertelną powagą i ujął jej dłoń w swoje ręce. — Ma pani bardzo ładne dłonie, panno Price. — Jego szare oczy patrzyły prosto na nią. — Ale bardzo pani drżą.

— To chyba naturalne, prawda? — Kobieta wyrwała mu swoje palce z oburzeniem. — A panu nie trzęsłyby się ręce, gdyby... gdyby właśnie odkrył pan morderstwo?

Madeleine Price zainteresowała Timothy'ego od pierwszej chwili, gdy tylko ją zobaczył. Teraz interesowała go jeszcze bardziej. Nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek spotkał dziewczynę podobną do sekretarki pani Van Heuten. Pomyślał, że ma pewnie około dwudziestu pięciu lat, ale ubiera się jak o wiele starsza i o wiele mniej atrakcyjna kobieta. Ani śladu makijażu, fryzura całkiem niepotrzebnie staropanińska, absolutnie żadnej kokieterii.

A jednak, pomimo rozmyślnie surowego stylu, miała w sobie coś z gruntu pociągającego. Niezwykłe oczy, pomyślał. Do tego podziwu godne opanowanie. Gdyby nie ów przelotny dotyk dłoni i sporadyczne drżenie jej powiek, nigdy nie domyśliłby się, że dziewczyna się boi. Mimo to był przekonany, że tak jest — wyczuwał w niej lęk, którego natężenie wprawiało go w zdumienie i zakłopotanie.

— Niech pani nie zwiedzie ta koszula, panno Price — odezwał się z rozbrajającym uśmiechem. — To tylko jeszcze jedno przebranie, które ma ukryć durnego gliniarza.

Położył przed nią listę gości.

— Pani lista bardzo mnie zainteresowała, panno Price. Świadczy o tym, że mamy przynajmniej jedną wspólną wadę. Pisząc na maszynie, oboje robimy sporo błędów.

Na twarzy Madeleine Price odmalował się wyraz wystudiowanej obojętności. — Usiłuje mnie pan rozbawić?

— Po prostu doszedłem do wniosku, że skoro pisze pani na maszynie równie słabo jak ja, musi być pani nowa w tej branży.

W oszczędnych słowach Madeleine wyjaśniła mu przyczyny swojej obecności w biurze porad literackich: choroba siostrzenicy i przymusowa, lecz tymczasowa nieobecność siostry.

— Rozumiem. A teraz, panno Price, proszę mi powiedzieć wszystko, co pani wie o pani Van Heuten — to znaczy, jako o człowieku.

— Jestem tu dopiero od tygodnia i właściwie niczego nie wiem o pani Van Heuten z wyjątkiem tego, czego dowiedziałam się od siostry i co sama zdołałam zauważyć.

— Jestem pewien, że jest pani spostrzegawcza, panno Price, i zauważyła pani całkiem sporo jak na jeden tydzień.

Popatrzyła na niego w taki sposób, jakby podejrzewała go o sarkazm.

— O ile zdążyłam się zorientować, pani Van Heuten była odnoszącą sukcesy i bardzo lubianą osobą. Miała wielu klientów, a wszyscy zdawali się być do niej bardzo przywiązani. Bez przerwy ktoś dzwonił z zaproszeniem na przyjęcie albo żeby przyjąć jej zaproszenie. Znała wszystkich najlepszych ludzi w Nowym Jorku — naprawdę najlepszych.

— Tego się obawiałem. Pani Van Heuten, uosobienie matczynej perfekcji! Domyślam się, że zaskoczył parną fakt, iż została zamordowana?

Madeleine poderwała głowę i spojrzała na niego ostro. — Oczywiście.

— I nie przychodzi pani do głowy nikt, kto mógłby chcieć ją zabić?

— Absolutnie nikt.

— Rozumiem. — Timothy przyglądał jej się uważnie. — Czy była dobrą szefową?

— Tak. Bardzo życzliwą i u-uprzejmą.

Timothy zauważył, że lekko zatrzepotała powiekami. Powiedział miękko:

— Innymi słowy, szczerze jej pani nie znosiła.

Madeleine po raz kolejny oblała się rumieńcem. — Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

— Może się pani spokojnie przyznać — odparł Timothy. — Widzi pani, ja też jej nie lubiłem, ale nie mogę sobie przypomnieć, dlaczego. Gdybym poznał przyczynę pani niechęci, bardzo by mi to pomogło.

— To absurd. Powiedziałam już, że nie znałam pani Van Heuten. Bardzo dziwny z pana policjant...

— Proszę, może jednak...!

— Zgoda. — Madeleine złożyła ręce na podołku. — Była strasznie skąpa. Moja siostra pracuje tu od pięciu lat, od kiedy otwarto biuro. Ale gdy musiała wziąć urlop, bo jej córeczka zachorowała, pani Van Heuten powiedziała, że nie wypłaci jej pensji, o ile zastępująca siostrę sekretarka nie będzie pracowała za darmo. Dla mnie to szczyt skąpstwa.

— Dla mnie też — mruknął do siebie Timothy. — Może to jest wytłumaczenie. Delikatna, urocza kobieta o twardym sercu. Dziękuję pani, panno Price. Jest pani bardzo pomocną osobą. A teraz może

opowie mi pani dolidadnie o wszystkim, co wydarzyło się dzisiejszego popołudnia, poczynając od wizyty... — zerknął na listę — Johna Smitha, aż do wyjścia tej kobiety, którą tak barwnie pani scharakteryzowała: *odmówiła podania nazwiska... nieprzyjęta*.

Nie przerywał, gdy sekretarka precyzyjnie opisywała kolejno wizytę każdego klienta. Obserwował tylko jej oczy, gdy mówiła. Jedynie raz dostrzegł w nich wahanie, kiedy opisywała moment znalezienia zwłok. Wyjaśniła, że po wyjściu księżnej skoncentrowała się na pisaniu listów i nie słyszała żadnych odgłosów dobiegających z gabinetu pani Van Heuten. Tego popołudnia był tylko jeden telefon na miasto. Podczas wizyty pana Bristola, pani Van Heuten zadzwoniła do wydawnictwa Saltera, dokąd wysłano maszynopis jego ostatniej powieści. Nie, broń Boże, nie podsłuchiwała.

Timothy żywo zainteresował się ostatnim z gości — dziewczyną, która przepowiedziała śmierć pani Van Heuten na dwadzieścia minut przed tym, jak Madeleine Price odkryła jej zwłoki. Szczegółowo wypytał o nią sekretarkę.

— Wiem tylko to, co już powiedziałam — odparła Madeleine. — Oświadczyła, że nie jest klientką biura. Miała bardzo zielone oczy i zdecydowany podbródek. Spodobała mi się. Poza tym — dodała nieoczekiwanie — jestem pewna, że ona nie mogła zamordować pani Van Heuten.

— Bronimy własnej płci, co? — Timothy uśmiechnął się. — A teraz, panno Price, może mogłaby mi pani wyjaśnić, czym dokładnie zajmowało się biuro porad literackich Van Heuten.

Tym samym bezbarwnym głosem sekretarka wytłumaczyła mu, że jej chlebodawczyni czytała i recenzowała maszynopisy za standardową opłatą wynoszącą od trzech dolarów za tysiąc słów do dwudziestu dolarów za całą powieść. Nie była typową agentką, handlującą rękopisami za prowizję, lecz sporadycznie i z czystej życzliwości pomagała swoim klientom sprzedać ich twórczość jakiemuś wydawnictwu.

— Chce pani powiedzieć, że ten świetnie prosperujący interes opierał się wyłącznie na trzydolarowych stawkach korektorskich? — W głosie Timothy'ego pojawiła się nuta niedowierzania.

— Wiem, że pani Van Heuten miała dodatkowe umowy z literatami, którym dzięki jej pomocy udało się odnieść sukces. Przez

pierwszy rok zgadzali się wypłacać jej dwadzieścia procent swoich dochodów.

— Czy wiele osób było związanych z nią taką umową?

— Nie wiem. Wspominała o tym tylko czasami, przy okazji. Jestem pewna, że to nie były żadne pisemne zobowiązania.

— To chyba mało profesjonalne?

— Pani Van Heuten szczyliła się tym, że pozostaje z klientami w nieformalnych stosunkach. — Madeleine Price wzięła z biurka jakąś broszurę. — Może ten prospekt będzie panu pomocny.

Timothy przejrzał go z zainteresowaniem. W pełnych godności słowach prospekt informował początkujących pisarzy, że usługi pani Van Heuten są dostępne za wynagrodzeniem. Sugerował też, że w każdym człowieku, a zwłaszcza w członkach towarzyskiej elity, drzemie uspiomy geniusz, oraz bardzo delikatnie napomynał, że pani Van Heuten jest właśnie tą osobą, która może ów geniusz rozbudzić. Na okładce, dużymi, wytwornymi literami wypisano następujące słowa:

BEATRICE KENNET, SŁYNNNA FELIETONISTKA, MÓWI:

*Świat nigdy się nie dowie, ile zawdzięczam pani Van Heuten.*

— Hm — mruknął Timothy. — Jeżeli pani Van Heuten miała wielu takich klientów jak Beatrice Kennet, to nic dziwnego, że dobrze jej się powiodło. — Przez chwilę w zamyśleniu obracał w palcach napisaną na maszynie listę osób. — A jeśli chodzi o te cztery sławne kobiety, panno Price, jak często zaglądały do biura?

— Nigdy wcześniej ich tu nie widziałam.

— Nie wydało się pani, że stanowią nieco niedobry kwartet?

— Byłam trochę zaskoczona, że przyszły wszystkie razem — przyznała Madeleine.

— Powiedziały, czego chcą?

— Nie. Ale nalegały, aby pani Van Heuten przyjęła je razem. Każda miała ze sobą czarny neser. Domyślam się, że przyniosły w nich swoje rękopisy.

— Czy pani Van Heuten była choć trochę zdziwiona, kiedy powiedziała jej pani o tej wizycie?

— Owszem, trochę była. — Madeleine zamyśliła się. — Prawdę mówiąc, wydało mi się wtedy, że jest wyraźnie zdenerwowana.

— A kiedy już wyszły?  
— Nie widziałam się z nią po ich wyjściu — odparła Madeleine.  
— Chce pani powiedzieć — zapytał z niedowierzaniem Timothy — że nie zadzwoniła, żeby poprosić o odprowadzenie gości ani nic podobnego?

— N-nie. Te panie dosyć nagle wyszły z gabinetu. Księżna zatrzymała się jeszcze przy moim biurku i powiedziała, żebym aż do piątej pod żadnym pozorem nie przeszkadzała pani Van Heuten.

Timothy zagwizdał cicho. — Więc kiedy po raz kolejny zobaczyła pani panią Van Heuten, ona już nie żyła? Panno Price, czy zdaje sobie pani sprawę z tego, co pani mówi?

— Oczywiście, zdaje sobie sprawę z tego, że te cztery kobiety miały okazję zamordować panią Van Heuten — odparła spokojnie dziewczyna. — Myśli pan, że to zrobiły?

Timothy popatrzył na nią z wyraźnym znużeniem. — Doprawdy, panno Price, zadaje mi pani bardzo podchwytliwe pytania. — Zmarszczył brwi, po czym dodał: — Domyślam się, że nie usłyszała pani przypadkiem, o czym przybyłe rozmawiały z panią Van Heuten?

— Nie. Zresztą drzwi były zamknięte.

— A pozostałe rozmowy?

— Nie słyszałam ani słowa. — Po raz kolejny w oczach sekretarki pojawiło się niemal niedostrzegalne wahanie.

— Obawiam się, że nie wierzę pani.

— Dobrze, ja... rzeczywiście coś usłyszałam, ale wyłącznie dlatego, że drzwi były wtedy półprzymknięte. To nie było nic ważnego.

— Mimo wszystko chciałbym się dowiedzieć, co to było.

— Zgoda. — Po raz pierwszy od początku ich rozmowy Madeleine Price uśmiechnęła się — ukradkowym, nieoczekiwanie ładnym uśmiechem. — To było wtedy, kiedy pan John Smith przyszedł do pani Van Heuten. Słyszałam, jak mówił, że wyglądam jak maskaron.

Timothy wybuchnął spontanicznym śmiechem. Coraz bardziej lubił pannę Price.

— To jak dotąd najważniejsza poszlaka charakterologiczna.

Pierwszy gość pani Van Heuten okazał się jednocześnie nieokrzesany i mało spostrzegawczy. Dziewięćdziesiąt procent morderstw popełnianych jest właśnie przez podobnych mu ludzi...

Z kieszeni na piersiach wyjął plik listów, które zabrał wcześniej z drucianego koszyka. — Czy to wszystkie listy, jakie napisała pani dzisiejszego popołudnia?

Sekretarka przejrzała je pobieżnie. — Owszem.

— Jest pani pewna, że nie wysłała pani osobiście żadnego listu?

— Absolutnie pewna.

— Widzę, że znowu mijamy się z prawdą, panno Price. Pani Van Heuten miała tego popołudnia jeszcze jednego gościa, którego wizyta nie została odnotowana na pani skrupulatnej liście — dziewiątego gościa.

Wrażenie, jakie jego słowa zrobiły na pannie Price, było oszałamiające. Krew odpłynęła jej z policzków, a dłoń uniosła się z wolna ku szyi, po czym bezwładnie opadła na biurko. Kiedy wreszcie przemówiła, jej głos był ledwie słyszalny:

— Sugeruje pan, że rozmyślnie coś zataiłam?

— I tu mnie pani ma, panno Price. Szczerze mówiąc, zupełnie nie rozumiem, dlaczego pani to zrobiła. Chyba nie ma pani powodu osłaniać niejakiego pana Tolfreya, prawda?

— Dane'a Tolfreya! — Dziewczyna nawet nie próbowała ukryć ulgi, jaka rozbrzmiewała w jej głosie. — Ale... przecież on nie przyszedł dzisiaj do biura.

— Myślę, że pani się myli. — Timothy nachylił się nad biurkiem i wyciągnął ku niej książeczkę czekową pani Van Heuten. — Widzi pani te odcinki? To potwierdzenia czeków, które, jak sądzę, otrzymała pani w celu dołączenia ich do listów. A tutaj jest odcinek jeszcze jednego czeku, wystawionego później niż pozostałe. Trzysta pięćdziesiąt dolarów dla Dane'a Tolfreya. Przed chwilą powiedziała mi pani, że sama nie wysłała żadnego listu. Przeszukałem gabinet pani Van Heuten i mogę z całą pewnością stwierdzić, że czeku tam nie ma. Zatem istnieje tylko jedno logiczne wytłumaczenie. Dzisiejszego popołudnia pan Dane Tolfrey osobiście go odebrał.

Madeleine Price ze znużeniem skinęła głową. — Pewnie ma pan rację.

— Pani zaś wcale nie widziała owego dziewiątego gościa — wyjaśnił Timothy — ponieważ wszedł do gabinetu tylnym wejściem, drzwiami za parawanem.

— Tak — wtrąciła spiesznie Madeleine. — To bardzo możliwe. Wiedział o tylnym wejściu i korzystał z niego częściej niż z drzwi frontowych.

— To znaczy, że większość klientów tego nie robiła? — Timothy znacznie się ożywił.

— Pani Van Heuten przywiązywała do tej sprawy szczególną wagę. Była to wręcz pierwsza rzecz, jaką omówiła ze mną, kiedy przyszłam tutaj pracować. Przykazała, żebym nikomu nie wspominała o tylnym wejściu. Kiedy przychodziła z rana, sama je otwierała. Z kolei ja zamykałam je wieczorem. Mówiła, że to jedyny sposób, żeby opuścić biuro niepostrzeżenie, w sytuacji, gdyby zdarzył się klient, z którym nie chciałaby się spotkać. Dlatego zasłoniła drzwi parawanem.

A więc nie mylił się co do dodatkowych drzwi. Pani Van Heuten *rzeczywiście* trzymała ich istnienie w tajemnicy, zaś powód, jaki podała panie Price, wydał mu się wysoce nieprawdopodobny. Dlaczego szefowa tak szacownej instytucji, jaką było biuro porad literackich, miałaby potajemnie uciekać przed swoimi klientami? Może, pomyślał Timothy, zwykli odwiedzać ją klienci o gwałtownym usposobieniu — na przykład tacy, jak owa nieznajoma, która przepowiedziała jej morderstwo.

W tym momencie przyszło mu do głowy coś, co znowu wydało mu się podejrzane. Pani Van Heuten mogła zawsze wyjść przez te drzwi *na zewnątrz*... Bez względu, na to czy były zamknięte od środka, czy nie. Jeżeli trzymała je otwarte, to musiała tak robić dlatego, żeby ktoś mógł zawsze wejść do gabinetu *z zewnątrz*.

— A zatem ów pan Tolfrey wiedział o zapasowych drzwiach? — upewnił się.

— Był najdawniejszym znajomym pani Van Heuten. Wyraźnie mi powiedziała, że nikt inny o nich nie wie — ani klienci, ani jej pozostali znajomi.

Timothy pochylił się do przodu, uważnie przyglądając się dziewczynie. — A kim jest ten pan Tolfrey?

— Właściwie to nie wiem. Mężczyznę w średnim wieku, o bardzo czerwonej twarzy. Zawsze, kiedy go tutaj widziałam, był pijany.

— Pijany! Najdawniejszy znajomy powszechnie szanowanej pani Van Heuten. Ale to chyba nie jedyna tajemnica związana z panem



Tolfreyem... Czy nie wydaje się pani dziwne, że pani Van Heuten, którą określiła pani jako osobę wyjątkowo skąpą, wręczyła mu czek na trzysta pięćdziesiąt dolarów?

Madeleine Price nie wydawała się szczególnie zainteresowana tą kwestią. — Prawdopodobnie chodziło o jakiś prywatny dług.

— Albo to, albo... — W oczach detektywa pojawił się wyraz sztucznej naiwności. — Pan Tolfrey nie mógł chyba szantażować pani Van Heuten?

— Szantażować? — Madeleine Price wyglądała na zaskoczoną i lekko oburzoną. — Dlaczego, na miłość boską, ktoś miałby szantażować panią Van Heuten? Zresztą pan Tolfrey był jej najdawniejszym znajomym.

— Podziwiam pani pogardę dla melodramatycznych rozwiązań, panno Price. Po raz drugi okazała się pani bardzo pomocna. Jeżeli chwilowo uznamy, że Patrycja Cheney i jej znamienite towarzyszki znajdują się poza podejrzeniem, będziemy musieli założyć, że morderca wszedł tylnymi drzwiami. Znakomicie zawężyła pani krąg podejrzanych. Oprócz pani jedynie Dane Tolfrey, który z całą pewnością odwiedził gabinet pani Van Heuten dzisiejszego popołudnia, wiedział o ukrytym wejściu.

— Myśli pan zatem — spytała otwarcie dziewczyna — że to pan Tolfrey zamordował panią Van Heuten?

— Znowu pani zaczyna, panno Price. Nie. Policjant nie oczernia jednego czy drugiego podejrzanego. Poza tym nikt przy zdrowych zmysłach nie zasztyletowałby kury, która przed chwilą zniosła jajko warte trzysta pięćdziesiąt dolarów.

— W takim razie... Kto? — spytała z wahaniem dziewczyna.

— Otóż to. W tej sytuacji jest pani jedyną podejrzaną, panno Price. — Uśmiech Timothy'ego był niemal przekonywająco rozbawiony. — Domyślam się jednak, że pani nie zamordowała pani Van Heuten, prawda?

Madeleine Price zaśmiała się krótko. — Oczywiście, że nie.

— Bardzo to nietaktowne z pani strony. Znacznie ułatwiłaby mi pani pracę. Ale chwileczkę... Jest jeszcze ktoś... Ktoś poza wami wiedział o zapasowych drzwiach.

Panna Price zesztyniała. — Kogo ma pan na myśli?

— Któżby inny, jak nie stała sekretarka pani Van Heuten — pani siostra. Czy miewa mordercze skłonności?

— Nie może pan do tego mieszać Louise! — W sposób nagły i zaskakujący Madeleine Price straciła panowanie nad sobą. Zerwała się na równe nogi, jej oczy płonęły. — Czy nie wystarczy, że ma chore dziecko? Że musi zapłacić za kosztowne operacje, a nie będzie ją na to stać bez...? — Urwała gwałtownie i usiadła, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w swoje dłonie.

Timothy był wstrząśnięty tym nieoczekiwanym wybuchem. Najwyraźniej Madeleine Price była równie nieprzewidywalna jak wszystko, co dotyczyło biura porad literackich Van Heuten i jego właścicielki. Zachowała stoicki spokój w obliczu morderstwa oraz w krzyżowym ogniu pytań, by zmienić się w rozwścieczoną tygrysykę na samą wzmiankę o swojej siostrze!

— Przepraszam. — Dziewczyna osunęła się na oparcie krzesła.

— Dzisiejsze popołudnie było... To wszystko jest dla mnie bardzo trudne.

— Naturalnie. — Głos Timothy'ego brzmiał zwodniczo łagodnie.

— Nikt nie oskarża pani siostry. Jest teraz na wsi, prawda?

— Tak, tak. Opiekuje się Elaine, swoją córeczką, w północnej Pensylwanii.

— Gdzie dokładnie?

— W Terrabinny. Są w naszym rodzinnym domu.

— Terrabinny. — Wargi detektywa rozciągnęły się w uśmiechu.

— Jak to daleko od Nowego Jorku?

— Bardzo daleko. Około dwustu dwudziestu mil.

— Nie wydaje mi się, żeby to było daleko, panno Price. W dzisiejszych czasach podróż samolotem...

W tym momencie z gabinetu wyszedł sierżant Danvers.

— Doktor skończył oględziny, Trant.

— Świetnie.

Timothy wstał, zerknąwszy przelotnie na Madeleine Price, która, kredowobłada i z trudem łapiąca oddech, skorzystała z okazji, żeby włożyć na głowę skromny, okrągły i nietwarzowy czarny kapelusz.

— Proszę jeszcze nie wychodzić, panno Price. Chyba będę pani potrzebował.

Gdy Timothy wszedł do gabinetu, inspektor i jego ludzie szykowali się do wyjścia. Dwóch pracowników kostnicy przenosiło zwłoki na nosze.

— No i cóż, doktorze — odezwał się Timothy. — Kiedy nastąpił zgon ofiary?

— Nie jestem wróżką, Trant, ale moim zdaniem najwcześniej o czwartej, a najpóźniej o piątej.

— Oczywiście zmarła z powodu rany zadanej nożem?

— Ugodzono ją czterokrotnie.

Timothy zagwizdał. — Cztery rany — cztery kobiety. A na nożu odcisk kobiecego palca.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — Jervis stanął przy nim, ze sceptycznym uśmiechem na swojej zdroworozsądkowej twarzy. — Chyba nie podejrzewasz, że to księżna Walońska i jej damulki odwały tę robotę? Wyszły z biura, zanim...

— Wcale nie.

Timothy przekazał mu w skrócie to, czego dowiedział się od Madeleine Price na temat czterech kobiet, które odwiedziły panią Van Heuten. Kiedy skończył, inspektor wyglądał na poważnie zaniepokojonego.

— Dobry Boże, Trant, chyba nie sądzisz, że Patrycja Cheney...? — Jervis przeniósł się w myślach do czasów, gdy księżna była debiutantką. Przypomniał sobie pewną sytuację, gdy Pat Cheney, skąpo odziana i obwieszona balonami, została odeskortowana z nielegalnego baru do komendy głównej. Kilku policjantów zapłaciło dymisją za to nierozważne aresztowanie. — Ta dziewczyna miewała różne szalone pomysły.

— Ale nawet jeśli miała kaprys kogoś zabić, dlaczego upatrzyła sobie akurat panią Van Heuten? I dlaczego wzięła ze sobą do pomocy tamte kobiety, które z pewnością nie potrzebują darmowej reklamy?

— Mnie o to nie pytaj — odparł ponuro inspektor. — Wiem tylko tyle, że będziemy musieli obchodzić się z księżną jak ze zgniłym jajkiem. Cheneyowie mają wystarczająco duże wpływy, żeby wyrwać nas wszystkich ze służby jak zepsute zęby, jeśli tylko będą mieli na to ochotę.

— To nie wszystko — dodał z powagą Timothy. — Teraz, gdy Patrycja zdobyła sobie powszechny szacunek dzięki dobroczynności

i swojemu wygnanemu księciu, ma za sobą poparcie wszystkich organizacji kobiecych w mieście.

Jervis potarł czoło. — Cóż, to będzie dla ciebie świetne zadanie, Trant. Etatowy policyjny playboy będzie musiał wskoczyć w nową, kolorową koszulę i osobiście poznać jej książęcą wysokość.

Timothy z powagą pokiwał głową. Przekazał inspektorowi resztę swojej rozmowy z Madeleine Price, podkreślając znaczenie wizyty Dane'a Tolfreya.

— Niech pan lepiej od razu odszuka Tolfreya — zakończył. — Praktycznie wszystko, co go dotyczy, jest podejrzane. I niech pan ma też oko na tę sekretarkę. Nie ufam jej ani trochę...

Słaby dźwięk dochodzący z sekretariatu sprawił, że Timothy obrócił się na pięcie. Dźwięk powtórzył się — odgłos wykręcanego numeru telefonicznego. Detektyw zbliżył się do drzwi i nasłuchiwał. Dobiegł go głos Madeleine Price — cichy i urywany: — Czy zastałam księżną Walońską?

Timothy otworzył drzwi gabinetu na oścież. Sekretarka spojrzała na niego chłodno. Nawet nie próbowała odkładać słuchawki.

— Dzwoni pani do księżnej, panno Price?

— Chyba wolno mi jeszcze korzystać z telefonu?

— A z jakiego powodu dzwoni pani do księżnej?

— Na pewno z żadnego zdrożnego powodu, biorąc pod uwagę fakt, że za ścianą są policjanci. — Madeleine Price uśmiechnęła się chłodno. — Po prostu przypomniałam sobie, że pani Van Heuten wydawała dziś wieczorem w swoim domu przyjęcie koktajlowe. Muszę odwołać gości.

— Jest pani bardzo sumienną osobą, panno Price, ale policja naprawdę nie potrzebuje pani pomocy.

Timothy delikatnie odebrał dziewczynie słuchawkę i odłożył z powrotem na widelki. Równie delikatnie przekrzywił jej okrągły, czarny kapelusz, nadając Madeleine lekko zawadiacki wygląd.

— Tak lepiej — powiedział z powagą. — Jeśli już musi pani nosić taki kapelusz, niech go pani nosi z fasonem. A jeżeli dysponuje pani listą zaproszonych gości, sam zajmę się ich odwoływaniem.

Zachowując kamienną twarz, dziewczyna poprawiła kapelusz, przywracając mu jego dawne ułożenie, po czym podała mu trzymaną w rękę kartkę. Timothy przebiegł ją wzrokiem. Wśród obecnych na

liście członków towarzyskiej i literackiej śmietanki figurowało nie tylko nazwisko księżnej Walońskiej, lecz także Dane'a Tolfreya. Timothy spojrział na zegarek.

— Jest dziesięć po szóstej, panno Price. Zmieniłem zdanie — nikt nie zawiadomi gości o odwołanym przyjęciu. To zbyt ciekawa impreza. Być może będzie na niej nawet morderca pani Van Heuten.

Sekretarka wzruszyła ramionami. — Nie można wydać przyjęcia bez pani domu — powiedziała.

— Zgoda. Dlatego będzie pani domu. My oboje pójdziemy na to przyjęcie, a pani będzie pełnić honory tego domu. Ogłosi pani, że pilne sprawy zatrzymały pani chlebodawczynię w biurze.

Dziewczyna ogarnęła niespokojnym spojrzeniem swoją znoszoną zieloną bluzkę i wygniecioną szarą spódnicę.

— Przecież nie mogę iść na przyjęcie tak ubrana — nie w tym stroju.

— Nonsens, panno Price. Proszę się tym nie przejmować. Z pani pewnością siebie mogłaby pani spokojnie popełnić morderstwo, a co dopiero unieść ciężar poprowadzenia pośmiertnego przyjęcia koktajlowego!

Uśmiechając się od ucha do ucha, Timothy wrócił do gabinetu i podszedł do inspektora.

— Niech pan posłucha, Jervis, przez kilka godzin będę nieuchwytny. Idę na przyjęcie koktajlowe.

— Na przyjęcie koktajlowe?

— W domu pani Van Heuten. Może to być dość makabryczne przeżycie, zważywszy na fakt, że gospodyni nie żyje, ale Dane Tolfrey i księżna Walońska prawdopodobnie się tam zjawią. Pomyślałem, że to dobra okazja, żeby nieoficjalnie nawiązać z nimi znajomość.

— W porządku, Trant. — Inspektor skinął głową. — Przetrzymam chłopaków, dopóki przyjęcie się nie skończy.

— I, na miłość boską, niech pan nie wciąga w to prasy. Nie chcemy, żeby się wydało, że Jej Księżęca Wysokość jest zamieszana w tę sprawę. I jeszcze jedno: niech ktoś śledzi Tolfreya, gdy ten wyjdzie z przyjęcia. On nie wie, że my wiemy, że był tutaj dziś po południu. Może zrobi coś, co naprowadzi nas na jakiś trop.

— Okej. A kiedy ty będziesz sączył koktajle z księżną Walońską, Trant — odparł Jervis z przekąsem — możesz poprosić ją, żeby

wyświadczyła nam tę łaskę i pozwoliła ci zdjąć odciski swoich książęcych paluszków.

Przeszedłszy z powrotem do sekretariatu, Timothy zwrócił się z pytaniem do sekretarki: — Ma pani lusterko?

Madeleine bez słowa otworzyła torebkę i wyjęła z niej tanie, kwadratowe lusterko.

— Doskonale. Proszę mi je przytrzymać. O, w ten sposób.

Timothy poszperał w kieszeni spodni i wyciągnął z niej dwa gładkie krawaty — jeden niebieski, a drugi rdzawoczerwony.

— Panno Price, jest pani kobietą — który pani zdaniem jest bardziej odpowiedni na literackie przyjęcie koktajlowe? Niebieski jest całkiem wytworny, prawda?

Dziewczyna zmroziła go wzrokiem. — Więc jednak jest pan szalony!

— Niech pani tak nie mówi, panno Price. To równie pochopna opinia jak mój wybór niebieskiego krawata. To jasne, że rdzawoczerwony jest o wiele bardziej stosowny. Rdzawoczerwona koszula i rdzawoczerwony krawat — bardzo intelektualne zestawienie.

Jednym ruchem ściągnął z szyi czarny krawat i spoglądając w lusterko, starannie zawiązał rdzawoczerwony.

— To takie niewinne przyzwyczajenie, do którego będzie pani musiała przywyknąć, panno Price. Moja prywatna wersja staroświeckiej sztucznej brody i wąsów. Człowiek zmienia tożsamość wraz z koszulą i krawatem. Jednobarwna koszula i jednobarwny krawat to dobry strój, kiedy trzeba wejść między szumowiny. Jednobarwna koszula i czarny krawat to strój bezpieczny i wzbudzający szacunek.

Jednobarwna koszula i krawat w takim samym kolorze — i oto mamy obiecującego, młodego i poetycznego podopiecznego pani Van Heuten, którego ta zaprosiła na przyjęcie koktajlowe. Jak pani widzi, wybieram się na to przyjęcie w przebraniu.

Złożył dwa pozostałe krawaty i schował je do kieszeni.

— Zawsze mam przy sobie dwa zapasowe — wyjaśnił, gdy ruszyli w stronę drzwi. — Nie zważając na drwiny moich kolegów, robię użytek ze wszystkich kolorów. Rzecz jasna, z wyjątkiem fioletowego i pasteli.

## 6.

Szybki ruch grzebienia w taksówce wystarczył, aby dopełnić transformacji Timothy'ego Tranta w nowoczesnego, młodego intelektualistę. Gdy razem z Madeleine Price dołączyli do tłumu gości, którzy już zdążyli zgromadzić się w mieszkaniu pani Van Heuten przy Park Avenue, nawet wprawne oko kamerdynera nie rozpoznało w młodym mężczyźnie o wyglądzie artysty, w rdzawoczerwonej koszuli i takim samym krawacie, nieproszonego policjanta w cywilu.

Timothy rozejrzał się po zatłoczonym pokoju. Towarzyskie i literackie znakomitości z uprzejmym ożywieniem przechadzały się wśród prawie znakomitości, popijając koktajle Klary Van Heuten i głośno rozprawiając na własny temat. Pomimo nieobecności gospodyni przyjęcie toczyło się własnym torem.

Nigdzie jednak nie było śladu Patrycji Walońskiej.

Timothy zwrócił się do Madeleine: — Tolfrey już przyszedł?

— Nie widziałam go.

— W porządku. Proszę mi powiedzieć, jak tylko się zjawi. Tymczasem niech pani zawiadomi gości i poinformuje mnie o każdej gwałtowniejszej reakcji.

Madeleine Price oddaliła się szybkim krokiem. Timothy obserwował, jak podchodzi do kolejnych grup gości, przeprasząc za nieobecność swojej chlebodawczyni.

Miał rację. Coś było w tej dziewczynie. Pomimo niewyszukanego stroju i rażącego braku makijażu sprawiała, że wszystkie te mądrzejsze i ładniejsze od niej kobiety wydawały się sztuczne i nieciekawe.

Timothy dzielił w myślach ludzi na dwie bardzo wyraźnie określone grupy — tych, którzy byli z gruntu niezdolni do odebrania komuś życia, i te rzadkie istoty, w których drzemały potencjalne mordercze skłonności. Czuł, że Madeleine Price należy do tej mniejszości. Posiadając odpowiedni motyw, dziewczyna ta mogłaby się stać zimną i utalentowaną morderczynią.

Timothy zaczął się od niechcenia przechadzać między gośćmi. To przyjęcie dało mu okazję, o której zawsze marzył, rozwiązując sprawę morderstwa — możliwość poznania najbliższego otoczenia ofiary, zanim wiadomość o jej gwałtownej śmierci wytrąci wszystkich z

równowagi.

Dyskretny luksus apartamentu potwierdził jego podejrzenia co do zaskakującego dobrobytu właścicielki biura porad literackich; obecność śmietanki towarzyskiej i literackiej wskazywała na to, że Klara Van Heuten była uznanym członkiem najbardziej szacownej nowojorskiej elity. Timothy zauważył kilku dość nieodpowiednich młodych mężczyzn o dziwnych fryzurach i stroju jeszcze bardziej ekstrawaganckim niż jego własny. Wiedział jednak z doświadczenia, że tego rodzaju młodzi ludzie stanowią podstawę wszystkich przyjęć koktajlowych na Manhattanie. Poza tym ich obecność aż nadto równoważył liczny wysyp najbardziej abnegackich starszych dam, jakie Trant kiedykolwiek widział.

Przechodząc obok, usłyszał, jak pewna siwowłosa matrona wychwała panią tego domu pod niebiosa: — Droga Klara jest tak wyrozumiała. Była tak *bardzo* kochana i pomocna w kwestii moich marniutkich sonecików...

Droga Klara Van Heuten; powszechnie szanowana Klara, tak kochana i pomocna w kwestii marniutkich sonecików! Dlaczego, ach, dlaczego zakończyła swój żywot z nożem do cięcia papieru wbitym w plecy?

Timothy poczuł na ramieniu lekki dotyk czyjejś ręki. Madeleine Price znów była u jego boku. Ruchem głowy wskazała mu hall.

— Jest tam.

Timothy popatrzył we wskazanym kierunku. Rumiany mężczyzna w średnim wieku wchodził chwiejnie do mieszkania.

— To jest pan Tolfrey. — Sekretarka zmierzyła Timothy'ego spokojnym spojrzeniem. — Powiedziałam wszystkim, że panią Van Heuten zatrzymały ważne sprawy. Większość z nich nawet nie zauważyła, że jej nie ma. Czy teraz mogę już odejść?

Timothy uśmiechnął się, słysząc tak bezpośrednią prośbę. — Tak, panno Price, może pani odejść. Ale na koniec mała rada: niech pani nie składa żadnych niepotrzebnych wizyt ani nie próbuje wyjechać z Nowego Jorku. — Urwał, po czym dodał miękko: — I na pani miejscu nie kontaktowałbym się za często z Terrabinny. Do zobaczenia jutro.

Na ułamek sekundy oczy sekretarki zasnuł cień. Potem bez słowa poprawiła i tak już zbyt prosto nasadzony czarny kapelusz i oddaliła się pospiesznie, mijając grupki rozgadanych gości.



Timothy natychmiast skierował całą swoją uwagę na Dane'a Tolfreya — jedynego człowieka, który, jak twierdziła sekretarka, wiedział o tylnym wejściu do biura porad literackich; człowieka, który skorzystał z tego wejścia wcześniej tego popołudnia i odszedł z czekiem na trzysta pięćdziesiąt dolarów.

„Najdawniejszy znajomy” pani Van Heuten znalazł sobie krzesło w ustronnym kąciaku; postarał się także o trzy koktajle, które wychylił jednym haustem, jeden po drugim. Timothy pozwolił, aby tłum niósł go przez cały salon, aż w końcu wylądował, jakby przez przypadek, tuż obok Tolfreya.

Od razu zrozumiał, że panna Price nie oczerniła bezpodstawnie nieoczekiwanego gościa pani Van Heuten. Dane Tolfrey bez wątpienia sporo pił. W owej chwili z powodzeniem można by go sklasyfikować jako pijanego. Lecz jego oczy, żółtawe i nabiegłe krwią, były nadzwyczaj przebiegłe. Ostrzegły Timothy'ego, że ich właściciel nie jest głupcem.

Na podbródku Tolfreya widniało świeże otarcie, na wpół zakryte nieporządnie naklejonym kawałkiem plastra. Timothy postanowił wykorzystać ten fakt jako potencjalnie najlepszy pretekst do rozpoczęcia rozmowy.

— Widzę, że nieźle pan oberwał — zauważył życzliwie.

Tolfrey podniósł na niego zapuchnięte oczy i dotknął podbródka z nowym oburzeniem.

— Zaskoczył mnie — wymamrotał niewyraźnie. — Nie spodziewałem się, że John się tak zachowa — nie po tym, co dla niego zrobiłem.

Timothy optymistycznie postanowił zaryzykować: — A więc John Smith był w wojowniczym nastroju, hę?

— Słuchaj no, młody człowieku, skąd *ty* to wszystko wiesz? — Tolfrey niespodziewanie zrobił się czujny. — I skąd wiesz, że używał nazwiska Smith?

Tego Timothy się nie spodziewał, strzelając w ciemno. Po chwili wahania odparł:

— Byłem dziś po południu u Klary. Powiedziała mi, że ją odwiedził. Wie pan, to naprawdę zabawne. Dawniej dobrze się znaliśmy, ale ciągle zapominam, jak to on się naprawdę nazywa. Mam to na końcu języka...

Urwał, mając nadzieję, że Tolfrey znowu się wygada. Ale tamten milczał. Przyglądał mu się tylko podejrzliwym wzrokiem.

— Znam cię — powiedział nagle. — Znam wszystkich w Nowym Jorku. Nigdy nie zapominam twarzy. Jesteś synem doktora Tranta.

— Umilkł, jak gdyby próbując coś sobie przypomnieć, po czym dodał ostro: — Jesteś policjantem, prawda?

Ten nagły kontratak całkiem zaskoczył Timothy'ego. W ułamku sekundy zrozumiał, że grunt, który sobie wcześniej przygotował, zaczyna mu się palić pod nogami.

— Policjantem? — powtórzył, szarpiąc rozpaczliwie swój rdzawoczerwony krawat. — Pochlebia mi pan. Jestem tylko początkującym poetą. Krótkie formy, wie pan. To znaczy, na razie nic jeszcze nie wydałem, ale mam nadzieję, że z pomocą Klary wreszcie mi się uda. Właśnie dlatego byłem u niej dziś po południu.

— Naprawdę? — Głos Tolfreya brzmiał sceptycznie.

— Owszem. Powiedziała mi, że też ją pan dzisiaj odwiedził. Wszedł pan tylnym wejściem, prawda? Ja też tak zawsze wchodzę.

Tym razem udało mu się trafić w dziesiątkę. Tolfrey wyprostował się sztywno, gapiąc się na niego z niedowierzaniem.

— Chcesz mi wmówić, że Klara powiedziała ci o tylnym wejściu? Zawsze powtarzała, że nikt oprócz mnie... Musisz... Musisz być z nią bardzo zaprzyjaźniony.

— O, tak — odparł Timothy. — Nie tylko pomaga mi z moją pozycją, ale gdy jestem w potrzebie, potrafi być bardzo szczodra. — Jego szare oczy uważnie obserwowały poprzecinaną sinymi żyłkami twarz Tolfreya. — Dziś na przykład dała mi czek na trzysta pięćdziesiąt dolarów.

Dopóty dzban wodę nosi, dopóki się ucho nie urwie — i ani chwili dłużej. Tym razem Timothy zdecydowanie przeholował. Zdumienie widoczne w oczach Tolfreya zmieniło się w coś na kształt trwogi. Przez chwilę siedział nieruchomo, z na wpół otwartymi ustami. Potem wybuchł sztucznym, hałaśliwym śmiechem.

— Wiesz, co ci dolega, młody człowieku? Jesteś pijany. Właśnie tak. Pijany! — Od przechodzącego kelnera chwycił jeszcze dwa koktajle. — Nie wierzę w ani jedno twoje cholerne słowo.

Podniósł się chwiejnie.

— Nie będę tracić czasu na rozmowy z pijakami — wymamrotał.  
— Odszukam Klarę i pokażę się. A potem spadam stąd.

Timothy obserwował powolną ucieczkę Tolfreya przez salon pełen gości. „Najdawniejszy znajomy” pani Van Heuten okazał się jeszcze bardziej nieprzewidywalny, niż się spodziewał. Wyraźnie miał się na bacności. Wyraźnie także miał coś na sumieniu.

Ale, pomyślał Timothy, pan Tolfrey, ze wszystkimi swoimi unika-  
mi i półprawdami, nie zachowywał się jak morderca.

Po chwili wahania wymknął się do hallu. Z intuicją godną poli-  
cjanta zlokalizował w niewielkiej wnęce aparat telefoniczny. Upew-  
niwszy się, że nikt go nie słyszy, wykręcił numer Jervisa.

— Niech pan posłucha, rozmawiałem z Tolfreym. Za moment  
stąd wyjdzie.

— Barnes już czeka na zewnątrz — odparł inspektor uspokajają-  
co. — Pochodzi za nim. Puścił jakąś farbę?

— Niewiele. Tolfrey jest diablo ostrożny. Ale ma jakieś powiąza-  
nia z tym pierwszym gościem. A przy okazji, John Smith to fałszywe  
nazwisko. Tak nieoficjalnie, to nie sądzę, żeby to on zamordował  
panią Van Heuten, ale z pewnością wie więcej, niż chce powiedzieć.  
Prawdę mówiąc, uważam, że będzie naszym kluczowym świadkiem.  
Niech Barnes nie spuszcza go z oka. Ale na razie żadnych przesłu-  
chań. Myślę, że jeśli zostawimy go w spokoju, może zrobić coś intere-  
sującego...

Potem dodał jeszcze: — Powiem mu o morderstwie, zanim wyj-  
dzie. Może się przestraszy i szybciej zacznie działać.

— Zgoda — mruknął inspektor. — A co z jej książeczą wysoko-  
ścią?

— Jej książeczą wysokość — odparł ponuro Timothy — to przy-  
jemność, na którą muszę jeszcze poczekać.

Odłożył słuchawkę i przeszedł do hallu akurat w samą porę, żeby  
zobaczyć, jak Dane Tolfrey spiesznie kieruje się do drzwi.

— Nie znalazł pan Klary, prawda, Tolfrey? — odezwał się cicho.

Mężczyzna rzucił mu ukradkowe, niespokojne spojrzenie. — Nie  
ma jej tutaj — odparł. — Podobno coś ją zatrzymało w biurze.

— Tak panu powiedziano, co? — Oczy Timothy'ego były utkwio-  
ne w obrzękniętej twarzy Dane'a Tolfreya. — A ja przed chwilą ode-  
brałem telefon. Dzwoniła policja, prosto z biura porad literackich.

Podobno pani Van Heuten została właśnie znaleziona martwa przy swoim biurku. Ktoś ją zamordował.

Dane Tolfrey nawet nie drgnął. Przez ułamek sekundy Timothy miał wrażenie, że dostrzeżga delikatny, żółtawy odcień na jego czerwonych policzkach. Potem jednak Dane Tolfrey zrobił ostatnią rzecz, jakiej detektyw mógł się spodziewać. Po raz kolejny zaniósł się głośnym śmiechem.

— Klara zamordowana! Tak jakby ktoś mógł zamordować Klarę!  
— Odwrócił się gwałtownie, celując w niego noszącym ślady nikotyny palcem. — Już ci mówiłem, młody człowieku, jesteś pijany. Właśnie tak... Zalany jak się patrzy...

Rzucił się do drzwi i zatrzasnął je za sobą. Timothy słyszał, jak jego śmiech odbija się echem na korytarzu.

Choć wyglądało na to, że Patrycja Walońska postanowiła nie skorzystać z zaproszenia, Timothy dołączył jeszcze na chwilę do pozostałych gości, którzy nadal sączyli koktajle i gawędzili ze sobą, całkowicie obojętni na fakt, że ich gospodyni jest nieobecna. Po raz ostatni obszedł salon i już miał wychodzić, gdy nagle kakofonia prowadzonych rozmów ucichła i wszyscy zwrócili się w stronę drzwi. Timothy również się odwrócił i popatrzył w tym kierunku.

Do salonu weszły właśnie cztery kobiety. Timothy natychmiast rozpoznał je ze zdjęć publikowanych w gazetach. Były to: księżna Walońska, Susan Hobart, Beatrice Kennet oraz Gilda Dawn.

Przybycie czterech, jakże odmiennych znakomitości wlało nowe życie w zgromadzenie. Pozostali goście stłoczyli się zaraz wokół nich jak stalowe opilki niezdolne oprzeć się sile przyciągania potężnych magnesów.

Timothy musiał przyznać, że żadna z przybyłych nie zawiodła swojej publiczności. Patrycja Cheney, spowita w nobliwą czern, była doskonałą imitacją księżnej Romanow, przyjmującej hołdy swoich poddanych. Gilda Dawn, olśniewająco hollywoodzka w szkarłatnej narzutce i czarnym kapeluszu matadora, roztaczała blask podobny subtropikalnemu zachodowi słońca, podczas gdy Beatrice Kennet, szykowna w swoim zawadiacko chłopięcym przebraniu, rzucała żarcikami na prawo i lewo ze zwinnością i swobodą wytrawnego miotacza.

Lecz największe zainteresowanie tkwiącego w Timothy detektywa wzbudziła Susan Hobart. W przeciwieństwie do swoich towarzyszek miała multimilionerka z Ohio z trudem zachowywała opanowany wyraz twarzy. Timothy był ekspertem, jeśli chodzi o wyczuwanie czyjegós zdenerwowania. Teraz również jego uwadze nie umknęło drżenie drobnych rąk i nienaturalnie błyszczące oczy.

Na chwilę młoda kobieta została sama. Timothy postanowił skorzystać z okazji i zbliżył się do niej, torując sobie drogę łokciami. Coś mu mówiło, że pani Hobart jest najsłabszym instrumentem w tym kwartecie. Była też jego największą szansą.

— Nazywa się pani Susan Hobart, prawda? — zagadnął życzliwie. — Już się kiedyś spotkaliśmy. Pamięta pani może gdzie?

— No cóż... Hm, raczej nie. — Ładna jak u lalki twarz patrzyła na niego zakłopotana.

Timothy posłużył się zręcznym wybiegiem. Pod pretekstem poszukania czegoś do picia udało mu się odciągnąć dziewczynę od jej towarzyszek. Po kilku minutach zmiękła na tyle, aby zwierzyć mu się, iż mieszka obecnie u księżnej Walońskiej.

— Wie pan — mówiła bez tchu — w ubiegłym miesiącu książę musiał wrócić do Europy. Kupuje tam starą posiadłość, należącą dawniej do jego przodków. Patrycja została całkiem sama i pomyślała, że kilka...

Urwała. Timothy zauważył, że jej spojrzenie przeniosło się niepewnie na grupę osób otaczających księżną. Uniósł w górę kieliszek.

— Wypijmy — rzekł. — Za naszą nieobecną panią domu.

Dziewczyna drgnęła, oblała się rumieńcem, ale podniosła w górę swój kieliszek.

— Nie orientuje się pani przypadkiem — ciągnął Timothy — dlaczego Klary nie ma tutaj z nami?

— N-nie. — Oczy pani Hobart pociemniały. — Ja... Domyślam się, że musiała zostać w biurze.

— Zapewne. A propos, byłem tam dziś po południu. Klara powiedziała mi, że odwiedziłyście ją we cztery...

— Susan, moja droga, może przedstawiś mnie swojemu znajomemu?

— Widział się pan z panią Van Heuten po tym, jak...? — Susan Hobart przycisnęła drobną dłoń do swojej szyi.

Chłodny głos dobiegał zza pleców Timothy'ego. Detektyw odwrócił się i zobaczył Patrycję Walońską. Zbliżyła się i stanęła tuż obok Susan, nie spuszczając oczu z jego twarzy.

— Och, księżno... — Multimilionerka zawahała się. — To jest... to jest...

— Trant — podsunął usłużnie Timothy.

— No tak, oczywiście. Ależ jestem niemądra! Pan Trant.

— Pan Trant — powtórzyła lodowatym tonem Patrycja. Następnie położyła dłoń na ramieniu pani Hobart: — Toczmy właśnie niezmiernie interesującą dyskusję, Susan, koniecznie musisz...

Było jasne, że księżna zjawiła się w konkretnym celu uprowadzenia Susan Hobart. Timothy nie zamierzał poddawać się bez walki.

— Ale my tutaj również toczmy niezmiernie interesującą dyskusję, księżno — powiedział. — Rozmawialiśmy o Klarze Van Heuten.

Patrycja zawahała się na chwilę. — Droga Klara — mruknęła wreszcie niezobowiązująco. — Czarująca osoba.

— Jak mówiłem właśnie pani Hobart — mówił dalej Timothy — Klara powiedziała mi dziś po południu, że odwiedziłyście ją panie we cztery w jej biurze.

Przez ułamek sekundy miał wrażenie, że dostrzega w oczach Patrycji błysk zaskoczenia.

— Ach tak? — odparła.

To było wszystko.

Zapadło krępujące milczenie. Po chwili czyjś donośny głos zawołał wylewnie:

— Och, Patrycjo, skarbie, tutaj się ukryłaś.

W ich stronę sunęła Gilda Dawn. Za nią, trzymając w każdej dłoni koktajl, maszerowała Beatrice Kennet.

— Boże, co za przyjęcie — mruknęła pisarka. — Czy ja tu naprawdę jestem, czy tylko to wymyśliłam?

Pomimo pozornej naturalności całej sytuacji, Timothy nie wątpił, że cztery kobiety celowo złączyły siły. Był teraz przekonany, że albo jednoczy je jakaś wspólna obawa, albo też przyszły na przyjęcie do pani Van Heuten w celu, który wymagał zjednoczonego działania.

Wyraźnie też dały mu do zrozumienia, że jego towarzystwo jest im całkowicie zbędne. Kiedy pomimo tak chłodnego potraktowania

zdawał się nie pojmować aluzji, Beatrice Kennet zmierzyła go obojętnym spojrzeniem i rzuciła w przestrzeń:

— Kim jest ten człowiek w czerwonej koszuli — koktajlowym komunistą czy tylko jednym z ubocznych produktów literackich Klary?

— Bardzo ubocznym produktem — wyznał z pokorą Timothy — który kiedyś żywił nadzieję na to, iż Klara Van Heuten zrobi z niego równie płodnego pisarza jak z pani.

— Klara zrobiła *ze mnie* pisarza! — prychnęła pogardliwie Beatrice Kennet. — Nie daj Boże, żeby Klara miała być akuszerką czy też mamką moich literackich dzieci!

— Przepraszam — wybąkał Timothy. — Myślałem, że jest pani jej klientką. Prawdę mówiąc, myślałem, że wszystkie panie nimi jesteście. Wiem od Klary, że każda z pań przyniosła jej dzisiejszego popołudnia swoje opowiadanie.

Jak gdyby nigdy nic wyjął z kieszeni papierośnicę pod wroгим spojrzeniem czterech par oczu.

— Obrazowo przedstawiła mi cały przebieg waszej wizyty. Cztery piękne kobiety weszły razem do jej gabinetu, każda z czarnym neseserem w dłoni...

Ta uwaga wywołała nieoczekiwanie gwałtowną reakcję. Susan Hobart wciągnęła głęboko w płuca powietrze. Beatrice Kennet wyszarpnęła papierosa z własnej papierośnicy i gwałtownie przypaliła go zapalką.

Gilda Dawn zrobiła krok do przodu. — Powiedziała panu, że...?

Patrycja Walońska błyskawicznie opanowała sytuację. Lecz w jej głosie również słychać było lekkie drżenie, gdy mówiła:

— Może byłby pan tak miły i przyniósł nam, hm, tartinki, panie Trant?

— Z przyjemnością.

Timothy uśmiechnął się pod nosem — ukradkowym, rozbawionym uśmiechem. Przypomniał sobie prośbę inspektora Jervisa o zdjęcie odcisków palców.

Pospiesznie przeszedł do przesłoniętej wnęki, gdzie znajdowały się na wpół opróżnione półmiski z tartinkami. Po chwili namysłu wybrał niedużą, srebrną tacę, na której ułożono pokrojone w geometryczne wzory kawałki pieczywa tostowego z pasztetem z gęsich wątróbek. Pastą z jednej z tartinek posmarował cienko spód tacy,

tworząc na nim, w ten sposób lekko tłustawą warstwę. Było to najlepsze, co mógł zrobić, mając do dyspozycji tak ograniczone środki.

Następnie wrócił do czterech kobiet, które zdążyły w tym czasie zająć miejsca na niskiej otomanie.

— Do usług, księżno.

Dość bezceremonialnie wepchnął tacę w nagie dłonie Patrycji Wałońskiej. Wybrała najmniejszą tartinkę i czekała, żeby zabrał tacę.

— Wydaje mi się, że panna Dawn również miałaby ochotę na tartinkę — rzekł Timothy, ostentacyjnie zajmując ręce papierosnicą.

Księżna przekazała srebrną tacę Lady Lotus, która tylko rozděła wzdrygliwie nozdrza i oddała tacę Betarice Kennet.

— Gęsie podroby! Faj! — parsknęła pisarka, wręczając tacę Susan Hobart.

— I spód jest wytłuszczony! — wykrzyknęła młoda milionerka, wzdrygając się z odrazą.

— Ogromnie mi przykro. Zaraz przyniosę serwetki.

Z ostrożnością, która mogła wydać się przesadna, Timothy odebrał tacę i pospieszył z powrotem do bufetu. Tam zsunął pozostałe tartinki na inny półmisek, delikatnie owinął tacę w kilka serwetek i schował ją pod marynarkę. Delikatnie odznaczała się pod materiałem. Potem wziął jeszcze plik serwetek.

Wracając do czterech kobiet, postanowił, że dalsze uciekanie się do podstępów jest zwykłą stratą czasu, przynajmniej do momentu, gdy nie spotka się z nimi na gruncie oficjalnym. Teraz powinien zaatakować i zadać ostateczny cios, żeby wytrącić je z równowagi.

Podszedł więc do otomany, podał siedzącym kobietom serwetki i przez chwilę przypatrywał się, jak wycierają palce. Następnie odezwał się z wielką powagą:

— Właśnie dowiedziałem się czegoś okropnego o pani Van Heuten.

Urwał, widząc cztery pary oczu, wpatrujące się w niego z nagłym zainteresowaniem.

— Niestety. Przed chwilą nadeszła wiadomość, że pani Van Heuten zmarła tego popołudnia w swoim biurze. Wygląda na to, że policja podejrzewa morderstwo.



Nastąpiła chwila głębokiej ciszy, którą przerwał zduszony okrzyk. Susan Hobart zerwała się z otomany z oczyma rozszerzonymi potwornym przerażeniem.

— To nie było mor...!

Zachwiała się i opadła bezwładnie na poduszki.

— Susan!

Pozostałe trzy kobiety rzuciły się ku niej, jak gdyby instynktownie ją osłaniając.

Timothy stał, przypatrując się im uważnie. W jego oczach pojawił się twardy błysk i ani cienia współczucia.

— Proszę się nie niepokoić — powiedział. — To tylko omdlenie.

## 7.

Pół godziny później Timothy prawie wbiegł do gabinetu inspektora Jervisa na komendzie. Inspektor już na niego czekał.

Timothy wydobył spod marynarki srebrną tacę. — Odciski palców — powiedział.

— Księżnej? — upewnił się Jervis.

— Nie tylko księżnej, ale także jej trzech przyjaciółek. Prawdopodobnie cztery najdroższe i najbardziej niebezpieczne komplety odcisków palców w całym Nowym Jorku, inspektorze Jervis. I to podane nam na tacy! Mogą nie być zbyt wyraźne, ale tylko tak mogłem zdobyć je wszystkie za jednym zamachem.

Jervis słuchał niespokojnie, gdy Timothy opowiadał mu o swoim spektakularnym i raczej bezowocnym spotkaniu z czterema kobietami.

— Komendant rwie sobie włosy z głowy na samą myśl o tych damulkach — odezwał się, gdy detektyw skończył. — Nie chodzi tylko o księżną. Jeżeli nie będziemy postępować ostrożnie z Gildą Dawn, będziemy mieć na karku całe Hollywood. Susan Hobart posiada na własność połowę Ohio. A jeśli chodzi o tę pisarkę, to gdyby przysłała jej ochota napisać artykułik o przygłupich nowojorskich gliniarzach, przedrukowałaby go każda gazeta w tym kraju... — Podniósł ostrożnie tacę. — Zaraz to wyślę do laboratorium. I módlmy się, żeby żaden z tych odcisków nie pasował do tego z noża.

Razem poszli do gabinetu komendanta. Ich szef we własnej osobie pochylał się nad biurkiem. Jego bystre oczy były bardzo zatroskane.

Inspektor Jervis zdał szczegółowy raport ze swoich dotychczasowych poczynań. Rozpoczął już dochodzenie mające stwierdzić, czy jacyś znani złodzieje lub włamywacze nie byli przypadkiem widziani tego popołudnia w pobliżu biura porad literackich; przesłuchał wszystkich pracowników budynku, w którym znajduje się biuro; usiłował również zgromadzić jak najwięcej informacji na temat pani Van Heuten i prowadzonej przez nią firmy.

Najbliższy krewny zmarłej mieszkał w Bostonie. W związku z tym jej sejf bankowy mógł być otwarty dopiero następnego dnia. Ale już z samego rana inspektor zamierzał rozpatrzyć całą sprawę pod kontem testamentu.

Następnie komendant zwrócił się do Timothy'ego. — A co ty o tym myślisz, Trant?

Timothy opowiedział mu o taktownym i nieoficjalnym przesłuchaniu Tolfreya oraz czterech dam.

— Strasznie to wszystko skomplikowane, sir — zakończył. — A powinno być łatwe jak dwa dodać dwa. Zarówno Tolfrey jak i panna Price przyznają, że poza nimi dwojgiem oraz stałą sekretarką pani Van Heuten nikt nie wiedział o tylnym wejściu do biura. Nikt poza księżną i jej towarzyszkami nie mógł popełnić zbrodni, wchodząc od frontu, chyba że panna Price kogoś osłania. Innymi słowy, powinniśmy wziąć pod uwagę księżnę i pozostałe trzy damy, Tolfreya, pannę Price oraz jej siostrę, która prawdopodobnie jest teraz daleko stąd, gdzieś w północnej Pensylwanii. Siedmioro podejrzanych. Logicznie biorąc, to jeśli w ciągu pierwszych godzin śledztwa udaje się zawęzić grono podejrzanych do siedmiu osób, sprawa powinna ruszyć z kopyta.

— Chyba jednak — powiedział wolno komendant — możemy wykluczyć z tego grona Patrycję Cheney i jej przyjaciółki, co, Trant? Jaki motyw mogłyby mieć takie znane osobistości?

— Bóg jeden wie — odparł Timothy. — Ale jaki motyw mogłyby ktokolwiek mieć, by zamordować Klarę Van Heuten, która była chyba najbardziej poważaną osobą w Nowym Jorku? Takich ludzi po prostu się nie morduje. Dlatego to wszystko wygląda tak podejrzanie.

— Zawsze mogło chodzić o testament — wtrącił Jervis.  
— Nie wiem, jak jakikolwiek testament mógłby wytłumaczyć te wszystkie dziwne rzeczy, które dzisiaj odkryliśmy — nie ustępował Timothy. — Zacznijmy od tego, że w samej pani Van Heuten było coś podejrzanego. Nie wiem, co to było, ale wydawała mi się jakoś mało wiarygodna.

— Zbyt dobra, żeby była prawdziwa — podsunął komendant.

— Właśnie, sir. Ten jej interes też wydaje mi się podejrzany. Na pierwszy rzut oka wygląda całkiem niegroźnie, z tymi grafomańskimi rękopisami i stawkami redakcyjnymi wynoszącymi trzy dolary. Ale moim zdaniem firma za dużo zarabiała. Do tego to tylne wejście. Ludzie nie miewają otwartych, tajnych przejść w swoich biurach bez powodu.

— W tym przypadku — zauważył komendant — było ono przeznaczone do wyłącznego użytku Dane'a Tolfreya.

— W nim też jest coś podejrzanego — rzucił Timothy. — To ostatnia osoba, jaką można by sobie wyobrazić w roli najlepszego przyjaciela pani Van Heuten. Dziś po południu dostał od niej czek na okazałą sumę. Jestem prawie pewny, że musiał sobie na nią zasłużyć. Poza tym wdał się w jakąś bójkę z pierwszym dzisiejszym gościem pani Van Heuten — facetem przedstawiającym się jako John Smith. Ten też jest podejrzany. Składa wizytę pani Van Heuten, posługując się fałszywym nazwiskiem. Trudno go będzie zlokalizować. — Uśmiechnął się ze znużeniem. — Ciężko będzie też odszukać dziewczynę, która przepowiedziała morderstwo. To najdziwniejsza postać w tym całym towarzystwie.

— Ale ona akurat nie została wpuszczona do gabinetu — zauważył komendant. — Wiemy przynajmniej, że to nie ona zabiła.

— Możliwe, że wcześniej weszła do gabinetu tylnym wejściem — powiedział wolno Timothy. — A potem celowo zjawiła się w sekretariacie.

— Żeby odsunąć od siebie podejrzenia? — spytał Jervis.

— Dokładnie tak.

— Sprytne — wtrącił komendant. — Ale gdyby rzeczywiście tak było, postarałaby się, żeby sekretarka zapisała jej nazwisko. Nie ma sensu załatwiać sobie alibi i robić to tylko połowicznie.

— Poza tym — dodał Jervis — jeśli sekretarka mówi prawdę, skąd ta dziewczyna mogła wiedzieć o tylnym wejściu?

— To sprowadza nas do punktu wyjścia — westchnął Timothy.  
— Mamy jedynie słowo sekretarki na dowód tego, że ta dziewczyna faktycznie istniała. A panna Price jest równie podejrzana jak cała reszta. Myślę, że kłamie i z pewnością czegoś się boi. — W jego oczach malowała się powaga. — Myślę też, że ma zadatki na przestępcę.

— Jest szansa, że to ona zabiła? — zapytał komendant z nadzieją w głosie.

— Więcej niż tylko szansa. Ale nie rozumiem, dlaczego miałyby to zrobić. Pracowała w tym biurze od tygodnia.

— Może pani Van Heuten działała jej na nerwy — podsunął zgryźliwie Jervis.

W tej samej chwili zabrzączał stojący na biurku telefon. Komendant podniósł słuchawkę, słuchał w milczeniu, po czym odłożył ją na widelki z westchnieniem ulgi.

— Bogu niech będą dzięki — powiedział. — Sprawdzili odciski palców, które zdobyłeś, Trant. Były trochę niewyraźne, ale wystarczająco czytelne, aby stwierdzić, że żaden z nich nie pokrywa się z tymi, które znaleźliśmy na nożu.

Timothy wzruszył ramionami. — Miałem przecucie, że będą należeć do pani Hobart. Głupiec ze mnie.

Komendant przyjrzał mu się uważnie. — Nie myślisz chyba, że te kobiety były w to zamieszane?

— W coś są z pewnością zamieszane — odparł Timothy. — Na przyjęciu były diabelnie roztrzęsione. Poza tym, dlaczego przyszły tam we cztery? Najwyraźniej nie po to, żeby się dobrze bawić.

— Powiedziałeś przecież, że zatrzymały się u księżnej — zauważył komendant.

— Co tylko czyni tę sprawę jeszcze bardziej podejrzaną. Patrycja Cheney to pierwsza snobka Nowego Jorku, zwłaszcza teraz, gdy zdobyła ten swój tytuł. Dlaczego miałyby zapraszać do siebie drugorzędną gwiazdkę filmową i pyskącą pisarkę? I dlaczego odwiedziły biuro porad literackich taką zwartą grupą? Jeżeli poszły tam po poradę literacką, osobiście zjem ich maszynopisy, tak beletrystykę, jak i literaturę faktu.

— Utrudniasz sobie sprawę — westchnął komendant.

— A będzie jeszcze trudniej — mruknął Timothy. — Nadal nie dotarłem do pozostałych osób z listy — Roberta Bristola i Dereka Muira. Ale mam paskudne przeczucie, że oni też są jakoś wplątani w to morderstwo. Dziewięć osób — i wszystkie podejrzane.

## 8.

Przez kolejnych parę minut komendant omawiał zadania każdego z oficerów. Inspektor Jervis miał się zająć rutynową stroną śledztwa, podczas gdy Timothy Trant miał się skoncentrować na dziewięciu gościach pani Van Heuten.

— Na tę chwilę nie mamy absolutnie nic na żadnego z nich — podsumował komendant. — Dopóki nie ustalimy motywu, masz być bardzo ostrożny, Trant. Przesłuchaj ich, ale nie jako podejrzanych.

I bądź taktowny. — Uśmiechnął się szeroko. — Ale chyba nie muszę cię uczyć taktu. Mam do ciebie całkowite zaufanie.

Po krótkiej rozmowie z Jervisem Timothy wyszedł z komendy i pospieszył do swojego kawalerskiego mieszkania — jedyne niedogodne policjanta luksusu, na jaki sobie pozwalał.

Choć twardy i profesjonalny na służbie, młody detektyw nie widział powodu, aby prywatnie skazywać się na spartańskie warunki. Jego mieszkanie było wygodne, nie będąc jednocześnie przesadnie nowoczesne ani przygnębiająco dekadentkie. Nie było w nim orchidei, bezcennych *objets d'art* ani białych kruków. Nie było perskich papierosów ze specjalnie tłoczonym monogramem ani oryginalnie rzeźbionych fajek z pianki morskiej czy jakiegokolwiek innego materiału. Przy jego łóżku nie leżało oprawne w cienką skórę wydanie *Religio Medici*\*. Zaś jego kolorowy służący, Oscar, chociaż całkiem przydatny, nie przedstawiał sobą większej wartości.

\* Wydany w 1643 roku traktat Sir Thomasa Browne'a; w swoim czasie europejski bestseller.

Timothy był człowiekiem praktycznym, dla którego mieszkanie było miejscem, gdzie można szybko coś zjeść i się przespać, nie zaś udużnionym wnętrzem, na tle którego mógłby się dobrze prezentować.

Jedząc pospiesznie przygotowany przez Oscara prosty posiłek, rozmyślał o tym, jak mało udało mu się dotąd dowiedzieć o człowieku, który zamordował intrygującą i powszechnie szanowaną panią Van Heuten. Był niemal pewien, że oto ma do czynienia z przeciwnikiem godnym policjanta. Timothy lubił, gdy ścigani przez niego mordercy byli godnymi przeciwnikami. Przestępcy popełniający swoje zbrodnie bez przekonania byli dla niego równie mało pociągający, co obojętny byk dla torreadora. I, podobnie jak torreador, Timothy nigdy nie tracił szacunku dla godnego siebie przeciwnika, nawet jeśli miał szczęście go pokonać. Szczery podziw skłonił go kiedyś do przesłania bukietu róż pewnej czarującej i pozbawionej skrupułów morderczynie na godzinę przed jej aresztowaniem. Zaś przed niecałym miesiącem pożyczył jeden ze swoich garniturów wybitnie elegancjemu młodemu zabójcy, cierpiącemu z powodu zniszczenia swojej odzieży podczas aresztowania, w trakcie którego mężczyzna ów stawiał gwałtowny opór. Timothy zadziałał wówczas pod wpływem impulsu i autentycznego podziwu dla arogancji młodego dandysa. Osobiście zatroszczył się o to, aby garnitur mordercy wyprano i wyprasowano w sam raz na rozprawę sądową. Dopiero w ostatniej chwili obudził się w nim detektyw i Timothy nakazał pralni przekazanie garnituru do analizy w laboratorium Wydziału Zabójstw.

Tam też, dzięki wszytkowidzącemu oku nauki, odkryto przyczepione do tkaniny drobinki, które mogły pochodzić jedynie z miejsca zbrodni, zaś test benzedynowy\* wykazał na jednym z rękawów obecność krwi, która — choć niemal niewidoczna — okazała się jednak kluczowym dowodem w sprawie, przesądzając o wysłaniu mordercy na krzesło elektryczne.

\* Benzedyna — organiczny związek chemiczny, w kryminalistyce służący do wykrywania śladów krwi.

Można powiedzieć, że współlistniejący w Timothy impulsywny młody człowiek i wnikliwy detektyw zawsze pracowali ręką w rękę. Była to jedna z tajemnic jego sukcesu.

Właśnie wstawał od stołu, gdy zadzwonił telefon. W słuchawce odezwał się ponury głos:

— Trant? Tu Barnes. Jervis kazał mi śledzić gościa o nazwisku Tolfrey. Mam się panu meldować.

— Zgadza się — odparł żywo Timothy. — Spodziewałem się waszego telefonu.

— No więc jestem w hotelu Regina. Tolfrey się tam zatrzymał. Przyszedł prosto z tego mieszkania przy Park Avenue. Na moje oko to podejrzany typ. Pierwsze, co zrobił, to zrealizował czek u kierownika hotelu. A potem posłał po gońca z Western Union.

— Świetnie. Coś jeszcze?

— Powoli zaprzyjaźniam się z hotelową telefonistką. — Ponury głos przybrał teraz jeszcze bardziej ponure tony. — Całkiem przyjemna blondyna. Nie pozwoliła mi podsłuchiwać rozmów, bo, jak mówi, wyleją ją za to z pracy, a ja póki co nie zdradziłem się, że jestem z policji. Ale podała mi trzy numery, z którymi Tolfrey zamawiał połączenia. — W słuchawce rozległ się szelest papieru. — Chce pan, żebym je sprawdził?

— Nie, sam to zrobię.

— W porządku. Lipscombe 2-1916, Derwent 3-2683, Uniwersytet 4-3200. W tej kolejności.

Timothy zanotował numery telefonów. — Dobra robota, Barnes. Informujcie mnie na bieżąco. A jeśli nie będzie mnie w domu, dzwońcie aż do skutku.

Następnie zatelefonował do Jervisa i przekazał mu numery. — Niech pan je sprawdzi, inspektorze — powiedział. — Jeżeli pojawi się coś ciekawego, niech pan przydzieli komuś obserwację tych miejsc. Sam też się tym zajmę.

Potem skontaktował się z centralą telefoniczną w Lipscombe i przekonawszy telefonistkę, iż dzwoni z komendy głównej policji, uzyskał informację, że numer Lipscombe 2-1916 należy do pani Sary Perkins z ulicy Zachodniej Sto Dwudziestej Czwartej.

Pani Sarah Perkins nie wydała mu się zbyt obiecującym kąskiem. Ale zasługiwała przynajmniej na rozmowę.

Taksówka zawiozła go na Zachodnią Sto Dwudziestą Czwartą i zatrzymała się przy kwartale nędznych, posepnych zabudowań. Dom pani Perkins wydawał się być nawet nieco bardziej nędzny i posepny niż pozostałe. Szarozółte rolety zasłaniały brudne okna. W świetle ulicznej lampy Timothy przeczytał napis na splewiałej, drewnianej tablicy wiszącej na murze, która głosiła niezachęcająco: „Pokoje do wynajęcia”.

A zatem pensjonat. To już brzmiało lepiej.

Wybierając się z wizytą na Zachodnią Sto Dwudziestą Czwartą Timothy dwa razy zmieniał zdanie co do tego, czy nie powinien założyć innej koszuli. Teraz rozluźnił nieco rdzawoczerwony krawat i nacisnął dzwonek. Po zaledwie kilku sekundach drzwi uchyliły się, ukazując jego oczom dość nijaką kobietę, roztaczającą wokół siebie zapach wczorajszego pudru i zeszlotygodniowej kapusty.

— Pani Perkins? — upewnił się grzecznie Timothy.

— Tak. O kogo chodzi?

Zaskoczyła go. Timothy nie miał zielonego pojęcia, z kim właściwie powinien porozmawiać. Powziął jednak silne podejrzenie, że osobą tą nie jest pani Perkins. Wymamrotał więc niewyraźnie:

— Ja... Eee... Przyszedłem do jednego z lokatorów. Do... Eee...

— Mogłam się domyślić, o kogo *panu* chodzi — przerwała pani Perkins sarkastycznym tonem. — On też nosi takie wymyślne koszule. Cóż, młody człowieku, jeśli chcesz się z nim zobaczyć, zaoszczędzisz mi kłopotu, przypominając panu Muirowi, że od dwóch miesięcy zalega z czynszem i...

— Panu Muirowi? — powtórzył Timothy.

— A to nie z nim chce się pan widzieć?

— Ależ jak najbardziej.

Pani Perkins z pewnością zasługiwała na rozmowę. Oto kolejny dowód na istnienie związku pomiędzy Tolfreyem a pozornie niewinnie wyglądającą listą gości pani Van Heuten. Najpierw ów tajemniczy John Smith, który, jak wynikało ze słów samego Tolfreya, pobił go wcześniej tego popołudnia. A teraz okazuje się, że Tolfrey telefoniował do Dereka Muira, którego nazwisko figurowało na liście jako trzecie.

— Piąte piętro, w głębi — warknęła pani Perkins, wpuszczając go do spowitego wyjątkowo przykrymi woniami hallu. — Może pan też powiedzieć panu Muirowi, że skoro ten goniec z Western Union przyniósł mu pieniądze — a wiem, że tak było, bo spytałam — to niech mi lepiej zapłaci, albo... — Wrzaskliwe crescendo osiągnęło szczytowe natężenie, a w jej głosie zabrzmiała groźba. — Albo sama do niego pójdę, bez względu na moje żylaki.

Pieniądze... Western Union! Ta jedna uwaga pani Perkins zaoszczędziła detektywowi kilku godzin pracy. Tolfrey zrealizował czek



pani Van Heuten u kierownika hotelu i posłał po gońca z Western Union. Nie trzeba być tutaj wielkim śledczym, żeby zgadnąć, do kogo trafiły te pieniądze.

Ale skąd taki pośpiech? I dlaczego akurat Derek Muir?

Timothy prawie skręcił kark, pędząc na górę po słabo oświetlonych schodach.

Na piątym piętrze zauważył tylko jedne drzwi. Zapukał, a ospały głos zawołał: — Proszę! — i detektyw znalazł się nagle w najbardziej obskurnym pokoju, jaki kiedykolwiek widział. A wyjątkowo przystojny młody mężczyzna, w ciemnoniebieskiej koszuli i bez spodni, leżał wyciągnięty na łóżku, wpatrując się w swoje zamszowe buty. Jego zblazowana elegancja pozostawała w jaskrawym kontraście z nędzą otoczenia.

— Gość. Jak miło. — Mężczyzna zmierzył Timothy'ego obojętnym spojrzeniem swoich wielkich oczu. — Proszę wybaczyć mój polowiczny negliż, ale o spodnie trzeba dbać. Jeżeli koniecznie musi pan usiąść, radziłbym omijać to czerwone, pluszowe szkaradzieństwo.

— Dziękuję, tak zrobię. — Timothy przysunął sobie jedyne wolne krzesło. I z zainteresowaniem przyjrzał się ekstrawaganckiemu młodemu człowiekowi.

— Wygląda pan całkiem po ludzku. — Muir przeciągał słowa. — Ale podejrzewam, że jest pan tylko kolejnym wcieleniem żyłaków Madame Perkins. Nie może chodzić po schodach, więc co i raz przysyła na górę różnych dziwnych emisariuszy. A może przyszedł pan zabrać moją ostatnią żarówkę? Mam nadzieję, że zostawi mi pan przynajmniej telefon.

— Nic mnie nie łączy z panią Perkins — odparł Timothy.

— W takim razie, jeśli to nie jest zbyt nieuprzejme pytanie, kim pan właściwie jest?

Derek Muir wstał z łóżka i podszedł do zaplamionego lustra, otoczonego wianuszkami zdjęć różnych blondynek. Od niechcenia przejechał szczotką po swoich gęstych, czarnych włosach.

— Jestem policjantem — oznajmił Timothy.

Odchylił nieco połą kamizelki, na wpeł odsłaniając swoją odznakę. Muir przyjrzał się jej, unosząc lekko brwi, po czym zmierzył wzrokiem koszulę Tranta.

— Od kiedy to policja prenumeruje „Świat Mody”?

— Policja, proszę pana, prowadzi dochodzenie w sprawie morderstwa pani Van Heuten.

— Spodziewałem się tego, od kiedy przeczytałem krótką, lecz jakże trafnie sformułowaną notatkę w prasie. — Derek Muir odłożył szcztokę na miejsce i ponownie opadł na wyleżały materac. — Ta dziwna sekretarka wyglądała mi na taką, co ma dobrą pamięć do nazwisk. — Wzruszył ramionami. — Przynajmniej spotyka mnie coś oryginalnego. Przez całe dotychczasowe, pozbawione przygód życie policja nigdy nie zaszczyciła mnie swym zainteresowaniem... Czego zatem oczekuje teraz ode mnie wymiar sprawiedliwości?

— Wymiar sprawiedliwości — odparł Timothy — chciałby się dowiedzieć, dlaczego dzisiejszego popołudnia złożył pan wizytę pani Van Heuten.

— Może pan mi to powie — westchnął Derek Muir. — Pożalowania godna strata czasu. To znaczy, byłaby to strata czasu, gdyby czas miał jakiegokolwiek znaczenie.

— Rozumiem, że miał pan jakiś powód, aby złożyć jej wizytę?

— Zupełnie nietrafiony. Miałem nadzieję otrzymać słynną poradę pani Van Heuten odnośnie... mojego maszynopisu.

Timothy wyczuł lekkie wahanie w jego zblazowanym głosie, właściwie niemal niedostrzegalne. Pan Muir najwyraźniej równie mocno wierzył w swoje umiejętności radzenia sobie z policją, jak w swój talent do formułowania błyskotliwych ripost.

— A zatem jest pan pisarzem? — spytał Timothy.

— Hollywood nie poznało się na moim talencie, więc chwyciłem za pióro.

— Dużo już pan wydał?

— To bardzo nietaktowne pytanie. Moja twórczość nie pojawiła się jeszcze drukiem.

— Więc pisanie nie jest pana jedynym źródłem utrzymania?

— Jedynym źródłem utrzymania, jakie posiadam. — Derek Muir machnął lekceważąco ręką. — I jak może pan ocenić po mojej siedzibie, nie przynosi mi ono zbyt wygórowanych dochodów.

Spojrzenie Timothy'ego zatrzymało się na nowiutkim, szaroniebieskim garniturze, starannie rozwieszonym na wieszaku umieszczonym na ścianie.

— Ten strój świadczy o tym, że ostatnio lepiej się panu powodzi.

— Niestety, to tylko złudzenie! Niektóre sklepy aż nazbyt optymistycznie udzielają kredytu. Rodowity nowojorczyk z łatwością może wywieść je w pole...

— Do rzeczy — przerwał Timothy. — Wspominał mi pan o swoich maszynopisach. Czy pani Van Heuten udzieliła panu w tej kwestii porady?

— Z przykrością muszę stwierdzić, że ledwie na nie spojrzała. — Derek Muir westchnął ciężko. — Oznajmiła mi, że nie może mi pomóc, bo nie odpowiada jej uprawiany przeze mnie gatunek literacki. Najwidoczniej doradza tylko tym autorom, z którymi łączy ją specjalna duchowa więź.

— A czy pobrała od pana opłatę redakcyjną?

— Nie, skądże. Była na to zbyt wielką damą. Nie było porady, nie ma zapłaty.

Sposób prowadzenia interesów przez biuro porad literackich Van Heuten był coraz bardziej zastanawiający. Jak to możliwe, że pani Van Heuten, której jedynym źródłem utrzymania były rzekomo opłaty redakcyjne, mogła sobie pozwolić na odmawianie potencjalnym klientom? Timothy uniósł głowę; spojrzenie jego szarych oczu było doskonale obojętne.

— A tak przy okazji, panie Muir, czym właściwie zajmowało się to biuro porad literackich?

— Co pan ma na myśli?

— Chodzi mi o to, jakie szemrane interesy tam załatwiano?

Tak bezpośrednio postawione pytanie nie zburzyło spokoju Dereka Muira.

— Obawiam się, że jeśli liczył pan na sensacyjne odkrycia, trafił pan do niewłaściwej osoby. Nic bliżej nie wiem na temat biura porad literackich.

— Bo nie był pan ich stałym klientem?

— Niestety, nie zdążyłem zostać nawet zwykłym klientem. Jeżeli chce pan wiedzieć, panią Van Heuten zobaczyłem po raz pierwszy w życiu właśnie tego popołudnia. Niewiele brakowało, a w ogóle bym jej nie poznał, prawda?

— Można tak powiedzieć. — Oczy Timothy'ego patrzyły twardo.

— Według panny Price opuścił pan biuro o godzinie trzeciej czterdzieści. Może mógłby mi pan powiedzieć, co robił później?

— Coś mi tu mówi, że powinienem postarać się o dobrego adwokata.

— Po co od razu taki kłopot? — odparł Timothy. — To nie jest oficjalne przesłuchanie. Pan zaś najwyraźniej doszedł do wniosku, że nie ma potrzeby mówić mi prawdy.

— To chyba zrozumiałe, że nie mówi się prawdy policjantowi? — W głosie Muira zabrzmiał kpiący ton. — Na szczęście dla mnie prawda jest wyjątkowo niekłopotliwa. Po wyjściu z biura o trzeciej czterdzieści wcale nie zakradłem się do gabinetu potajemnie tylnym wejściem o trzeciej czterdzieści trzy i nie dźgnąłem pani Van Heuten nożem do papieru.

— Skąd przypuszczenie, że było tam tylne wejście? — spytał obojętnie Timothy.

— O, z pewnością musiało być. — Muir uśmiechnął się, w ogóle nie zbity z tropu. — Przecież mordercy zawsze zakradają się potajemnie tylnym wejściem, prawda?

— A więc to tylne wejście istnieje jedynie w pańskiej wyobraźni pisarza? — upewnił się Timothy. — W takim razie, co pan *zrobił* po wyjściu z biura?

— Wróciłem do mojego ukochanego gniazdka.

— Pani Perkins to potwierdzi?

— Nie sądzę. Robiłem, co mogłem, żeby uniknąć spotkania z nią. Od czasu do czasu jej chciwość w kwestii zaległego czynszu wygrywa z żylakami i wtedy rzuca się za mną w pogoń.

— Zatem nie ma pan wiarygodnego alibi?

— Tylko to pożałowania godne — odparł ze smutkiem Muir. — Ale jestem pewien, że nie można mnie na poważnie zaliczyć w poczet podejrzanych. Po pierwsze, mało kto morduje kobietę, którą poznał dziewięć minut wcześniej. Pani Van Heuten nie była zaś na tyle młoda i ponętna, aby obudzić demona seksu, drzemiącego w każdym z nas.

Timothy popatrzył nań bez uśmiechu. — A mógłby mi pan pokazać maszynopis, który odrzuciła pani Van Heuten?

Derek Muir milczał przez chwilę. Potem mruknął:

— Obawiam się, że nie mam go przy sobie. Pożyczyłem go przyjacielowi do przeczytania, no a...

— Dysponuje pan tylko jednym egzemplarzem? — dokończył Timothy. — No cóż, właśnie miałem wezwać taksówkę. Zabierze się pan ze mną i razem odbierzemy maszynopis od pana przyjaciela.

— E, nie. To znaczy... — Policzki Muira oblał ciemny rumieniec. — On mieszka tuż za rogiem. Jeżeli zdoła pan wytrzymać jeszcze kilka minut w tym przeuroczym pokoiku, sam go przyniosę.

— Niech pan tylko nie zrobi niczego głupiego i nie zapomni tutaj wrócić, dobrze?

— Mój drogi przyjacielu, jestem na to zbyt leniwy.

Derek Muir zaskakująco szybko wdział swój szaroniebieski garnitur i wybiegł z pokoju. Zajęło mu to nie więcej niż minutę.

Timothy był zdziwiony tą nagłą gotowością odzyskania maszynopisu od „przyjaciela, który mieszka tuż za rogiem”. Dziwiło go zresztą wszystko, co dotyczyło Dereka Muira. Podobnie jak pozostałe osoby uwikłane w tę sprawę, również ten młody człowiek był wysoce podejrzany.

Mając pokój tylko dla siebie, Timothy gruntownie go przeszukał, mając nadzieję znaleźć coś interesującego. Przynajmniej pozory zdawały się mówić prawdę o Dereku Muirze — wszystko wskazywało na to, że jest niczym niewyróżniającym się człowiekiem. Szuflada toaletki pełna była nieporządnie upchniętych, starych listów. Timothy przejrzał kilka z nich. Ku jego zaskoczeniu, ich treść okazała się całkowicie niewinna i pozbawiona jakiegokolwiek elementu tajemnicy. Po licznych zachętach, aby ich adresat nosił ciepłą bieliznę, niezmiennie następowały zapewnienia, że zawsze będzie mile widziany w swoim ubogim domu, w małym miasteczku w stanie Iowa. Pod spodem widniał podpis: „Twoja kochająca matka”. A większość z tych listów była zaadresowana do Dereka Muira, rezydenta pewnego hotelu w Hollywood. Widniał na nich znaczek z niedawną datą.

Listy matki Dereka Muira zadawały kłam słowom jej syna, podającego się za rodowitego nowojorczyka. Koperty służyły też najwyraźniej jako kryjówka, z której Derek Muir korzystał, chcąc uchronić się przed pazernością pani Perkins. W kilku z nich Timothy znalazł ukryte banknoty o łącznej sumie dwustu pięćdziesięciu dolarów.

Widocznie po zrealizowaniu czeku od pani Van Heuten Dane Tolfrey zatrzymał dla siebie sto dolarów, a resztę przesłał nikomu

nieznanemu, klepiącemu biedę młodzieńcowi. Derek Muir był zdecydowanie tajemniczą postacią.

Timothy Trant utwierdził się w tym przekonaniu, gdy oglądając drewnianą ramę lustra, znalazł kawałek tekturki, zatknięty za fotografię skąpo odzianej blondynki. Była to wizytówka Dane'a Tolfreya i widniały na niej słowa:

*Klara Van Heuten,  
biuro porad literackich.  
Prośba o przyjęcie pana Dereka Muira,  
człowieka o zabójczych talentach.*

Marszcząc czoło z zastanowieniem, Timothy wsunął do kieszeni wizytówkę z jakże niekonwencjonalną charakterystyką. W tej samej chwili drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł Derek Muir. Młody człowiek był zdyszany jak po szybkim biegu. W rękach dzierżył maszynopis.

— Oto moje arcydzieło! Nie wiem, czy policja ma jakieś wpływy w sferach wydawniczych. Jeśli tak, może mógłby pan szepnąć za mną ciepłe słówko...

Timothy wziął od niego gruby plik kartek. U góry pierwszej strony wypisano nazwisko i adres Muira. Detektyw przebiegł wzrokiem kilka akapitów. Były zaskakująco dobrze napisane. A już na pewno, sądząc po tych paru zdaniach, była to o wiele bardziej obiecująca lektura niż przyjęte przez panią Van Heuten maszynopisy, które miał okazję przejrzeć w biurze porad literackich.

Zerknął na Muira zaintrygowany. — Pani Van Heuten to odrzuciła?

— Z wielkim przekonaniem. — Muir ponownie zdjął garnitur i umieszczał go teraz na wieszaku z pieśczośliwą troskliwością.

— Dziwne. Wygląda mi to na całkiem niezłą opowieść.

— Pochlebia mi pan.

— Pochlebię panu do tego stopnia, że pozwolę sobie ją zatrzymać.

Palce Dereka Muira znieruchomiały na wieszaku. — Ale... Ale to jedyny egzemplarz, a zresztą...

— Proszę się nie niepokoić. Dostanie pan go z powrotem. — Timothy uśmiechnął się. — A tymczasem niech pan się nie zraża brakiem

entuzjazmu pani Van Heuten, panie Muir. Przy odrobinie wytrwałości powinien pan zarobić na pisaniu wystarczająco dużo, żeby nie być zmuszonym pożyczać od pana Tolfreya...

Derek Muir odwrócił się wolno w jego stronę. — Jeśli to ma być przysłowiowy strzał w ciemno, panie policjancie, to obawiam się, że załóżnie pan spudłował. Nie znam żadnego pana Tolfreya.

— Nie zna pan? — Timothy wyjął z kieszeni wizytówkę Tolfreya i rzucił ją Muirowi.

Młody człowiek wzruszył ramionami, zupełnie niezmiyszany.

— Widzę, że się pomyliłem — mruknął. — No cóż, znam pana Tolfreya. Zapewniam pana jednak, że jego nazwisko całkiem wyleciało mi z pamięci. Ten człowiek, który dał mi tę wizytówkę, był tylko jakimś pijaczną, którego przypadkiem spotkałem w barze w Longval.

— I który był na tyle pijany, żeby podać nazwisko i adres pani Van Heuten całkowicie obcemu człowiekowi?

— Właśnie. Widzi pan, zainteresował go jakże dla mnie ważny temat moich niesprzedanych maszynopisów.

— A dlaczego przedstawił jej pana jako człowieka o zabójczych talentach?

— Ach, to. — Muir znów uśmiechał się obojętnie. Przyjrzał się Trantowi z lekką drwiną. — Znowu pudło, panie policjancie. Pan Tolfrey odniósł się w ten sposób do uprawianego przez mnie gatunku literackiego, którym — tak się składa — jest kryminał psychologiczny.

— Tekst, który mi pan dał, nie wygląda wcale na kryminał.

— O, to tylko taki eksperyment, poza moim zwykłym polem zainteresowań. Może właśnie dlatego pani Van Heuten go odrzuciła.

Opanowawszy sytuację, Derek Muir znowu wyciągnął się swobodnie na łóżku.

— A tak przy okazji — zapytał, przeciągając słowa — znalazł pan jeszcze coś ciekawego w moich osobistych rzeczach?

— Tylko te dwieście pięćdziesiąt dolarów, które przesłał panu Dane Tolfrey.

— A więc to stąd się wzięły! — Derek Muir usiadł gwałtownie na łóżku z wyrazem udanego zaskoczenia na twarzy. — Policja jest naprawdę nieocenionym źródłem informacji. Zachodziłem w głowę, kto mógł zabawić się w dobrą wróżkę. Tuż przed pana wizytą doszedłem

do wniosku, że był nią ów ekscentryczny posłaniec z Western Union, który jakimś cudem dowiedział się o moich kłopotach z krawcem i Madame Perkins.

— Twierdzi pan, że nie wiedział, od kogo pochodziły pieniądze?

— Tak właśnie twierdę.

Timothy zrobił krok w stronę łóżka, wbijając w Muira twarde spojrzenie.

— Jest pan niezwykle zabawnym młodym człowiekiem, panie Muir, ale jako psycholog kryminalny powinien pan wiedzieć, że policji zdarza się czasami tracić poczucie humoru. A propos, mam nadzieję, że kiedy ja będę sprawdzał te najbardziej rażące nieścistości w pańskiej wersji wydarzeń, nie opuści pan domu pani Perkins. Byłoby nam niezmiernie przykro, gdyby wyjechał pan nagle do... powiedzmy... Iowy. Ale przecież rodowitemu nowojorczykowi nie przyszłoby do głowy wybrać się w równie niecywilizowane strony, mam rację?

Po raz pierwszy Derek Muir wyglądał na autentycznie zmieszanego. Silny rumieniec zdradził jego gniew i zakłopotanie zarazem.

— Mam nadzieję, że lektura listów mojej matki sprawiła panu przyjemność. Moim zdaniem ma dość cięte pióro, zgodzi się pan ze mną? — Poderwał się z łóżka. — Skoro jest pan tak przerażająco wszechwiedzący — powiedział — lepiej będzie, jeśli uprzedzę kolejne wścibskie pytanie i od razu przyznam się do drobnej nieścistości w moich zeznaniach.

— Do jeszcze jednej? Nie może być! — zauważył ironicznie Timothy.

— Chodzi o moje poczynania dzisiejszego popołudnia. — Muir poszperał w pustym pudełku papierosów, po czym był zmuszony przyjąć papierosa od detektywa. — Ze zrozumiałych względów nie wspominałem o tym, że po wyjściu od nieszczęsnej Klary zabawiłem nieco w okolicy biura. Motywy, jakie mną kierowały, były raczej natury romantycznej niż krwiożerczej. Gdy wychodziłem, wpadły mi w oko cztery kobiety przecudnej urody. Nawet gdybym nie znał żadnej z nich, musi pan przyznać, że nie było nic dziwnego w fakcie, iż postanowiłem zaczekać w nadziei ponownego ich ujrzania.

— I ujrzął je pan ponownie? — zapytał ostro Timothy.



— Owszem. Dosyć dobrze znam obecnego, a właściwie już prawie byłego męża Gildy Dawn, zaś ją samą poznałem kiedyś w Hollywood. Pominąwszy oczywiście estetyczną przyjemność płynącą z ponownego z nią spotkania, zamierzałem przede wszystkim odświeżyć cenną znajomość. Czekałem przed budynkiem około dwudziestu minut. Dopiero wtedy zobaczyłem wychodzące na ulicę cztery kobiety.

— Zagadnął pan pannę Dawn?

— Tak. Ale mnie nie usłyszała. Żadna z nich nie zwróciła na mnie uwagi. Wszystkie były, jak to się wulgarnie mówi, mocno wkurzone. Gdy mnie mijaly, usłyszałem, jak Gilda Dawn mówi coś, co — jak podejrzewam — może pana zainteresować...

Derek Muir zgasił papierosa i po raz kolejny lekko drwiący uśmiech wygiął kąciki jego aż nazbyt subtelnych ust.

— Powiedziała: „Dzięki Bogu, już po wszystkim. To spojrzenie zaszczonego zwierzęcia — nigdy go nie zapomnę...”.

## 9.

Wysłuchawszy nieoczekiwanych rewelacji Dereka Muira, Timothy Trant mógł zrobić tylko jedno. Nadszedł czas na złożenie oficjalnej wizyty księżnej Walońskiej i bawiącym u niej paniom. Spodziewając się lodowatego przyjęcia, postanowił nieco je ocieplić. Wstąpił do kwaciarni, by po chwili wyjść z czterema sporymi pudełkami.

Dochodząc do rezydencji Cheneyów przy Sutton Place, zauważył po przeciwnej stronie ulicy policjanta w cywilu, który przechadzał się w tę i z powrotem i usiłował nie rzucać się w oczy. Jervis najwyraźniej wołał nie ryzykować.

Drzwi otworzył Timothy'emu wyniosły kamerdyner, który obrzucił chłodnym spojrzeniem jego pakunki, po czym odezwał się:

— Dostawa? Proszę wejść od tyłu.

— Nie jestem dostawcą — odparł z powagą Timothy. — Przeszedłem z wizytą do księżnej Walońskiej. Nazywam się Trant.

Kamerdyner wprowadził go do przestronnego hallu, którego ściany wypełniały rodzinne portrety. Z ich ciężkich, złożonych ram spoglądali gniewnie brodaci Cheneyowie oraz kilku wychudzonych obcokrajowców w perukach — zapewne książęta Walońscy.

— Proszę chwilę zaczekać.

Po odejściu kamerdynera Timothy rozejrzał się szybko po pokoju. Jego wzrok zatrzymał się na aparacie telefonicznym, stojącym na pobliskim stoliku. Widząc go, detektyw wydał pomruk zaskoczenia, po czym odłożył na bok cztery pudełka i wyjął z kieszeni notes. A więc jednak nie mylił się. Drugim numerem, pod który Dane Tolfrey zadzwonił po wyjściu z przyjęcia w domu pani Van Heuten, był numer Derwent 3-2683.

A ten okazał się numerem telefonu księżnej Walońskiej.

To by wyjaśniało obecność przed domem wysłanego przez Jervisa tajniaka. Najpierw Derek Muir, a teraz Patrycja Cheney. Czyżby nie było końca niespodziankom związanym z osobą pana Dane'a Tolfreya?

— Przykro mi, sir. — Kamerdyner wyrósł przy nim jak spod ziemi. — Dziś wieczór księżna nikogo nie przyjmuje.

— Niestety, muszę się z panem nie zgodzić — odparł stanowczo Timothy. — Przyjmie mnie nie tylko księżna, ale także panna Kennet, pani Hobart i panna Dawn. Tak się bowiem składa, że jestem z policji.

Mówiąc to, okazał zaskoczonemu kamerdynerowi swoją policyjną odznakę.

— Przepraszam na chwilę, sir, ja...

Po raz kolejny drewniana posadzka hallu rozbrzmiała odgłosem mocnych kroków kamerdynera. Potem zapadła cisza — długa, złowroga cisza. A jeszcze później ucho detektywa wychwyciło dobiegający z oddali dźwięk — odgłos kroków kilku osób, poruszających się jednocześnie. Wkrótce zaś Timothy usłyszał wyraźny, ostry stukot damskich obcasów, który narastał i narastał.

Następnie przez otwarte drzwi w odległym krańcu hallu weszły cztery kobiety — księżna Walońska i jej trzy niezwykle przyjaciółki.

Swoim *entré* na przyjęciu koktajlowym w domu pani Van Heuten zrobiły na wszystkich nie lada wrażenie. Teraz ich wejście było już co najmniej teatralne. Wszystkie cztery miały na sobie wieczorowe suknie. Księżną spowijała czerń, Gildę Dawn ognista czerwień, Beatrice Kennet szafran, a Susan Hobart śnieżna biel. W ich kroku, gdy tak zbliżały się do Timothy'ego, było coś dziwnie kojarzącego się z

wojskiem. Księżna była niewątpliwie *generalissimusem*, lecz każda z kobiet na swój sposób robiła wrażenie gotowej do walki.

Cała czwórka zatrzymała się przed detektywem i stojąc, mierzyła go wrogim spojrzeniem. Żadna z dam nie uznała za stosowne przemówić.

— Dobry wieczór. — Timothy popatrzył na Susan Hobart. — Mam nadzieję, że pani Hobart doszła już do siebie po dzisiejszym omdleniu.

Mała milionerka wymamrotała: — Och, tak, dziękuję.

Zapadło ciężkie milczenie.

Timothy zaczął rozpakowywać pudełka z kwiatami. Następnie, uśmiechając się do księżnej, powiedział: — Jak słyszałem, w rodzinnym kraju pani męża nie przekracza się progu domu, nie przynosząc jakiegось podarku. Pozwoliłem więc sobie kupić coś dla każdej z pań.

Z pierwszego pudełka wyjął bukiet dwunastu pasowych róż.

— To dla pani, księżno. Podobno nazywają ten gatunek „Amerykańska Piękność”.

Detektyw odłożył je bez słowa na blat stolika i z kolejnego pudełka wyjął bukiet ogniście czerwonych róż.

— Nie znam nazwy tego gatunku, panno Dawn. Ale kwiaty są cudowne. I tak się szczęśliwie składa, że pasują do pani sukni.

Automatycznie i całkiem bezwiednie Lady Lotus odegrała rolę Gwiazdy Kina Przyjmującej Kwiaty i na chwilę przytuliła róże do swojego fotogenicznego policzka, po czym, widząc spojrzenie księżnej, rzuciła je wzgardliwie na stolik, tuż obok bukietu „Amerykańskich Piękności”.

Timothy podawał tymczasem tuzin pomarańczowych róż Beatrice Kennet. — „Dzień Niepodległości”, panno Kennet. Uderzająco piękny i trwały produkt krajowy.

— Przypuszczalnie dla tych, którzy nie lubią zmian — warknęła pisarka. — Nie potrzebuję prezentów od policji.

Niezmieszany, Timothy wyjął ostatni bukiet róż, pachnących i białych jak śnieg.

— To dla pani, pani Hobart. Ten gatunek nazwano na cześć małżonki Carla von Deuschki. Nietrwały, wrażliwy i bojaźliwy kwiat.

W pierwszym odruchu Susan Hobart wydała okrzyk zachwytu i przycisnęła róże do piersi.

— Och, moje ulub... — zaczęła i urwała, słysząc oschły ton księżnej Walońskiej:

— Może przeszedłby pan do rzeczy, panie Trant?

— Obawiam się, że mój słowiański gest nie spodobał się paniom.

— Timothy wzruszył przepaszająco ramionami. — Szkoda, chciałem w ten sposób przeprosić za dość niewyszukany podstęp, do jakiego uciekłem się dzisiaj popołudnia.

— Ma pan na myśli ten dziwaczny wyczyn z tacą z tartinkami? — spytała Beatrice Kennet. — Taki robiony na Holmesa.

— I to w karykaturalnym wydaniu — zgodził się Timothy. — Ale mogę panie uspokoić — eksperyment się nie powiódł. Chociaż odciski palców nie były zbyt wyraźne, żaden z nich nie pasował do tego znalezionego na nożu, którym zamordowano panią Van Heuten.

Oczy Gildy Dawn zalśniły złowrogo spoza firanki czarnych rzęs. Wychodząc na moment z roli, zawołała: — Żółtodziób z pana, co?

— Nie żółtodziób, panno Dawn. Po prostu mam w zwyczaju postępować delikatnie. — Timothy przysiadł na krawędzi stolika, na którym znajdował się telefon. — Staram się być nieco bardziej subtelny niż przeciętny detektyw. Jeśli panie tego nie docenicie, cała moja praca na nic. I gdy następnym razem zostaniecie uwikłane w morderstwo, będziecie miały do czynienia z o wiele bardziej przykrym policjantem, który być może starannie sprawdzi wasze alibi, będzie grzebać w waszych osobistych sprawach i rysować parkiet podbitymi buciorami. Jestem pewien, że księżnej by się to nie spodobało.

Było całkiem jasne, że księżnej by się to nie spodobało. Równie jasne jak to, że jej cierpliwość dobiegła kresu.

— Nie mamy do powiedzenia nic, co mogłoby w jakikolwiek sposób pomóc w rozwiązaniu zagadki śmierci biednej Klary — rzuciła.

— Jeśli mimo to musi nas pan przesłuchać, miejmy to już z głowy.

— Doskonale, księżno. Jako że to tylko wstępna rozmowa, nie zajmę paniom wiele czasu. Co dokładnie skłoniło panie do odwiedzenia *en masse*\* biura porad literackich dzisiaj popołudnia?

\* (z łac.) w wielkiej ilości, masowo.

Cztery kobiety przysunęły się bliżej siebie, instynktownie zwierając szeregi. Przez chwilę milczały, po czym Patrycja przemówiła:

— Zaniosłyśmy pani Van Heuten nasze opowiadania.  
— Opowiadania? — Timothy z niedowierzaniem uniósł w górę lewą brew. — Wszystkie cztery? Przecież na przyjęciu...

— Na przyjęciu powiedziałyśmy jedynie, że nie byłyśmy jej klientkami — przerwała mu Gilda Dawn, wchodząc znowu w rolę Lady Lotus i przeciągając leniwie słowa. — I nie byłyśmy nimi. Ale tak się składa, że każda z nas napisała opowiadanie. Wydawało nam się, że będzie zabawnie...

— ...dać je pani Van Heuten do przejrzenia. Rozumiem. — Timothy zwrócił się do Beatrice Kennet. — A tak przy okazji, panno Kennet, skoro nie była pani klientką biura porad literackich Van Heuten, to dlaczego pani nazwisko widnieje wypisane dużymi literami na prospekcie reklamowym firmy? O ile sobie przypominam, powiedziała pani, cytując: „Świat nigdy się nie dowie, ile zawdzięczam pani Van Heuten”.

— Chyba mogę odpowiedzieć na to pytanie, nie narażając się na podejrzenia. — Beatrice Kennet przyglądała dłonią swoją kształtną, krótką fryzurę. — Miałam w życiu gorszy okres. Na krótko przed tym, jak wyszłam za męża. Alkohol, kłopoty i tak dalej. Pilnie potrzebowałam gotówki. Pani Van Heuten zaproponowała mi tysiąc dolarów za to jedno zdanie. Zgodziłam się.

— A więc w rzeczywistości zawdzięczała pani pani Van Heuten tysiąc dolarów. Chyba się trochę pogubiłem. Na przyjęciu powiedziała mi pani, że nigdy nie pokazałyby jej żadnego swojego tekstu, a mimo to dziś po południu zaniosiła jej pani swoje opowiadanie.

— Nie ma w tym chyba nic zdrożnego, prawda? Pozostałe panie wybierały się ze swoimi opowiadaniem. Pomyślałam, że mogę im towarzyszyć.

— Nie chciałbym wyjść na niedowiarka — nie ustępował Timothy. — Ale nie znaleźliśmy w biurze żadnych opowiadań podpisanych waszymi nazwiskami. Oczywiście, mogły panie użyć *noms de plume*\*. Albo też pani Van Heuten mogła odmówić przyjęcia wszystkich czterech maszynopisów. Mam wrażenie, że lekką ręką pozbawiała się w ten sposób zarobku.

Timothy wyczuł nerwowe poruszenie w zwartej czteroosobowej drużynie.

\* (z franc.) — pseudonim literacki.

— Wcale nie powiedziałyśmy, że pani Van Heuten zatrzymała nasze maszynopisy — powiedziała prędko Gilda Dawn. — Prawdę mówiąc, była wtedy bardzo zajęta, więc zabrałyśmy je ze sobą. Zamierzałyśmy przyjść z nimi ponownie następnego dnia.

Timothy uśmiechnął się szeroko. Popatrzył po nieprzenikniętych twarzach, unosząc w górę dłoń niczym licytator czekający na podbicie stawki.

— Jeszcze jakieś wyjaśnienie? Nie? W porządku. Sprzedane. — Utkwił wzrok w Patrycji. — Podobno po wyjściu z gabinetu pani Van Heuten oznajmiła pani sekretarce, że jej chlebodawczyni życzy sobie, aby pod żadnym pozorem nie przeszkadzano jej aż do godziny piątej.

— Pani Van Heuten mnie o to prosiła.

— Wie pani może, dlaczego chciała być sama?

— Nie mam pojęcia.

— Zdają sobie panie sprawę, że o ile nam wiadomo, byliście ostatnimi czterema osobami, które widziały panią Van Heuten żywą?

Susan Hobart uniosła wolno dłoń, białą jak atlas jej sukni i przycisnęła ją do ust. Jednak księżna pozostała niewzruszona.

— Ktoś musiał widzieć ją ostatni. — W jej głosie pojawiły się groźne tony. — Już panu mówiłam, panie Trant, że nie wiemy absolutnie nic na temat morderstwa pani Van Heuten.

— To wielka szkoda. — Timothy wzruszył ramionami. — Miałem nadzieję, że zauważyły panie coś niezwykłego w jej zachowaniu, usłyszały jakiś hałas albo...

Beatrice Kennet spojrzała na Gildę Dawn. Na chwilę zapadło milczenie, po czym, dość nieoczekiwanie, Susan Hobart wykrzyknęła: — Ależ ja słyszałam jakiś hałas, panie Trant, zaraz po tym, jak weszliśmy do gabinetu. Jakby ciche odgłosy jakiegoś przepychania się za... za parawanem!

W oczach księżnej na ułamek sekundy odbiło się zaskoczenie, lecz zaraz dodała stanowczo:

— Teraz, kiedy Susan o tym wspomniała, ja też przypominam sobie, że słyszałam coś podobnego.

Wypadło to bardzo nieprzekonywająco.

— Ale co dokładnie...?

Timothy urwał, ponieważ stojący przy jego łokciu telefon nagle się rozdzwonił. Instynktownie sięgnął po aparat, ale księżna była od

niego szybsza. Chwyliła słuchawkę z zupełnie niearystokratycznym pośpiechem.

— Halo... A, tak. — Ulga w jej głosie była aż nazbyt wyraźna.

Podala słuchawkę pani Hobart. — Do ciebie, Susan. Międzymiastowa.

Susan Hobart zaczerwieniła się, zawahała, po czym wzięła do ręki słuchawkę.

— Halo?... O, to *ty*, kochanie... — Zachichotała nerwowo. — Jak *miło*, że dzwonisz... Dzwoniłeś też dziś wieczorem o szóstej?... Tak, kamerdyner mi przekazał. Byłam na przyjęciu koktajlowym... Oczywiście, że nie mogę się doczekać powrotu do domu, najdroższy, bardzo za tobą tęsknię, ale... — Zerknęła z ukosa na Timothy'ego i oblała się jeszcze ciemniejszym rumieńcem. — Zadzwoń do ciebie jutro. Dobranoc, najdroższy. Pa, całuję.

Niemal niedostrzegalnie pogłaskała słuchawkę, odkładając ją na widelki.

— Mój mąż — wymamrotała zawstydzona.

— Hobart, ten znany gracz w polo? — upewnił się Timothy. — Jest w Nowym Jorku?

— O, nie. Jest zbyt zajęty prowadzeniem fabryki w Winton. Rozstaliśmy się teraz po raz pierwszy od... od dnia naszego ślubu.

Po raz kolejny zapadła cisza, przerywana jedynie lekkim szelestem papierosa, który Gilda Dawn wyjęła z niewielkiej torebki zawieszanej na srebrnym łańcuszku.

— No cóż — rzekł Timothy, podsuwając Lady Lotus zapalniczkę. — Wróćmy na nasz Parnas. Bardzo chciałbym zobaczyć opowiadania, które zaniósłycie panie do biura pani Van Heuten. Książno?

Patrycja Walońska, nie zwlekając, zadzwoniła na kamerdynera i zwracając się do niego, powiedziała:

— Williamie, na hebanowej komódce w bibliotece leży kilka maszynopisów. Czy mógłbyś przynieść je panu Trantowi?

Po kilku minutach kamerdyner wręczył detektywowi cienki plik zapisanych na maszynie kartek. Timothy przebiegł je wzrokiem. Każde opowiadanie było podpisane nazwiskiem jednej z czterech kobiet, starannie wydrukowanym na stronie tytułowej.

— Wyobraźcie sobie, moje drogie panie — powiedział z powagą w głosie. — Obiecałem naszemu komendantowi, że jeżeli te

opowiadania rzeczywiście istnieją, osobiście je zjem. Bardzo to było z mojej strony nierozważne, prawda? Ale z przyjemnością je przeczytam. I nie wezmę za to ani centa. — Jego niewinne i uprzejme spojrzenie spoczęło na twarzy księżnej. — Może byłaby pani tak miła i pożyczyła mi neseser, do którego mógłbym je spakować? Na przykład jeden z tych, z których korzystałyście panie dzisiejszego popołudnia.

Cztery kobiety wymieniły szybkie spojrzenia. Księżna uniosła rękę, żeby zadzwonić na kamerdynera, po czym, jak gdyby zmieniając zdanie, ruszyła przez długi hall i znikła za drzwiami na samym jego końcu.

Wojskowa dyscyplina zelżała nieco na czas jej nieobecności. Beatrice Kennet mruknęła sama do siebie: — Boże. — Susan Hobart wydmuchała nos w małą, koronkową chusteczkę. Lady Lotus odwróciła się półprofilem do detektywa; papieros, niedbale zwisający z jej palców, stanowił przedłużenie linii jej doskonale wyrzeźbionego podbródka. Była to poza, którą Timothy pamiętał z filmu „Miłość i kobieta”.

— I cóż, panie Trant, ma pan jeszcze jakieś pytania?

— Owszem, panno Dawn. — odparł Timothy, zniżając głos.— Ktoś przypadkiem usłyszał uwagę, jaką poczyniła pani dziś po południu po wyjściu z biura pani Van Heuten. O ile mój informator się nie myli, powiedziała pani: „Dzięki Bogu, już po wszystkim.”

Gilda Dawn wyglądała na zmieszaną. Beatrice Kennet wtrąciła ostro:

— Jeśli nawet ona tego nie powiedziała, prawdopodobnie zrobiłam to ja. Spotkania z panią Van Heuten nie należą do tych, które zaznacza się w kalendarzu na wieczną pamiętkę.

— Ale to jeszcze nie wszystko, panno Dawn. Słyszano, że powiedziała pani także: „To spojrzenie zaszczonego zwierzęcia — nigdy go nie zapomnę...”

Lady Lotus odwróciła się gwałtownie. — O co panu w ogóle chodzi? Zamierza pan...?

Beatrice Kennet po raz kolejny pospieszyła jej na ratunek. Jej czarne oczy patrzyły to na Gildę Dawn, to na Timothy'ego.

— Tak się składa, że dokładnie pamiętam tę wyświechtaną kwestię, jaką posłużyła się panna Dawn — powiedziała. — Pana informator się przesłyszał. Powiedziała: „To spojrzenie zaszczonego



dziewczęcia — nigdy go nie zapomnę...”. Miała na myśli sekretarkę pani Van Heuten. Uznała, że ma filmową urodę...

— Bardzo proszę, panie Trant.

Patrycja Walońska wróciła i stanęła przed Timothyem, wyciągając ku niemu czarny, skórzany nesaser. Timothy wziął go do ręki, przyjrzał mu się z namysłem, po czym wsunął do środka maszynopisy.

— No cóż, drogie panie... — Kolejno omiół spojrzeniem cztery twarze. — Przedstawiliście mi swoją wersję wydarzeń. Załóżmy na chwilę, że nic z tego, co powiedziałyście, nie było prawdą.

— Co u diabła...? — zaczęła Gilda Dawn.

— Oczywiście, tylko teoretycznie. Bo nie wybrałyście się przypadkiem z popołudniową wizytą do pani Van Heuten dlatego, że was szantażowała?

Ku jego zaskoczeniu, na żadnej z kobiet jego słowa nie zrobiły najmniejszego wrażenia. Jego zaskoczenie było jeszcze większe, gdy zobaczył na twarzy Patrycji nagły, spontaniczny uśmiech.

— Nie wiem, co jest zabawniejsze — powiedziała. — Wizja Klary Van Heuten jako szantażystki czy pomysł, że któraś z nas mogłaby być szantażowana. W przeciwieństwie do tego, co pisze brukowa prasa, panie Trant, kobiety z naszej sfery wiodą wyjątkowo nudne życie.

— Cztery żony Cezara. — Powaga w głosie Timothy'ego była lekko zaprawiona kpinią. — Innymi słowy, księżno, zaręczyłaby pani za przyzwoitość pani Van Heuten jak za swoją własną?

— Poza protokołem — odparła Patrycja z ciągłym rozbawieniem w oczach — powiedziałabym, że przyzwoitość pani Van Heuten była jej głównym atutem.

— Co nie zmienia faktu, że ktoś ją zamordował.

Timothy wyjął z kieszeni notes. Na chwilę jego wzrok zatrzymał się na numerze telefonu księżnej — Derwent 3-2683; potem przeniósł się na ostatni numer, pod który dzwonił Dane Tolfrey — Uniwersytet 4-3200. Szanse były bliskie zeru, ale postanowił spróbować. A nuż się uda.

— Czy mógłbym skorzystać z telefonu, księżno?

Patrycja wzruszyła ramionami. Timothy podniósł więc słuchawkę i wykręcił numer Uniwersytet 4-3200. Nie miał pojęcia, do kogo telefonuje. Wreszcie po drugiej stronie odezwał się głos.

Głos ten, powiedział: — Uniwersytet Columbia.

— Uniwersytet Columbia! — jęknął Timothy i odłożył słuchawkę.

Efekt jego słów był jednak zaskakujący. Beatrice Kennet pochyliła się nerwowo do przodu. Polakierowane paznokcie Gildy Dawn zaciśnęły się na jej srebrnej torebce. Nawet Patrycja Walońska wyglądała na wstrząśniętą.

Timothy patrzył na nie, nic nie rozumiejąc. Co takiego było w Uniwersytecie Columbia, żeby tak śmiertelnie wystraszyć te cztery niezwykle kobiety?

— Mam wrażenie, że mój telefon wytrącił panie z równowagi — powiedział. Wziął do ręki czarny neseser. — No cóż, drogie panie. Myślę, że okazaliśmy sobie nawzajem wiele cierpliwości. Było mi bardzo przyjemnie. Spodziewam się, że zabawią panie nieco dłużej w mieście, żebyśmy mogli powtórzyć ten wspaniały spektakl.

— Podejrzewam, że nie mamy wyboru — odparła Patrycja. — Mam jednak nadzieję, panie Trant, że zadba pan o to, abyśmy... uniknęły niepotrzebnego szumu. Żadna z nas nie chciałaby mieć do czynienia z prasą.

Timothy wyczuł w tej uwadze cheneyowską groźbę, popartą mocą cheneyowskich wpływów.

— Zrobię, co w mojej mocy, księżno. — Podszedł do drzwi. — A przy okazji — jeszcze jedno pytanie. Czy któraś z pań przyjaźni się może z jakimś Danem Tolfreyem?

— Z panem Tolfreyem? — Oczywiście Patrycji patrzyły z wystudiowaną obojętnością. — Wydaje mi się, że był znajomym pani Van Heuten. Ale nie znam go osobiście.

— A jednak on zna panią na tyle dobrze, że zadzwonił do pani dzisiejszego wieczora.

— Hm... owszem. — Księżna odwróciła wzrok. — Zadzwonił, żeby przekazać mi tragiczną nowinę. Może myślał, że jako dobra znajoma Klary powinnam wiedzieć, co się stało.

— Bardzo to ładnie z jego strony.

Timothy uśmiechnął się i podniósł jeszcze neseser w geście pożegnania.

Znalazłszy się na ulicy odczekał chwilę, dając czterem kobietom czas na opuszczenie hallu, a następnie ponownie nacisnął dzwonek.

Gdy zjawił się kamerdyner, detektyw zapytał szorstko:

— Chcę coś sprawdzić. Czy pan Hobart telefonował z Ohio wcześniej dzisiaj wieczoru?

— Tak.

— O której?

— Była dokładnie szósta, sir. Pamiętam, że zegar właśnie wybił godzinę...

W tej samej chwili na parkiecie rozległ się odgłos czyichś lekkich kroków. Za plecami kamerdynera pojawiła się Susan Hobart, drobna i krucha. Wyjrzała przez uchylone drzwi.

— Pan Trant! Możesz odejść, Williamie. Ja go odprowadzę.

Gdy kamerdyner oddalił się, pani Hobart przekroczyła próg. Przy ramiączku jej sukienki widniała przypięta jedna z białych róż od Timothy'ego. Nowoczesna sylfida w księżycowej poświacie pośród dźwięków muzyki Chopina.

— Och, panie Trant, jakże się cieszę, że pana znowu widzę. Ja... chciałam panu bardzo podziękować za te prześliczne róże. Pozostałe panie zachowały się tak nieuprzejmie.

Podniosła ku niemu swoje okrągłe oczy o naiwnym spojrzeniu. Czy rzeczywiście naiwnym? — pomyślał z nagłym zastanowieniem detektyw.

— Chciałabym też pana o coś zapytać — powiedziała z mocą kobiety. — Czy ktoś naprawdę myśli o nas... źle?

— A któż mógłby źle myśleć o tak uroczych istotach? — odparł z uśmiechem Timothy.

Przez chwilę mała multimilionerka stała w milczeniu, skubiąc nerwowo torebkę. Potem, jak gdyby zbierając się na odwagę, otworzyła ją gwałtownie, wyjęła z niej jakiś papier i wcisnęła Timothy'emu do ręki.

— Panie Trant, od razu wiedziałam, że jest pan dobrym człowiekiem — współczującym. Nie sądzi pan... Chodzi o to, że... To chyba oczywiste, że pani Van Heuten nie zginęła z ręki nikogo... nikogo znajomego, prawda? To przecież niemożliwe? Nie ma żadnego takiego motywu...

Jej oczy błyszczały jasno w półmroku; płonęła w nich dziwna determinacja.

— Pomyślałam, że gdyby pan z mocy swojego stanowiska oświadczył, że zamordował ją... jakiś włamywacz... To przecież o wiele bardziej prawdopodobne, nieprawdaż? I o wiele... o wiele prostsze — dodała znacząco.

Timothy był całkowicie oszołomiony. Rozłożył podany mu kawałek papieru i przyjrzał mu się. Ku jego wielkiemu zdumieniu stwierdził, że trzyma w ręku czek *in blanco* podpisany przez panią Susan S. Hobart.

— Przyszło mi do głowy, że być może... jakieś drobne wydatki... — jąkała się dziewczyna.

Timothy popatrzył na nią ze śmiertelną powagą. Podarł czek na drobne kawałki i oddał jej.

— Jestem policjantem, pani Hobart — powiedział cicho — a nie politykiem.

— Ale bardzo proszę...

— Próba przekupstwa policjanta to bardzo poważne przestępstwo. — Timothy uśmiechnął się, patrząc na jej bladą, dziecinną twarzyczkę. — Niech to zostanie między nami, dobrze, pani Hobart?

— Chyba... chyba głupio postąpiłam. — Dziewczyna przesuwała w palcach kawałki podartego czeku. — Jest pan bardzo miły.

— A pani — odparł Timothy — jest najmilszą i najbardziej nieprzewidywalną spośród czterech wyjątkowo nieprzewidywalnych kobiet.

## 10.

Wieczorna zabawa w kotka i myszkę sprawiła, że Timothy poczuł, iż coraz głębiej i głębiej tonie w zagadkach. Jedynym niezaprzeczalnym faktem, jaki wyłonił się z góry chaotycznych półprawd i kłamstw, był szczerzy zapal, z jakim zarówno Derek Muir, jak i księżna Walońska usiłowali ukryć swoje związki z Danem Tolfreyem.

W drodze powrotnej do domu detektyw zahaczył o Reginę, pretenjonalny hotel, w którym zatrzymał się dziewiąty gość pani Van Heuten.

Wstąpił do środka, chcąc sprawdzić, czy Barnes nie ma mu czegoś nowego do przekazania.

Policjant w cywili właśnie wychodził z budki telefonicznej z twarzą ściągniętą niepokojem.

— Trant! Akurat do pana dzwoniłem! Tolfrey miał gościa.

— Ach, tak?

— Owszem. Niech pan zgadnie, kto go odwiedził. — Barnes здаwał się czerpać ponurą satysfakcję ze swojej nowiny. — Ta sekretarka.

— Madeleine Price? — W oczach Timothy'ego pojawiło się zaskoczenie. — Kiedy przysłała?

— Nie wiem. Musiała przekraść się schodami tak, że jej nie zauważyłem. Jakies pięć minut temu zjechała na dół windą. Na moje oko była chyba trochę wystraszona i zdenerwowana. Właśnie miałem...

— Jaki jest numer pokoju Tolfreya? — przerwał mu prędko Timothy.

— 604. A dlaczego pan pyta?

— Chodźmy. — Timothy ruszył biegiem do windy. — Bardzo jestem ciekaw, co zostało z pana Tolfreya po tym, jak panna Price z nim skończyła...

Barnes dyszał ciężko za jego plecami. — Nie myśli pan chyba, że go sprzątnęła?

— Wcale by mnie to nie zdziwiło. — Timothy uśmiechnął się ponuro.

Gdy znaleźli się na szóstym piętrze, Trant zastukał do drzwi pokoju Tolfreya. Nikt im nie otworzył. Zastukał znowu. Nacisnął klamkę, ale drzwi były zamknięte. Zaraz też posłał Barnesa po zapasowy klucz. Gdy detektyw wrócił, Timothy otworzył drzwi na oścież i obaj przekroczyli próg pokoju.

— Dobry Boże! — wykrzyknął Barnes. — Miał pan rację, Trant.

W salonie wszystkie lampy były zapalone. Ich ostre światło padało na potężne, obrzmiałe ciało Dane'a Tolfreya, leżące w poprzek na podłodze. Przy najdawniejszym przyjacielu pani Van Heuten, jak gdyby celowo ułożone w geometryczny wzór, leżały trzy opróżnione butelki po brandy.

— Nie żyje? — zapytał słabym głosem Barnes.

Timothy opadł na kolana. Nachylił się nad Danem Tolfreym, po czym podniósł głowę.

- Żyje, Barnes, jest tylko pijany. Zalany w trupa.
- A niech mnie — stęknął Barnes z autentycznym oburzeniem przykładowego ojca rodziny.

— Sprowadźcie lekarza hotelowego. Szybko.

Diagnoza lekarza hotelowego nie pozostawiała wątpliwości. Dane Tolfrey stracił przytomność na skutek długotrwałego i nadmiernego folgowania swojemu nałogowi. Nic nie wskazywało na to, że jego stan poprawi się przed upływem dwudziestu czterech godzin.

Słyszając to, Timothy spowaźniał.

— Facet, który trzyma w rękę wszystkie wątki w tej sprawie, jest z niej wyłączony na dwadzieścia cztery godziny. Jeśli zrobił to celowo, Barnes, o co go zresztą podejrzewam, to najsprytniejszy sposób na uniknięcie przesłuchania, z jakim się dotąd spotkałem.

Kazał detektywowi przenieść Tolfreya do łóżka. Lekarz hotelowy obiecał też zawiadomić policję, jak tylko dziewiąty gość pani Van Heuten zacznie odzyskiwać przytomność.

— A tak przy okazji, Barnes — dodał Timothy — póki nasz król lewicz mocno śpi, moglibyście zanieść jego garnitur do laboratorium. Odnieście go tylko, zanim jakaś księżniczka zbudzi go pocałunkiem.

— Jasne. A co z tą sekretarką?

— Niech was głowa nie boli o Madeleine Price — uspokoił go Timothy. — Osobiście się nią zajmę.

Pomimo późnej pory Trant pospieszył zmierzyć się z najnowszą komplikacją. Wkrótce zastukał do drzwi na drugim piętrze niedużej kamienicy na przedmieściu. Nikt mu nie otworzył. Zastukał więc jeszcze raz — trochę głośniejszym głosem. Czyjś niepewny głos zawołał:

— Kto... kto tam?

Timothy uśmiechnął się pod nosem. — Otwierać w imieniu prawa.

Niemal natychmiast drzwi otworzyły się szeroko i stanęła w nich sekretarka pani Van Heuten, odziana w brązowy, zupełnie nieprze-zroczysty szlafrok. Spojrzała na niego lekko rozszerzonymi oczyma, niczym na natrętnego wielbiciela, który zbyt późną porą złożył jej nieproszoną wizytę.

— Pan Trant — powiedziała chłodno.

— Panno Price.

Timothy wszedł za nią do salonu. Jego wnętrze stanowiło stosowną oprawę dla Madeleine Price: skrupulatnie wysprzątane, umeblowane mieszaniną sprzętów należących prawdopodobnie do właściciela kamienicy. Było tam też biurko oraz bujane fotele, najwyraźniej przywiezione z Terrabinny. W salonie było jeszcze dwoje drzwi, zapewne prowadzących do sypialni. Była też duża, oprawiona w ramki fotografia ładnej blondynki, trzymającej w ramionach dziecko w czapeczce. Louise, pomyślał detektyw, i dziecko Louise. Po drugiej stronie gzymsu kominka stał studyjny portret ciemnowłosego młodego człowieka z wąsikami i wysokimi kośćmi policzkowymi.

Madeleine zauważyła jego spojrzenie. — Mój szwagier — wyjaśniła zwięźle. — Oczywiście wie pan, że nie żyje.

Usiadła, składając dłonie na podolku. Jej policzki zabarwił lekki rumieniec. Dodawał jej uroku. A pod ponurym szlafrokiem miała całkiem dobrą figurę.

— Nie spodziewałam się pana, panie Trant.

— Ja również nie spodziewałem się, że tutaj przyjdę, panno Price. Jest późno, a ja mam jeszcze dużo pracy na jutro.

— Czego więc pan ode mnie chce?

Timothy ze smutkiem pokręcił głową. — Rozczarowała mnie pani, bardzo rozczarowała. Pamięta pani może, że prosiłem, aby nie wykonywała pani żadnych niepotrzebnych telefonów? A dlaczego to wyszła pani dziś wieczorem z domu?

— Nie wiem, o czym pan mówi. — Madeleine Price wygładziła fałdę brązowego szlafroka. — Ja... byłam tylko w sklepie po papierosy, poza tym dziś wieczorem nigdzie nie wychodziłam.

— Doprawdy, panno Price! — W głosie Timothy'ego zabrzmiała lekka przygana. — Może pani z powodzeniem kłamać na dziesiątki tematów, ale nie w kwestii wizyty, jaką złożyła pani Dane'owi Tolfreyowi. Jeden z naszych ludzi przez cały wieczór obserwował hotel Regina.

Madeleine milczała przez chwilę, po czym odparła cicho: — Tak też podejrzewałam. — Krew odpłynęła jej z policzków, ale niespodziewanie dziewczyna uśmiechnęła się rozbijająco. — Mimo wszystko wołałam najpierw spróbować.

— To dość dziecinne, blefować w sytuacji, gdy jest się zamieszonym w sprawę morderstwa, panno Price. — Timothy wcale nie

wyglądał na rozbawionego. — Może więc zamiast niepotrzebnie kłamać, powie mi pani, dlaczego musiała tak nagle odwiedzić pana Tolfreya.

— Czy muszę odpowiedzieć na to pytanie? — Madeleine Price znowu doskonale nad sobą panowała. — O ile znam się na prawie, nie mam obowiązku niczego mówić bez adwokata.

— Panno Price, strasznie pani kaprysi. To do pani nie pasuje. Rzeczywiście, nie ma powodu, dla którego miałyby mi pani w tej chwili cokolwiek powiedzieć, ale o ile nie chce się pani znaleźć w poważnych tarapatkach, radziłbym pani zrzec się na chwilę tych praw i — być pomocną.

— No dobrze. — Madeleine wstała, podeszła wolno do kominka i czule pogłaskała srebrną ramkę, w którą oprawiona była fotografia jej siostry. — Odwiedziłam pana Tolfreya, bo uważam, że to on zamordował panią Van Heuten. A ponieważ jestem, jak sądzę, jedną z głównych podejrzanych, miałam nadzieję wydobyć z niego coś, co pozwoli mi oczyścić się z zarzutów.

— A więc postanowiła pani zabawić się w detektywa. Jestem pewien, że byłaby z pani bardzo zdolna policjantka, panno Price. Ale skąd to nagle i niewytłumaczalne przekonanie o winie pana Tolfreya?

Powieki sekretarki lekko zadrżały. — No cóż, wiedział o istnieniu tylnego wejścia. On pobierał... pobierał też pieniądze od pani Van Heuten. Ja...

— Proszę sobie darować resztę. — Timothy również się podniósł.

Podszedł do dziewczyny i chwycił ją mocno za ramię. — Czasami mam wrażenie, że zupełnie nie nadaję się do pracy w policji. Nasz komendant głęboko wierzy w wyższe wykształcenie i zawodową życzliwość, zdaje się jednak zapominać, że dla przeciętnego człowieka znaczą one tyle, co nic. Gdybym był umundurowanym grubasem o czerwonej twarzy, bałaby się mnie pani i nie próbowała żadnych sprytnych sztuczek. Ale powolny młody człowiek po Princeton pani nie przeraża, prawda? Łatwo jest zamydlić mu oczy. A teraz odłóżmy na bok tę nieudolną bajeczkę o pani podejrzeniach wobec Tolfreya i poznajmy prawdziwy powód pani wizyty u niego.

Madeleine stała zupełnie nieruchomo, wpatrując się w niego; w słabym świetle lampy jej twarz wyglądała dziwnie pociągająco.

— Powiedziałam prawdę — wyjąkała sztywno.



— W takim razie proszę o szczegóły.  
— Cóż... Spodziewałam się, że ktoś będzie obserwował hotel, więc wybrałam schody zamiast windy. Namówiłam pokojówkę, żeby wskazała mi pokój Tolfreya. A kiedy... kiedy nie otworzył na dźwięk mego pukania, poprosiłam, by otworzyła mi drzwi swym kluczem.

— Musi pani mieć dar przekonywania pokojówek, panno Price. Czy pan Tolfrey godnie panią przyjął?

Nozdrza dziewczyny rozděły się ze wstrętem. — Leżał na podłodze — pijany.

— To oburzające, panno Price. Czy próbowała go pani ocucić?

— Oczywiście, że nie. Natychmiast stamtąd wyszłam. — Dziewczyna wzruszyła ramionami. — A przy okazji, wychodząc z hotelu, spotkałam pana Bristola.

— Bristola?

— Jednego z klientów biura, który spotkał się z panią Van Heuten dzisiejszego popołudnia. — Madeleine mówiła to ze szczerością, która Timothy'emu wydała się podejrzana. — Sprawiał wrażenie... oszołomionego. Trzymał w ręce gazetę. Powiedział, że właśnie przeczytał o śmierci pani Van Heuten. Zamierzał zobaczyć się z Tolfreym i zapytać go, czy to prawda.

Robert Bristol udający się z wizytą do Dane'a Tolfreya! Teraz już każdy z ośmiu gości był jakoś powiązany z Danem Tolfreym — każdy, z wyjątkiem nieznanym zielonookiej dziewczyny.

— I oświeciła pani pana Bristola? — spytał Timothy.

— Poinformowałam go tylko, że pan Tolfrey nie jest w stanie niczego nikomu powiedzieć. A potem...

Madeleine urwała gwałtownie na dźwięk dzwonka telefonu i rzuciwszy z ulgą: — Przepraszam — pospieszyła go odebrać.

Timothy patrzył, jak podnosi słuchawkę, a drugą ręką mimowolnie poprawia kosmyk ciemnych włosów.

— Tak. Tutaj Madeleine Price. Kto mówi?

Jej głos brzmiał bezosobowo — był równie opanowany, jak ta wyprostowana dziewczyna. Przez chwilę słuchała uważnie tego, co dla detektywa było jedynie serią niezrozumiałych trzasków po drugiej stronie przewodu. Nagle Madeleine zachwiała się, a z jej warg wydobył się cichy okrzyk. Słuchawka wysliznęła jej się z palców i zawisła niepewnie na sznurze.

Jakby miała to wcześniej zaplanowane, niesłychanie opanowana i doskonale obojętna sekretarka pani Van Heuten wolno osunęła się na podłogę.

Omdlenie delikatnej pani Hobart na przyjęciu koktajlowym w domu pani Van Heuten było wystarczająco zaskakujące. Zaskabnięcie Madeleine Price wydawało się niemal niewiarygodne.

W pierwszym odruchu Timothy chwycił słuchawkę, by krzyknąć weń: — Kto mówi? — Lecz osoba po drugiej stronie — kimkolwiek była — zdążyła się już rozłączyć.

W panice połączył się z telefonistką i kazał jej sprawdzić numer, z którego dzwoniono. Następnie podniósł Madeleine i zaniósł ją na kanapę, po czym przyniósł z kuchni wodę. Wlał kilka kropli w jej zaciśnięte usta, a resztą spryskał twarz dziewczyny. W końcu jej powieki zdrząły i spojrzała na niego szklanym, niepewnym wzrokiem.

— Co... co się stało?

— Proszę się nie niepokoić, panno Price. — Timothy uśmiechał się łagodnie. — Nadal jest pani w swoim mieszkaniu — w towarzystwie wyjątkowo niegroźnego policjanta.

Dziewczyna podparła się rękoma i usiadła oszołomiona. Jej wzrok powędrował w stronę aparatu telefonicznego i zatrzymał się na nim jak zahipnotyzowany.

— Telefon! — szepnęła. — Już sobie przypominam.

— I któż to popsuł pani ten wieczór?

Madeleine impulsywnie chwyciła go za rękę. — To był... morderca pani Van Heuten!

— Czy przemawia przez panią sumienna sekretarka, czy detektyw-amator? — spytał cicho Timothy.

Dziewczyna zdawała się go nie słyszeć. Jej dłoń ześliznęła się z jego ręki i dotknęła teraz własnej szyi.

— Nie rozpoznałam głosu — szepnęła. — Nie wiem, czy należał do mężczyzny, czy do kobiety. Był zduszony, straszny.

— Ten ktoś musiał powiedzieć coś niezwykłego, skoro przeraził tak opanowaną osobę jak pani, panno Price.

Madeleine zdrząła. — Powiedział: „Nie radzę ci wspominać policji o tym, kto wszedł dziś po południu do biura tylnym wejściem. Nie chcę zabijać kolejnej kobiety”.

— Bardzo to tajemnicze — zauważył sucho Timothy.

— Nie wierzy mi pan. — Oczy Madeleine płonęły. — Myśli pan... Myśli pan, że wszystko zmyśliłam. Nigdy nie wierzy pan w to, co mówię. Ale to prawda. Przysięgam, że to prawda.

— Moja droga panno Price, zazwyczaj wierzę we wszystko, co mi się mówi.

— Więc... co pan teraz zrobi?

— Grożono pani. Jako policjant muszę dopilnować, aby w przyszłości była pani odpowiednio chroniona.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Madeleine nerwowo splatała palce. Timothy zdawał się być pogrążony w myślach.

Wreszcie odezwał się: — Miała pani ciężki dzień, panno Price, a ja mam miękkie serce. Po tym wstrząsie nie zamierzam dręczyć pani kolejnymi krępującymi pytaniami na temat pani wizyty u pana Tolfreya.

Wstał. Madeleine również się podniosła. Pod wpływem nagłego impulsu przysunęła się do niego bliżej.

— Jest pan bardzo miły — zająknęła się. — A to, co pan przed chwilą powiedział, to nieprawda. Ja... właściwie to się pana boję.

— Proszę się tym nie przejmować, panno Price — odparł z powagą Timothy. — Nie na tym etapie naszego starcia stron...

Przerwał mu dzwonek telefonu. Madeleine drgnęła. Timothy podszedł szybko do aparatu i podniósł słuchawkę.

— Policja prosiła tutaj o sprawdzenie numeru.

— Tak, tak — potwierdził niecierpliwie detektyw.

— Dzwoniono z budki telefonicznej w pobliżu Times Square.

— Dziękuję.

Odłożył słuchawkę i odwrócił się do Madeleine.

— Budka telefoniczna w pobliżu Times Square, panno Price. Pani prześladowca wybrał mało oryginalne miejsce.

W drzwiach zatrzymał się jeszcze i dodał z powagą:

— Nie muszę chyba mówić, żeby pani na siebie uważała, prawda? Jeżeli pani sama nie zabiła pani Van Heuten, wówczas ten, który dzwonił, prawdopodobnie rzeczywiście jest mordercą. Jeśli zaś uznał za konieczne pani grozić, to znaczy, że czegoś się boi. A przerażony morderca jest groźniejszy od policjanta, panno Price. Dobranoc.

## 11.

Po powrocie do domu Timothy zadzwonił na komendę z prośbą, żeby ktoś obserwował kamienicę panny Price. Potem położył się do łóżka.

Miał zamiar przeczytać zdobyte tego wieczoru maszynopisy, ale był zbyt zmęczony. Literatura będzie musiała poczekać do rana.

Wyciągnięty wygodnie pod kołdrą, analizował w myślach liczne i niezrozumiałe wydarzenia ostatnich kilku godzin. Teraz był już pewien, że coś łączyło ze sobą wszystkich popołudniowych gości pani Van Heuten. Jednak nie miał zielonego pojęcia, co to mogło być. Osoby, z którymi dziś rozmawiał, przekazały mu swoje prace literackie i były w stanie przedstawić wiarygodny powód swojego spotkania z panią Van Heuten. Mimo to im nie wierzył — żadnej z tych osób. Gdybyż tylko znalazł się w tej sprawie ktoś, czyje zeznania byłyby choć w części prawdziwe — pomyślał.

Żałował zwłaszcza, że Madeleine Price kłamała w sposób tak oczywisty i bezwstydnym. Żałował, że nie może uwierzyć w prawdziwość groźby, jaka padła tego wieczoru przez telefon. Gdyby się okazało, że Madeleine Price nie mijają się jednak z prawdą, miałby przy najmniej jakiś punkt zaczepienia. Telefon świadczył o tym, że morderca rozpaczliwie stara się zataić przed policją istnienie „osoby, która weszła do biura tylnym wejściem”. Osobą tą nie mógł być morderca. Ten musi wiedzieć, że Madeleine Price nie była świadkiem jego wejścia. Morderca miał najprawdopodobniej na myśli wizytę Tolfreya. Innymi słowy, obawia się, że Tolfrey może zacząć współpracować z policją.

Dlatego miałby się tego obawiać, tego Timothy również nie wiedział. Jednak ustalenie faktu, iż morderca miał jakiś związek z tajemniczym tylnym wejściem, mogłoby pomóc w wyeliminowaniu z listy podejrzanych księżnej i jej przyjaciółek, które weszły do biura od frontu. Mogłoby również pomóc — jakkolwiek by na to nie patrzeć — w wyeliminowaniu z tejże listy Dane'a Tolfreya, który, co Timothy wiedział aż nazbyt dobrze, był zanadto pijany, aby do kogokolwiek dzwonić w czasie, gdy telefonowano do panny Price.

Wyglądało więc na to, że Dane Tolfrey, najbardziej podejrzana

postać spośród dziewięciorga gości pani Van Heuten, jest jednocześnie jedynym, którego można by uznać za niewinnego.

Fakty zdawały się być niezaprzeczalne — gdyby tylko Timothy mógł uwierzyć w autentyczność tego telefonu...

Detektyw poddał się z jękiem rozpacz. Zanim zasnął, przemyślał jeszcze jedną, o wiele bardziej intrygującą sprawę — tajemnicę naiwnej próby przekupstwa policjanta, podjętej przez Susan Hobart.

Co u licha skłoniło tę nieprzewidywalną dziewczynę do zaferowania mu czeku *in blanco*? Co takiego wiedziała albo podejrzewała, że zmusiło ją to do podjęcia tak wielkiego ryzyka?

Następnego dnia Timothy wstał wczesnym rankiem. Po przespanej nocy jego umysł odzyskał swoją zwykłą sprawność. Detektyw był z siebie zadowolony. W nocy różne osobliwe wspomnienia łączą się ze sobą, przechodząc z podświadomości do świadomości i tak też stało się w jego przypadku. Robert Bristol — teraz już wiedział, dlaczego nazwisko drugiego gościa pani Van Heuten wydało mu się znajome. We wczesnym wieku sześciu czy może siedmiu lat Timothy puszczał łódki w Central Parku z niejakim Bobbym Bristolem — niechlujnym, spiętym chłopcem, który nigdy nie potrafił uchronić swoich kosztownych marynarskich spodnek przed zabrudzeniem. I chociaż Timothy nie pamiętał, aby od czasu wspólnego puszczenia łódek kiedykolwiek spotkał się z Robertem Bristolem, jak przez mgłę przypominał sobie dalsze losy chłopca z Central Parku. Jego rodzice, owi słynni Bristolowie, byli bardzo zamożni. Dopiero całkiem niedawno ich fortuna podupadła, ojciec Bobby'ego popełnił samobójstwo, Bobby'emu zaś przypadł w udziale zaszczyt bycia ostatnim potomkiem starego rodu. Przypomniawszy sobie też, że po owej tragedii widział w gazecie zdjęcie swojego dawnego przyjaciela.

Istniał cień szansy, że jego Robert Bristol i ten klient pani Van Heuten, to jedna i ta sama osoba. Skoro tak, być może będzie to jedyna osoba, która udzieli mu szczerzej odpowiedzi.

Timothy postanowił przed udaniem się na komendę odwiedzić drugiego gościa pani Van Heuten. Dzień wcześniej sierżant Danvers uzyskał jego adres od panny Price w ramach rutynowego postępowania.

Dochodziła ósma, gdy wioząca detektywa taksówka zatrzymała się przed dość nijakim budynkiem, którego właściciele najwyraźniej byli zmuszeni przekształcić go w kamienicę czynszową. Timothy nacisnął

przycisk przy tabliczce z informacją: „Państwo Bristol” i wszedł na drugie piętro.

Drzwi otworzył mu młody, blade i zaniedbany mężczyzna w starym szlafroku. Miał bystre, nadmiernie ożywione spojrzenie. Palcami odgarnął opadający mu na czoło kosmyk jasnych włosów.

— Czego pan chce?

Timothy rozpoznał go natychmiast. Choć trochę wymizerowany, Robert Bristol był wciąż zaskakująco podobny do tamtego niechlujnego chłopca, który nigdy nie potrafił uchronić swoich kosztownych marynarskich ubranek przed zabrudzeniem.

— Bobby Bristol, prawda? — powiedział. — Na pewno mnie nie pamiętasz. Kiedy się ostatni raz widzieliśmy, włożyłem ci za kołnierz kijankę. Nazywam się Timothy Trant.

— Trant? — Młody mężczyzna przyjrzał mu się uważnie, a w jego oczach z wolna pojawił się błysk rozpoznania. — Ależ tak. Oczywiście, że pamiętam. — Mówił gwałtownymi, urywanymi zdaniami, jakby był w stanie ogromnego nerwowego napięcia. — Wejdz.

Timothy podążył za nim przez wąski korytarz do salonu, gdzie pannał niewiarygodny wprost bałagan. Na stolikach zastawionych stertami brudnych naczyń, na wpół otwartymi puszkami i pustymi szklankami, wałały się tu i ówdzie niedopałki lekkomyślnie zgaszonych papierosów oraz chaotycznie porozrzucane maszynopisy. Podłogę zaś zaścielały rozmaite części garderoby.

Timothy zadumał się nad gospodarskimi talentami dziewczyny, z którą ożenił się jego przyjaciel z dzieciństwa.

— Przepraszam za ten bałagan. — Bobby Bristol ściągnął z krzesła ciśniętą tam niedbale koszulę i skarpetki. — Trochę nie radzę sobie ze sprzątaniami.

— Nie ma cię kto w tym wyręczyć?

— Nie. — Bristol zaśmiał się krótko. — Teraz już nie. Ale co ty tu u licha robisz, Trant? Zjawiasz się nagle po dwudziestu latach...

Timothy usiadł na krzesle, do niedawna zajmowanym przez koszulę i skarpetki. — Bobby, od czasu, gdy się ostatni raz widzieliśmy, moja kariera przypominała równie pochyłą. Najpierw Kent, potem Princeton, a teraz Wydział Zabójstw.

— Wydział Zabójstw?! — Do tej pory Robert Bristol przechadzał się nerwowo w tę i z powrotem po pokoju; teraz zatrzymał się w pół

kroku i utkwił wzrok w detektywie. — Chcesz powiedzieć, że przyszedłeś tutaj, żeby porozmawiać ze mną o... o Klarze?

— Zgadłeś.

Dłonie mężczyzny, zaciśnięte na pasku szlafroka, zaczęły silnie drżeć. Bristol wpatrywał się w nie przez chwilę, jakby należały do kogoś innego. Potem wybuchł nagłym, niemal histerycznym śmiechem.

— Boże, a to dobre. To chyba... najzabawniejsza rzecz, jaka mogła mnie spotkać.

Timothy był nieco zaskoczony tym tak wyraźnym brakiem opowania — i trochę nim rozczarowany. Miał nadzieję znaleźć kogoś normalnego i rzeczowego. Tymczasem zaś ten mizernie wyglądający młody człowiek był najwyraźniej na krawędzi załamania nerwowego.

— Co w tym takiego zabawnego? — spytał cicho.

— To, że ty... ty przyszedłeś tutaj porozmawiać ze mną o pani Van Heuten. — Plecy Roberta Bristola wciąż trzęsły się od niepowstrzymanego śmiechu. — Po tym wszystkim, co się stało — policjant zjawia się, żeby przesłuchać mnie w sprawie morderstwa Klary. To... — Urwał nagle i pokręcił głową, jakby dopiero co się przebudził. Na twarz wystąpił mu rumieniec. — Przepraszam — wymamrotał. — Ostatnio kiepsko sypiam. Chyba jestem trochę podenerwowany.

Timothy nie spuszczał wzroku z twarzy mężczyzny. — Nie chciałbym wykorzystywać starej znajomości — powiedział — ale muszę zapytać, co miałeś na myśli, mówiąc: „Po tym wszystkim, co się stało”?

— To proste. — Bristol przysiadł na stole, wyciągnął spod sterty papierów papierosa i zapalił. W jego głosie pojawił się drwiący ton. — Jestem wyjątkowym pechowcem, Trant. Pomimo wielkich oczekiwań, jakie ze mną wiązano, nie mam centa przy duszy. Żona mnie opuściła. Chce się rozwieść, żeby móc poślubić bardziej... obiecującego mężczyznę. Moja ostatnia powieść spotkała się z uprzejmą, lecz stanowczą odmową wydawnictwa Saltera. Zaś pani Van Heuten, która była ostatnim przyjacielem, jaki pozostał mi w Nowym Jorku, została właśnie zamordowana. — Jego śmiech zabrzmiał dosyć nieprzyjemnie. — Tak to w skrócie wygląda.

— Przykro mi, Bobby — powiedział Timothy.

— O, wcale nie szukam współczucia. — Bristol machnął zniecierpliwiony papierosem. — Opowiedziałem ci to jako staremu przyjacielowi. Teraz ty, jako policjant, zacznij mi lepiej zadawać pytania. — Zgasił papierosa na krawędzi pustej puszkę po zupie. — Tak się składa, że pani Van Heuten była moją bliską przyjaciółką — dodał łagodnie — i myślę, że zrobiłbym wszystko, co w mojej mocy, żeby dowiedzieć się, kto ją zamordował.

— Na to właśnie liczyłem — odparł żywo Trant. — Bobby, rozmawiałem z kilkoma osobami, które widziały się wczoraj z panią Van Heuten i — mówię ci — wszystkie kręcą jak diabli. Chcę się wreszcie czegoś o niej dowiedzieć. Jaką była kobietą? Czym tak naprawdę było biuro porad literackich?

Bristol chętnie i inteligentnie odpowiadał na zadawane mu pytania. Lecz jeśli Timothy liczył na jakieś sensacyjne informacje, musiał być zawiedziony. Bobby z wielkim uczuciem stwierdził, iż pani Van Heuten była bardzo bliską przyjaciółką jego matki, że okazała mu niezwykłą życzliwość w czasie, gdy przeżywał problemy finansowe, i że była osobą o nieposzlakowanej opinii. Biuro porad literackich było w stu procentach uczciwą firmą, do której dziesiątki dyletantów ze śmietanki towarzyskiej zносиło swoje prace z prośbą o opinię pani Van Heuten. On sam jako pisarz wiele jej zawdzięczał. Dopomogła mu nawet opublikować pierwszą powieść u Saltera. Nigdy nie słyszał niczego, co mogłoby sugerować, że coś jest nie w porządku z biurem porad literackich lub z jego właścicielką.

Jego opowieść zgadzała się z tym, co powiedziała wcześniej Madeleine Price, a mianowicie opuścił biuro na dwie godziny przed odkryciem morderstwa. Wszedł i wyszedł frontowymi drzwiami. Pani Van Heuten nigdy nie wspominała mu o tylnym wejściu. Nie mówiła też nic o swoim testamentie, chociaż Bristol domyślał się, że zapisała wszystko swoim mieszkającym w Bostonie krewnym. Nie przychodził mu do głowy żaden prawdopodobny motyw zbrodni.

Owszem, wiedział, że Tolfrey przyjaźnił się z panią Van Heuten. Gdy tylko przeczytał w prasie informację o jej śmierci, wybrał się nawet z wizytą do Tolfreya, chcąc upewnić się, że to rzeczywiście prawda. Potwierdził też wersję Madeleine o ich spotkaniu przed hotelem Regina. Panna Price wydała mu się bardzo błada. Bristol powiedział też Timothy'emu, że rankiem w dniu morderstwa widział



Tolfreya w restauracji, gdzie jadł lunch ze swoją żoną. Tolfrey był w fatalnym stanie, dodał. Na podbródku miał siniaka, jakby brał udział w jakiejś bijatyce.

— W bijatyce — podchwycił Timothy. — A czy Tolfrey nie wspominał przypadkiem o mężczyźnie nazwiskiem John Smith?

— John Smith? Nie. — Bobby pokręcił głową. — Usiłował jedynie naciągnąć mnie na lunch. Był wiecznie splukany — bardziej niż ja.

Tolfrey — splukany! Oto kolejna komplikacja. Jakim cudem splukany Tolfrey mógł sobie pozwolić na wynajęcie pokoju w tak drogim hotelu jak Regina?

— No cóż, Bobby — westchnął Timothy. — Dzięki tobie wróciłem do punktu wyjścia. Pani Van Heuten była osobą o nieposzlakowanej opinii i nikt nie mógł mieć powodu, aby ją zamordować. Czy kiedy się widzieliście, nie powiedziała przypadkiem czegoś, co mogłoby sugerować, że ma jakieś zmartwienie albo czegoś się boi?

Bobby wzruszył ramionami. — Obawiam się, że nie dałem jej po temu okazji. Byłem zbyt zajęty wylewaniem swoich żalów na temat... na temat Helen. Ostatnimi czasy tylko to potrafię robić.

— Okazała ci swoje współczucie?

— Oczywiście. Podejrzewam, że zanudziłem ją na śmierć, ale tego nie dała mi odczuć. Powiedziała, żebym nie traktował zbyt poważnie swojego życia ani swojej żony. — Bristol zaśmiał się gorzko. — Doskonała rada, jeśli tylko można z niej skorzystać. Klara była nawet tak dobra, że zadzwoniła i wstawiła się za mną w wydawnictwie. Choć wiadomy był skutek. Na koniec powiedziała, że powinienem trochę o siebie zadbać, żebym się lepiej prezentował, kiedy zacznę szukać pracy. Co jest z pewnością nieuniknione.

Timothy obrzucił spojrzeniem stary szlafrok i garnitur niedbale przewieszony przez oparcie krzesła. — To chyba niezły pomysł — mruknął.

— Najpierw muszę zapłacić rachunek za światło. — Bobby uśmiechnął się zgryźliwie. — Mogę przeżyć bez wyprasowanych spodni, ale potrzebuję światła, żeby pisać, bo jednak — choć może się to wydać dziwne — nie zamierzam rezygnować z pisania pomimo oczywistego braku uznania ze strony świata.

— A może — odezwał się Timothy po chwili namysłu — pozwolę ci mi przeczytać swoją powieść. Tę...

— Tę, którą odrzucili u Saltera? Jasne, bierz śmiało. — Bobby chwycił plik zapisanych na maszynie kartek i podał mu. — Rzadko się zdarza, żeby ktoś *prosił* o którąś z moich książek.

Timothy ułożył równo kartki i wsunął je pod pachę. — Piszesz teraz coś nowego?

— Tak. Coś bardzo rosyjskiego i makabrycznego — owoc znękannej duszy. Pokazałbym ci, ale zawsze stenografuję moje brudnopisy. Są nie do odcyfrowania. — Bristol poszukał kolejnego papierosa i zapalił go drżącą dłonią. — Gdybym mieszkał na poddaszu i miał talent, stanowiłbym modelowy przykład głodującego geniusza.

Timothy wstał.

— Cóż, Bobby, myślę, że na tym zakończymy pierwszy rozdział tego śledztwa. Cholernie mi przykro z powodu, hm, twoich życiowych komplikacji. Gdybyś...

Wsunął dłoń do kieszeni w poszukiwaniu portfela, lecz zaraz ją wyjął, widząc krwisty rumieniec oblewający policzki Bobby'ego.

— Dam sobie radę bez tego, dzięki.

— Rozumiem. — Timothy ogarnął spojrzeniem panujący w pokoju chaos. — Ale posłuchaj, ja ostatnio rzadko bywam w domu, a mój kolorowy służący z nudów ogryza paznokcie. Może wpadłby do ciebie i trochę to wszystko ogarnął? Nie powinienesz pracować w takim bałaganie.

Nagły uśmiech Bristola był rozbijającym chłopcę.

— To cholernie miło z twojej strony.

— Jestem ci to winien za tamtą kijankę.

Bobby wyciągnął rękę na pożegnanie. — Dzięki, Trant, nie masz wiele wspólnego z tradycyjnym wyobrażeniem policjanta. Jeżeli tylko... Wiesz, w tej chwili jestem w kompletnej rozsypce... Ale jeżeli tylko mógłbym coś zrobić, żeby pomóc w sprawie Klary...

— Będę o tobie pamiętał. Właściwie jest coś, w czym od razu mógłbyś mi pomóc. Do jakiego wniosku doszedłbyś, słysząc następującą historię, Bobby? Świeżo upieczony mąż dzwoni do swojej żony, która jest w innym mieście, nie mając jej nic do powiedzenia. Jej akurat nie ma, więc po kilku godzinach mąż dzwoni jeszcze raz.

— Trudno mnie uznać za eksperta w kwestiach małżeńskich. — Bristol uśmiechnął się blado. — Ale jako początkujący pisarz, doszedłbym do dwóch wniosków. Mężczyzna, który dwukrotnie dzwoni do swojej żony z drugiego miasta, jest albo bardzo w niej zakochany — albo cierpi z powodu nieczystego sumienia.

— Niesamowite, Bobby. — Timothy wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Doszedłem dokładnie do tych samych wniosków. Do widzenia.

Wychodząc pośpiesznie na ulicę, Timothy myślał, że jeśli chodzi o Roberta Bristola, dwie rzeczy są całkowicie pewne. Jakkolwiek wątpliwe byłyby zeznania innych gości pani Van Heuten odnośnie jej porad literackich, Robert Bristol był autentycznym klientem jej biura. Timothy był też pewien czegoś innego.

Bobby Bristol był wciąż szaleńczo, wręcz tragicznie zakochany w swojej żonie, która „chce się rozwieść, żeby móc poślubić bardziej obiecującego mężczyznę.”

Lecz Timothy nie rozmyślał długo o Robercie Bristolu. Był zbyt zajęty zgłębianiem zagadki, jaką przed chwilą przedstawił swojemu dawnemu przyjacielowi.

## 12.

Timothy dotarł na komendę o dziewiątej. Odbył krótką, lecz intensywną rozmowę z sierżantem Danversem. Rutynowe postępowanie w sprawie przyniosło nader skąpe rezultaty. Żaden włamywacz nie był widziany feralnego dnia w okolicy biura porad literackich Van Heuten. Nikt w budynku nie zauważył nikogo wchodzącego tylnym wejściem. Nawet Tolfrey przemknął się niepostrzeżenie.

— Wygląda na to, że nikt nawet nie wie o *istnieniu* tylnego wejścia — narzekał sierżant. — A w budynku jest tylko jedno biuro o takim samym układzie pomieszczeń. To, które znajduje się piętro niżej pod biurem porad — amerykańsko-japońska spółka Rayon Incorporated. Chyba do niczego nam się to nie przyda.

Najgorsze wiadomości dotyczyły samej pani Van Heuten. Dziesiątki jej znajomych i klientów zaklinały się, że była osobą kryształowo

uczciwą, zaś jej biuro — najporządniejszą instytucją pod słońcem. Żaden cień nie padał na jej nieskalaną reputację.

Nadeszły także wstępne raporty dotyczące tych gości biura, do których udało się dotrzeć. Timothy przejrzał je. Historia rodziny Bristolów wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętał. Życiorysy księżnej Walońskiej i jej trzech sławnych przyjaciółek również nie zawierały niczego zaskakującego. Obecność w mieście panny Dawn tłumaczono kontraktem na prywatny występ i chęcią pozostania z dala od wścibskiej hollywoodzkiej prasy na czas przygotowań do rozwodu z jej obecnym mężem.

Podziwu godna sumienność Jervisa nie pozwoliła mu pominąć mężów czterech dam. Jednak szanse na ich związek z morderstwem były niewielkie. Książę Waloński był w Europie, gdzie załatwiał odkup rodzinnej posiadłości, którą na pewnym etapie swej kariery typowego zubożałego arystokraty był zmuszony sprzedać. Pan Hobart przebywał w Winton w stanie Ohio, nadzorując tam dział sprzedaży słynnej firmy Produkty Kostne Stuckeya. Mąż panny Kennet, młody i znany archeolog, badał prymitywne świątynie na Tahiti, zaś pan Davenham, wkrótce już były angielski mąż Gildy Dawn, znajdował się obecnie w ojczyźnie, gdzie grał w przedstawieniu na Shaftesbury Avenue\*.

\* Główna ulica West Endu, londyńskiej dzielnicy słynnej ze swoich teatrów.

Timothy'ego bardziej interesowało to, co raport miał do powiedzenia na temat Dane'a Tolfreya. Okazało się, że pan Tolfrey zajmował się czymś w rodzaju wywiadu finansowego. Rzadko jednak bywał w biurze. Zdawał się dzielić swój czas niemal wyłącznie między nowojorskie bary a wyjazdy do Europy. Podobno wysoko i chętnie obstawiał na wyścigach konnych, ale źródło jego dochodów nie zostało ustalone. Wyglądało na to, że jego firma była na krawędzi bankructwa, on sam zaś, choć wywodzący się z niegdyś zamożnej bostońskiej rodziny, przed wielu laty przepuścił cały swój skromny spadek. Informator Jervisa uznał rozbieżność między wydatkami a oficjalnymi przychodami pana Tolfreya za wysoce podejrzaną.

Timothy zgadzał się z nim. — O ile — zauważył — Tolfrey codziennie nie dostawał od pani Van Heuten czeków na trzysta pięćdziesiąt dolarów.

Nie udało się znaleźć niczego nowego na Dereka Muira, Johna Smitha ani nieznaną dziewczynę, w raporcie było jednak zaskakująco obszerne dossier Madeleine Price, zawierające kilka wycinków z prasy. Timothy właśnie zamierzał je przejrzeć, gdy zadzwonił telefon, wzywający go przed oblicze komendanta.

— No i co, Trant? — zapytał niespokojnie komendant.

Timothy zrelacjonował mu pokrótce, co wydarzyło się od czasu ich ostatniej rozmowy. Komendant uśmiechnął się cierpko.

— Przynajmniej jest się o co zaczepić. Rozumiesz coś z tego?

— Niewiele. — W szarych oczach Timothy'ego błysnęło spojrzenie czujnej pantery. — Jestem już niemal pewien, że coś łączy ze sobą większość z dziewięciu gości pani Van Heuten. Nie rozumiem, dlaczego wszyscy wybrali akurat ten sam dzień, żeby odwiedzić biuro porad literackich. Widzę ich jednak w roli much, motyli i os uwikłanych w sieć, w której środku czyhają kryształowo czysta Klara i niecny pan Tolfrey w roli bliźniaczych pajaków. Jedna z os ukąsiła kobietę-pajaka i mam przeczucie, że dokładnie w tej chwili krąży nad pozbawionym partnerki jej samcem...

— Myślisz, że Tolfrey może zostać zamordowany? — spytał ostro komendant.

— Nie wiem. Na tym kończą się moje domysły. Wciąż poruszam się po omacku w nieprzeniknionych ciemnościach. — Timothy uśmiechnął się. — Ale chociaż wszystko zdaje się świadczyć przeciwko mnie, jestem przekonany, że eleganckie, wyrafinowane biuro porad literackich było przykrywką dla jakichś ciemnych interesów i że Tolfrey oraz pani Van Heuten byli ze sobą w jakiejś zмовie.

Komendant wyglądał na zaskoczonego. — Trudno w to uwierzyć, Trant. Nie mamy absolutnie żadnego dowodu przeciwko pani Van Heuten.

— Właśnie. Była aż niewiarygodnie kryształowa. Prawdę mówiąc, miała tak nieskalaną reputację, że moim zdaniem musiała ją sobie celowo wyrobić i posługiwać się nią jak zasłoną dymną w swoich ciemnych interesach. Ale nie mam zielonego pojęcia, co to mogły być za interesy. Na pewno nic typowego.

— W tej kwestii się z tobą zgadzam. Na przykład nie mogło chodzić o szantaż. Kobiecie o jej pozycji nie udałoby się uniknąć kompromitacji. Zawsze znajdzie się jedna ofiara, która jest gotowa mówić.

— Dokładnie tak. Ja też wyeliminowałem szantaż. Tak samo jak wszelkie rodzaje lichwy. Cokolwiek to było, dotyczyło księżnej Walońskiej i jej przyjaciółek. To jedne z najbogatszych kobiet w Ameryce, nigdy nie zadawałyby się z lichwiarką.

— Być może pani Van Heuten handlowała seksem i narkotykami? — zastanawiał się głośno komendant.

— Seksem! — wykrzyknął Timothy. — Wystarczyło na nią spojrzeć, żeby przekonać się, że prawdopodobnie nie wiedziała nawet, że coś takiego jak seks istnieje. Poza tym te jej poprawki na maszynopisach. Żadna kobieta, która sugeruje, żeby zamienić „smród” na „zapach”, nie mogła mieć nic wspólnego z narkotykowym bagnem.

Komendant uśmiechnął się. — Co nam w takim razie pozostaje?

— Otóż to. Jeżeli odkryjemy, na czym polegały jej ciemne interesy, rozwiążemy zagadkę tego morderstwa. A przynajmniej takie jest moje obecne zdanie, choć nie wiem, ile jest warte. — Timothy wzruszył ramionami. — Tak przy okazji, nie musi się pan już martwić, że księżna Walońska nam zaszkodzi. W tej chwili jest tak przeżazona, że nie ruszy nawet małym palcem...

Gdy detektyw mówił, drzwi gabinetu otworzyły się i wpadł przez nie inspektor Jervis. Skinął głową Timothy'emu i podszedł do biurka komendanta.

— Szefie, nareszcie coś drgnęło. Byłem w banku i rozmawiałem z prawnikiem pani Van Heuten.

— Jakież dobre wieści? — wtrącił się Timothy.

— Po pierwsze, sprawdziłem finanse biura porad literackich. Nie przynosiło strat, ale też nie przynosiło zysków. Zarabiało akurat tyle, żeby pokryć biurowe wydatki.

— A jednak! — mruknął Timothy. — Skąd w takim razie to ekskluzywne mieszkanie przy Park Avenue, wystawne przyjęcia i pierścionek z brylantem?

— No właśnie. Skąd? — parsknął inspektor. — Ustaliłem ponad wszelką wątpliwość, że w tysiąc dziewięćset trzydziestym pierwszym pani Van Heuten wszystko straciła. Musiała nawet sprzedać swoją biżuterię. Przez ostatnie trzy lata żyła za mniej więcej piętnaście do dwudziestu tysięcy dolarów rocznie i zostawiła po sobie majątek wart ponad sto tysięcy.

Komendant i Timothy wymienili szybkie spojrzenia. — Wygląda więc na to, że pańska teoria się potwierdza.

— I to jeszcze jak! Co to musiał być za przekręt! — wykrzyknął Timothy.

— Ale to jeszcze nie wszystko. — Twarz Jervisa wyrażała coraz większe zdumienie. — Widziałem jej testament. Większość kasy dostaną jej krewni w Bostonie, którzy — na ile mogłem to stwierdzić — mają na czas morderstwa świetne alibi. Jest jednak jeszcze troje innych spadkobierców. Pięć tysięcy dostanie Louise Campbell, ta sekretarka pani Van Heuten, drugie pięć córeczka sekretarki, Elaine, a kolejne pięć tysięcy — Dane Tolfrey.

— Pięć tysięcy? — powtórzył Timothy.

Inspektor przytaknął. — Myślałem o tym dokumencie, który znalazłeś, Trant — tym rzekomym nowym testamencie. Miałem nadzieję, że znajdzie się jakiś motyw finansowy, który mógłby pogrozić Tolfreya. Ale pięć tysięcy w spadku! Po co miałby zabijać panią Van Heuten dla pięciu tysięcy, skoro mógł dostawać od niej czeki na trzysta pięćdziesiąt dolarów, i to kiedy tylko chciał...

Jervis i komendant dalej rozmawiali, podczas gdy Timothy przez chwilę siedział zupełnie nieruchomo. Potem nagle wstał i wyszedł z gabinetu.

Kolejne pół godziny upłynęło mu równie gorączkowo, jak każde inne trzydzieści minut w jego karierze. Wysłał posłańca po rozkład lotów, popędził do laboratorium analiz daktyloskopijnych, skąd pobrał fotografię odcisku palca znalezionej na nożu, a gdy przyniesiono mu rozkłady lotów, uważnie je przestudiował i wreszcie zadzwonił, aby zarezerwować dwa bilety na lot do Cincinnati o godzinie jedenastej. Wykręcając kolejny numer, uśmiechał się pod nosem.

— Halo... Panna Price?

— Przy telefonie — padła ostrożna odpowiedź.

— A więc żyje pani! Bałem się, że ten anonimowy rozmówca dalej będzie panią niepokoił... A tu mówi Timothy Trant.

— Niemożliwe. — W głosie Madeleine pojawiła się nutka sarkazmu.

— Błagam, błagam, panno Price, nie zaczynajmy kolejnej fascynującej sprzeczki. Nie ma na to czasu. Czy potrafi pani działać naprawdę szybko, jeśli ma pani na to ochotę?

— Oczywiście.

— W takim razie proszę spotkać się ze mną na lotnisku w Newark za dziesięć jedenasta. I proszę nie kłopotać się o bilet. Wydział Zabójstw będzie zachwycony, mogąc zafundować pani przelot w obie strony w charakterze osoby towarzyszącej.

Z drugiej strony dobiegł go stłumiony okrzyk. — Ale dokąd lecimy?

— To tajemnica. Proszę mi tylko obiecać jedną rzecz, panno Price. Jeśli już musi pani nosić ten kapeluszek jak garnet, niech go pani założy na bakier...!

Wybiegając z biura, Timothy wpadł na Jervisa, który właśnie wyszedł od komendanta. Detektyw chwycił inspektora za ramię.

— Niech pan posłucha, Jervis. Proszę coś dla mnie zrobić. To niezwykle ważne. Niech we wszystkich gazetach podadzą, że niejaki Dane Tolfrey miał niegroźny wypadek, na skutek którego doznał wstrząśnienia mózgu i prawdopodobnie przez najbliższe czterdzieści osiem godzin nie odzyska przytomności.

Inspektor popatrzył na niego całkowicie zaskoczony. — Ale dlaczego...?

— Nie mam teraz czasu tego tłumaczyć. Ale proszę to zrobić — przez wzgląd na mnie. — Timothy spojrział na zegarek. — Do wieczora będę poza miastem.

— A dokąd to się wybierasz?

— Tu i tam.

— I co zamierzasz?

Timothy uśmiechnął się. — Inspektorze, przy odrobinie szczęścia mam nadzieję przywieźć panu informacje o pierwszym gościu pani Van Heuten — oraz o... dziesiątym!

## 13.

Znalazłszy się w taksówce, mającej zawieźć go na lotnisko w Newark, Timothy wyjął z kieszeni dossier Madeleine Price, którego nie miał do tej pory czasu przeczytać. Raport pokrótce omawiał wycinki prasowe, do których był dołączony. One to przede wszystkim przykuły uwagę detektywa.



Pierwszy z nich pochodził sprzed pięciu lat i zawierał, co następuje:

#### TRAGICZNY WYPADEK SAMOCHODOWY

BAINESVILLE, PENSYLVANIA. GILBERT A. CAMPBELL ZGINĄŁ NA MIEJSCU PO TYM, JAK KABRIOLET PROWADZONY PRZEZ JEGO SZWAGIERKĘ, MADELEINE PRICE, ZBOCZYŁ Z DROGI NA WYSOKOŚCI EAGLEPOINT LEDGE, SPADŁ W DÓŁ Z PRAWIE DZIESIĘCIOJARDOWEJ SKARPY I NATYCHMIAST STANAŁ W PŁOMIENIACH. CIAŁO CAMPBELLA BYŁO DO TEGO STOPNIA ZWĘGLONE, ŻE IDENTYFIKACJA OKAZAŁA SIĘ BARDZO TRUDNA. DZIEWCZYNA NATOMIAST WYPADŁA Z WOZU I CUDEM UNIKNĘŁA OBRAŻEŃ, DOZNAJĄC JEDYNIIE SZOKU. PANNA PRICE PRZEBYWA OBECNIE W SZPITALU I NIE BYŁA W STANIE WYGŁOSIĆ ŻADNEGO OŚWIADCZENIA.

Kolejny wycinek, z datą o kilka dni późniejszą, brzmiał:

#### TAJEMNICA TRAGICZNEGO WYPADKU W EAGLEPOINT LEDGE?

BAINESVILLE, PENSYLVANIA. MADELEINE PRICE, DWUDZIE-STOJEDNOLETNIA BRUNETKA O ORYGINALNEJ URODZIE, ZOSTAŁA DZISIAJ PRZESŁUCHANA NA OKOLICZNOŚĆ WYPADKU Z UBIEGŁEJ ŚRODY, W KTÓRYM ZGINĄŁ JEJ SZWAGIER, GILBERT CAMPBELL. ŚWIADKOWIE TWIERDZĄ, IŻ PÓŁ GODZINY WCZEŚNIEJ WIDZIELI TEN SAMOCHÓD PROWADZONY PRZEZ MĘŻCZYZNĘ, PĘDZĄCY W PRZECIWNYM KIERUNKU. PÓTEM WÓZ ZATRZYMAŁ SIĘ GWAŁTOWNIE I WYGLĄDAŁO NA TO, ŻE KIEROWCA I PASAŻERKA KLÓCĄ SIĘ O COŚ. W KOŃCU ZA KIEROWNICĄ USIADŁA MŁODA KOBIETA, WYCOFAŁA SAMOCHÓD I RUSZYŁA W KIERUNKU SWOJEGO DOMU W TERRABINNY. NIKT NIE WIDZIAŁ, W JAKI SPOSÓB SAMOCHÓD WYPADŁ Z DROGI I RUNĄŁ W DÓŁ SKARPY. MADELEINE PRICE, BLADA, LECZ OPANOWANA, ZEznała, ŻE NIE POZWOLIŁA SZWAGROWI PROWADZIĆ, PONIEWAŻ BYŁ NIETRZEŻWY. PRZYznała, ŻE PRZEKROCZYŁA OGRANICZENIE PRĘDKOŚCI, TŁUMACZĄC SIĘ SWOIM NIEPOKOJEM O SIOSTRĘ, KTÓRA ZOSTAŁA W DOMU, GDYŻ NIE CZUŁA SIĘ NAJLEPIEJ. PANNA PRICE STWIERDZIŁA, ŻE DO WYPADKU DOSZŁO PO TYM, JAK JEJ SZWAGIER CHWYCIŁ JĄ NIESPODZIEWANIE ZA RĘKĘ I USIŁOWAŁ ODEBRAĆ JEJ KIEROWNICĘ.

Kolejny wycinek opisywał ostatni etap rodzinnej tragedii i jej raczej niezadowolające detektywa zakończenie:

## UCIECZKA KOCHANKÓW WYKLUCZONA

BAINESVILLE, PENSYLWANIA. LOUISE CAMPBELL (LAT 23), ATRAKCYJNA JASNOWŁOSA WDOWA, Z OBURZENIEM ZAPRZECZYŁA POGŁOSKOM, JAKOBY ŚMIERĆ JEJ MĘŻA NASTĄPIŁA W TRAKCIE UCIECZKI KOCHANKÓW, DO KTÓREJ NAKŁONIŁA GO JEJ SIOSTRA, MADELEINE PRICE. „MADELEINE I GILBERT BYLI TYLKO DOBRZYMI PRZYJACIÓŁMI, NICZYM WIĘCEJ” — POWIEDZIAŁA. — „POMYSŁ, ŻE MIELIBY UCIEKAĆ RAZEM, TO JAKAŚ BZDURA”. GEORGE GRUBER, WŁAŚCICIEL TAKSÓWKI Z TERRABINNY I DOBRY ZNAJOMY ATRAKCYJNEJ MŁODEJ WDOWY, RÓWNIEŻ ROZMAWIAŁ Z NASZYM REPORTEREM. POWIEDZIAŁ: „MADELEINE NIE JEST DZIEWCZYNĄ, KTÓRA FIGLOWAŁABY W SAMOCHODZIE, POZA TYM TO CHYBA NAJBARDZIEJ OPANOWANY KIEROWCA, JAKIEGO ZNAM. MOGĘ JEDYNIJE POTWIERDZIĆ, ŻE PO WYPICIU PARU DRINKÓW GILBERT ROBIŁ SIĘ NARWANY”. PODCZAS DZISIEJSZEGO PRZESŁUCHANIA W SĄDZIE PRAWO JAZDY PANNY PRICE ZOSTAŁO UNIEWAŻNIONE. OBIE Z SIOSTRĄ ZAMIERZAJĄ WYJECHAĆ Z TERRABINNY DO NOWEGO JORKU.

Wsuwając wycinki prasowe do portfela, Timothy wyglądał na zamysłonego. To wszystko stawiało Madeleine Price w całkiem nowym świetle.

Gdy dotarł na lotnisko, była za dwadzieścia jedenasta. Osiem minut zajęła mu ożywiona rozmowa z pracownikiem rezerwacji. Następnie, punktualnie za dziesięć jedenasta, stawił się w poczekalni.

Madeleine Price była jeszcze szybsza. Detektyw zastał ją siedzącą spokojnie na ławce. Miała na sobie skromny, czarny kostium i czarne rękawiczki, a kapelusz jak garnek spoczywał prosto na jej głowie, jakby na złość Timothy'emu.

Detektyw spojrzał nań i westchnął. — Doprawdy, panno Price, jest pani wyjątkowo uparta.

Sekretarka popatrzyła na niego bez cienia uśmiechu. — Zielona koszula i biały krawat, panie Trant. Czy jest jakieś zawodowe wytłumaczenie takiego połączenia?

Coś w jej szczerym spojrzeniu sprawiło, że Timothy'emu zrobiło się głupio.

— Ma pani talent do wprawiania mnie w zakłopotanie, panno Price. Proszę za mną, bo spóźnimy się na samolot. Latała już pani kiedyś?

- Nie.
- A boi się pani?
- Tak. Boję się dużych prędkości od czasu, gdy...

Madeleine Price umilkła i nic już nie powiedziała, gdy biegli do czekającego na nich samolotu. Nie zapytała, dokąd się wybierają. Prawdę mówiąc, sprawiała wrażenie zupełnie tym niezaciekawionej.

Weszli na pokład i odszukali swoje miejsca. Śmigło zaterkotało, samolot ruszył przed siebie, coraz szybciej i szybciej. W końcu oderwał się od ziemi i zaczął unosić, pnąc się z wysiłkiem w górę.

Przez pewien czas oboje milczeli, wsłuchując się w warkot silnika. Timothy nie mógł się otrząsnąć ze zdumienia i lekkiego szoku spowodowanego nieoczekiwaną wiedzą, jaką zdobył na temat przeszłości Madeleine, a którą zawdzięczał wycinkom prasowym. Spróbował nakłonić dziewczynę, żeby opowiedziała mu coś o sobie. Jednak Madeleine, zdecydowanie nie w humorze, odpowiadała monosylabami, dopóki sprytnie nie skierował rozmowy na Louise. Wtedy ożywiła się znacznie, stając się wręcz chętna do zwierzeń. I tak stopniowo detektywowi udało się pozbierać elementy układanki, jaką było życie sióstr Price. A było ono raczej żałosne i pozbawione ciekawszych wydarzeń.

Po śmierci rodziców dziewczęta zostały praktycznie bez środków do życia. Starsza, Louise, wkrótce wyszła za mąż za Gilberta Campbella, zaś Madeleine zamieszkała ze schorowaną przyjaciółką ich matki w charakterze damy do towarzystwa. Przykuta do łóżka starowinka umarła, pozostawiając dziewczynie niewielką pensję. Niedługo po tym miał miejsce ów tragiczny wypadek samochodowy. Madeleine starannie unikała wymieniania imienia swojego szwagra, ale w miarę jak mówiła, Timothy zauważał od czasu do czasu subtelne zmiany w wyrazie jej twarzy.

Miał rację. Ta dziewczyna mogła być piękna. Było to dziwne, ulotne piękno, jakby jakaś jasność rozświetlała od wewnątrz jej ciemne oczy i łagodziła ostre linie ust. Piękno, które pojawiało się i znikало tak, że zawsze należało być czujnym, obserwując jej twarz — twarz, która bywała momentami frapująca, lecz nigdy nijaka.

Madeleine wciąż mówiła z przejęciem o Louise, gdy samolot rozpoczął swoje drugie po Nowym Jorku podejście do lądowania. Timothy sięgnął po kapelusz.

— Pozostaną dozgonnie wdzięczny temu samolotowi, panno Price — oznajmił z uśmiechem. — Czuję, że dzięki niemu zbliżyliśmy się do siebie. Teraz niestety musimy już wysiąść.

Dziewczyna gwałtownie podniosła głowę. — Gdzie jesteśmy?

— W Winton, w stanie Ohio — odparł wesoło Timothy. — To podobno bardzo ciekawe miasto.

Na lotnisku detektyw wezwał taksówkę. Gdy ta wiozła ich przez zatłoczone ulice zamożnego, fabrycznego miasta, Madeleine Price nadal nie zadawała żadnych pytań. Timothy widział jednak, że zdołał rozbudzić jej ciekawość. Po pewnym czasie zerknął na nią z ukosa.

— Prawdopodobnie domyśliła się już pani, panno Price, że Wydział Zabójstw nie zafundował pani tej przejażdżki ot, tak sobie, dla pani przyjemności. Chcę, żeby mi pani towarzyszyła, jakkolwiek dziwna może się pani wydać ta eskapada. Muszę tu kogoś odwiedzić, a pani obecność będzie bardzo przydatna.

— Jestem gotowa pomóc — odparła ze spokojem sekretarka. — Ale nie znam nikogo w Winton.

— Mam nadzieję, że jednak pani zna. Złożymy wizytę w pewnym domu. Jeżeli zobaczy tam pani kogoś, kogo twarz wyda się pani znajoma, proszę zrobić coś melodramatycznego, na przykład... — Zerknął na jej dłonie, kurczowo zaciśnięte na niedużej torebce. — Proszę upuścić torebkę.

Madeleine spokojnie odwzajemniła jego spojrzenie. — Jeżeli ja kogoś rozpoznam — powiedziała śmiało — ten ktoś zapewne rozpozna mnie.

— Niezwykle logiczna uwaga, panno Price. Potrafi pani współpracować, jeżeli tylko ma pani ochotę.

Po chwili zastanowienia Timothy krzyknął na taksówkarza i polecił mu jechać do najbliższego domu towarowego. Tam czule ujął Madeleine pod rękę i pchnąwszy drzwi wahadłowe, pospieszył z nią do eleganckiego stoiska, na którym piętrzyły się piramidy flakoników z perfumami, mydeł i innych kosmetyków.

— Dzień dobry — odezwał się, obdarzając ekspedientkę promiennym, pełnym rozrzewnienia uśmiechem. — Chciałbym przedstawić pani moją narzeczoną.

Mówiąc to, wskazał na pannę Price, która, mocno zaskoczona, niespokojnie zmarszczyła brwi.

— Widzi pani — ciągnął detektyw — biedne dziewczę było do tej pory niemal zupełnie odcięte od świata. Dorastała w bardzo religijnej rodzinie, a sama pani wie, jaki stosunek mają niektórzy ludzie do kosmetyków... Jezebel\* i tak dalej. — Ze smutkiem omiółł spojrzeniem nieupudrowaną twarz Madeleine. — Teraz jednak, kiedy zgodziła się zostać moją żoną, oboje uważamy, że powinna nieco zadbać o siebie.

\* Kobieta nadużywająca makijażu, kokota (od imienia biblijnej królowej Izraela).

Ekspedientka przyjrzała się Madeleine z bezosobowym zainteresowaniem eksperta.

— Przy tym typie karnacji doskonały będzie puder Rachel i odrobina ciemnopomarańczowego różu. Na usta może... geranium.

— Geranium! — powtórzył z powagą Timothy. — Widzę, że jest pani prawdziwą artystką. Może byłaby pani tak miła i pomogła jej się umalować. Ja tymczasem coś jeszcze załatwię.

Gdy Madeleine niechętnie pozwałała nałożyć sobie szminkę, detektyw przeszedł do działu z nakryciami głowy. Wrócił po kilku minutach, obracając w dłoniach nieduży i wyjątkowo niepoważny czerwony kapelusik.

— Muszę pozbyć się tego okropieństwa sprzed oczu — mruknął.

Uroczyście zdjął kapelusz jak garnek z głowy Madeleine i oddał go ekspedientce.

— Czy może pani coś z tym zrobić?

Wreszcie zabiegi kosmetyczne dobiegły końca. Timothy uregulował rachunek i zaprowadził Madeleine do najbliższego lustra, gdzie, pod jego czujnym spojrzeniem, umieściła czerwony kapelusik na swoich ciemnych, gęstych włosach, przez cały czas milcząc złowrogo.

— No i proszę! — wykrzyknął, wskazując dziewczynie jej odmienne odbicie w lustrze. — Nie wstyd pani, że tak długo ukrywała taki blask pod... garnkiem?

Madeleine przyglądała się sobie niepewnie. — Dlaczego pan to robi?

— Wziąłem sobie do serca pani uwagę i postanowiłem, że wystąpi pani w przebraniu. — Timothy wzruszył ramionami. — Nie

zdawałem sobie tylko sprawy, że przez te wszystkie lata już chodziła pani przebrana. Modny kapelusik i odrobina różu wystarczyły, żeby zrobić z pani bardzo atrakcyjną kobietę.

Madeleine odwróciła się raptownie i stanęła z nim twarzą w twarz. Jej oczy płonęły gniewem, a policzki były zaróżowione.

— Dlaczego pan ciągle robi i mówi takie rzeczy? To... to bardzo nieuprzejme. Chce pan zrobić ze mnie idiotkę. Dobrze pan wie, że nie jestem ładna.

— Wcale nie powiedziałem, że jest pani ładna. Powiedziałem, że jest pani atrakcyjna.

Madeleine jeszcze raz spojrzała z powątpiewaniem w lustro, po czym odwróciła się do niego z nagłym uśmiechem na ustach.

— Naprawdę... naprawdę pan tak myśli?

— Jestem najuczciwszym z ludzi. — Timothy ujął ją pod rękę i poprowadził do wyjścia. — Żałuję tylko, że nie odkryłem jeszcze takiego połączenia koszuli i krawata, które przeobraziłoby mnie równie skutecznie.

Taksówka czekała na nich przed sklepem i zawiozła ich przez miasto do zamożnej, podmiejskiej dzielnicy. W końcu skręciła w długi podjazd, wiodący do rozległej, neogotyckiej rezydencji, ozdobionej wieżyczkami i kopułami. Widząc ją, Timothy wzdrygnął się.

— Wie pani, czemu zawdzięczamy ten majestatyczny gmach, panno Price? Kościom — fortunie zbitej na kościach.

Kazawszy taksówkarzowi zaczekać, poprowadził Madeleine na otoczony imponującą kolumnadą ganek.

— Co my tu właściwie robimy? — chciała wiedzieć Madeleine.

— Idziemy tropem mojego przeczucia.

— Czy mam coś robić?

— Absolutnie nic, panno Price. Wystarczy, jak w kluczowym momencie upuści pani torebkę.

Drzwi otworzył im kamerdyner sprawiający wrażenie lokaja w liberii.

— Czy zastaliśmy pana Hobarta? — zapytał beznamiętnie Timothy.

— Wydaje mi się, że pan Hobart jest w stajni. — Kamerdyner przyjrzał się podejrzliwie koszuli Timothy'ego. — Życzy pan sobie z nim rozmawiać?

- Owszem.
- Pańskie nazwisko?

Timothy uśmiechnął się przeproszająco do Madeleine. — Jestem dziennikarzem czasopisma „Prawdziwe romanse”. A to jest nasza, hm, panna Potts.

Kamerdyner wprowadził ich niechętnie do pretensjonalnego, lecz prosto umeblowanego hallu.

- Chwileczkę, ja tylko...

Urwał, widząc zwinnego, opalonego młodego człowieka w spodniach do konnej jazdy, który właśnie wszedł różnym krokiem do salonu.

— Och, to pan Hobart. Sir, ten dżentelmen mówi, że jest z jakiegoś pisma.

— „Prawdziwe romanse” — dodał Timothy z lekkim naciskiem. — Panna Potts i ja chcielibyśmy opisać światu pańską romantyczną historię, panie Hobart... Proszę notować, panno Potts.

Madeleine wyjęła nieduży notes i zaczęła coś w nim gryzmolić.

Hobart gestem odesłał kamerdynera i podszedł do nich, od niechcienia uderzając się po udzie szpicrutą. W jego ciemnych oczach widać było pewne zaciekawienie.

— A cóż tak szczególnie romantycznego dostrzega we mnie pan, panna Potts oraz reszta świata?

Przez chwilę nikt nic nie mówił. Nagle, robiąc przy tym sporo hałasu, Madeleine niezdarnie upuściła na ziemię torebkę oraz notesik.

Schylając się, aby je podnieść, Timothy przeczytał dwa słowa, jakie widniały w otwartym notesie:

*John Smith.*

A więc przecucie go nie myliło. Udało mu się wysledzić pierwszego gościa pani Van Heuten.

Zauważył także, że torebka sekretarki otworzyła się i na zewnątrz wysunął się palec niewielkiej szarej rękawiczki oraz rożek białej, bawełnianej chustki do nosa. Detektyw wepchnął je z powrotem do środka, zatrzasnął torebkę i zwrócił ją Madeleine, której policzki pokrył tymczasem pąsowy rumieniec.

Mąż Susan Hobart obserwował całe to przedstawienie ze złośliwym rozbawieniem. Teraz utkwiał spojrzenie w Madeleine. Jego oczy

oszacowały ją z uznaniem, a usta wygięły się w uśmiechu, odsłaniając niespotykane białe zęby.

— Nowy kapelusz, nowy makijaż, nowa praca — i nowe nazwisko. Szybko się pani uwinęła, panno Potts. — Odrzucił szpicrutę i wcisnął dłonie do kieszeni. — Szkoda, że ma pani twarz, która tak bardzo rzuca się w oczy.

— Domyślam się — odparła śmiało Madeleine — że nie codziennie spotyka się takiego maszkarona jak ja, panie Smith.

— Maszkarona! A więc słyszała pani. Ale wtedy nie miała pani na głowie kapelusza. — Hobart odwrócił się do Timothy'ego z bezczelnym wyrazem twarzy. — Czy może mi pan podać choć jeden powód — mruknął, oglądając delikatne otarcia na kłykciach swojej opalonej dłoni — dla którego nie miałbym przynajmniej spróbować wyrzucić pana i panny Potts z mojego domu?

— Nie wiem, jak zapatruje się na to panna Potts — odparł Timothy — ale ja nie miałbym nic przeciwko małej bójce na pięści. Ale chociaż moja jurysdykcja nie sięga do Ohio, lepiej by pan zrobił, nie zadzierając z nowojorskim policjantem.

— Z policjantem? — powtórzył Hobart. — A dlaczegóż to nowojorski policjant miałby się ukrywać za „Prawdziwymi romansami”?

— Ponieważ zamierzał się spotkać z panem Hobartem tylko pod warunkiem, że jest on również Johnem Smithem.

— Być może jestem nadmiernie ciekawski, ale bardzo chciałbym wiedzieć, jak udało się panu wytropić złowrogiego Johna Smitha w jego kryjówce.

— Był to raczej ślepy traf — wyznał Timothy. — Tak się złożyło, iż wczoraj wieczorem byłem obecny przy tym, jak pańska żona odebrała telefon od pana u księżnej Walońskiej. Byłem też na tyle bezczelny, aby podsłuchiwać, i zwróciłem uwagę na fakt, iż nie miał pan jej nic ważnego do powiedzenia, a mimo to wspomniał pan, że telefonował już wcześniej, o godzinie szóstej. Przedstawiłem tę kwestię przyjacielowi, który stwierdził, że dzwonił pan albo powodowany mężowską troską, albo nieczystym sumieniem. Wtedy to odkryłem, że samolot z Nowego Jorku przylatuje do Winton tuż przed szóstą. Zatem bez wahania, choć ostrożnie, dodałem dwa do dwóch.

— Bardzo sprytnie — powiedział wolno Hobart. — Ale zanim zacznę się zwierzać, chciałbym się upewnić, że naprawdę jest pan



policjantem. Sposób dedukcji i pana wygląd zdają się to potwierdzać, ale martwi mnie ta koszula.

Timothy pokazał mu swoją odznakę. John Hobart obejrzał ją obojętnie, a następnie oparł się muskularnymi plecami o gzyms kominika.

— W porządku. Zapewne chciałby pan umieścić w aktach mój skrócony życiorys. John Hobart, lat trzydzieści, urodzony w Teksasie. Podróżowałem po świecie, grałem w polo na cudzych koniach, w ubiegłym roku trafiłem do drużyny narodowej, kilka miesięcy temu ożeniłem się z jedną z najbardziej uroczych kobiet w tym kraju. Obecnie zaś, chociaż akurat dzisiaj przyłapaliście mnie na wagarach, ciężko pracuję jako kierownik sprzedaży w firmie Produkty Kostne Stuckeya. — Uśmiechnął się. — Może jednak kwalifikuję się do tego, żeby mnie opisano w „Prawdziwych romansach”...!

— Niewykluczone — odparł Timothy. — Jednak bardziej interesuje mnie to, co pan robił w biurze pani Van Heuten po południu tego dnia, kiedy została zamordowana.

— To bardzo prosta i o wiele mniej romantyczna historia. — John Hobart podsunął Madeleine papierośnicę, po czym sam zapalił. — To nie ja zamordowałem nieszczęsną Klarę. Obawiam się, że musi pan wbić to sobie do głowy, zanim zaczniemy.

— Założmy, że już sobie wbiłem. Był pan klientem biura porad literackich?

— Jak najbardziej.

Oczy Timothy'ego rozszerzyły się. — Zapewne pisuje pan w przezwach pomiędzy czakerami\* a handlowaniem kośćmi?

\* (z ang.: chukker) — część meczu polo, trwająca 7.5 minuty.

Śmiech Johna Hobarta zabrzmiał nieco fałszywie. — Cóż, nie jestem już takim pisarzem, jak dawniej. Kiedy byłem młodszy, przechodziłem tak zwaną fazę — nosiłem długie włosy jak na literata przystało i nawet lubiłem koszule takie jak pan. Później jednak wyzreklam się swojego geniuszu i wybrałem sport.

— Domyślam się, że to bardziej dochodowe zajęcie.

— Nigdy zresztą nie byłem poważnym pisarzem. — John Hobart podszedł wolno do okna i wyjrzał na doskonale utrzymany park Stuckeya. — Kilka kiepskich imitacji Kiplinga, proza i wiersze. Tego

typu śmieci. Zaniosem je pani Van Heuten, a ona poprawiła je na swój uroczy, pełen entuzjazmu sposób. Dzięki niej były jeszcze gorsze — o ile to w ogóle możliwe...

— A więc porzucił pan ją i swoją karierę poetycką, bo niczego pan nie osiągnął?

— Właśnie. Na tym polegał cały problem. — John Hobart odwrócił się plecami do okna i przyjrzał mu się leniwie. — Widzi pan, w ubiegłym roku, po tym, jak trafiłem do drużyny narodowej, pomyślałem, że warto byłoby pozbierać moje wspomnienia z gry w polo i dać komuś do spisania. Książka ukazała się i odniosła całkiem spory sukces. Klara dowiedziała się o tym i poczuła się urażona, ponieważ nie dostała swojej działki z zysków.

— Dlaczego uważała, że ma do nich prawo?

— O to właśnie chodzi. Nie mogłem tego zrozumieć. Miałbym jej płacić tylko dlatego, że rozpływała się nad moją młodzieńczą pisaniwą, biorąc trzy dolary za tysiąc słów? Nie pomogła mi wydać książki o polo. Nie odróżniłaby zresztą końskiego łba od zadu. Mimo to awanturowała się, twierdząc, że obiecałem jej udział w wysokości dwudziestu procent swoich dochodów.

— Tak właśnie powiedziała? — przerwał mu Timothy.

— No... tak. — W głosie Johna Hobarta pojawiła się nagła rezerwa. — Dlatego wezwała mnie wczoraj do Nowego Jorku. Znowu prosiła o pieniądze, była nieprzyjemna. Z całym zrozumieniem przedstawiłem jej swój punkt widzenia i rozstaliśmy się po łagodnej wymianie zdań. — Przeniósł spojrzenie na Madeleine. — Podejrzewam, że panna Potts wszystko słyszała i zdała panu odpowiednią relację.

— A propos, jak zatytułowana jest pańska książka? — zapytał zniechęca Timothy.

— Och, hm, „Parada polo”. — John Hobart podszedł niespiesznie do regału i wyciągnął egzemplarz. — Wydana przez oficynę Saltera. Nie posłużyłem się własnym nazwiskiem. Użyłem pseudonimu Trooper.

Timothy zerknął na okładkę i wsunął książkę pod pachę.

— Nie jestem prawnikiem, ale jeśli zawarł pan z panią Van Heuten konkretną umowę, być może jej roszczenia były uzasadnione.

— Nie było żadnej pisemnej umowy. — Opalone policzki Hobarta poczerwieniały. — Poza tym, jeśli mam być zupełnie szczery, nie napisałem tej książki samodzielnie. Byłem na to zbyt zajęty. Wynająłem kogoś, żeby ją za mnie napisał.

— Rozumiem — odparł łagodnie Timothy. — Nie napisał pan „Parady polo” samodzielnie. I nie opublikował jej pan pod swoim nazwiskiem. Pańskie związki z tą książką są dość odległe, prawda?

— Och, służyłem fachową wiedzą, dostarczałem anegdoty i tak dalej.

— Więc taka jest pańska wersja, panie Hobart. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że to dość dziwne, aby zapracowany kierownik sprzedaży leciał do Nowego Jorku klócić się o honorarium, którym prawdopodobnie i tak musiał się pan podzielić ze swoim „murzynem”.

— Nie tyle chodziło o pieniądze, co o zasadę.

— I to dla zasady podróżował pan pod fałszywym nazwiskiem?

— Chodzi panu o Johna Smitha? — Hobart roześmiał się serdecznie. — Widzę, że nie jest pan żonaty. Moja żona przebywała w Nowym Jorku w tym samym czasie i... oczywiście, miałbym wielką ochotę się z nią zobaczyć, ale zatrzymała się u księżnej Walońskiej, której towarzystwo, między nami mówiąc, potrafi być dosyć przykre. Uznałem więc, że najlepiej będzie podróżować *incognito*, załatwić szybko swoje sprawy i zaoszczędzić sobie komplikacji.

— To dość skomplikowane rozwiązanie — zauważył Timothy. — Ale, o ile wiem, posługiwanie się przypadkowymi pseudonimami nie jest przestępstwem. Tak przy okazji, dlaczego pańska żona zatrzymała się u księżnej Walońskiej?

— Dlaczego? — Hobart wzruszył ramionami. — Zapewne dlatego, że została zaproszona i zechciała przyjąć zaproszenie.

Timothy popatrzył w tym momencie na otartą skórę na kłykciach Hobarta. — Widzę, że pańska dłoń nie zagoiła się jeszcze po tym ciosie w szczękę, który wymierzył pan Dane'owi Tolfreyowi.

Hobart drgnął. Otworzył usta, po czym przywołał na nie raczej nieprzekonujący uśmiech.

— Jestem, jak sądzę, świadkiem procesu dedukcyjnego typowego dla policyjnego umysłu. Otarłem sobie kłykcie w stajni. I nie znam żadnego pana Tolfreya.

— A ja mam już dość ludzi, którzy usiłują mi wmówić, że nie znają pana Tolfreya. — Spojrzenie Timothy'ego było niebezpiecznie spokojne. — Szczególnie kiedy dysponuję niezbitymi dowodami na to, że kłamią. Znał pan pana Tolfreya na tyle dobrze, żeby walnąć go w podbródek.

— Nie pozostaje mi nic, jak tylko się przyznać. — Hobart uśmiechnął się zgryźliwie. — Rzeczywiście, znam pana Tolfreya, ale wcale nie trzeba go dobrze znać, żeby przyłożyć mu w szczękę. Próbowaliśmy naciągnąć mnie na drinka. Straciłem cierpliwość.

— Właśnie miałem zasugerować — powiedział cicho Timothy — że uderzył pan jednak pana Tolfreya i odwiedził panią Van Heuten z tego samego powodu. Ale nie sądzę, aby zechciał pan być ze mną aż tak szczerzy — czy się mylę?

— Prawdę mówiąc — Hobart przeciągał słowa — znudziły mnie pańskie próby wciągnięcia mnie w pułapkę, która nie na mnie powinna być zastawiana.

Timothy popatrzył na zegarek. — Jest pierwsza. Obawiam się, że będziemy musieli przerwać tę interesującą rozmowę. Panna Price i ja mamy przed sobą pracowity dzień. Wezmę „Paradę polo” do czytania w samolocie. Gdybyśmy mieli więcej czasu, poprosiłbym pana o dedykację. Mam pewną słabość do autografów, hm, autorów książek...

Ruszył w stronę drzwi i przystanął na progu.

— Nie znam się za bardzo na międzynarodowych rozgrywkach polo. Ale mam nadzieję, że obowiązki sportowca zatrzymają pana w kraju, przynajmniej przez kilka najbliższych tygodni.

— Innymi słowy, mam się nie oddalać, tak?

— Oczywiście nie mogę pana do niczego zmusić, ale wolałbym nie zacieśniać znajomości z tutejszą policją.

John Hobart wyglądał na zdenerwowanego.

— Zanim pan stąd wyjdzie, chciałbym wyjaśnić jeszcze jedną sprawę — powiedział wolno. — Być może supernowocześni detektywi uważają alibi za przeżytek, ale tak się składa, że mam żelazne alibi na czas, kiedy pani Van Heuten została zamordowana. W gazetach napisano, że zginęła kilka minut po czwartej. Ja zaś o czwartej piętnaście wszedłem na pokład samolotu do Cincinnati na lotnisku w Newark. To powinno być łatwe do sprawdzenia. — Uśmiechnął się.

— Mówię o tym na wypadek, gdyby żywił pan wobec mnie jakieś makabryczne podejrzenia.

— Cieszę się, że pan o tym wspomniał — spokojnie odparł Timothy. — Prawdę mówiąc, zdążyłem to już sprawdzić u ludzi z obsługi lotniska. Niestety, alibi i pseudonimy nie idą ze sobą w parze, Hobart. Na liście pasażerów samolotu o czwartej piętnaście był tylko niejaki John Smith. Nikt natomiast nie słyszał o Johnie Hobarcie.

— Cóż za akademickie podejście — rzucił z udawanym podziwem Hobart. — Musiał pan skończyć Harvard.

— Tylko Princeton — odparł przepraszająco Timothy. — Gdybym studiował na Harvardzie, wówczas wziąłbym pod uwagę takie czynniki, jak zmiana czasu i godzina, o której wiadomość o śmierci pani Van Heuten ukazała się w wieczornej prasie w Winton. Ale to by już było... zbyt akademickie.

Skinął uprzejmie głową i wyszedł.

## 14.

Podczas powrotnej podróży taksówką na lotnisko Timothy milczał zamyślony. Dla odmiany Madeleine Price była nadzwyczaj rozmowna. Nowy kapelusz w połączeniu z makijażem zdawały się przydawać jej niezwyklego temperamentu.

— No i cóż — zapytała — warto było jechać do Winton tylko po to, żeby dostać książkę o polo do czytania w samolocie w drodze do domu?

Timothy podniósł na nią nieobecny wzrok. — Pan Hobart miał mi do zaoferowania znacznie więcej niż tylko „Paradę polo”. To pierwszy z klientów pani Van Heuten, o którym wiemy, że zawarł z nią umowę na dwadzieścia procent zysków.

— Wątpię w to, czy w ogóle był jej klientem — odparła ze spokojem dziewczyna. — Jeśli mam być szczerą, sądzę, że pana okłamał. Jego nazwiska nie było w dokumentach firmy.

— Doprawdy? — Uśmiechnął się blado Timothy. — Po raz kolejny dochodzi w pani do głosu instynkt detektywa, panno Price.

— Jeżeli uważa pan, że się mylę, będzie pan mógł to z łatwością sprawdzić, kiedy wrócimy do Nowego Jorku.

— Ale my nie wracamy do Nowego Jorku, panno Price. A przynajmniej jeszcze nie teraz.

Madeleine odwróciła się gwałtownie w jego stronę. — Chce pan powiedzieć, że jeszcze gdzieś lecimy?

— Właśnie. — Szare oczy Timothy'ego przyglądały jej się badawczo. — Dowiedziałem się niedawno, że nowe lotnisko w Bainesville w stanie Pensylwania jest położone zaledwie dwanaście mil od Terrabinny.

Policzki Madeleine pobrały. — Chce pan... chce pan zobaczyć się z Louise?

— Znów pani zgadła. I mam nadzieję, że zniesie pani tę drobną niedogodność w postaci dodatkowych dwunastu mil. Nie mamy zbyt wiele czasu.

Przez chwilę w oczach dziewczyny płonąła wściekłość. Z heroicznym wysiłkiem zdołała jednak nad sobą zapanować.

— Louise ma przyjaciela — powiedziała drżącym głosem. — Prowadzi w Terrabinny usługi taksówkowe. Nazywa się George Gruber. Zatelefonuję po niego z lotniska.

Tak też zrobiła. Wróciła z wiadomością, że George Gruber będzie na nich czekał w Bainesville. Timothy od razu skojarzył to nazwisko z owym przyjacielem sióstr, wymienionym w prasowym wycinku, który tak dzielnie wspierał je po feralnym wypadku samochodowym.

W samolocie niosącym ich do Bainesville w stanie Pensylwania Madeleine Price siedziała pogrążona w nieprzyjaznym milczeniu. Timothy odważył się ją zagadnąć dopiero po zamówieniu kanapek i kawy. Odezwał się wtedy jak gdyby nigdy nic:

— Jest pani bardzo przywiązana do swojej siostry i jej córeczki, panno Price?

— Oczywiście.

— Szkoda, że Louise musi tak dużo zapłacić za operację dziecka. Dziesięć tysięcy dolarów wybawiłoby ją z kłopotu, prawda?

Madeleine spojrzała na niego znad swojej kanapki z szynką. — Dziesięć tysięcy dolarów? O czym pan mówi, na litość boską?

— Czy podczas swojej krótkiej znajomości z panią Van Heuten wspominała ona pani kiedykolwiek o swoim testamencie?

— O testamencie? Nie, oczywiście, że nie.

Timothy przysunął twarz niebezpiecznie blisko jej twarzy. — Jest pani tego pewna?

— Oczywiście. Dlaczego... dlaczego pan o to pyta?

— Ponieważ pani Van Heuten zapisała pani siostrze i siostrzenicy po pięć tysięcy dolarów na głowę. Jak pani widzi, nie była taka skąpa, jak się to pani wydawało.

— Zapisała Louise dziesięć tysięcy dolarów? — Oczy Madeleine rozbłyły radością, której dziewczyna wcale nie próbowała ukryć. Po chwili jednak spochmurniały. — A więc dlatego pytał mnie pan, czy wiem coś o testamencie. Podejrzewa pan, że zamordowałam panią Van Heuten, żeby Louise mogła odziedziczyć te pieniądze.

Timothy uśmiechnął się szeroko. — Tak właśnie pomyślałem — przyznał.

Do końca podróży oboje milczeli.

George Gruber okazał się równie niezawodny, jak przed pięciu laty. Czekał na nich, kiedy wylądowali na lotnisku w Bainesville — niski, pogodny mężczyzna w wieku trzydziestu pięciu lat o potarganych włosach i paznokciach mechanika samochodowego.

Wylewnie powitał Madeleine, komplementując jej wygląd, zmiądzzył Timothy'emu palce w żelaznym uścisku, po czym zaprowadził ich oboje do sedana w nieokreślonym wieku. Wszystkie jego taksówki, jak wyjaśnił żartobliwie, były nowiutkimi, ciężko pracującymi demokratkami. Zaś jego prywatny wóz był republikaninem starej daty.

Początkowo rocznik wozu budził poważne zastrzeżenia Timothy'ego; detektyw podejrzewał, że Madeleine celowo poprosiła George'a Grubera o pomoc, chcąc w ten sposób uniemożliwić mu spotkanie ze swoją siostrą lub przynajmniej ograniczyć czas jego wizyty. Lecz samochód sprawował się nad podziw dobrze, ku naiwnemu zachwytowi swojego właściciela, który na bieżąco wychwalał jego zalety, przeplatając ów komentarz informacjami na temat zdrowia Elaine, lokalnej polityki oraz rozkwitu swojej firmy taksówkowej po otwarciu lotniska w Bainesville.

Czując, że oczekuje się od niego entuzjazmu, Timothy zaryzykował oklepane stwierdzenie:

— Zawsze powtarzam, że samochód jest tak dobry, jak jego silnik.

— Święte słowa — rozpromienił się George. — Nie dalej jak wczoraj pokonałem tym autkiem całą drogę do Nowego Jorku i z powrotem. A Louise powiedziała, że jeździ tak gładko, jak...

Madeleine gwałtownie wciągnęła powietrze. — Słyszałeś już, że... Louise straciła posadę? — wtrąciła z przesadną swobodą.

— Louise straciła posadę? — George wybuchł serdecznym śmiechem. — To wyborne, Maddy, naprawdę wyborne.

— Chcesz powiedzieć, że nic nie słyszeliście o... o pani Van Heuten?

Lecz George najwyraźniej wcale jej nie słuchał. Zdjął jedną dłoń z kierownicy i czule poklepał Madeleine po kolanie.

— Mam dla ciebie nowinę, Maddy. — Cała jego twarz zdawała się promienieć radością. — Louise ma od wczoraj nową posadę. I to na pełen etat. Wkrótce zostanie panią George'owa Gruber.

Madeleine patrzyła na niego w osłupieniu. Przez chwilę jej oczy zupełnie szczerze wyrażały to, co musiało dziać się w jej sercu. Timothy wyczytał w nich niemal paniczny strach przed tym, że nieoczekiwana nowina oznacza koniec jej związku z ukochaną siostrą i siostrzenicą.

— Chcesz powiedzieć, że...? — Dziewczyna zmusiła się do uśmiechu. — Och, George, tak bardzo się cieszę.

— W rzeczy samej, Maddy. — George spojrział z ukosa na Timothy'ego. — Może i ty zaskoczysz nas niedługo podobną nowiną...

Samochód przetoczył się z hałasem przez wąskie, senne centrum Terrabinny i zwolnił przed niedużym domkiem, za którym rozpościerała się łąka. Był to miły dom, otulony późnymi różami i otoczony ogrodem aż jasnym od rozkwitłych dali i chryzantem.

Chryzantemy! — pomyślał Timothy. Tyle mil dzieliło ten wiejski zakątek od nowoczesnego gabinetu biura porad literackich z jego rozświetlonymi słońcem chryzantemami i jego cieniem śmierci.

Madeleine wyskoczyła z samochodu.

— Lepiej zaczekaj tu na nas, George. Wracamy następnym samolotem. Nie zabawimy długo.

Niemal biegiem pokonała porośłą astrami ogrodową ścieżkę; Timothy deptał jej po piętach. Przed drzwiami odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy.



— Musi pan pozwolić mi najpierw porozmawiać z Louise — powiedziała z mocą. — Nie może pan jej tak po prostu zaskoczyć tą wiadomością. To byłoby okrutne, to...

— Przykro mi, panno Price. — Timothy uśmiechnął się przeproszająco. — Gdyby chodziło o kogokolwiek innego, pewnie bym się zgodził. Ale nie, jeśli chodzi o panią. Ani trochę pani nie ufam. — A zbliżając się do niej, dodał: — I jeszcze jedno. — Mówiąc to, delikatnie, lecz stanowczo odebrał jej torebkę i wsunął sobie pod ramię.

— Nie będzie pani tego na razie potrzebować, prawda?

Z policzków Madeleine odpłynęła cała krew. — Proszę mi to oddać — powiedziała gwałtownie. — Proszę mi oddać moją torebkę.

— Za chwilę.

— Ach, ty...! — Jej palce wystrzeliły naprzód, usiłując schwycić torebkę, ale Timothy szybko ukrył ją za plecami.

W tym samym momencie drzwi otworzyły się. W progu stała ładna blondynka o raczej zmęczonej twarzy. Timothy od razu rozpoznał Louise ze zdjęcia w mieszkaniu Madeleine.

— Maddy! — wykrzyknęła dziewczyna. — Co ty tutaj robisz, na Boga? Ciotki nie ma, ale... — Zerknęła z ciekawością na Timothy'ego.

— Wejdźcie, proszę.

Madeleine objęła ją z niezgrabną, niemal szorstką czułością.

— Louise, skarbie. Jak się masz? I jak... jak się czuje mała?

— Lepiej, Maddy. Rokowania są dobre. Specjalista... — Urwała, ponownie spoglądając na Timothy'ego. — Ale... kto to właściwie jest?

— To pan Trant — burknęła Madeleine. — Z Nowego Jorku.

— Pan Trant z Nowego Jorku chciałby zadać pani Campbell kilka dość nudnych pytań — dodał uprzejmie Timothy. A zwracając się do Madeleine, dodał znacząco: — Na pewno chciałaby pani zobaczyć swoją małą siostrzenicę, panno Price.

Madeleine wpatrywała się w niego płonącymi gniewem oczyma. Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale ścisnęła tylko rękę siostry i chwiejnym krokiem wybiegła przez otwarte drzwi do przyległego pokoju. Timothy zdążył jeszcze dostrzec wyraz jej twarzy, zaskakująco łagodny i czuły, gdy pochylała się nad leżącą na kanapie małą dziewczynką.

Louise zaprowadziła go do niedużego, słonecznego saloniku.

— Czego... pan ode mnie chce, panie Trant?

Timothy usiadł, opierając torebkę Madeleine na kolanie.

— Jestem z nowojorskiego Wydziału Zabójstw, pani Campbell. Prowadzę dochodzenie w sprawie morderstwa pani Van Heuten.

Louise wydała zduszony okrzyk i instynktownie popatrzyła na drzwi, jakby we wszystkich trudnych sytuacjach przywykła szukać pomocy u Madeleine. Teraz także wydawało się, iż ma nadzieję, że jej siostra nagle pojawi się w pokoju, aby ją obronić.

— Proszę się nie niepokoić, pani Campbell. Chciałbym tylko, żeby potwierdziła pani kilka ważnych szczegółów. Długo była pani sekretarką pani Van Heuten?

— O, tak. Od kiedy tylko otworzyła swoje biuro.

— W takim razie wie pani wszystko na temat prowadzonych tam interesów?

— Pani Van Heuten zawsze miała do mnie pełne zaufanie.

Timothy spojrział na nią bystro. — Czy biuro było przykrywką dla czegoś nielegalnego?

— Nie wiem, co pan ma na myśli. — Louise Campbell zwilżyła usta. — Jeżeli pyta pan, czy pani Van Heuten była osobą nieuczciwą, to odpowiedź brzmi: nie. Była bardzo dobrą szefową i... no cóż, jej klienci byli zawsze więcej niż usatysfakcjonowani.

— W takim razie wiadomość o tym, że została zamordowana, musiała panią bardzo zaskoczyć?

— To... to był dla mnie straszny szok. — Louise Campbell uniosła dłoń do oczu. — Straszny szok.

— Nie przychodzi pani do głowy nikt, kto mógłby chcieć ją zamordować? Nikt, kto mógł na przykład zyskać, dziedzicząc jej majątek?

Detektyw z bliska obserwował ładną, bladą twarz dziewczyny, ale nie mógł dostrzec na niej żadnej zmiany.

— Majątek? Pani Van Heuten nigdy nie wspominała przy mnie o swoim testamencie. To znaczy... — Louise zaśmiała się nerwowo — raz powiedziała, że o mnie nie zapomni, czy coś w tym rodzaju. Ale na pewno tylko tak żartowała...

Sekretarka pani Van Heuten sprawiała teraz wrażenie trochę spokojniejszej. Obojętnym, opanowanym głosem odpowiadała na rutynowe pytania dotyczące funkcjonowania biura. Nie potrafiła rzucić

nowego światła ani na prywatne życie pani Van Heuten, ani na źródła jej dochodów. Timothy zmienił temat:

— Pani Campbell, czy zna pani niejakiego pana Tolfreya?  
— Dane'a Tolfreya? — Louise zawahała się. — Hm, tak, znam.  
— Czy był w jakiś sposób związany z biurem porad literackich?  
— Ma pan na myśli oficjalne powiązania? Nie. Był jedynie prywatnym znajomym pani Van Heuten.

— A wie pani może, czy ona dawała mu jakieś pieniądze?  
— Myślę, że tak. — Pani Campbell znów sprawiała wrażenie niespokojnej. — Chyba nawet dość często. Wydaje mi się, że chyba było jej go szkoda, chociaż nie pochwalała jego nałogu. Poza tym znał tylu ludzi. Często sprowadzał nam nowych klientów.

Timothy pokazał jej sporządzoną przez Madeleine listę osób, które w dniu morderstwa odwiedziły panią Van Heuten. Louise dokładnie ją przestudiowała. Owszem, znała pana Bristola. Od kilku lat był stałym klientem biura. Panna Kennet napisała dla nich referencje, ale nie była ich klientką. Podobnie jak księżna Walońska, Susan Hobart oraz Gilda Dawn, chociaż wszystkie należały do grona prywatnych znajomych pani Van Heuten. Nigdy natomiast nie słyszała o Dereku Muirze.

— A co z Johnem Smithem? Tak się składa, że naprawdę nazywa się Hobart.

— Ma pan na myśli męża pani Hobart? — Louise zmarszczyła brwi. — Sądziłam raczej, że to znajomy pana Tolfreya, a nie pani Van Heuten.

— Zatem, o ile się pani orientuje, Hobart nie był klientem biura porad literackich?

— Nie. Nie wydaje mi się.

— A teraz, pani Campbell — powiedział żywo Timothy. — Chciałbym dowiedzieć się czegoś o drzwiach ukrytych za parawanem. Czy dużo osób wiedziało, że można przez nie wejść i wyjść z gabinetu?

Louise powtórzyła dokładnie to samo, co już powiedziała Madeleine: pani Van Heuten nigdy nie zamykała tych drzwi na klucz, żeby w każdej chwili móc wymknąć się niepostrzeżenie z biura, gdyby jakiś szczególnie męczący klient domagał się spotkania z nią. Bardzo zależało jej na utrzymaniu ich istnienia w tajemnicy.

— Jestem pewna, że wiedział o nich tylko pan Tolfrey, jako że był starym znajomym pani Van Heuten i osobiście pomagał jej urządzać gabinet, kiedy otworzyła swoje biuro porad.

Przez chwilę Timothy milczał, w zamyśleniu przyglądając się nie-dużym, delikatnym dłoniom dziewczyny, splecionym na jej kolanach.

— Ma pani bardzo małe dłonie, pani Campbell — zauważył łagodnie. — Prawie jak u dziecka.

Wolno otworzył torebkę Madeleine i wyjął z niej małą, szarą rękawiczkę, którą po raz pierwszy zauważył, gdy dziewczyna upuściła torebkę w rezydencji Hobartów.

— Myślę, że będzie na panią pasowała, pani Campbell. Czy przypadkiem nie należy do pani?

Louise wstała, by po chwili ponownie opaść na krzesło. Jej wargi pobieleały.

— Ależ ja...

— Nic nie mów, Louise!

Drzwi saloniku otworzyły się szeroko i wpadła przez nie Madeleine. Podeszła prędko do siostry i stanęła przed nią, wbijając w Timothy'ego lodowate spojrzenie.

— Nie ma pan prawa insynuować...

— Niczego nie insynuuję, panno Price — odparł uprzejmie Timothy. — Po prostu chciałem zwrócić pani siostrze jej własność — rękawiczkę, którą wzięła dziś pani ze sobą, domyślając się, że przyjeździemy do Terrabiny. Rękawiczkę, której ze względu na swoją podziwu godną oszczędność nie ośmieliła się pani zniszczyć.

— Jeśli nawet ta rękawiczka należy do mojej siostry, to co z tego wynika? Dlaczego miałabym chcieć ją zniszczyć?

— Może dlatego, że znalazła ją pani w gabinecie pani Van Heuten — Timothy spojrział na wymizerowaną, przerażoną Louise — gdzie pani siostra upuściła ją po południu w dniu, kiedy popełnione zostało morderstwo?

Louise odwzajemniła jego spojrzenie, oszołomiona. — To... to na pewno George — szepnęła. — To on powiedział panu, że tam byłam.

— Louise, o czym ty mówisz? — Madeleine odwróciła się i chwyciła siostrę za ramię. — Oszalałaś.

— Proszę nie winić George'a, pani Campbell — wtrącił Timothy.  
— Istotnie wygadał się, że zawiózł panią wczoraj do Nowego Jorku. Ale ja to już od pewnego czasu podejrzewałem. Pani siostra to bardzo uzdolniona dziewczyna, ale czasami przecenia własne umiejętności, chcąc panią ochronić. — Mówiąc to, uśmiechnął się do Madeleine. — Panno Price, powinienem był się domyślić, że wczoraj wieczorem wybrała się pani z wizytą do pana Tolfreya, ponieważ zdała sobie pani sprawę, że pani siostra była tego dnia u pani Van Heuten i bała się pani, że Tolfrey mógł ją zauważyć, wchodząc do biura tylnym wejściem.

Pod cienką warstwą różu policzki Madeleine były kredowo białe.

— Nie może pan... niczego udowodnić.

— Wcale nie proszę, żeby się pani przyznała — odparł Timothy. W jego oczach wciąż tańczyły wesołe ogniki. — I tak mamy już chyba wystarczający dowód na to, że pani siostra była w gabinecie mniej więcej w czasie, kiedy popełniono morderstwo.

Wyjął z kieszeni fotografię znalezionej na nożu odcisku palca.

— Jeżeli pani sobie życzy, pobiorę odciski palców pani siostry i porównam je z tym znalezionym na nożu. Ale wydaje mi się, że pani Campbell sama się przyzna, iż była na miejscu zbrodni.

— To absurd — wypaliła Madeleine.

— To na nic, Maddy — rozległ się cichy, łagodny głos Louise. — Przyznaję, że tam byłam, panie Trant. Od razu powinnam była zgłosić się na policję. Ale bałam się — bałam się, że zatrzymają mnie w Nowym Jorku, a przecież Elaine była chora i potrzebowała mnie.

— Ze znużeniem przeciągnęła dłonią po swoich jasnych włosach. — Jak tylko przypomniałam sobie, gdzie upuściłam rękawiczkę, wiedziałam, że prędzej czy później znajdzie mnie policja. Ja nie... nie przypuszczałam, że Maddy ją znajdzie. Nie powinna była jej ukrywać. Ale, panie Trant, jak pan się tego wszystkiego domyślił — nie mając rękawiczki?

— To znowu zasługa pani siostry. — Timothy uśmiechnął się do Madeleine. — Powiedziała, że z osób zamieszanych w sprawę o tylnym wejściu wiedzieliście tylko pani i Tolfrey. Odcisk palca nie należał do Tolfreya. Wniosek był tylko jeden. Że to pani była dziesiątym gościem w biurze.

Madeleine usiadła powoli, czujna i wyprostowana jak struna, gotowa w każdej chwili stanąć w obronie siostry.

— Pani Campbell, najlepiej będzie, jeśli sama mi pani o wszystkim opowie — ciągnął łagodnie Timothy. — Ale przede wszystkim proszę mi powiedzieć, o której godzinie dotarła pani do biura.

— Nie wiem dokładnie. Od kiedy przeczytałam wiadomość w gazetach, nic innego nie robię, jak tylko siedzę i się nad tym zastanawiam. I jestem... prawie pewna, że było około wpół do piątej.

— I mniej więcej wtedy popełniono morderstwo.

— Myśli pan, że o tym nie wiem? — Oczy Louise rozbłysły nagłym oburzeniem, co dziwnie upodobniło ją do siostry. — Myśli pan, że nie wiem, co to oznacza? Co pan podejrzewa? Ale to nieprawda. Nie zamordowałam pani Van Heuten. To nie ja. — Jej drżące dłonie wykonały nieśmiały, bezradny gest. — Musi pan zrozumieć, dlaczego chciałam się z nią spotkać, panie Trant. To jedyny sposób.

— Słucham.

— Chodziło o moją córeczkę, Elaine. Być może Maddy wspomniała panu, że poważnie zachorowała. Podejrzewali u niej gruźlicę kręgosłupa. Dlatego musiałam zrezygnować z pracy i przyjechać z nią tutaj na wieś. W poniedziałek zawiozłam ją do najlepszego specjalisty w Bainesville. Powiedział, że to nie gruźlica, ale i tak córka musi natychmiast poddać się operacji, a potem spędzić pół roku w sanatorium... — Louise Campbell miała w dłoniach niewielką, białą chusteczkę do nosa. — Zdołałam odłożyć trochę pieniędzy, panie Trant. Ale operacja i pobyt w sanatorium będą kosztować grubo ponad tysiąc dolarów. Ja... po prostu nie mam takiej sumy. Byłam gotowa na wszystko, byle tylko ją zdobyć. Postanowiłam więc pojechać do Nowego Jorku i błagać panią Van Heuten o pożyczkę.

— Proszę mówić dalej — powiedział wolno Trant.

— Ja... poprosiłam George'a, żeby zawiózł mnie do Nowego Jorku. — Louise mówiła teraz ledwie dosłyszalnym głosem. — Nie powiedziałam mu, dlaczego chcę się spotkać z panią Van Heuten. Wytłumaczyłam, że chodzi o sprawy służbowe. Do biura poszłam sama.

— A właściwie dlaczego skorzystała pani z tylnego wejścia, pani Campbell?

Louise zaczerwieniła się i rzuciła Madeleine szybkie spojrzenie.

— Nie chciałam, żeby Maddy wiedziała, że byłam u pani Van Heuten. Bałam się, że jeśli dowie się o operacji, zagłodzi się, byle tylko pomóc mi ją opłacić. Zawsze tak hojnie nam pomagała. To dlatego wcale nie korzysta z życia... Nie ma nawet przyzwoitego ubrania...

Timothy zerknął na znoszony czarny kostium Madeleine. Przypomnił sobie swoje uwagi na temat kapelusza jak garnek i zrobiło mu się trochę wstyd.

— Pani Campbell, czy kiedy weszła pani przez drzwi za parawanem, zastała pani w gabinecie panią Van Heuten? — zapytał cicho.

Przez chwilę Louise milczała. Potem impulsywnie pochyliła się do przodu.

— Musi mi pan uwierzyć, panie Trant. Kiedy tam weszłam, pani Van Heuten już... już nie żyła.

Madeleine instynktownie przysunęła się do niej. Tworzyły razem przejmujący obrazek — dwie siostry w cichym, wiejskim pokoju. Louise odchyłona do tyłu na krześle, dłonią zasłaniająca oczy, Madeleine u jej boku, blada, lecz opiekuńczo ściskająca ją za ramię.

— Tak — szepnęła Louise. — To było potworne. Wysłałam zza... parawanu. Musiałam właśnie zdejmować rękawiczki, kiedy zobaczyłam ją pólżącą na biurku, błyszczący nóż i krew — naprawdę nie pamiętam, co wtedy zrobiłam. Chyba chciałam ją ratować. Być może rzeczywiście dotknęłam noża, próbowałam go wyciągnąć. Nie wiem. Myślałam tylko o tym, że muszę stamtąd uciekać i że nikt nie może się dowiedzieć, że tam byłam. Nie wiem jak, ale wydostałam się na schody pożarowe i zaczęłam zbiegać na dół...

Urwała, a w salonie zapadła niczym niezmana cisza.

— Byłam... już na schodach, kiedy usłyszałam czyjeś kroki. Ktoś wchodził na górę. — Louise oderwała dłoń od oczu i spojrzała detektywowi prosto w twarz. — To chyba było z tego wszystkiego najgorsze. Byłam jak w pułapce, uwięziona pomiędzy tym kimś, kto wchodził po schodach, a tym... tym koszmarem za moimi plecami, w gabinecie pani Van Heuten. Stałam tam jak wmurowana. Nie mogłam się ruszyć z miejsca. I wtedy zobaczyłam wychodzącego zza muru mężczyznę.

— Mężczyznę?

— Tak. Było... było dosyć ciemno i z początku... go nie rozpoznałam. Potem jednak zobaczyłam, że się zatacza, i już wiedziałam, że jest pijany. Zrozumiałam, że widzę pana Tolfreya.

— Dane Tolfrey szedł do biura pani Van Heuten *po tym*, jak została zamordowana?

Louise przytaknęła. — Nie zauważył mnie do momentu, gdy prawie się o mnie otarł. A i wtedy nie był wcale zaskoczony. Popatrzył tylko na mnie, roześmiał się i powiedział: „Dzięki Bogu to ty, Louise. Nie mam centa przy duszy i szedłem właśnie w tej sprawie do pani Van Heuten. Może zaoszczędzisz mi wspinaczki i pożyczysz dwa dolary na taksówkę?”

Dziwnie było słyszeć bełkotliwe słowa Dane'a Tolfreya, wydobywające się z ust tej delikatnej, jasnowłosej dziewczyny. Zdziwiająco wyraźnie odmalowywały scenę, jaka rozegrała się na schodach pożarowych przed budynkiem.

— Ja... nie wiedziałam, co robić — wyszeptła Louise. — Nie miałam przy sobie zbyt wiele pieniędzy i wiedziałam, że on nigdy nie zwróci mi długu. Ale jednocześnie tak bardzo się bałam i chciałam się jak najszybciej stamtąd wydostać. Dlatego dałam mu w końcu te dwa dolary i zbiegłam w dół po schodach, aż na ulicę.

— Pan Tolfrey powiedział ci, że zamierzał pożyczyć pieniądze od pani Van Heuten? — Ton Madeleine był ostry, czujny.

— No, tak.

Madeleine spojrzała na Timothy'ego triumfująco. — Wiemy, że Tolfrey pożyczył już wcześniej tego popołudnia trzysta pięćdziesiąt dolarów od pani Van Heuten. Niemożliwe, żeby szedł do niej po więcej. Nie rozumie pan? Kłamał!

— Zawsze twierdziłem, że byłaby z pani wspaniała policjantka, panno Price — odparł Timothy. — Ale proszę nie wyciągać zbyt pochopnych wniosków. Kiedy pan Tolfrey otrzymał czek, banki były już prawdopodobnie nieczynne. Bardzo prawdopodobne, że potrzebował drobnych na taksówkę. — Następnie zwrócił się z powagą do Louise: — Czy powiedziała pani George'owi Gruberowi, co się stało?

Pani Campbell silnie pobladła. — N-nie.

— Nie powiedziała pani swojemu przysłemu mężowi?

— Ja... hm... — Słaby rumieniec zabarwił policzki Louise na różowo. — Widzi pan, ja nie powiedziałam mu jeszcze wtedy, że za



niego wyjdę. Dopiero potem, kiedy wracaliśmy do domu... Bo kiedy było już po wszystkim i ta straszna rzecz się wydarzyła, zdałam sobie sprawę z tego, jak bardzo kogoś potrzebuję.

— Och — powiedział miękko Timothy.

— Nie rozumie pan, że nawet wtedy nie mogłam mu nic powiedzieć? Gdyby się dowiedział, że przed chwilą widziałam martwą panią Van Heuten, pomyślałby, że chcę za niego wyjść, bo... bo straciłam pracę i potrzebuję.... pieniędzy.

— A tak nie było?

— Oczywiście, że nie. — Nieoczekiwanie Louise uśmiechnęła się. — I proszę nic mu o tym nie mówić. On jest... taki wrażliwy. Bardzo bym nie chciała, żeby tak pomyślał.

W tej samej chwili z ulicy dobiegło głośnie trąbienie. Zaraz też rozległ się głos George'a, głośny i wesoły:

— Maddy, lepiej się pospieszcie, ty i ten twój chłopak, jeśli chcecie zdążyć na samolot do Nowego Jorku.

Siostry patrzyły na Timothy'ego w milczeniu. Potem Louise bardzo cicho spytała: — Cóż więc pan teraz zrobi, panie Trant? Zabierze mnie pan do Nowego Jorku?

Timothy wstał. — Wiem, że będzie pani rozsądna, pani Campbell. To, czy pani wierzę, czy nie, nie ma z tym absolutnie nic wspólnego. Na nożu jest odcisk pani palca i jeśli moi przełożeni będą chcieli panią przesłuchać, przyślą kogoś po panią. Na razie poproszę tylko miejscową policję, żeby miała na panią oko. — Uśmiechnął się uspokajająco. — Sama pani rozumie, dlaczego to jest konieczne.

Na kawałku papieru zapisał swój prywatny numer telefonu i podał jej.

— To — powiedział — na wypadek, gdyby przypomniała sobie pani coś, o czym zapomniała mi pani powiedzieć. — A zwracając się do Madeleine, dodał: — Dam paniom kilka minut na siostrzane pożegnanie, panno Price. Zaczekam na zewnątrz z Georgem.

Madeleine naprawdę bardzo szybko do nich dołączyła, a George, który prowadził z równym zapałem, jak rozmawiał, dowiózł ich na lotnisko pięć minut przed planowanym odlotem samolotu do Nowego Jorku.

Timothy sięgnął po portfel, lecz George zbył go lekceważącym ruchem dłoni.

— No wiesz, Maddy jest już prawie moją szwagierką — oburzył się, po czym mrugnął porozumiewawczo. — A może i ty niedługo trafisz do rodziny.

— Nie byłbym takim optymistą — mruknął Timothy, spoglądając na Madeleine ze smutkiem.

George złożył na jej czole niewinny, braterski pocałunek.

— Chyba wiem, co czujesz w związku ze mną i Louise, Maddy. — Spuścił nieśmiało oczy. — Dlatego chcę, żebyś wiedziała, że nasz dom zawsze będzie dla ciebie otwarty. Elly nie wytrzymałaby długo bez swojej cioci Maddy. Louise zresztą też.

Madeleine uśmiechnęła się blado, z wdzięcznością, i wyszeptała: — Dziękuję, George — a następnie podążyła za Timothyem do poczekalni.

W samolocie panował ścisk, a z racji rozdzielającego ich przejścia wszelka rozmowa między Timothyem i Madeleine była dodatkowo utrudniona. W Seranton mieli pięć minut, żeby rozprostować nogi. Spacerowali razem w tę i z powrotem po wyschniętej darni lotniska.

— Panie Trant — zapytała dziewczyna z nagłą determinacją — musi mi pan coś powiedzieć. Czy... czy uważa pan, że to moja siostra zabiła panią Van Heuten?

Timothy przyjrzał się jej z namysłem. — Czy jeżeli będę z panią szczerzy, mogę liczyć na to samo?

— Oczywiście. Oczywiście.

— Znakomicie. Nie, panno Price. Nie sądzę, aby to pani siostra zabiła panią Van Heuten. A teraz proszę odpowiedzieć na moje pytanie. Przez cały czas okłamywała mnie pani i usiłowała naprowadzić na fałszywy trop, ponieważ obawiała się pani, że pani siostra mogła być winna i chciała ją pani ochronić — czy tak?

— To chyba jasne — odparła ze spokojem Madeleine. — Nie domyślił się pan wcześniej?

— A dlaczego tak zaciekle usiłowała ją pani ochraniać?

Madeleine odwróciła się ku niemu gwałtownie. — A czy pan nie postąpiłby w ten sam sposób, gdyby... gdyby zabił pan jej męża?

— Rozumiem. No tak, ależ jestem ograniczony... A teraz najważniejsze pytanie. Ten wczorajszy telefon z pogrózkami — czy to był kolejny pani podstęp, żeby chronić Louise?

— Nie. Telefon był prawdziwy, a ja przekazałam panu dokładnie to, co usłyszałam. — Na twarzy Madeleine zagościł lekki uśmiech. — Przyznaję, że całkiem niepotrzebnie udawałam omdlenie, żeby było bardziej dramatycznie. Ale telefon był jak najbardziej prawdziwy.

Nadal się uśmiechała, w przeciwieństwie do Timothy'ego. Jego usta wygięły się ponuro. Wbrew wszelkiej logice miał nadzieję, że inspektor Jervis jednak go nie zawiódł i dopilnował, aby wszystkie gazety zamieściły informację o niegroźnym wypadku pana Tolfreya i o jego tymczasowym wstrząśnieniu mózgu.

## 15.

Kiedy wyczerpani i utrudzeni podróżą dotarli wreszcie na lotnisko w Newark, Timothy chwycił pierwszą lepszą wieczorną gazetę i wydał głośne westchnienie ulgi. Wiadomość o wypadku Dane'a Tolfreya wyzierała z krótkiej kolumny na pierwszej stronie.

Jazda taksówką ukołysała go i sprawiła, że zapadł w płytki sen. Drgnął, czując na ramieniu dotyk dłoni Madeleine.

— Niech pan popatrzy!

Otrząsnął się i otworzył oczy. Byli już prawie w centrum Nowego Jorku. Taksówka zatrzymała się na światłach, sekretarka zaś, wielce podekscytowana, wskazywała mu sznur pieszych, spieszących właśnie przez ulicę.

— To ta dziewczyna w zielonym kapeluszu! — wykrzyknęła. — Ta sama, która przysłała do biura pani Van Heuten i nie chciała podać swojego nazwiska.

Timothy natychmiast się ożywił. — Ta, która przepowiedziała morderstwo? Jest pani pewna?

— W stu procentach. Wyraźnie widziałam jej twarz.

— Mówi się, że wszystkie ciekawe morderstwa mają jedną cechę wspólną — łączy je niesłychany zbieg okoliczności. — Timothy podejrwał się z siedzenia i otworzył drzwi taksówki. — Oto i nasz zbieg okoliczności.

Wyskoczył na ulicę akurat w momencie, gdy wóz ruszał do przodu.

— Niech pani obciąży rachunkiem Wydział Zabójstw, panno Price — zawołał jeszcze.

Uśmiechając się pod nosem, przemknął między niebezpiecznie śmigającymi samochodami i dotarł na chodnik.

Na szczęście zdążył się dobrze przyjrzeć dziewczynie w zielonym kapeluszu. Już sam kapelusz czynił ją łatwą do wyśledzenia. Po chwili detektyw zrównał się z ostatnim z gości pani Van Heuten i położył jej dłoń na ramieniu.

— Przepraszam. Czy myśmy się już gdzieś nie spotkali?

Dziewczyna odwróciła się, mierząc go lodowatym spojrzeniem bardzo zielonych oczu.

— Gdybyśmy się spotkali — powiedziała — z pewnością zapamiętałabym tę koszulę.

— To dziwne. Przysięgłbym, że widziałem panią w biurze pani Van Heuten tego popołudnia, kiedy została zamordowana.

Dziewczyna zatrzymała się w pół kroku. Jej twarz o wyrazistych rysach wyraźnie pobladła.

— Kim... kim pan jest?

— To nie ma większego znaczenia. Zastanawiałem się właśnie, czy nie miałyby pani ochoty na filiżankę kawy... — Timothy wyciągnął przed siebie rękę — w tamtym domu towarowym.

Dziewczyna zawahała się, po czym rozejrzała szybko dookoła.

— Ale ja... umówiłam się z przyjacielem. Już jestem spóźniona. Myślę, że...

— A ja myślę, że może się pani jeszcze kilka minut spóźnić. Mam rację? — Timothy był bardzo stanowczy.

— No dobrze.

Dziewczyna skrzyła gwałtownie w kierunku domu towarowego. Znaleźli odosobniony boks. Timothy zamówił kawę dla niej i kanapkę dla siebie.

— Domyślam się, że jest pan z policji — odezwała się po dłuższej chwili dziewczyna.

— Tak się faktycznie składa. Czy mam zgadywać, kim pani jest?

— Nazywam się Helen Bristol.

— Bristol! — Timothy podniósł głowę znad kanapki i spojrzał na dziewczynę ze szczerym zdumieniem. — Żona Bobby'ego. Dureń ze mnie, że wcześniej na to nie wpadłem.

— Zna go pan? — Pytanie zostało zadane obojętnym tonem.  
— Puszczaliśmy razem łódki w Central Parku. Ale nie chcę zajmować pani czasu wspominkami z dzieciństwa, pani Bristol. — Timothy popatrzył na nią znad filiżanki kawy. — Jest pewna sprawa, o którą bardzo chcę panią zapytać. Przypisuje się pani najbardziej sensacyjne zdanie, jakie jak dotąd padło w sprawie morderstwa pani Van Heuten. Dwadzieścia minut przed tym, jak znaleziono ciało, oświadczyła pani jej sekretarce: „Pani Van Heuten jest nie tylko głupia, ale i podła. A to niebezpieczne połączenie. Proszę jej powiedzieć, że któregoś dnia zginie z tego powodu.” Co właściwie miała pani na myśli?

— Dokładnie to, co powiedziałam. — Dziewczyna powoli wyjęła z torebki papierosa i zapaliła go. — Tak się składa, że byłam wtedy bardzo zła na panią Van Heuten.

— A co sprawiło, że wygłosiła pani tak prorocze słowa?

Dziewczyna wzruszyła ramionami ze znużeniem i zniecierpliwieniem. — To naprawdę nie jest sprawa policji.

— Mimo to chciałbym się dowiedzieć, o co chodziło.

— Chodziło o Bobby'ego. — Helen Bristol strzepnęła popiół z papierosa na spodeczek filiżanki. — Pracuję u Saltera, w wydawnictwie. Wydali pierwszą powieść Bobby'ego „Parabola”. A ostatnio na prośbę Bobby'ego pani Van Heuten przesłała im jego kolejną książkę.

— Rozumiem, że nie została przyjęta.

— Zgadł pan. Właśnie o to chodziło. — Helen Bristol rzuciła mu nieco niepewne spojrzenie. — Tamtego popołudnia Bobby zjawił się w wydawnictwie i Larry — to znaczy pan Graves, nasz redaktor naczelny — przekazał mu wiadomość. Było mi go okropnie żal, ale... No cóż, ta powieść zwyczajnie była do niczego. Larry w żaden sposób nie mógł jej przyjąć.

— Ale co to ma wspólnego z panią Van Heuten?

— Wszystko. — Helen Bristol zacisnęła usta. — Wiem, czym dla Bobby'ego było odrzucenie tej książki. Przeżył to tym gorzej, że pani Van Heuten ciągle powtarzała mu, jaki to z niego geniusz, chwaliła go i kładła mu do głowy różne bzdury, twierdząc, że jako pisarz odniesie wielki sukces. Zawsze sądziłam, że to z jej strony zwykła głupota. Ale później, kiedy przejrzałam jej recenzję i przekonałam się, że w rzeczywistości miała niskie zdanie o jego powieści, stwierdziłam,

że było to także okrucieństwo z jej strony. Bo nieuczciwe postępowanie z ludźmi tak wrażliwymi jak Bobby *jest* okrucieństwem.

— A zatem poszła pani do biura porad literackich — zapytał cicho Timothy — i przepowiedziała śmierć jego właścicielki wyłącznie dlatego, że pani Van Heuten nie była wystarczająco szczerą, aby powiedzieć pani mężowi, że napisał kiepską książkę?

— Można to tak ująć.

— To bardzo lojalne zachowanie ze strony żony, pani Bristol, zwłaszcza jeśli tego samego dnia prosi się męża o rozwód...

Krwawy rumieniec oblał policzki Helen Bristol, a w jej zielonych oczach pojawił się groźny błysk.

— To nie pańska sprawa. Ja... — Zawahała się. — Czy to, że chcę się rozwieść z Bobbym, musi oznaczać, że przestał być mi bliski? Nadal jest mi bliski — bardzo bliski. Przypomina mi małego, bezradnego chłopca...

— A mimo to odwróciła się pani od niego? Tak się składa, iż wiem, że jest w pani bardzo zakochany.

— Sądzi pan, że myślałam tylko o sobie, a o nim już nie? — Drżącymi rękoma Helen Bristol zapaliła kolejnego papierosa i odsunęła od siebie pustą filiżankę. — Nie jestem sentymentalna i potrafię otwarcie przyznać się do tego, że nie kocham już Bobby'ego. Dalsze życie ze mną nie byłoby dla niego niczym przyjemnym. Bóg jeden wie, że przez rok staraliśmy się ratować nasze małżeństwo. Po prostu nie powinniśmy byli w ogóle się pobierać. To pewnie moja wina. Jestem od niego starsza, powinnam wiedzieć, co z tego wyniknie. Ale stało się. Wydawnictwo Saltera zajmowało kiedyś pomieszczenia poniżej biura porad literackich. Kiedy wydawaliśmy jego pierwszą książkę, Bobby ciągle zachodził do nas, wracając od pani Van Heuten. No i... — Rozłożyła bezradnie ręce. — Byłam głupia, to wszystko. Ale nie wierzę, że można posklejać coś, co zostało rozbite.

— Jak na młodą kobietę, bardzo trzeźwo podchodzi pani do życia, pani Bristol.

— Mam wystarczająco dużo zdrowego rozsądku, żeby nie robić z siebie męczennicy. Poza tym... kocham kogoś innego.

— Pana Gravesa?

Oczy pani Bristol rozszerzyły się ze zdumienia. — Skąd pan wie?

— Domyśliłem się, słysząc, w jaki sposób wymawia pani jego imię. — Timothy uśmiechnął się szeroko. — Męska intuicja. A skoro już mowa o rozwodzie, pani Bristol, czy Bobby jest skłonny go pani dać?

— Owszem. — Dziewczyna zaśmiała się krótko. — Chociaż potraktował mnie dość nieuprzejmie. Wczoraj napisał do mnie w tej sprawie. Myślę, że to się panu spodoba, jako że zdaje się pan podzielać jego opinię na mój temat. — Impulsywnie otworzyła torebkę i rzuciła Timothy'emu list. — Przynajmniej jest w tym więcej ognia niż w jego powieści.

Timothy rozprostował podaną mu kartkę i przeczytał:

**DROGA HELEN!**

NIE WĄTPIĘ, ŻE Z NIECIERPLIWOŚCIĄ OCZEKujesz NA WIADOMOŚĆ, CZY ZGODZĘ SIĘ DAĆ CI ROZWÓD. NIE MAM POJĘCIA, ILE TO MOŻE KOSZTOWAĆ, LECZ JEŚLI O MNIE CHODZI, ZGADZAM SIĘ BEZ WZGLĘDU NA CENĘ. WIEM, ŻE NIE MASZ ZBYT WYSOKIEGO MNIEMANIA O INTELIGENCJI PANI VAN HEUTEN, ALE DZISIEJSZEGO POPOŁUDNIA OKAZAŁA SIĘ NA TYLE INTELIGENTNA, ABY ZWRÓCIĆ MOJĄ UWAGĘ NA KILKA INTERESUJĄCYCH FAKTÓW, Z KTÓRYCH NIE ZDAWAŁEM SOBIE DOTĄD SPRAWY. KIEDY SIĘ POBRALIŚMY, MIAŁEM WSZELKIE SZANSE STAĆ SIĘ BARDZO ZAMOŻNYM CZŁOWIEKIEM. TERAZ, GDY PROSISZ MNIE O ROZWÓD, SZANSE TE ROZWIAŁY SIĘ.

JESTEM GŁĘBOKO PRZEKONANY, ŻE NIE MASZ ZBYT WYSOKIEGO MNIEMANIA RÓWNIEŻ O MNIE JAKO O PISARZU. JEDNAK WYDAJE MI SIĘ, ŻE LEPIEJ NIE MIEĆ POWODZENIA NA RYNKU WYDAWNICZYM, NIŻ Z POWODZENIEM SPRZEDAWAĆ SAMĄ SIEBIE.

ROBERT BRISTOL

Timothy podniósł wzrok znad listu i popatrzył na zdeterminowaną twarz siedzącej naprzeciwko dziewczyny. Pani Bristol okazała się być bardzo ciekawą osobą. Nigdy dotąd nie spotkał kobiety, która całkowicie obcemu człowiekowi pokazałaby list stawiający ją w równie złym świetle.

— A propos, pani Bristol — dlaczego nie zgłosiła się pani na policję zaraz po usłyszeniu wiadomości o śmierci pani Van Heuten? Oszczędziłoby to nam wielu kłopotów.

— A pan by się zgłosił?— odparowała śmiało dziewczyna. — Zresztą nie miałam policji nic do powiedzenia. Tego dnia nawet nie widziałam pani Van Heuten. Nie było sensu tracić czasu na pytania, przesłuchania i tak dalej. To wszystko na nic.

— Jak już powiedziałem, jest pani kobietą o zaskakująco trzeźwym podejściu do życia. — Timothy złożył list Bobby'ego i wsunął go do kieszeni. — Nie ma pani nic przeciwko temu, że go zatrzymam?

— A po co?

— Na dowód, że pani Van Heuten rozsiewała dość niesympatyczne pogłoski na pani temat. — Timothy wziął do ręki kostkę cukru i podrzucił ją do góry. — W ten sposób, gdybyśmy kiedyś tego potrzebowali, mamy gotowy motyw, który mógłby skłonić panią do zamordowania jej.

— Niech pan nie będzie śmieszny — odparła Helen Bristol.

— Bycie śmiesznym to część mojej pracy, pani Bristol. A przy okazji, nie zauważyła pani czegoś dziwnego tamtego popołudnia, gdy składała pani wizytę w biurze porad literackich?

— Co pan ma na myśli?

— Po prostu coś dziwnego.

Helen Bristol naciągnęła na dłonie szare rękawiczki. — No cóż, była tam ta sekretarka, jeśli o to panu chodzi. Zachowywała się dosyć dziwnie.

— Panna Price? Cóż takiego zrobiła?

— Chodzi o to, w jaki sposób uniemożliwiła mi spotkanie z panią Van Heuten. Spojrzała na mnie wzrokiem, który mógłby zabić.

— Szkoda, że mnie przy tym nie było. — Na ustach Timothy'ego pojawił się mimowolny uśmiech. — Pani i panna Price... nieodparta siła i niewzruszony głaz.

Wziął rachunek ze stolika i wstał.

— Cóż, pani Bristol, pani ma spotkanie, a ja mam dosyć. Na dzisiaj to wszystko.

Zapisał sobie jej adres i numer telefonu.

— Tak przy okazji — w dniu swojej śmierci pani Van Heuten dzwoniła po południu do wydawnictwa Saltera. Wie pani, z kim rozmawiała?

Pani Bristol skinęła głową.



— Ze mną.  
— Ach, tak? A o czym?  
— O książce Bobby'ego — odparła niecierpliwie Helen Bristol. — Prosiła mnie, żebym szepnęła za nią dobre słowo... panu Gravesowi.  
— Bardzo miło z jej strony — zauważył Timothy.  
— Miło! — Helen zmierzyła go pogardliwym spojrzeniem. — Ta kobieta była miła jak diabli!

Timothy przyjrzał jej się z namysłem.

— Jeszcze jedno pytanie. Płaszcz, który ma pani dzisiaj na sobie, nie jest tym samym, w którym przysłała pani do biura pani Van Heuten, prawda?

— Hm, nie. Tamten jest u Massine'a, na przeróbce. A czemu o to pan pyta?

— Rutynowe postępowanie, pani Bristol. Po prostu rutynowe postępowanie.

Wyszli razem na ulicę. Timothy patrzył, jak kobieta odchodzi stanowczym krokiem, przebijając się przez tłum przechodniów. Wyjątkowo rzeczowa osóbką, pomyślał, która dokładnie wie, czego chce od życia — i wie, jak to zdobyć.

W drodze powrotnej na komendę wstąpił do mieszkania w nadziei, że znajdzie kilka minut na przeczytanie maszynopisów otrzymanych od gości pani Van Heuten.

W mieszkaniu zastał czekającą na niego stertę listów oraz zapiski Oscara dotyczące telefonów z całego dnia. Był tam także jeden telegram.

Wsuwając listy i notatki Oscara nieprzeczytane do kieszeni, Timothy rozerwał kopertę telegramu. Jego oczy rozszerzyły się nagle i spoważniały, gdy przeczytał, co następuje:

UZUPEŁNIENIE KORESPONDENCJI STOP ZAPRASZAM DO OSOBISTEGO UCZCZENIA MOJEGO ODZYSKANIA ŚWIADOMOŚCI STOP PRZYJĘCIE O DZIESIĄTEJ WIECZOREM STOP REGINA STOP SPODOBAJĄ SIĘ PANU POZOSTALI GOŚCIE A SZCZEGÓLNIIE ZAINTERESUJE MOJE ODKRYCIE MORDERCY BIEDNEJ KLARY

PODPISANO: TOLFREY

Timothy spojrzął na zegarek. Dwadzieścia po dziesiątej.

— To głupiec — mruknął przez zaciśnięte zęby. — Cholerny głupiec.

Po raz pierwszy od początku śledztwa na jego młodej twarzy odbiło się zmęczenie; stała się wynędzniała, zmizerowana. Wahał się przez chwilę, po czym chwycił pospiesznie słuchawkę, zadzwonił do hotelu Regina i poprosił Barnes'a do telefonu.

— Wiecie, że ten wariat Tolfrey wydaje przyjęcie dla podejrzanych? — zapytał ostro.

— Pewnie. — Głos Barnes'a brzmiał jak zwykle ponuro. — Przyszedł tu koło ósmej wieczorem pijany jak bela i wysłał telegramy do wszystkich zamieszanych w tę sprawę. Później sprawdziłem, co napisał, i zawiadomiłem Jervisa. Obiecał, że przyjedzie, jeśli pan na czas nie wróci, i powiedział, żebym dał Tolfreyowi wolną rękę.

Timothy zaklął pod nosem. — To moja wina. Nie uświadomiłem Jervisowi, jak ważne jest... Mam nadzieję, że nikt jeszcze nie przyszedł do Tolfreya?

Barnes wydawał się być urażony. — Nikt nie kazał mi nikogo zatrzymywać. Przed mniej więcej dziesięcioma minutami te cztery kobiety pytały mnie o numer jego pokoju.

— Księżna Walońska i jej przyjaciółki! Niech to diabli. Ktoś jeszcze?

— Ktoś mógł prześliznąć się niezauważony po schodach. Ja...

— Posłuchajcie — przerwał mu Timothy — to nigdy nie powinno było się wydarzyć. To moja wina, ale... Tolfrey jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Na miłość boską, idźcie na to przyjęcie, zostańcie tam i nie spuszczaćcie nikogo z oka, dopóki nie przyjadą. Jasne?

— Tak.

— W porządku.

Timothy odłożył z hukiem słuchawkę i rzucił się do drzwi.

## 16.

Podczas gdy taksówka, mijając w pędzie inne samochody, wiozła go do hotelu Regina, Timothy miał chwilę na rozszyfrowanie enigmatycznych notatek Oscara, który sporządził dla niego listę

telefonów z całego dnia. Z uwagi na brak przerw między wyrazami i szcążkową interpunkcją, całość robiła wrażenie, jakby wyszła spod pióra Gertrudy Stein.

PANI TRANT PRZYPOMINA O URODZINACH PAŃSKIEGO OJCA W PRZYSZŁYM TYGODNIU. PANI (NIE ZAPAMIĘTAŁEM NAZWISKA) MÓWIŁA COŚ O NIELETNICH PRZESTĘPCACH. DZWONILI Z PRALNI Z PYTANIEM, CZY MAJĄ ZROBIĆ TO, CO ZWYKLE I POWIEDZIELI, ŻE SIĘ TYM ZAJMĄ. KOBIETA, PRZEDSTAWIŁA SIĘ JAKO PHYLLIS, POWIEDZIAŁA, ŻE BĘDZIE PAN JĄ PAMIĘTAŁ I TO WSZYSTKO. KOBIETA, ZAMIEJSCOWA, KIEPSKIE POŁĄCZENIE, CHYBA WSPOMINAŁA COŚ O TERIERACH. BARNES Z REGINY DZWONIŁ PIĘĆ RAZY, NIECH PAN NATYCHMIAST ODDZWONI ALBO NAJLEPIEJ SAM PRZYJEDZIE DO HOTELU.

Wchodząc z pośpiechem przez wielkie, wahadłowe drzwi wiodące do obszernego hallu hotelu Regina, Timothy wsunął te żmudnie sporządzane zapiski do kieszeni. Ruszył szybkim krokiem w stronę wind, lecz przystanął, widząc znajomą postać nachylającą się nad stanowiskiem recepcjonistki.

— Witaj, Bobby.

— Trant! — Robert Bristol uśmiechnął się radośnie i pokazał mu trzymany w dłoni telegram. — Czy ty też dostałeś tę szaloną wiadomość? A może to kolejny pomysł policji?

— Niestety, policja nie ma z tym nic wspólnego — odparł ponuro Timothy. — Chodźmy, musimy jak najszybciej znaleźć się na górze.

Bobby sprawiał wrażenie elegantszego i nieco mniej udręczonego, niż gdy Timothy widział go po raz ostatni. W windzie nie mógł się nachwalić Oscara, który najwyraźniej dokonał prawdziwych cudów, zmieniając zapuszczoną dżunglę jego pokoju w zadbany różany ogród.

— Wyłożył kuchenne półki papierem, zmył wszystkie naczynia, wyprasował moje trzy krawaty i oddał garnitury do czyszczenia. — W śmiechu Bobby'ego pojawiła się nutka goryczy. — Może powinienem go od ciebie wynająć, żeby dokończył za mnie moją powieść i zajął się rozwodem...!

Jednak Timothy wcale go nie słuchał. Kiedy winda zatrzymała się na piętrze, popędził przed siebie korytarzem do drzwi pokoju Tolfreya.

Były uchylone. Gdy detektyw stanął przed nimi, ze środka wychylił się Barnes.

— Trant, pilnuję gości, tak jak pan przykazał.

— I wszystko w porządku?

— Te cztery damulki już tu są. I ten Muir. Ale za to nigdzie nie ma Tolfreya.

— Nie ma go? — wykrzyknął z niepokojem Timothy.

— Ano nie. Nie podejrzewa pan chyba, że...? — Barnes był wyraźnie poruszony.

Przez chwilę Timothy stał zupełnie nieruchomo. — Zejdźcie na dół i czekajcie przy telefonie na wypadek, gdybym was potrzebował.

Nie czekając na odpowiedź, minął go i wszedł do środka, następując niemal na pięty Robertowi Bristolowi.

Derek Muir ruszył mu na powitanie, wyglądając nieskazitelnie w swoim niebieskoszarym garniturze.

— A oto i nasz policjant wraz z kolejnym mordercą! — powiedział, cedząc słowa. — Zapraszamy, przyłączcie się do naszego zgromadzenia zabójców.

Timothy rozejrzał się prędko po pokoju. Pod oknem stała księżna Walońska, szczupła i arystokratyczna w swoim futrze z nerek, które spowijało ją niczym chmura boski Olimp. Beatrice Kennet prezentowała najnowszy krzyk mody — szkocki tweed. Przy niej, na narożnej kanapie, siedziała drobna Susan Hobart o kasztanowych włosach. Lady Lotus, w srebrnych lisach luźno narzuconych na ramiona, rozpięła się wygodnie w fotelu z wystudiowaną nonszalancją.

— Spodziewam się, że jest pan o wszystkim dokładnie poinformowany — mruknął Muir, leniwym gestem podając Timothy'emu złożony telegram. — Pan Tolfrey zebrał nas tutaj, aby oddzielić koźły od jagniąt.

— Problem w tym — rzuciła ostro Beatrice Kennet — że zabrakło pasterza.

Timothy przeczytał podany mu przez Muira telegram. Informował on zwięźle, że Dane Tolfrey odkrył, kto zabił panią Van Heuten, w związku z czym zaprasza pana Muira na przyjęcie o godzinie dziesiątej wieczorem, podczas którego nastąpi publiczne zdemaskowanie mordercy.

Timothy wepchnął telegram do kieszeni i zrobił krok w stronę pustej sypialni, po czym najwyraźniej zmienił zdanie.

Jego wzrok zatrzymał się na twarzy księżnej Walońskiej.

— Dziwię się, widząc tutaj panie. Nie przypuszczałbym, że o dziesiątej wieczorem pospieszycie do hotelowego pokoju obcego mężczyzny tylko dlatego, że przysłał on wam telegram o dość sensacyjnej treści.

— Przyszliśmy tu — odparła szorstko księżna — ponieważ obiecałyśmy panu współpracę, panie Trant. Po otrzymaniu telegramu natychmiast uznałyśmy, że ta sprawa ma jakiś związek z panem.

— A kiedy okazało się, że pana Tolfreya nie ma, a drzwi są otwarte — dodała Gilda Dawn cierpko — byłyśmy już całkowicie przekonane, że może za tym stać tylko ktoś równie szalony jak pan.

— A więc drzwi były otwarte? — zapytał wolno Timothy.

— Właśnie tak! — odezwała się prędko z kanapy Susan Hobart. Ton jej głosu był bardzo poważny. — Zastałyśmy otwarte drzwi i weszłyśmy do środka. Czekałyśmy tu, aż... aż zjawił się pan Muir. A potem pan...

Urwała nagle, słysząc gwałtowne stukanie do drzwi. Wszyscy wzdrygnęli się nerwowo, po czym próbowali to jakoś zamaskować. Pukanie powtórzyło się. Timothy pospieszył do drzwi i otworzył je na oścież.

W progu stała Madeleine Price.

— Pan tutaj, panie Trant?

Nieduży, czerwony kapelusik przycupnął wesoło na jej ciemnych włosach, lecz pospiesznie nałożone nowo nabyte kosmetyki nie zdołały ukryć nienaturalnej bladości jej policzków. W spowitej w rękawiczkę dłoni ścisnęła telegram.

Wcisnęła go Timothy'emu do ręki, jakby miało to wyjaśnić jej obecność w tym miejscu. Detektyw rozłożył go i przeczytał:

GLUPIEC ZE MNIE ZAPOMNIAŁEM O PANI STOP OCZYWIŚCIE MUSI PANI PRZYJŚĆ HOTEL REGINA DZIESIĄTA WIECZOREM STOP ZABAWA NIE BYŁA-BY UDANA BEZ PANI GDY WYJAWIĘ ŚWIATU TOŻSAMOŚĆ ZABÓJCZY KLARY.

*PODPISANO: TOLFREY*

— Znalazłam to po powrocie do domu. — Madeleine rozglądała się nerwowo po pokoju. — Kto... kto jest oskarżony? I gdzie on jest... gdzie jest pan Tolfrey?

— Wszyscy zadajemy sobie to pytanie.

Timothy zamknął drzwi i stanął plecami do nich. Bardzo wolno podniósł wzrok i popatrzył przeciągle w oczy Madeleine, po czym przeniósł spojrzenie na stół zastawiony kieliszkami i całą baterią butelek brandy, szkockiej oraz żytniej whisky.

— Panno Price, może mogłaby pani pełnić przez chwilę honory gospodyni, podczas gdy ja wyemknę się do łazienki i usunę spod pańki ziemię z Terrabiny. Mam wrażenie, że całemu towarzystwu przydałaby się kropelka alkoholu pana Tolfreya.

Przeszedł szybkim krokiem do sypialni i zamknął za sobą drzwi. Zrobił krok do przodu i zamarł, nie wiedząc czemu spięty. Z ciemnej łazienki dochodził słaby, lecz nietrudny do rozpoznania odgłos — monotonne bulgotanie płynącej z kranu wody.

Nie zwlekając, detektyw ruszył w tamtą stronę.

Poczuł, że wykładana kafelkami posadzka pod jego stopami jest całkiem mokra. Wyciągnął rękę, szukając wyłącznika i przesunął go w dół. Gdy ostry strumień światła zalał pomieszczenie, okazało się, że tuż przed nim znajduje się umywalka. Oba kurki były odkręcone, a odpływ zakorkowany. Woda przelewała się przez porcelanową krawędź i spływała na posadzkę.

Podłużne lustro nad umywalką wisiało dokładnie na wysokości jego oczu. Dlatego też ów przedziwny widok ukazał mu się pod takim dziwnym kątem, ukośnie odbity i przez to tym bardziej koszmarny.

Detektyw stał chwilę nieruchomo, wpatrując się jak zahipnotyzowany w to, co zobaczył w lustrze. Potem, jakby wbrew własnej woli, przeniósł niepewne spojrzenie na swoje odbicie.

Timothy widział już w życiu wiele twarzy ludzi zaskoczonych, zdumionych, wytraconych z równowagi przez nagły szok. Jednak nigdy dotąd nie widział podobnego wyrazu we własnych oczach.

To, co zobaczył, było potworne — szokujące z powodu skróconej perspektywy, niczym kadr z jakiegoś horroru. Jego twarz, widziana z bliska, nagle wydała mu się obca. W tle zaś raziły go w oczy swoją połyskującą bielą wilgotne kafelki, ciągnące się aż do wanny, w której leżało to okropieństwo.

Bardzo wolno odwrócił się od makabrycznego odbicia w lustrze i stanął oko w oko z rzeczywistością. Zbliżył się do wanny.

Tam zaś, jakby celowo upozowany, leżał sztywno Dane Tolfrey, z ramionami wyprostowanymi wzdłuż tułowia i głową groteskowo opartą o emaliowaną krawędź. Miał na sobie nieskazitelny niebieski garnitur, a w jego krawacie tkwiła szpilka z pojedynczą perłą, połyskującą w świetle wiszącej nad lustrem lampki. Wargi miał rozchyłone w parodii swojego zwykłego zgryźliwego uśmiechu, przekrwione policzki były sino zabarwione, oczy zaś spoglądały przed siebie niewidzącym wzrokiem idioty.

Bez wątpienia był martwy.

Przez krawędź wanny przewieszzone były dwa zakrwawione ręczniki.

Po chwili wahania Timothy chwycił ciężkie ciało za ramiona i uniósł je do góry, odsłaniając plecy, gdzie zobaczył to, co spodziewał się zobaczyć. Niebieska, wełniana tkanina marynarki była przecięta i poplamiona krwią, która pociekła, barwiąc żywym szkarłatem jaszkrawą biel wanny. Na chłodnym, porcelanowym dnie spoczywał tani nóż o drewnianej rączce oraz wilgotnym, zmatowiałym ostrzu — taki, jakiego używa się w ogrodzie albo do brudniej szych prac kuchennych.

Timothy puścił ciało, pozwalając mu opaść z powrotem do wanny. Stał teraz z palcami przyciśniętymi do ud, drżąc jak osika.

Powodem nie był jednak strach — detektyw drżał z wściekłości. Ogarnął go chłodny, nieprzejednany gniew. Tolfrey popełnił jeden błąd, który zagwarantował mu taką śmierć. Okazał się głupcem. Policja sfuszerowała sprawę. Lecz co najgorsze, Timothy również sfuszerował.

Wiedział, że jest to coś, czego nigdy nie wybaczy sobie — ani mordercy.

## 17.

Timothy naprędce przeszukał łazienkę. W niczym teraz nie przypominał dawnego, niedbałego młodego człowieka. Pantera wkroczyła na wojenną ścieżkę.

W pierwszej kolejności zakręcił kurki nad umywalką i wyciągnął korek z odpływu, po czym przyjrzał się zalanej wodą posadzce.

Było dla niego jasne, dlaczego morderca zostawił odkręconą wodę. Bezlitośnie wykorzystał wszystkie zalety łazienki jako miejsca zbrodni. Przelewająca się przez krawędź umywalki i ściekająca na podłogę woda zatarła wszystkie ślady, zmywając ewentualne odciski butów czy pozostawioną na kafelkach ziemię. Poza tym, pomyślał ponuro Timothy, prawdopodobnie był jeszcze jeden powód. Odgłos cieknącej wody zwraca uwagę. Morderca zadbał o to, aby ciało Dane'a Tolfreya zostało znalezione, gdy zaproszeni goście przybędą na przyjęcie — i wszyscy znajdą się na miejscu zbrodni.

Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na łazienkę, detektyw zamknął drzwi i szybkim krokiem podszedł do stojącego w pustej sypialni telefonu. Połączył się z Barnesem w recepcji, opisał mu w skrócie, co się stało, i polecił natychmiast skontaktować się z Jervisem.

Mówił to, zniżając głos, żeby przypadkiem nikt z gości w sąsiednim pokoju go nie usłyszał. Poza Johnem Hobartem i Helen Bristol byli tam wszyscy, którzy feralnego dnia odwiedzili panią Van Heuten. Istniała szansa — jak dwa do sześciu — że jest wśród nich morderca zarówno jej, jak i Dane'a Tolfreya. Może jednak to nieudane przyjęcie przyniesie jakiś pozytywny rezultat. Jeżeli w tym pokoju był morderca — lub mordercy — kobieta lub mężczyzna, to tylko on będzie wiedział, co Timothy odkrył w łazience. Była szansa, że się czymś zdradzi.

Gdy Timothy wrócił do salonu, żaden z gości Tolfreya nawet na niego nie spojrział. Wszyscy rozmawiali z przesadnym ożywieniem, którym tylko połowicznie udawało im się pokryć rosnące zdenerwowanie. Patrycja Walońska, porzuciwszy o dziwo protekcjonalny styl bycia, gawędziła w najlepsze z nikim innym, jak właśnie z Madeleine Price. Gilda Dawn i Derek Muir byli bez reszty pogrążeni w zawilych hollywoodzkich plotkach, zaś Beatrice Kennet zapomniała się na tyle, aby obiecać Bobby'emu, iż szepnie swojemu wydawcy ciepłe słówko na temat jego ostatniej powieści.

Jedynie Susan Hobart nie próbowała w żaden sposób ukryć swojego niepokoju. Siedziała samotnie w kącie, a jej drobne dłonie manipulowały przy zapięciu torebki.



Trudno znaleźć choćby cień motywu u którejkolwiek z tych osób, pomyślał Timothy, podchodząc do stolika i nalewając sobie drinka. Nie istniał żaden dowód, który mógłby powiązać je z jakimkolwiek przestępstwem. A mimo to detektyw był więcej niż pewien, że każda z nich jest winna — i to winna jak diabli.

Odwrócił się z wolna, zwracając się twarzą ku zgromadzonym i uniósł w górę kieliszek. Kiedy przemówił, w jego pozornie obojętnym głosie zadźwięczała stal.

— No cóż, panie i panowie, wypijmy za zdrowie naszego nie-  
szczęsnego gospodarza.

Prowadzone równoległe rozmowy urwały się w pół słowa. Wszyscy spojrzeli na niego czujnie, lecz nikt się nie odezwał.

— A ponieważ — ciągnął Timothy — zabrakło pana Tolfreya, który miał zabawić nas swoją amatorską próbą rozwikłania zagadki morderstwa, chyba pomożecie mi przedstawić jej oficjalne rozwiązanie, jakkolwiek byłoby nieporadne...

Jego wzrok spoczął na patrycjuszowskiej twarzy Patrycji Walońskiej.

— Twierdzi pani, księżno, że dziś wieczorem przybyła tu wraz z przyjaciółkami jako pierwsza. Zastałyście panie uchylone drzwi i weszłyście do środka. Zgadza się?

— Tak.

— Nie byłyście panie zaskoczone tym, że drzwi były otwarte?

Okryte futrem z nerek ramiona Patrycji Walońskiej uniosły się lekceważąco. — Doprawdy, wcale się nad tym nie zastanawiałam. Wiedziałyśmy, że ma się tu odbyć przyjęcie. Spodziewałyśmy się, że będą na nim inni goście.

— A gdy okazało się, że nikogo poza nami nie ma — wtrąciła Beatrice Kennet — siedziałyśmy tu jak skwaszone debutantki, aż przybycie rozkosznego pana Muira ożywiło nieco nasze samotne, dziewczęce serca.

— Jak widzę — mruknął Timothy — fakt, iż drzwi pokoju hotelowego stały otworem, nie był dla pań zaskoczeniem. Dziękuję. Po przybyciu pana Muira zjawiliśmy się ja i pan Bristol. Jako ostatnia przyszła panna Price...

Urwał i wszyscy odwrócili się do drzwi. Ponownie rozległo się pukanie. Tym razem nie było ono tak głośne i gwałtowne, jak to, które

zwiastowało, przybycie Madeleine, lecz delikatne i jakby pełne wahania.

W ciszy, jaka potem zapadła, Timothy dostrzegł pytający wzrok Bobby'ego i skinął głową. Młody człowiek pospieszył do drzwi i otworzył je szybkim ruchem.

Detektyw aż zmrużył oczy na widok wysokiego, opalonego mężczyzny, który niespiesznie wszedł do pokoju. Był to ten sam człowiek, którego Timothy widział przed zaledwie kilkunastoma godzinami, w oddalonym o trzysta mil mieście Winton w stanie Ohio.

John Hobart przystanął i powiódł znudzonym spojrzeniem po kręgu zaskoczonych twarzy.

— Widzę, że trafiłem na przyjęcie — zauważył.

Oczy wszystkich były w nim utkwione; jedynie Timothy obserwował Susan Hobart. Mała milionerka wykonała taki gest, jakby chciała wstać, lecz zawahała się. Jej twarz była zarumieniona i dziwnie zażenowana.

— Johnny — szepnęła. — Co ty... co tutaj robisz?

John Hobart nachylił się i pocałował ją w usta. Następnie leniwe spojrzenie jego aksamitnych, ciemnych oczu spoczęło na Timothym. Detektyw wyczytał w nich wyzwanie.

— Wyobraź sobie, Susie, że dziś rano udzieliłem wywiadu dwójce przedstawicieli czasopisma „Prawdziwe romanse”. Przekonali mnie, że miejsce męża jest zdecydowanie u boku jego żony...

Timothy odpowiedział mu spokojnym spojrzeniem. — A można wiedzieć, co sprawiło, iż uznał pan, że znajdzie miejsce u boku swojej żony właśnie w pokoju pana Tolfreya?

— Kolejne pytanie godne Princeton. — Opalona dłoń Hobarta pieściła ramię żony. — Tak się składa, że przyjechałem do miasta i przed około kwadransem zatrzymałem się w tym właśnie hotelu. Zadzwoniłem do księżnej, chcąc porozmawiać z żoną, ale kamerdyner nie potrafił mi powiedzieć, dokąd się udała. — Zerkając na otarte kłykcie swojej prawej dłoni, dodał: — Ponieważ miałem trochę wolnego czasu, pomyślałem, że odwiedzę... mojego starego przyjaciela.

Podszedł do stolika i szczerze poczęstował się whisky.

— A skoro już o nim mowa, to gdzie właściwie jest Tolfrey? Widzę, że policja nie ma nic przeciwko ograbianiu go z alkoholu.

Zapadła cisza, zakłócana jedynie sykiem wody sodowej, gdy napełniał szklanke.

Nagle księżna Walońska gwałtownie wstała z miejsca.

— Nie ma absolutnie żadnego powodu, dla którego miałybyśmy tutaj dłużej zostać — powiedziała, otulając się ciasniej futrem. — Beatrice, Gildo, idziemy. — A rzucając władcze spojrzenie pani Hobart, dodała: — Ty także, Susan.

Ruszyła w stronę drzwi, przyciskając ramię do boku w dość nienaturalny sposób. W tym samym momencie Timothy dostrzegł, że coś srebrzystego i połyskującego wystaje spod poły jej futrzanego płaszcza.

— Chwileczkę, księżno — rzucił szorstkim tonem. — Nikt nie opuści tego pokoju, dopóki ja nie wyrażę na to zgody. A skoro musiała już pani przywłaszczyć sobie fotografię należącą do pana Tolfreya, czy konieczna jest także kradzież ramki?

Księżna zamarła w pół kroku. Jej policzki straciły swoją zwykłą bladość. Po raz pierwszy, od kiedy się poznali, Timothy ujrzał Patrycję Walońską w stanie najwyższego zawstydzenia.

— Och, ja... To tylko fotografia mojego męża — wyjąkała. — Wyjątkowo udana. Nie mam w domu takiej samej, więc...

Zaśmiała się krótko, nerwowo, wydobywając ramkę ze zdjęciem spod fałd futra.

— Oczywiście zamierzałam poprosić pana Tolfreya o jej pożyczenie. Ale... ponieważ się nie zjawił...

Timothy wziął od niej ramkę i przez chwilę przyglądał się pociągłej twarzy księcia Walońskiego, którego rysy były równie dystyngowane i arystokratyczne, jak rysy jego żony.

— Całkiem mnie pani rozbroiła, księżno. — W jego głosie zabrzmiał niebezpiecznie gładki ton. — W obliczu tak ogromnego małżeńskiego oddania szeregowemu policjantowi pozostaje jedynie zapomnieć o tym przypadku drobnej kradzieży.

Pozostałe trzy damy instynktownie zbliżyły się do księżnej, lecz ta zdawała się być nieświadoma ich obecności. Stała silnie zarumieniona, mierząc detektywa wyzywającym spojrzeniem.

— Mogę zrozumieć — ciągnął cicho Timothy — dlaczego tak bardzo zależało pani na ukryciu przed policją tego, że pani mąż znał pana Tolfreya. Mogę też zrozumieć, że nie chciała pani, aby fotografia

tak znamienitego człowieka została pohańbiona przez sam fakt jej przebywania na miejscu zbrodni.

— Zbrodni...!

Oczy detektywa przesunęły się błyskawicznie od jednej twarzy do drugiej, rejestrując kolejno reakcje zgromadzonych na to straszne słowo. Uniesiona szklanka w dłoni Hobarta na wpół skrywała sardoniczny grymas jego wygiętych w uśmiechu warg. Derek Muir strzepnął drobinę popiołu z rękawa swojej szaroniebieskiej marynarki, a Bobby Bristol przesunął dłonią po swych i tak już rozczochranych włosach.

Lecz uwagę Timothy'ego zwróciła przede wszystkim Madeleine Price — jej błyszczące, rozgorączkowane oczy, plamy różu na policzkach jak dwie otwarte rany.

— Chce pan powiedzieć... — wyszeptała.

— Owszem — Timothy zastukał palcami w oszkloną fotografię księcia Walońskiego. — Chcę powiedzieć, że nasz gospodarz był tutaj przez cały ten czas. Czyżby nikt z was nie wiedział, że leży w łazience — zamordowany?

## 18.

Była druga w nocy. Detektyw Trant i inspektor Jervis, obaj z twarzami ponurymi i poszarzałymi ze zmęczenia, siedzieli w mieszkaniu Timothy'ego nad zasłużoną szklaneczką whisky. Ciało Dane'a Tolfreya przeniesiono do kostnicy, a jego pokój w hotelu Regina przeszukano, zamknięto i zaplombowano. Goście — ci proszeni i ci nieproszeni — zostali przewiezieni na komendę, przesłuchani bez względu na swoją pozycję towarzyską i wreszcie wypuszczeni.

Nie wynikało z tego absolutnie nic. Koroner ustalił czas zgonu na około dziesiątą wieczorem. Księżna Walońska i jej przyjaciółki, które jako pierwsze przybyły na przyjęcie, miały zatem wszelką sposobność, aby popełnić morderstwo. Lecz również pozostali podejrzani mogli wejść niepostrzeżenie po schodach, zabić Dane'a Tolfreya, po czym wrócić w charakterze zaproszonych gości. Wszelkie ślady, jakie morderca mógł pozostawić na posadzce łazienki, zniszczyła cieknąca z umywalki woda. W rzeczy samej, podobnie jak w przypadku śmierci

pani Van Heuten, zabójstwo Dane'a Tolfreya zostało przeprowadzone z maksymalną starannością.

Dwa nowe fakty, które wyszły na jaw tego wieczora, wprowadziły jedynie jeszcze większe zamieszanie. Samolot, którym John Hobart przybył z Winton, wylądował w Nowym Jorku o dziewiątej. To znaczyło, że miał on aż nadto czasu, aby popełnić morderstwo, a potem legalnie zameldować się w hotelu.

Jeśli zaś chodzi o jedyne gościa pani Van Heuten, który nie stawiał się u Tolfreya, znajdował się on niebezpiecznie blisko miejsca zbrodni. Lawrence Graves, redaktor naczelny oficyny wydawniczej Saltera i przyszły drugi mąż Helen Bristol wynajął w Reginie pokój piętro niżej pod pokojem Tolfreya. Oboje z Helen Bristol przebywali w nim, poczynając od wpół do dziesiątej wieczorem.

Timothy odstawił szklanekę. Złowróżbny, gniewny blask wciąż rozświetlał jego szare oczy.

— To moja wina, inspektorze — przyznał otwarcie. — Nie doceniłem zdolności ozdrowieńczych Tolfreya. Podejrzałem, że może być w niebezpieczeństwie, ale sądziłem, że uda nam się powstrzymać mordercę, publikując informację o jego rzekomym wypadku i wstrząśnieniu mózgu. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że Tolfrey może ogłosić wszem i wobec, iż rozwiązał zagadkę morderstwa. Nadając te telegramy, podpisał na siebie wyrok śmierci.

— Nie można winić za to Barnes'a — dodał ponuro inspektor. — Osobiście wydałem mu rozkaz, żeby dał Tolfreyowi wolną rękę. Czasami tak już po prostu bywa. Nic nam nie przyjdzie z płaczu nad rozlanym mlekiem. — Jego zmęczone, przenikliwe spojrzenie zatrzymało się dłużej na twarzy Timothy'ego. — Jednak nadal nie rozumiem, skąd wiedziałeś, że Tolfreyowi coś groziło.

— Ten telefon z pogroźkami — wyjaśnił Timothy. — Morderca nie ryzykowałby gróźb, gdyby nie był naprawdę zdesperowany. A on musiał być przerażony. Tamtego popołudnia Madeleine Price widziała Tolfreya w biurze porad literackich. Istniała jednak możliwość, że mordercy nie widziała i dlatego nie wymienił on nazwiska Tolfreya. Mimo to bał się Tolfreya jak diabli, ponieważ wiedział, że Tolfrey ma coś na niego.

— A Tolfrey wytrzeźwiał, przypominał sobie, co widział, postanowił przechytrzyć policję i marnie skończył. To ma sens. — Jervis

pociągnął łyk ze szklanki, zrezygnowany. — Gdybyśmy tylko znali jego rozwiązanie zagadki, może nie poruszalibyśmy się po omacku jak para stetryczałych terrierów.

— Terierów! — wykrzyknął Timothy, powtarzając ostatnie słowo. — Ależ ze mnie głupiec!

Inspektor przyglądał się z pewnym zaskoczeniem, jak detektyw wyciąga z kieszeni dawno zapomnianą listę połączeń telefonicznych, sporządzoną poprzedniego dnia przez Oscara i przegląda ją z przejęciem. Ukryte pomiędzy pozbawionymi znaczenia wiadomościami, tkwiło tam zagadkowe zdanie:

...KOBIETA, ZAMIEJSCOWA, KIEPSKIE POŁĄCZENIE, CHYBA WSPOMI-  
NAŁA COŚ O TERIERACH...

Timothy rzucił listę Jervisowi.

— Terier... teriery... Terrabinny, inspektorze. Tak to jest, jak się ma służącego, który pasjonuje się polowaniami. Louise Campbell dzwoniła do mnie wczoraj wieczorem.

Detektyw chwycił telefon i podał telefonistce numer do Terrabinny. Po długim oczekiwaniu w słuchawce odezwał się silnie zaspany, kobiecy głos.

— Pani Campbell? — zapytał szybko Timothy. — Mówi Trant.

— Och, panie Trant, cały wieczór usiłowałam się do pana dozwonić i...

— Wiem. Co się stało?

— Chodzi o Dane'a Tolfreya. Wczoraj około dziewiętej dostałam od niego bardzo dziwny telegram. Napisał, że rozwiązał zagadkę morderstwa i że lepiej będzie, jeśli natychmiast wsiądę do samolotu lecącego do Kanady. Nie mam pojęcia, o co mu chodziło.

— To wszystko?

— Tylko tyle, że... opisał wszystko w liście poleconym, który wysłał do pana. Nie dostał go pan?

Timothy gwizdnął przez zęby. — Dziękuję, pani Campbell. Zadzwoń do pani jeszcze raz z rana. Dobranoc.

Odłożył z trzaskiem słuchawkę i odwrócił się do inspektora z ponurą miną.

— A więc jednak *dowiemy się*, do jakich wniosków doszedł Tolfrey. Opisał mi wszystko w *liście poleconym*.

— Tobie! — Jervis zerwał się na równe nogi, podekscytowany. — Ale... przecież powinieneś być go już dawno dostać!

— O rany! — Timothy aż stęknął. — Chyba tracę głowę, inspektorze. W ogóle nie przejrzałem wczorajszej poczty. Zaraz, zaraz... — Wydobył z kieszeni nieprzeczytane dotąd listy. Była wśród nich koperta oznaczona godłem hotelu Regina. — Ładny ze mnie detektyw. Cały czas miałem go przy sobie.

— Otwieraj! — wykrzyknął niecierpliwie inspektor. — Przy odrobinie szczęścia śledztwo zakończy się, zanim się na dobre rozpoczęło.

Timothy pospiesznie rozdarł kopertę i wyjął z niej kilka arkuszy papieru listowego. Jervis zaglądał mu przez ramię. Razem przeczytali:

DROGI PANIE TRANT W KARMAZYNOWEJ KOSZULI!

PO RAZ PIERWSZY OD PIĘCIU LAT JESTEM ZUPEŁNIE TRZEŻWY. JAKO ŻE PRAWDOPODOBNIENIE MINIE KOLEJNA DEKADA, ZANIM ZNAJDĘ SIĘ W PODOBNYM PODZIWIU GODNYM STANIE, POSTANOWIŁEM SKORZYSTAĆ Z TEGO, ŻE MOGĘ JESZCZE UTRZYMAĆ PIÓRO I PRZY POMOCY ATRAMENTU PRZELAĆ SWE MYŚLI NA PAPIER. MYŚLĘ, ŻE TO, CO MAM DO POWIEDZENIA, MOŻE PANA ZAINTERESOWAĆ, PONIEWAŻ STANOWI ROZWIĄZANIE NIEDORZECZNIE PROSTEJ SPRAWY MORDERSTWA KLARY VAN HEUTEN.

ZASADNICZO MOJE SYMPATIE SĄ CAŁKOWICIE PO STRONIE MORDERCÓW, KRYMINALISTÓW I WSZYSTKICH INDYWIDUALISTÓW NA TYLE NIEZALEŻNYCH, BY BYĆ ASPOŁECZNYMI. LUBIŁEM JEDNAK BARDZO DROGĄ KLARĘ — LECZ JESZCZE BARDZIEJ LUBIĘ WYPROWADZAĆ W POLE WYNIOSŁYCH MŁODYCH LUDZI, KTÓRZY W DZISIEJSZYCH CZASACH ZDAJĄ SIĘ MIENIĆ STRÓŻAMI PRAWA I PORZĄDKU. BYĆ MOŻE GŁUPIO ZROBIŁEM, OPIERAJĄC SIĘ PAŃSKIM DOŚĆ EKSTRAWAGANCKIM PRÓBOM WYDOBYCIA ZE MNIE INFORMACJI NA PRZYJĘCIU KOKTAJLOWYM, LECZ CZUŁEM SIĘ NIMI URAŻONY. TEN LIST JEST UPRZEJMYM SPOSOBEM UTARCIA PANU NOSA.

ŚLEDZĄC MOJE CZYNNOŚCI OWEGO FERALNEGO POPOŁUDNIA W DNIU ZABÓJSTWA, NAWET NAJMNIJ BYSTRY UMYSŁ DOJDZIE PRAWDY. PRYZNAJĘ, ŻE BYŁEM TEGO DNIA PIJANY JAK BELA. JEŚLI MAM BYĆ SZCZERY, POCZĄWSZY OD TAMTEJ PORY PRZEZ CAŁY CZAS ZNAJDOWAŁEM SIĘ W STANIE BEZTROSKEJ NIEŚWIADOMOŚCI, O CZYM ZAPEWNE POWIADOMI PANA PAŃSKI PIES GOŃCZY. DLATEGO TEŻ NIE OTRZYMAŁ PAN ODE MNIE

WCZEŚNIEJ ŻADNEJ WIADOMOŚCI. TERAZ JEDNAK, W NAGŁYM PRZEBŁYSKU TRZEŻWOŚCI, PRZYPOMINAM SOBIE WSZYSTKO Z NAJDROBNIJSZYMI SZCZEGÓŁAMI.

OWEGO POPOŁUDNIA WYBRAŁEM SIĘ DO BIURA KLARY, ABY POŻYCZYĆ PIENIĄDZE, ODEBRAĆ DŁUG — NIECH PAN TO NAZWIE, JAK PAN CHCE. WSZEDŁEM TYLNYM WEJŚCIEM, ZOSTAŁEM HOJNIE WYPOSAŻONY W CZEK NA TRZYSTA PIĘCDZIESIĄT DOLARÓW, PO CZYM ODDALIŁEM SIĘ. DODAM, ŻE KLARA JESZCZE ŻYŁA, GDY OD NIEJ WYCHODZIŁEM. JEŻELI MI PAN NIE WIERZY, PROSZĘ ZAPYTAĆ BOBBY'EGO BRISTOLA, TEGO AMATORA MLEKA MUIR A ALBO CZTERY ZNAMIENTE KLIENTKI KLARY.

ŚCISKAJĄC CZEK W ROZPALONEJ DŁONI, POSPIESZYŁEM DO BANKU PO TO TYLKO, ABY DOWIEDZIEĆ SIĘ, ŻE JEST JUŻ ZAMKNIĘTY. MIAŁEM W RĘKĘ TRZYSTA PIĘCDZIESIĄT DOLARÓW — I ANI CENTA GOTÓWKI, WIĘC JAK GOŁĄB POCZTOWY POLECIAŁEM NA SKRZYDŁACH ALKOHOLU Z POWROTEM DO KLARY. PONOWNIE SKORZYSTAŁEM Z TYLNEGO WEJŚCIA. BYŁEM JUŻ W POŁOWIE SCHODÓW POŻAROWYCH, GDY USŁYSZAŁEM, ŻE KTOŚ SCHODZI Z GÓRY. NIE ZDZIWIŁEM SIĘ, WIDZĄC LOUISE CAMPBELL, CHOCIAŻ TRZEŻWY UMYSŁ Z PEWNOŚCIĄ PODSZEPNAŁBY MI, ŻE NIESZCZĘSNA DZIEWCZYNA POWINNA BYĆ WTEDY W JAKIEJŚ ZAPOMNIANEJ PRZEZ BOGA MIEŚCINIE W PENSYLVANII. PRAWDĘ MÓWIĄC, BARDZO SIĘ UCIESZYŁEM NA JEJ WIDOK. LOUISE TO DOBRA DZIEWCZYNA I — JAK MI SIĘ WTEDY WYDAWAŁO — DYSONUJĄCA GOTÓWKĄ. POSTANOWIŁEM WIĘC NIE KŁOPOTAĆ ZNOWU BIEDNEJ, DROGIEJ KLARY I POŻYCZYĆ OD LOUISE DWA DOLARY NA TAKSÓWKĘ DO HOTELU, GDZIE, O CZYM WIEDZIAŁEM, BĘDĘ MÓGŁ ZREALIZOWAĆ CZEK.

MUSI PAN ZROZUMIEĆ, ŻE W TAMTEJ CHWILI NIE PRZYSZŁA MI DO GŁOWY ŻADNA STRASZLIWA, ZŁOWRÓŻBNA, PODEJRZLIWA ANI INNA MYŚL RODEM Z POWIEŚCI KRYMINALNYCH. DOPIERO JAKIŚ CZAS PO TYM, JAK WYTRZEŻWIAŁEM, UDAŁO MI SIĘ POSKŁADAĆ TO WSZYSTKO W CAŁOŚĆ. LOUISE CAMPBELL BYŁA W MIEJSCU, W KTÓRYM W ŻADEN SPOŚÓB NIE POWINNA BYŁA SIĘ ZNALEŻĆ. BYŁA WZBURZONA, BŁADA, ZDENERWOWANA ITD. KIEDY JĄ ZAGADNAŁEM, W PIERWSZYM ODRUCHU CHCIAŁA UCIEKAĆ. LECZ WSZYSTKO TO NIC WOBEC NAJWAŻNIEJSZEGO DOWODU. KIEDY OTWORZYŁA TOREBKĘ, ŻEBY UDZIELIĆ MI POŻYCZKI, WYRAŻNIE WIDZIAŁEM, ŻE JEJ CHUSTECZKA JEST POPLAMIONA KRWIĄ. PÓŹNIEJ ZAŚ, GDY PŁACIŁEM ZA TAKSÓWKĘ JEJ PIENIĘDZMI, KIEROWCA ZAUWAŻYŁ, ŻE JEDEN Z BANKNOTÓW JEST ZAKRWAWIONY.



UMIEŚCIWSZY W TEN SPOSÓB PANIĄ CAMPBELL, NOSZĄCĄ KRWAWĘ ZNAMIONA WINY, NA MIEJSCU ZBRODNI, POZWOLĘ SOBIE NA ZAKOŃCZENIE PRZEDSTAWIĆ PROSTĄ DEDUKCJĘ. TAK SIĘ SKŁADA, IŻ WIEM, ŻE LOUISE FIGURUJE W TESTAMENCIE KLARY. POTRZEBOWAŁA PIENIĘDZY, KLARA ZAŚ BYŁA PO ŚMIERCI DALEKO BARDZIEJ HOJNA NIŻ ZA ŻYCIA. MORDERCZYNI NIEWĄTPLIWIE WESZŁA TYLNYMI DRZWIAMI, A O ILE SIĘ ORIENTUJE, JEDYNIIE KLARA, JA SAM ORAZ SEKRETARKI WIEDZIAŁY, ŻE WEJŚCIE TO ZAWSZE STOI OTWOREM. KLARA NIE POPEŁNIŁA SAMOBÓJSTWA. JA JEJ NIE ZAMORDOWAŁEM. *QUOD ERAT DEMONSTRANDUM*\*. WINNA JEST LOUISE CAMPBELL.

\* (z łac.) co było do dowiedzenia.

JAK JUŻ WSPOMNIAŁEM NA POCZĄTKU, MAM NIEULECZALNĄ SŁABOŚĆ DO WSZYSTKICH, KTÓRZY ŁAMIĄ PRAWO. POZA TYM ZAWSZE UWAŻAŁEM LOUISE ZA CAŁKIEM MIŁĄ DZIEWCZYNĘ. DLATEGO TEŻ ZA POŚREDNICTWEM WESTERN UNION PORADZIŁEM JEJ, ABY JAK NAJSZYBCIEJ SIĘ ULOTNIŁA. POMYŚLAŁEM, ŻE WYSYŁAJĄC PANU TEN LIST BARDZIEJ ZAWIŁĄ DROGĄ POCZTY POLECONEJ, DAM JEJ PRYZWOITĄ SZANSE UCIECZKI, NIE NARAŻAJĄC SIĘ TYM SAMYM NA ZARZUT UTRUDNIANIA ŚLEDZTWA. MAM NADZIEJĘ, ŻE JEJ SIĘ UDA, LECZ JEDNOCZEŚNIE NIE MOGĘ OPRZEĆ SIĘ POKUSIE WYJAWIENIA PANU PRAWDY. BIORĄC WSZYSTKO POD UWAGĘ, JEST TO ZBYT DOBRY ŻART, ABY NIE PODZIELIĆ SIĘ NIM Z POLICJĄ.

JAK PAN BYĆ MOŻE WIE, SZCZYCĘ SIĘ SWOIM SPECYFICZNYM POCZUCIEM HUMORU. DLATEGO TEŻ ZAPROSIŁEM WSZYSTKICH PAŃSKICH PODEJRZANYCH NA PRZYJĘCIE DZIŚ WIECZOREM, PODCZAS KTÓREGO POZWOLĘ NAJPIERW KAŻDEMU Z OSOBNĄ CIERPIEĆ MĘKI NIEPEWNOŚCI I DŁAWIĆ SIĘ POCZUCIEM WINY, A NASTĘPNIE WYJAWIĘ IM PRAWDĘ. MAM NADZIEJĘ, ŻE BĘDĄ SIĘ DOBRZE BAWIĆ. JA Z PEWNOŚCIĄ BĘDĘ.

PAŃSKI NA ZAWSZE,

DANE TOLFREY

PS À PROPOS, JEŻELI ZATRZYMA PAN LOUISE, MOŻE ZWRÓCIĆ JEJ PAN TE DWA DOLARY, KTÓRE OD NIEJ POŻYCZYŁEM. SĄDŻĘ, ŻE PRZEPROWADZONA PRZEZ MNIE REKONSTRUKCJA ZDARZEŃ JEST TYLE WARTĄ.

Timothy rzucił arkusze papieru na stół. Obaj z inspektorem stali chwilę w milczeniu, spoglądając na siebie.

— Pani Campbell! — wykrzyknął wreszcie Jervis. — Ale przecież była wczoraj wieczorem w Terrabinny. Jedyna z podejrzanych, która ma niezachwiane alibi. Jedyna, która nie mogła zabić Dane'a Tolfreya.

— Właśnie. I jedyna z podejrzanych, która nie mogła zabić pani Van Heuten. — Timothy opadł bezwładnie na fotel. — Wyjaśniła mi wszystko wczoraj po południu. Jestem pewien, że mówiła prawdę — tak pewien, jak tylko mogę być.

Jervis sięgnął na oślep po szklankę. — A więc to wszystko lipa, Trant. Tolfrey się pomylił.

— Tolfrey się pomylił — powtórzył wolno Timothy.

— No i na czym teraz u diabła stoimy? — Inspektor zmarszczył brwi skonsternowany. — Jeżeli Tolfrey nie zginął dlatego, że odkrył, kim jest morderca, to dlaczego zginął?

Timothy wziął ze stołu paczkę papierosów, zapalił zamyślony i wolno wypuścił z ust kółeczko dymu.

— Wygląda na to, że istnieje tylko jedno wytłumaczenie i jest to taka ironia losu, że uśmiełby się z niego sam nieboszczyk Tolfrey. Wiemy, że morderca się go bał. Kiedy dowiedział się, że Tolfrey zna rozwiązanie zagadki morderstwa, natychmiast uznał, że jest ono właściwe.

— I zadźgał Tolfreya, nie wiedząc, że podejrzewał on tylko panią Campbell. — Jervis otarł czoło sporych rozmiarów chustką. — A zatem Tolfrey zginął przez pomyłkę. A my wciąż nie posunęliśmy się ani o krok naprzód.

— Nie jest aż tak źle. Wiemy przynajmniej, że Tolfrey posiadał jakąś informację na temat mordercy, która była na tyle niebezpieczna, aby ten postanowił pozbawić go życia.

Jervis podrapał się za uchem. — Ale jeśli rzeczywiście Tolfrey wiedział coś istotnego na temat mordercy, to dlaczego podejrzewał panią Campbell?

— To — odparł Timothy — jest pytanie, od którego mózg mi się gotuje. Ale tak jak poprzednio, tak i tutaj istnieje tylko jedno wytłumaczenie. Tolfrey coś wiedział, to fakt, *ale albo nie zdawał sobie z tego sprawy, albo nie wiedział, jak bardzo jest to ważne.*

## 19.

Po wyjściu Jervisa Timothy powoli sączył drinka, nie przestając myśleć o Danie Tolfreyu. Tak, teraz miał już całkowitą pewność co do motywu drugiego morderstwa, które nastąpiło tak szybko po pierwszym. Morderca przecenił inteligencję Tolfreya. „Najdawniejszy przyjaciel” pani Van Heuten miał wszelkie szanse rozwiązać zagadkę jej gwałtownej śmierci; niestety, zwiódło go przekonanie o pozornie oczywistej winie Louise Campbell. Cóż takiego wiedział na temat mordercy? Czy mogło to mieć coś wspólnego z tylnym wejściem do biura? Timothy przeklinał Dane'a Tolfreya za jego dziecinny wybryk, który kosztował go życie. Gdyby tylko wiedział to, co wiedział dziewiąty gość pani Van Heuten — może wtedy dostrzegłby jakiś sens w tym chaosie nonsensu.

Pomimo późnej pory Timothy wcale nie odczuwał zmęczenia. Ostatnie morderstwo rozpałało w nim żądzę walki. Stanowiło wyzwanie, on zaś nie zamierzał spocząć, dopóki nie posunie się choćby o krok naprzód na tej drodze, która w końcu miała go doprowadzić do mordercy.

Wrócił myślami do złożonych i sprzecznych ze sobą odkryć, jakich dokonał w ciągu ostatnich trzydziestu sześciu godzin. Teraz, gdy drugie morderstwo zapewniło Louise Campbell tak niepodważalne alibi, można było definitywnie skreślić ją z listy podejrzanych. A Madeleine Price w jego własnej obecności odebrała telefon z ostrzeżeniem. Ją też można było wykluczyć, choć tajemnica fatalnego wypadku samochodowego z jej udziałem sprzed pięciu lat wciąż pozostawała nierozwikłana.

Śledztwo zatoczyło krąg i po raz kolejny miał przed sobą nazwiska dziewięciu podejrzanych — a raczej ośmiu, którzy jeszcze żyli. Osiem tak różnych od siebie osób, z których każda przedłożyła wiarygodne wytłumaczenie dotyczące swojej wizyty u pani Van Heuten i z których żadna nie miała choćby najmniejszego powodu, aby życzyć jej śmierci. Wszyscy oni się czegoś bali, płatali się w zeznaniach, byli wrogo nastawieni do policji — i wszyscy sprawiali wrażenie winnych.

Ośmioro gości pani Van Heuten! Po raz kolejny Timothy ujrzał ich połączonych ze sobą niewidzialną nicią, zagrożonych przez Klarę

Van Heuten, a mimo to stanowiących jednocześnie zagrożenie dla niej. Wiedział już, że będzie musiał rozwiązać dwie zagadki: zagadkę tego, czym tak naprawdę zajmowało się biuro porad literackich, oraz zagadkę morderstwa jego właścicielki.

Stopniowo docierało do niego, przez jak bardzo splątany gąszcz dowodów przyjdzie mu się przedzierać. Podejrzał, że każda z osób, które odwiedziły panią Van Heuten w dniu jej śmierci, miała po temu jakiś ukryty powód. A jednak każda z nich, z wyjątkiem Helen Bristol, która nie została wpuszczona do gabinetu, twierdziła, iż udała się do biura celem zasięgnięcia porady literackiej i na dowód tego dostarczyła mu swój tekst, z jakim rzekomo wybrała się do pani Van Heuten.

Spojrzenie Timothy'ego powędrowało na stół, gdzie leżała sterta tekstów skompletowanych przez niego w trakcie kolejnych rozmów z podejrzanymi, których — z powodu niezwykle szybkiego tempa wydarzeń — nie miał jak dotąd okazji przeczytać. Czuł, że gdzieś tam w tej stercie, pomiędzy opowiadaniem, powieścią a książką o grze w polo znajdują się poszlaki, które pozwolą mu potwierdzić lub odrzucić przedstawioną przez każdego z podejrzanych wersję o rzekomej potrzebie porady literackiej.

Detektyw ponownie napełnił szklankę i przysunął sobie krzesło, przygotowując się do nowej roli krytyka literackiego.

Zaczął od przekartkowania długiej i dość chaotycznie napisanej powieści Bobby'ego Bristola, zatytułowanej „Śmiejący się anioł”. Odłożył ją po przejrzaniu stu z pięciuset dwudziestu stron. Wiedział już wszystko, co chciał wiedzieć. Być może osoba postronna uznałaby przedstawioną w książce opowieść za rozwlekłą i nudną, lecz dla Timothy'ego była ona niezwykle wciągająca. „Śmiejący się anioł” okazał się kobietą, i to kobietą opisaną nad wyraz obrazowo. Detektyw nie miał wątpliwości co do oryginału, na którym została oparta ta postać. W powieści przedstawiono bowiem realistyczny i raczej całkiem pochlebny portret zielonookiej, gotowej na wszystko Helen Bristol.

Timothy wiedział teraz na pewno to, co wcześniej jedynie przeczuwał: jego przyjaciel z dzieciństwa był niezmiennie i rozpaczliwie zakochany w żonie, która nie widziała już dla niego miejsca w swoim życiu.

Niewiele uwagi poświęcił „Paradzie polo” pióra niejakiego Troopera (alias Johna Hobarta, alias niezidentyfikowanego „murzyna”). Był to typowy podręcznik dla snobów, w którym objaśnienia techniczne doprawiono kalkuckim curry i serdeczną atmosferą klubu Hurlingham\*. Książka napisana była w skrajnie brytyjskim stylu. Zapewne, pomyślał Timothy, odkładając ją na bok, pan Hobart złożyłby to na karb skorzystania z usług brytyjskiego „murzyna”.

\* Hurlingham Polo Association — brytyjska organizacja graczy w polo.

Zauważył jeszcze, że „Paradę polo” również wydała oficyna Saltera, po czym porzucił ją na rzecz twórczości literackiej czterech szacownych dam.

Opowiadanie Beatrice Kennet było jak najbardziej w jej stylu — dotyczyło biurowych romansów oraz pełnego wyrzeczeń życia sekretarek i było napisane żywą, skrzącą się dowcipem prozą, która z pewnością nie wymagała żadnych poprawek ze strony Klary Van Heuten.

Jednak już próbki pisarstwa przyjaciółek panny Kennet były raczej zaskakujące. Patrycja Walońska musiała chyba napisać swoje opowiadanie w czasach zbuntowanej młodości. Była to bowiem pikantna, miejscami wręcz sprośna paryska farsa, rozgrywająca się głównie w sypialni. Gilda Dawn, wracając najwyraźniej do okresu swego życia, zanim została Lady Lotus, stworzyła słodko-gorzki szkic o miłości i życiu gangsterów-analfabetów, lecz dopiero wielkooka milionerka Susan Hobart naprawdę popuściła wodze swojej fantazji. Jej przyczynek do światowej literatury przybrał formę wyjątkowo makabrycznej opowieści grozy, pełnej nawiedzonych domów i przerażających potworów wypelzających z ciemnej otchłani.

Timothy z uśmiechem odwrócił ostatnią stronę. A więc to były te maszynopisy, które Klara Van Heuten miała przeczytać za trzy dolary od tysiąca słów!

Wziął do ręki ostatni plik kartek — opowiadanie, które, jak poinformował go Derek Muir, zostało odrzucone przez Klarę Van Heuten. Bardzo go zainteresował ten lekki pastisz, który wyszedł spod pióra autora rzekomo specjalizującego się w opowieściach o zbrodniach. Nijak jednak miał się do kryminalnej historii ten lekko nakreślony portret młodej, lecz wyjątkowo staroświeckiej żony, przeżywającej

rozterki w związku z pierwszym wydawanym przez siebie przyjęciem. Opowieść, spisana wyborną prozą, snuła się z gracją przez kolejne stronicie, by wreszcie — w momencie spodziewanego załamania głównej bohaterki — urwać się w połowie zdania.

Timothy uśmiechał się teraz naprawdę szeroko. W jego oczach błyszczał triumf. Przez chwilę siedział odchyłony na krześle, grzechocząc z cicha na wpół rozpuszczonym lodem w szklance.

Następnie w jego umyśle skryształizował się wyraźnie jeden fakt — fakt, który zagubił się gdzieś w chaosie wydarzeń ostatnich trzydziestu sześciu godzin.

Dane Tolfrey telefonował na Uniwersytet Columbia. Zaś księżna Walońska, Beatrice Kennet, Gilda Dawn i Susan Hobart zareagowały strachem na samą wzmiankę o tej uczelni.

Timothy spojrział na zegarek. Było wpół do czwartej. Podszedł do telefonu, wykręcił numer i czekał, wsłuchując się w monotony dźwięk w słuchawce.

Po pewnym czasie po drugiej stronie odezwał się czyjś głos — rozwlekły i pełen urazy. Głos ten zapytał niegrzecznie:

— No, czego?

— Mówi Trant, panie Muir.

— To doprawdy przygnębiające. — Po drugiej stronie Derek Muir ziewnął szeroko. Timothy miał wrażenie, że słuchawka przy jego uchu rozciąga się, jakby była z gumy. — Chyba nie chce mi pan powiedzieć, że znalazł moją rzesę w łazience Tolfreya?

— Nie, panie Muir — odparł bardzo cicho Timothy. — Chciałem jedynie zapytać, co pan wie na temat Uniwersytetu Columbia.

Przez chwilę po drugiej stronie panowała całkowita cisza. Potem detektyw usłyszał dziwnie zmieniony głos Dereka Muira:

— Ma się pan za wielkiego spryciarza, prawda?

— Owszem — przyznał Timothy. — Raczej tak. Dziękuję panu, panie Muir. Dobranoc.

Dziesięć minut później Timothy leżał już w łóżku. Pomarańczowy punkcik jego papierosa rozpraszał mrok sypialni. Nigdy jeszcze w całej swojej karierze nie miał do czynienia z tak ogromną ilością materiału i tak nielicznymi poszlakami. Nareszcie jednak poszczególne elementy tej niezwyklej układanki zaczynały do siebie pasować, tworząc pewien wzór w zamęcie sprzecznych informacji.

Gdy Timothy zapadał w głęboki, pełen zadowolenia sen, jego zmęczony umysł wciąż analizował wybrane epizody z życia ośmiu podejrzanych.

Księżna Walońska, kradnąca fotografię męża z pokoju hotelowego Dane'a Tolfreya.

Młody John Hobart, proponujący pani Van Heuten dwadzieścia procent udziału w zyskach z pierwszego roku sprzedaży swoich książek.

Derek Muir, otrzymujący dwieście pięćdziesiąt dolarów od człowieka, którego — jak twierdzi — widział tylko raz w życiu.

Bobby Bristol, chociaż wciąż zakochany w swojej żonie i głęboko rozgoryczony, udzielający jej zaskakująco szybkiej zgody na rozwód.

Krucha, naiwna Susan Hobart, oferująca Timothy'emu czek *in blanco* w zamian za zamknięcie dochodzenia.

Timothy z zadowoleniem wtulił głowę w miękkie poduszki.

— Nic dziwnego — mruknął pod nosem — że pani Van Heuten od początku mi się nie spodobała.

## 20.

Nazajutrz Timothy zaczął śniadanie od lektury gazet. Śmierć Tolfreya wywołała prawdziwą lawinę. Dwa dni wcześniej Jervisowi udało się jakoś zapanować nad prasą, lecz teraz już nic nie mogło ich powstrzymać. Dwa morderstwa w ciągu dwóch dni. Nazwisko pani Van Heuten widniało we wszystkich nagłówkach, a goście zaproszeni przez Tolfreya na „zabójcze przyjęcie” stali się sensacją dnia. Jedna z gazet zamieściła zdjęcie księżnej Walońskiej, opuszczającej posterunek policji po całonocnym przesłuchaniu. Inna opublikowała olbrzymią fotografię Gildy Dawn. Usta Timothy'ego wygięły się w uśmiechu, gdy wyobraził sobie poranne sceny przy śniadaniu w rezydencji przy Sutton Place. Widział też niemalże, jak w Wydziale Zabójstw rwą sobie włosy z głowy. Doszło do najgorszego: wszyscy znaleźli się na łasce potężnej i niezwykle wpływowej rodziny Cheneyów.

„INSPEKTOR JERVIS — PRZECZYTAŁ POD KONIEC AKAPITU — ZAPEWNIŁ NAS, IŻ SPODZIEWA SIĘ RYCHŁEGO ARESZTOWANIA WINNYCH.”

Timothy przypomniał sobie niespokojnie zmarszczone czoło inspektora, gdy ten wczorajszego wieczora opuszczał jego mieszkanie. Nie było wówczas mowy o żadnym rychłym aresztowaniu. Jak widać, w trudnej chwili bohaterski Jervis dzielnie wspierał wizerunek Wydziału Zabójstw.

Timothy nie zamierzał jeszcze brać udziału w zbiorowym zgrzytaniu zębami na komendzie. Najpierw musiał załatwić kilka ważnych spraw.

Po śniadaniu zadzwonił do rezydencji księżnej Walońskiej i poprosił do telefonu panią Hobart. Czyjś ostrożny głos poinformował go, że pani Hobart nie jest już gościem księżnej. Wyprowadziła się poprzedniego wieczoru, aby być razem ze swoim mężem. Zatrzymali się w hotelu Rutledge.

Gdy Timothy to usłyszał, jego oczy rozszerzyły się lekko. Stopniowo jednak na jego wargi powrócił uśmiech. Był to uśmiech zadowolonej z siebie pantery, podchodzącej upragnioną zdobycz. Wykręcił numer hotelu Rutledge.

— Pani Hobart? Mówi detektyw Trant.

— Och... Słucham pana. — Susan mówiła ledwo słyszalnym głosem i była wyraźnie zmieszana.

— Pani Hobart, przedwczoraj wspomniała pani o pewnym odgłosie, jaki słyszała pani w gabinecie pani Van Heuten podczas waszej wizyty w biurze porad literackich. Czy mogłaby mi pani jeszcze raz powiedzieć, co to był za odgłos?

— O-oczywiście. To był szelest, panie Trant, szelest dobiegający zza tamtego parawanu. Jestem tego całkowicie pewna. Pan... musi mi uwierzyć.

— Postaram się — odparł cicho Timothy i rozłączył się.

Podszedł do komody i wy dobył z niej czarny neser pożyczony od księżnej Walońskiej. Starannie ułożył w nim wszystkie przeczytane w nocy maszynopisy, po czym zszedł na dół i wezwał taksówkę.

Było niewiele po dziesiątej, gdy znalazł się w biurze oficyny wydawniczej Saltera. W poczekalni siedziało kilku bardzo poważnych młodzieńców i jedna niespodziewanie atrakcyjna dziewczyna. Wszyscy oni ściskali w dłoniach maszynopisy w pełnym determinacji milczeniu, podczas gdy dobiegający z sekretariatu bezosobowy głos



informował zarówno wchodzących, jak i uparcie telefonujących, że pan Graves jest na spotkaniu.

Ta sama kwestia została wygłoszona do czarnego neserera Timothy'ego i musiało minąć trochę czasu, zanim detektywowi udało się przekonać niewidzialnego cerbera, że niecierpiąca zwłoki sprawa sprowadza go do Helen Bristol.

Po pewnym czasie skierowano go niechętnie do pozbawionego drzwi biura, w którym żona Bobby'ego pochylała się pracowicie nad kubistycznym projektem okładki.

Na jego widok nie okazała większego zainteresowania. Odrywając na moment swoje zielone oczy od pracy i błyskając nimi wrogo, powiedziała tylko: — A, to pan.

— We własnej osobie, pani Bristol. Przepraszam, że zakłócam pani studia nad sztuką współczesną.

Helen Bristol odsunęła się na krzesło i sięgnęła po papierosa.

— O co dzisiaj chodzi, panie Trant? O moje wady jako żony czy moje zalety jako morderczyni?

— Skoro sama pani o tym wspomniała — odparł Timothy, podając jej ogień — to rzeczywiście dość *dziwny* zbieg okoliczności, że pani i pan Graves byliście w hotelu Regina dokładnie wtedy, gdy Tolfrey został zamordowany.

— Wydawało mi się, że wyczerpałam już temat minionej nocy w rozmowie z jednym z pańskich policjantów. — Dziewczyna wzruszyła ramionami. — Ale na wypadek, gdyby miał pan obiekcje natury moralnej, mogę pana zapewnić, że siostra i szwagier Larry'ego byli z nami od wpół do jedenastej. Graliśmy w brydża. Ulżyło panu?

— Zakładam, że pan Graves zapewni też pani alibi na czas od naszego rozstania w tamtej kawiarni do przybycia swojej siostry i szwagra?

— Oczywiście — odparła szorstko Helen Bristol. — Lecz o ile pana znam, nie będzie to miało żadnego znaczenia. Dlatego zanim zmarnuje pan mnóstwo czasu, podejrzewając mnie o to drugie morderstwo, chciałabym zauważyć, że nie zdawałam sobie sprawy z istnienia niejakiego pana Tolfreya, dopóki pański sierżant nie zaczął mnie o niego wypytywać wczoraj wieczorem. — Strząsnęła popiół do popielniczki. — Dowiedziałam się też w pralni, że kilku pańskich policyjnych rzezimieszków siłą wydarło im kostium, który miałam na

sobie przedwczoraj. Jeżeli więc interesuje pana, w co byłam ubrana w czasie, kiedy miało miejsce drugie morderstwo, była to zielona, tiulowa sukienka z białymi mankietami.

— A pan Graves...?

— Pan Graves jest pełnoletni i potrafi mówić. — Helen Bristol gwałtownie wstała. — Może dla odmiany jego pan podręczy.

— Właśnie mam taki zamiar — odparł Timothy. — Po to tu przyszedłem.

Helen wypadła na korytarz. Detektyw podążył za nią do gabinetu, gdzie potężny mężczyzna, wyglądający raczej na zawodowego boksera niż na wydawcę, zręcznie wymanewrowywał za drzwiami młodą dziewczynę, którą Timothy zauważył wcześniej w poczekalni. Wyprowadziwszy neofitkę na korytarz i obdarzywszy ją ostatnim promiennym uśmiechem, Larry Graves wydał z siebie westchnienie ulgi.

— Ach, te pisarki! — wykrzyknął. — Najbardziej nieustępliwe stworzenia pod słońcem.

— Nie poznałeś jeszcze pana Tranta — powiedziała Helen, wskazując mu Timothy'ego. — To stróż prawa, Larry, wręcz nieprzyzwoicie zainteresowany naszym życiem osobistym. Może ty uraczysz go wszystkimi wstrętnymi szczegółami na temat mnie, ciebie i Bobby'ego.

Lawrence Graves, wiceprezes wydawnictwa Saltera, obrzucił Timothy'ego przenikliwym spojrzeniem, siadając przy biurku za potężną stertą maszynopisów. W jego postawie i wyrazie twarzy było coś pewnego i statycznego.

— Nie przychodzi mi do głowy żaden powód, dla którego miałyby pana interesować nasze prywatne sprawy, panie Trant — odezwał się dystygowanie, przybierając ton sztucznej powagi. — Ale jeśli chce pan znać moje zdanie, tworzymy całkowicie niemoralny trójkąt. Ja rozbijam małżeństwa, a Helen to pozbawiona skrupułów ladaczniczka, która porzuciła oddanego jej męża po tym, jak udało jej się rozkochać w sobie podstarzałego szefa. — Kąciki jego ust lekko drgnęły. — Ale „takie rzeczy po prostu się w życiu zdarzają”, jak twierdzą moi młodociani pisarze. I tak się składa, że zdarzyły się właśnie w działach wydawniczym i graficznym oficyny o skądinąd nieposzlakowanej opinii. A propos, Helen, skończyłaś już tę cholerną okładkę do książki Toppinga?

— Nie zmieniaj tematu, Larry. — Helen obrzuciła Timothy'ego lekko złośliwym spojrzeniem. — Pana Tranta łatwo jest zbić z tropu.

— Wcale nie chcę go zbić z tropu. — Powaga na wyrazistej twarzy Gravesa była niemal komiczna. — *Naprawdę* mam wyrzuty sumienia z powodu tego wszystkiego, Trant. A już szczególnie z powodu odrzucenia powieści Bobby'ego. Jego pierwszą powieść wydaliśmy zdecydowanie wbrew mojemu przekonaniu i zdrowemu rozsądkowi, ale „Śmiejącego się anioła” nie byłem już w stanie przełknąć. Pomijając to, że przedstawił tam Helen jako skrzyżowanie świętej Cecylii z królową Marią — *tą* krwawą królową Marią — to jeszcze tej powieści zwyczajnie brakowało ikry.

Timothy słuchał w milczeniu.

— Kiedy Bobby zgłosił się do mnie przedwczoraj, starałem się być jak najbardziej oględny — ciągnął z powagą wydawca. — Powiedziałem, że może kiedyś napisze w końcu coś dobrego, ale ta historia po prostu nas nie interesuje. Pokazałem mu całą dokumentację, opinie czytelników, wszystko. Tak to wyglądało,

Timothy nadal milczał.

— Wydaje mi się — wtrąciła cierpko Helen — iż pan Trant podejrzewa, że złośliwie odrzuciłeś powieść Bobby'ego, chcąc dopiec mężczyźnie, któremu uwiodłeś żonę.

Graves wyglądał na zirytowanego. — Jeżeli rzeczywiście tak uważa, sam może przejrzeć dokumentację. Przynies ten cały plik, Helen...

Pani Bristol wróciła po sekundzie, niosąc plik papierów, które następnie położyła na biurku. Potężne jak u boksera palce Gravesa zaczęły kartkować strony.

— Panie Trant, opinie naszych czytelników były zdecydowanie negatywne. Nawet sama pani Van Heuten, przyjaciółka i mecenas Bobby'ego, nie potrafiła powiedzieć o tej książce jednego dobrego słowa. Zresztą niech pan sam zobaczy.

Rzucił detektywowi list z datą sprzed trzech tygodni. Jego treść brzmiała następująco:

DROGI PANIE GRAVES!

PISZĘ DO PANA NA PROŚBĘ AUTORA W SPRAWIE „ŚMIEJĄCEGO SIĘ ANIOŁA”, DRUGIEJ POWIEŚCI ROBERTA BRISTOLA, KTÓREGO „PARABOLE”

WYDALIŚCIE PRZED ROKIEM. WYSYLAJĄC PAŃSTWU TEKST PIERWSZEJ KSIĄŻKI PANA BRISTOLA, ZAZNACZYŁAM, IŻ POCHODZI ON Z ZAMOŻNEJ I TOWARZYSKO USTOSUNKOWANEJ RODZINY I ŻE JEGO OSOBISTE KONEK-SJE POWINNY STANOWIĆ DLA WYDAWNICTWA ZNAKOMITE ZABEZPIECZENIE PRZED EWENTUALNYM NIEPOWODZENIEM FINANSOWYM. UWA-ŻAM, ŻE OBOWIĄZKIEM MOIM JEST POINFORMOWAĆ PANA, IŻ JEST TO JUŻ NIEAKTUALNE. JAKO DŁUGOLETνια PRZYJACIÓŁKA AUTORA MAM NADZIEJĘ, ŻE WYDACIE PAŃSTWO JEGO KSIĄŻKĘ, LECZ ZDAJĘ SOBIE SPRAWĘ, IŻ ZALEŻY TO WYŁĄCZNIE OD PAŃSKIEJ OCENY JEJ WĄTPLI-WYCH WALORÓW.

POZOSTAJĘ Z SZACUNKIEM,  
KLARA VAN HEUTEN.

Larry Graves nachylił się nad biurkiem: — Sam pan widzi, panie Trant, nawet pani Van Heuten uznała tę powieść za niewypał. Musi mi pan uwierzyć, że odrzuciłem ją jako wydawca. Absurdem byłoby podejrzewać mnie o jakiegokolwiek inne motywy.

— Zgadza się — odparł potulnie Timothy.

— Może teraz — wtrąciła znowu Helen Bristol — zrozumie pan wreszcie, dlaczego byłam taka wściekła na panią Van Heuten. Kiedy tamtego dnia spotkałam się z Bobbym na lunchu, był podekscytowany, bo pani Van Heuten wypowiedziała się o jego książce w samych superlatywach. Przejrzałam później dokumentację na temat „Śmiejącego się anioła”, zobaczyłam, że w liście do Larry'ego stwierdziła, iż powieść jest do niczego, i zrozumiałam, że nabiła Bobby'ego w butelkę. Larry powiedział panu, że jestem zepsutą oszustką i ladacnicą, ale ja *naprawdę* bardzo lubię Bobby'ego. Po przeczytaniu tego listu zwyczajnie się wściekłam. Rozumie pan teraz, dlaczego poszłam do biura Klary z zamiarem wygarnięcia jej, co o niej myślę?

— O ile sobie przypominam z pani słów, pani Bristol — odparł Timothy — to pani Van Heuten zadzwoniła do pani po południu w dniu swojej śmierci i poprosiła, żeby wpłynęła pani na pana Gravesa i skłoniła go do wydania powieści Bobby'ego.

— Tak było — warknęła Helen.

— Czy nie wydało się to pani dziwne? Najpierw sama pisze list do wydawcy, w którym krytykuje powieść, a potem dzwoni i prosi, żebyście ją wydali?

Helen Bristol oblała się rumieńcem.

— Pewnie myśli pan, że kłamie. Jeżeli tak, to na nic zdadzą się moje zapewnienia, więc zostawmy to lepiej tak, jak jest.

— Zgoda. — Timothy wsunął list pani Van Heuten do kieszeni. — Jednak zarówno pani, pani Bristol, jak i pan Graves źle odczytaliście moje intencje. Nie przyszedłem tutaj wcale gnany chorobą ciekawością co do państwa związków z Bobbym czy panią Van Heuten. Przyszedłem, żeby zasięgnąć u pana Gravesa zawodowej porady...

Zielone oczy Helen Bristol wpatrywały się w niego ze zdumieniem pomieszanym z irytacją.

— W takim razie, dlaczego od razu pan tego nie powiedział?

Timothy wzruszył ramionami. — Bo pani nie dała mi szansy.

Odrzucając włosy za siebie, Helen Bristol odwróciła się na pięcie i wypadła wzburzona z gabinetu.

— Przepraszam, jeżeli uraziłem pańską przyszłą żonę, panie Graves — mruknął Timothy. — Ale jest dość impulsywna.

W oczach wydawcy błysnął tłumiony gniew.

— Czego pan właściwie chce?

Timothy uroczyście odsunął suwak neseseru, wydobyl z niego „Paradę polo” i wręczył ją Gravesowi.

— To pan wydał tę książkę, jak sądzę?

— Owszem.

— Kto jest jej autorem?

— Została wydana pod pseudonimem Trooper, jednak tak się składa, że jej autorem jest jego lordowska mość, pułkownik William Darcy Wormsby-Williams, kawaler licznych orderów oraz gubernator Jego Królewskiej Mości w bengalskiej prowincji Senegambia.

Timothy zachłysnął się z wrażenia, lecz zaraz na jego twarzy pojawił się wyraz ulgi.

Następnie wyjął z neseseru opowiadania przekazane mu przez Dereka Muira oraz cztery damy i z powagą podał je wydawcy.

— Czy dostrzega pan coś dziwnego w tych maszynopisach, panie Graves?

Potężny mężczyzna w milczeniu pochylił się nad tekstami. Po dłuższej chwili odsunął krzesło od biurka i przyjrzał się Trantowi z niedowierzaniem.

— Dziwnego? — wykrzyknął. — Owszem, dostrzegam w nich coś bardzo dziwnego.

— Co takiego?

— Nazwiska na stronach tytułowych. — Graves podrapał się w głowę. — Panie Trant, moja słabość do opowiadań jako gatunku literackiego kosztowała mnie już mnóstwo pieniędzy, a te tutaj należą do moich ulubionych. Maszynopis podpisany nazwiskiem Walońska to dosyć kiepskie tłumaczenie jednej z wcześniejszych nowel De Maupassanta. Maszynopis opatrzone nazwiskiem Hobart to słynne opowiadanie grozy autorstwa Francisa Mariona Crawforda zatytułowane „Górna koja”. Natomiast maszynopis podpisany „Derek Muir” to słynne „Upojenie” Katherine Mansfield. Nie mam tylko pewności co do maszynopisu podpisanego przez Gildę Dawn — wydaje mi się, że jego autorem jest Ring Lardner.

Timothy nie skomentował tych rewelacji. — A co z tym, który opatrzone nazwiskiem Beatrice Kennet?

— O, to z pewnością autentyczna Kennet. Pamiętam, że przed kilku laty czytałem to opowiadanie w „Ilustrowanym magazynie dla kobiet.”

— Przed kilku laty? Dziękuję panu, to przeszło moje najśmielsze oczekiwania. — Timothy wstał. — Czy nie obrazi się pan, jeśli skorzystam z jego telefonu?

— Proszę bardzo — mruknął niepomiernie zdumiony Graves. Timothy szybko wykręcił numer Uniwersytet 4-3200.

— Czy to Uniwersytet Columbia?

— Zgadza się.

— Załóżmy, że około dziewiątej wieczorem muszę pilnie przepisać na maszynie kilka tekstów — co powinienem wtedy zrobić?

— Chwileczkę — odparł głos w słuchawce. — Zaraz połączę pana ze studencką całodobową agencją świadczącą usługi w maszynopisaniu.

Timothy milczał, pełen radosnego oczekiwania.

— Słucham? — odezwał się wreszcie kobiecy głos.

— Czy dwa dni temu telefonował do was niejaki Dane Tolfrey, prosząc o przepisanie na maszynie kilku opowiadań? — zapytał detektyw. — Mniej więcej około dziewiątej wieczorem?

— Proszę chwilkę zaczekać, zaraz sprawdzę. — Energiczny głos oddalił się, by zaraz powrócić. — Nie — odparł. — Żaden pan Tolfrey do nas nie dzwonił.

Timothy'emu zrzędała mina, lecz prędko spytał: — A może otrzymaliście zlecenie od kogoś z biura porad literackich Van Heuten?

— A i owszem. — Głos brzmiał teraz o wiele przyjaźniej. — Osobiście je przyjmowałam.

— Telefonował mężczyzna, prawda?

— Tak było.

— I kazał przesłać cztery przepisane opowiadania do rezydencji księżnej Walońskiej, a jedno na adres niejakiego Dereka Muira.

— Zgadza się. — Właścicielka głosu po drugiej stronie była wyraźnie dumna ze swojej niezawodnej pamięci. — Pan, który do nas dzwonił, wyjaśnił, że pani Van Heuten chce przeegzaminować kilku swoich klientów w kwestii stylu. Mieliśmy pominąć tytuły opowiadań i nazwiska autorów. Klienci mieli je odgadnąć.

— Jak to miło — zauważył Timothy. — Czy tamten mężczyzna zlecił przepisanie jakichś wybranych opowiadań?

— O ile sobie przypominam, miał tylko jedną prośbę — żeby znalazło się wśród nich opowiadanie autorstwa Beatrice Kennet. Poza to mieliśmy wybrać sami z jednej z naszych światowych antologii najpopularniejszych opowiadań.

Timothy coraz szerzej się uśmiechał. — Jeszcze jedno pytanie. Pamięta pani może, czy pan Muir zgłosił się osobiście po swoje opowiadanie, zanim zostało ono w całości przepisane?

Kobieta zastanawiała się przez chwilę. — Teraz, kiedy pan o tym wspomniał, wydaje mi się, że tak właśnie było. Bardzo się spieszył. Ostatnią stronę wyrwał prosto z maszyny, chociaż zostało jeszcze kilka linijek do przepisania.

— Bardzo dokładna z pani osóbka — zauważył Timothy.

— Słucham?

— Nic, nic. Powiedziałem tylko, że to świetnie. Do widzenia.

Timothy odłożył słuchawkę i zwrócił się do Gravesa:

— Wygląda na to — powiedział — że dziś jest mój szczęśliwy dzień.

Wychodząc, zatrzymał się jeszcze w proggu i obejrzał za siebie.

— Jeszcze jedno, panie Graves — wiem od pani Bristol, że wydawnictwo Saltera wynajmowało kiedyś pomieszczenia dokładnie piętro niżej pod biurem porad literackich Van Heuten. Czy to prawda?

Lawrence Graves miał taką minę, jakby nic już nie mogło go zaskoczyć.

— Owszem — odparł słabym głosem. — Jesteśmy tutaj dopiero od pół roku.

— Obecnie zaś wasze dawne biuro zajmuje amerykańsko-japońska spółka handlująca sztucznym jedwabiem, czy tak?

Graves rozłożył ręce. — Nie mam zielonego pojęcia — odburknął. — Ale bardzo chciałbym, żeby już pan sobie poszedł. Przez pana nabawiłem się niestrawności.

## 21.

W Wydziale Zabójstw wrzała gorączkowa praca. Co chwila rozlegał się dźwięk dzwonka, telefonistki na próżno usiłowały zlokalizować detektywa Timothy'ego Tranta. Komendant, z ponurym marszem na czole, konferował w swoim gabinecie z inspektorem Jervisem. Omawiali niewróżącą niczego dobrego wizytę, jaką złożył im osobiście adwokat rodziny Cheneyów. Zapowiedział on, że wszelkie oszczercze pomówienia dotyczące księżnej Walońskiej, zarówno te czynione przez policję, jak i przez dziennikarzy, spotkają się z natychmiastowym odzewem z jego strony, zmuszając go do podjęcia kroków prawnych. Posypały się też telefony z Hollywood — wytwórnia Ideal Motion Pictures miała policji wiele do powiedzenia na temat „całkowicie zbędnych i upokarzających czynności”, jakim poddano ich najcenniejszą gwiazdę, pannę Gildę Dawn. Trzeba było coś przedsięwziąć.

— Zdaję sobie sprawę — mówił ściszym głosem komendant — że jest jeszcze za wcześnie na jakikolwiek przełom w sprawie, Jervis. Od śmierci pani Van Heuten minęły niecałe dwa dni. Jak dotąd nikt nie rozwiązał podobnej sprawy w tak krótkim czasie. Ale musi pan coś zrobić, żeby zamknąć usta dziennikarzom. I niech pan trzyma tę Walońską oraz Gildę Dawn z dala od całego zamieszania. Wiemy już



przecież, że są niewinne. Kobiety ich pokroju po prostu nie popełniają morderstw. To jakiś absurd, to...

— Wręcz przeciwnie, sir. Obawiam się, że to wcale nie jest absurdalne podejrzenie.

Komendant poderwał nagle głowę i popatrzył na drzwi. Jervis obejrzał się za siebie.

W progu stał detektyw Timothy Trant. Wyglądał na bardzo młodego, bardzo spokojnego i chyba trochę zmęczonego.

— Trant! — wykrzyknął na jego widok komendant. — Właśnie mówiłem Jervisowi, że musimy zawęzić krąg podejrzanych. Dopóki ta sprawa jest otwarta, morderstwo pani Van Heuten to tykająca bomba, gotowa lada moment eksplodować tutaj, w Wydziale Zabójstw. Musimy coś z tym zrobić.

— Zgadzam się z panem, sir. — Timothy opadł na fotel.

— A więc, Trant — wtrącił Jervis z nadzieją w głosie — udało ci się wydostać z tego ślepego zaułka, w którym wczoraj utknęliśmy?

— Tak sądzę — odparł Timothy.

— Chcesz przez to powiedzieć, że znalazłeś dowody? — Oczywiście komendanta rozbłysły.

— Nie, sir, nie mam żadnych dowodów. Nawet najmniejszej poszlaki.

— A zatem motyw? — wtrącił Jervis. — To pierwsza sprawa, z jaką mam do czynienia, w której brak jakiegokolwiek motywu.

Timothy skinął głową. — Owszem, znalazłem motyw. A nawet osiem motywów.

— Osiem motywów!

Komendant wraz z inspektorem wpatrywali się w niego z niedowierzaniem.

— Właśnie tak. W sprawę zamieszanych jest osiem osób. Ośmiu gości, którzy odwiedzili panią Van Heuten. I chociaż nie mogę tego dowiedzieć, jestem przekonany, że każda z tych czarujących osób miała bardzo ważny powód, aby życzyć pani Van Heuten śmierci.

Jervis zagwizdał.

— Ale jeśli nie masz na to żadnych dowodów... — zaczął komendant.

— Nie mam, sir. Na tym polega cała ironia tej sytuacji. Nie mam absolutnie nic, na czym mógłbym się wesprzeć. — Timothy uśmiechnął

się ze smutkiem. — Mam już jednak całkowitą pewność co do tego, jakie przedsięwzięcie kryło się za fasadą biura porad literackich pani Van Heuten. I chyba wiem, kto zamordował ją i Tolfreya.

Jego słowa dosłownie zaparły jego zwierzchnikom dech w piersiach. Pierwszy odzyskał głos komendant.

— No dobrze, Trant. I co... co wobec tego teraz zamierzasz?

— Przyszedłem tutaj właśnie po to, żeby prosić pana o pozwolenie na coś, co zamierzam przeprowadzić. — Timothy pochylił się do przodu; na jego twarzy malowało się ogromne napięcie. — Jak już powiedziałem, nie mam żadnych dowodów i nigdy ich nie zdobędę. Morderca był na to za sprytny albo po prostu miał dużo szczęścia. Nie pozostawił żadnych śladów. Jest tylko jeden sposób, żeby rozwiązać tę sprawę — i chciałbym, aby pozwolił mi pan go wypróbować.

— To znaczy co...?

— Trzeba wymusić zeznanie, sir. Skoro brakuje dowodów, trzeba umiejętnie podejść mordercę, a sam się przyzna. To właśnie zamierzam zrobić. Cała nasza ósemka od początku konsekwentnie kłamie, jednak przy okazji wymknęło im się wystarczająco dużo półprawd, żebym złapał właściwy trop. Jeżeli odda ich pan w moje ręce na dzisiejsze popołudnie, myślę, że będę mógł panu obiecać co najmniej jedno przyznanie się do winy — a może nawet osiem.

Komendant rozpogodził się. — Jeśli zdołasz jakoś tego dokonać, Trant — odparł żywo — zgodzę się na każdy twój pomysł.

— Dziękuję. W takim razie, sir, chciałbym, aby księżna Walońska, Gilda Dawn, Beatrice Kennet, państwo Hobart, państwo Bristol oraz Madeleine Price stawili się dzisiaj w biurze porad literackich Van Heuten punktualnie o wpół do trzeciej. Będę potrzebował policjanta w cywilu do pilnowania frontowych drzwi i drugiego przy drzwiach ukrytej za parawanem umywalni. Kiedy wszyscy będą na swoich miejscach, zamierzam odrobinę zaszaleć i zobaczyć, co się stanie.

— To dosyć ryzykowne — mruknął komendant, wspominając złowrogi błysk w oku adwokata rodziny Cheneyów. Po chwili jednak dodał: — Ale warto zaryzykować, żeby zdobyć to wyznanie. Postawmy wszystko na jedną kartę. Daję ci wolną rękę, Trant.

— Świetnie. — Timothy uśmiechnął się szeroko. — A jeśli coś pójdzie nie tak, zawsze może mnie pan zwolnić. Tylko jedno mnie

martwi: każdy z naszych ośmiorga podejrzanych zrobi wszystko, byleby tylko prawda nie wyszła na jaw. Zamkną się w sobie jak małże. Potrzebuję czegoś, czym mógłbym podważyć skorupę — to może być cokolwiek, nawet całkiem nieistotny drobiazg. Jestem pewien, że gdy tylko jedno z nich pęknie, reszta pójdzie w jego ślady...

W tej samej chwili drzwi otworzyły się gwałtownie i do gabinetu wpadł tęgi sierżant Danvers. Miał wyraz twarzy kogoś, kto przynosi ważne, lecz niepokojące wieści.

— Green właśnie złożył raport, sir. — Sierżant niespokojnie zerknął na komendanta. — Sprawdzał, czym zajmowała się księżna Walońska, zanim zbrodnia miała miejsce.

— No i? — warknął komendant.

— Przede wszystkim, sir, dowiedział się, że przez ostatni miesiąc korzystała z usług agencji detektywistycznej Dentona.

— Czyżby? — wtrącił Jervis. — A co takiego im zleciła?

Danvers podrapał się po głowie. — Coś bardzo dziwnego. Sam w to nie mogę uwierzyć. Kazała im zbierać informacje o Gildzie Dawn, Beatrice Kennet i tej małej pani Hobart.

— Dobry Boże! — wykrzyknął Timothy.

— To nie wszystko. Green dowiedział się jeszcze czegoś podejrzanego o tej damie. Dzień przed śmiercią pani Van Heuten księżna jak gdyby nigdy nic weszła do salonu firmy Lines i kupiła... cztery rewolwery.

— Rewolwery! — Oczy Timothy'ego rozblęły. — A więc dlatego potrzebowały neseserów!

— Co pan przez to rozumie? — zapytał komendant.

Timothy znowu się uśmiechnął. — Kiedy ostatnio złożyłem jej książęcej wysokości wizytę, poprosiłem ją o pożyczenie mi neseseru. W pierwszym odruchu chciała zadzwonić po kamerdynera, ale w końcu postanowiła sama mi go przynieść. Innymi słowy, musiała sobie w porę przypomnieć, że w neseserach nadal są rewolwery.

Komendant pochylił się nad biurkiem. — Myślisz, że...?

— Owszem — odparł Timothy. — Ja to wiem. Wiem, że te cztery kobiety miały przy sobie cztery rewolwery, kiedy wybrały się do pani Van Heuten. — Wstając, zwrócił się do sierżanta Danversa: — Niech pana Bóg błogosławi, sierżancie. Dał mi pan dokładnie to, czego potrzebowałem — nóż do otwierania małży!

Po wyjściu z gabinetu komendanta Timothy dopracował wszystkie szczegóły „przesłuchania”, mającego się odbyć w biurze porad literackich i pobrał akta dotyczące sprawy, które nadeszły poprzedniego dnia. Resztę poranka spędził, ślęcząc nad nimi i notując coś w wielkim skupieniu.

W końcu udało mu się z plątaniny faktów i zmyśleń wyłuskać cztery podstawowe warunki, jakie musiał spełniać morderca pani Van Heuten. Po pierwsze, osoba ta musiała bać się czegoś, co miało związek z Danem Tolfreyem i tylnym wejściem do biura. Po drugie, jeśli pani Hobart nie kłamała, mówiąc o szelestach dobiegających zza parawanu, ten ktoś musiał ukrywać się w łazience w tym samym czasie, gdy cztery kobiety rozmawiały z panią Van Heuten w jej gabinecie. Po trzecie, jako że owe cztery interesantki wyszły z gabinetu kwadrans po godzinie czwartej, zaś Louise Campbell o wpół do piątej znalazła martwe ciało swojej chlebodawczyni, morderstwo musiało zostać popełnione pomiędzy czwartą piętnaście a czwartą trzydzieści. I po czwarte, motyw, jakim kierowała się owa osoba, mordując panią Van Heuten, nie miał nic wspólnego z udzielanymi przez nią poradami literackimi.

Chwilę po wpół do drugiej w drzwiach stanął inspektor Jervis. Uśmiechał się szeroko, a w dłoni trzymał podłużną szarą kopertę.

— Mam coś, co cię rozbawi, Trant — oznajmił. — Wiesz, jakie jest to nasze laboratorium. Gromada roztargnionych naukowców.

Timothy podniósł wzrok znad swoich notatek. — Co takiego znowu przeskrobali?

— Przed chwilą przybiegł do mnie stary doktor Grimes. Powiedział, że laboratorium dostało do zbadania marynarkę ze śladami krwi na rękawie. Pobrał próbkę i teraz zaklina się, że molekuly, czy hemoglobina, czy co tam jeszcze jest we krwi, mają taką samą grupę jak krew pani Van Heuten.

— I gdzie jest haczyk? — spytał Timothy, zerkając na kopertę.

— Powinieneś być bardziej ostrożny, Trant. — Jervis radośnie wyszczerzył zęby. — Wiesz, że te ptaszki badają wszystko, co im tylko wpadnie w ręce.

— Nadal niczego nie rozumiem — odparł cierpliwie Timothy.

— No, to teraz się uśmiejesz. — Jervis zaniósł się głośnym śmiechem. — Tak się składa, że marynarka, którą przebadali, należy do

ciebie. Opinia laboratorium jest jednoznaczna, Trant. To ty jesteś mordercą!

Timothy schował raport do kieszeni. Jego dłonie lekko drżały.

— Niewykluczone — powiedział, idąc do drzwi — że to jak dotąd najważniejszy dowód w naszej sprawie.

## 22.

Punktualnie kwadrans po drugiej Timothy Trant wszedł do sekretariatu biura porad literackich Van Heuten. Pod pachą niósł neseser księżnej, wyładowany wszystkimi dowodami zgromadzonymi w toku śledztwa.

— Dzień dobry, panie Trant.

Madeleine Price siedziała za biurkiem spokojna i obojętna, jakby czas się cofnął, a ona wciąż pełniła obowiązki sekretarki pani Van Heuten. Z jej głowy zniknął czerwony kapelusik i tylko ślad makijażu na jej policzkach świadczył o tym, jak wielkie zmiany zaszły w jej życiu w ciągu ostatnich dwóch dni.

Timothy rozejrzał się wokół. Pokój był starannie wysprzątny, a promienie popołudniowego słońca igrały frywolnie na oparciach ustawionych w krąg krzesel.

— Świetnie się pani spisała, panno Price.

— Pańscy ludzie okazali się wielce pomocni — uśmiechnęła się Madeleine. — To oni wpadli na pomysł, żeby przynieść dodatkowe krzesła. Domyślam się, że nie powie mi pan, o co tu właściwie chodzi?

— Otóż — odparł wolno Timothy — odbędzie się tutaj sesja prawdy, panno Price, a ja uznałem, że czarujący gabinet pani Van Heuten stanowić będzie dla niej odpowiednią scenerię. Wszystkie zamieszane w tę sprawę osoby z uporem mnie okłamywały — nie wyłączając pani, co przyznaję z prawdziwym smutkiem. Postanowiłem więc położyć temu kres. Obawiam się jednak, że wymyślona przeze mnie kara wzbudzi gniew co poniektórych bogów.

— Chce pan powiedzieć... — Madeleine z trudem złapała oddech. — Chce pan powiedzieć, że odkrył, kto popełnił oba morderstwa?

— Śmierć pana Tolfreya nauczyła mnie, że nie należy chwalić się podobną wiedzą. — Timothy uśmiechnął się. — Przyznam jednak, że powziąłem kilka dość kłopotliwych podejrzeń. I obawiam się, że jedno z nich dotyczy pani.

Detektyw otworzył neseser i przez chwilę wertował znajdujące się w środku papiery, aż znalazł nieduży wycinek z gazety.

Nosił on datę sprzed pięciu lat i można w nim było przeczytać następujące zdanie:

„CZY TO PRAWDA, ŻE MADELEINE PRICE I JEJ SZWAGIER ZAMIERZALI UCIEC W DNIU, W KTÓRYM MIAŁ MIEJSCE FATALNY W SKUTKACH WYPADK SAMOCHODOWY?”

— Na razie oddam to pani, panno Price. Później będę chciał zadać pani kilka podchwytliwych pytań i sądzę, że wolałaby się pani przygotować.

Madeleine wzięła od niego wycinek, przeczytała i zbladła.

— Ale... ale o co...?

— Zostawmy to na razie. — W głosie Timothy'ego pojawiło się ożywienie. — Pozostali zaraz tu będą, a ja chciałbym, żeby pomogła mi pani przedtem przeprowadzić mały eksperyment.

Mówiąc to, wskazał drzwi wiodące do gabinetu.

— Proszę wejść do gabinetu pani Van Heuten, usiąść przy jej biurku i zacząć mówić — najpierw cicho, a potem stopniowo podnosząc głos aż do stłumionego krzyku.

Zdumiona dziewczyna znikła w gabinecie. Timothy zamknął za nią drzwi, usiadł przy jej biurku i czekał. Przez chwilę niczego nie słyszał. W końcu dobiegł go słaby odgłos niezrozumiałe mamrotanych słów, a potem już całkiem wyraźny krzyk.

Z uśmiechem wbiegł do gabinetu, gdzie zastał Madeleine, siedzącą posłusznie za biurkiem.

— Chciałem panią sprawdzić — powiedział. — Wygląda na to, że mówiła pani prawdę. Siedząc w sekretariacie, nie byłaby pani w stanie usłyszeć rozmowy, prowadzonej normalnym głosem tutaj w gabinecie. A jeśli pisała pani na maszynie, mogła pani nie słyszeć nawet krzyku.

Dziewczyna wyglądała na urażoną. — Przecież już dawno to panu mówiłam.

— Mówiła mi pani różne rzeczy.

Madeleine wykonała taki ruch, jakby chciała wstać, lecz detektyw ją powstrzymał.

— Niech pani zostanie na miejscu, panno Price, i powtórzy jeszcze raz to samo.

Podszedł do ukrytych za parawanem drzwi, które zgodnie z jego poleceniem zostały otwarte przez jednego z policjantów w cywilu. Timothy wśliznął się do umywalni, zaniknął za sobą drzwi i nachylił się do dziurki od klucza.

— Może pani zaczynać, panno Price.

Od biurka pani Van Heuten dzieliły go jakieś trzy kroki i tym razem detektyw wyraźnie usłyszał ściszony głos Madeleine.

— Raz, dwa, trzy — szepnęła.

— Cztery, pięć, sześć — wymamrotała.

— Siedem, osiem, dziewięć — powiedziała.

— Dziesięć, jedenaście, dwanaście — dodała podniesionym głosem.

„Trzynaście” zabrzmiało jako przenikliwy okrzyk. Timothy wrócił do gabinetu.

— Doskonale, panno Price.

Madeleine zmierzyła go spokojnym spojrzeniem. — Czego dowiedliśmy tym razem?

— Tylko tego, że gdyby ukryła się pani w umywalni, zamiast siedzieć przy swoim biurku, panno Price, słyszałaby pani wyraźnie każde słowo, jakie zostało tutaj powiedziane.

— Czy mam wykonać jeszcze jakąś sztuczkę?

— Nie, dziękuję, panno Price. Niech pani lepiej wraca do sekretariatu i pomyśli o tym wycinku z gazety. Chcę teraz zostać sam. — Timothy pchnął ją delikatnie w stronę drzwi. — A przy okazji — ma pani papierosy dla gości? Jeśli nie, to proszę biec na korytarz i poprosić naszego tajniaka, żeby przyniósł kilka paczek. On ma na imię Joe. Może mu pani powiedzieć, żeby je kupił na swój służbowy rachunek. I proszę mnie zawiadomić, kiedy zjawią się wszyscy goście.

Madeleine była już na progu, gdy Timothy zawołał:

— Czy potrafi pani stenografować, panno Price?

— Nie.

— Znakomicie.

Gdy tylko dziewczyna znalazła się za drzwiami, Timothy ponownie zniknął za parawanem. Wszedł do umywalni, otworzył kolejne drzwi i znalazł się w wąskim korytarzyku prowadzącym na schody pożarowe. Wyrzał ostrożnie na znajdujące się pięć pięter niżej opustoszałe podwórko, po czym wyszedł na wąski podest i zbliżył się do drugiego tajniaka, który stał na straży u szczytu schodów.

Mężczyzna wyszczerzył zęby, nie wypuszczając z nich tłącego się papierosa. — Przysłał mnie Jervis, Trant. Ale nie dostałem żadnych rozkazów.

— Rozkaz jest prosty — odparł Timothy. — Jeżeli ktokolwiek spróbuje wejść tymi schodami na górę lub opuścić tędy biuro, macie go aresztować uprzejmie, lecz stanowczo — z naciskiem na „stanowczo”.

— Jasne.

— Macie kajdanki?

Mężczyzna ponownie wyszczerzył zęby w uśmiechu i poklepał się po kieszeni spodni.

Po powrocie do gabinetu pani Van Heuten Timothy usłyszał gwar i odgłosy przybywających do sekretariatu gości. Ledwie zdążył posegregować swoje papiery, w progu stanęła Madeleine. Odgrywała teraz rolę obojętnej sekretarki.

— Wszyscy już są, panie Trant.

— Świetnie. Zaraz do nich wyjdę.

Detektyw przygładził włosy, poprawił krawat i przeszedł do poczekalni.

Nigdy wcześniej nie miał okazji widzieć wszystkich podejrzanych zgromadzonych w tym samym czasie w jednym miejscu. Tworzyli niezwykłą i robiącą wrażenie grupę. Patrycja Walońska i Gilda Dawn stały przy oknie, zaś Beatrice Kennet zajmowała miejsce na oparciu pobliskiego fotela. Skrzyżowała nogi, a w okrytej rękawiczką dłoni niedbale trzymała papierosa. Susan Hobart, po raz pierwszy odseparowana od swoich towarzyszek, siedziała z mężem na otomanie. Jej drobne palce ginęły w uścisku jego dużej, opalonej dłoni. Derek Muir, niesłuchanie elegancki w nowym, oszalałmającym, szarym garniturze, wymieniał luźne uwagi z niechlujnie ubranym Bobbym Bristolem, lecz jego migdałowe oczy co pewien czas zerkwały łakomie na Lady Lotus. Helen Bristol stała z dala od reszty. Zdecydowany



podbródek wysunęła do przodu, a jej zielone oczy błysnęły gniewnie na widok Timothy'ego. Palila przy tym papierosa w taki sposób, jakby nie znosiła tej czynności.

Wejście detektywa wywołało ogólne poruszenie. Natychmiast wy-czuł w powietrzu wzrastające napięcie. Osiem par oczu przyglądało mu się z mieszaniną niechęci i zaciekawienia. Wiedział, że wstępuje na bardzo grząski grunt.

— Cieszę się, że jesteście tu państwo wszyscy — odezwał się uprzejmie. — Mam nadzieję, że jest wam wygodnie, bo, jak sądzę, czeka nas długie popołudnie.

— Czy możemy się dowiedzieć, dlaczego nas tu wezwano? — Czarne oczy Beatrice Kennet bezlitośnie wpijały się w jego twarz. — A może to kolejne przyjęcie-niespodzianka?

— Przede wszystkim czeka nas dzisiaj zgadywanka, panno Kennet. Ale obawiam się, że możemy się też wszyscy spodziewać niespodzianek. Udało mi się połączyć ze sobą kilka faktów i chciałbym, abyście je państwo potwierdzili. Wiem, że wszyscy odwykliście od mówienia prawdy, lecz mam nadzieję, że dzisiaj zdobędziecie się na szczerłość. Zważywszy zaistniałe okoliczności, coś mi mówi, że tak się właśnie stanie. A jeśli zgodzicie się wyznać prawdę, wkrótce dyskretnie i po cichu usunę się z waszego życia.

— Lecz pan sam chyba nie zamierza być cicho — zauważył Derek Muir, przysuwając się dyskretnie do Gildy Dawn. — Chyba nie chce pan powiedzieć, że rozwiązał zagadkę obu morderstw?

— To bardzo podchwytliwe pytanie, panie Muir. Mogę powiedzieć państwu jedno: wiem wystarczająco dużo, żeby móc sobie wyobrazić, jak bardzo będzie to dla was wszystkich krępujące. Zwykle na tym etapie śledztwa podejrzani składają oficjalne zeznania w obecności policyjnego stenografa. Jednak biorąc pod uwagę, hm, nieposzlakowaną reputację każdego z tu zgromadzonych, postanowiłem pominąć tę procedurę. Spotkałem się z państwem tutaj zamiast na komendzie i chcę, abyście wiedzieli, że wszelkie uzyskane od was informacje, które nie będą miały bezpośredniego związku z morderstwami, zostaną pod koniec naszej sesji zniszczone.

Zerknął na siedzącą za biurkiem Madeleine.

— Zamierzam poprosić pannę Price, aby wystąpiła w roli policyjnego stenografa i robiła notatki.

Wszyscy spojrzeli na dziewczynę ze sztuczną obojętnością. Ona zaś odparła, wielce zaskoczona:

— Ale... przecież powiedziałam już panu, panie Trant, że nie potrafię stenografować.

— Nie potrafi pani? — Detektyw popatrzył na nią z udawanym rozczarowaniem. — A to pech. W takim razie będę potrzebował kogoś na ochotnika. Może pani, pani Bristol?

Helen zaciągnęła się nerwowo papierosem. — Jestem artystką, a nie sekretarką. Dlaczego nie poprosi pan Bobby'ego? Zrobił kiedyś kurs stenografowania.

Timothy zawahał się.

— Mogę spróbować, Trant — wtrącił Bobby, odrobinę zmieszany. — Chociaż trochę już wyszedłem z wprawy.

— Przypomnisz sobie wszystko, zanim skończymy, Bobby. — Timothy uśmiechnął się przyjaźnie do swojej niewzruszonej publiczności. — Chyba nie muszę dodawać, że zarówno pan Bristol, jak i ja sam zachowamy się jak prawdziwi dżentelmeni i nie wyjawimy niczego, co zostanie tutaj powiedziane.

— Widzę, że zanosi się na coś w rodzaju publicznej spowiedzi? — zapytał John Hobart, uśmiechając się złośliwie i ukazując przy tym swoje olśniewająco białe zęby.

— Wręcz przeciwnie. Będę równie dyskretny, jak nieodżałowana pani Van Heuten — odparł Timothy. I zmienił ton: — Wszyscy państwo odwiedziliście panią Van Heuten w tym biurze po południu w dniu jej śmierci. Wiem już, że każde z was przyszło tu jako potencjalny morderca. Uwierzcie mi na słowo, że jedynym sposobem, aby niewinni oczyścili się z podejrzeń, jest wyznanie mi prawdy.

W złowrogiej ciszy, jaka po tych słowach zapadła, detektyw wyjął z kieszeni listę gości, spisaną na maszynie przez Madeleine.

— Panna Price niezwykle dokładnie odnotowała wszystkie przedwczorajsze wizyty. Spróbuję zrekonstruować tamto popołudnie.

Usiądę za biurkiem pani Van Heuten w jej gabinecie. I mam nadzieję, że nie proszę o zbyt wiele, proponując, abyście wyobrazili sobie, że zamiast mnie siedzi tam Klara we własnej osobie.

Skinął na Bobby'ego i razem podeszli do drzwi prowadzących do gabinetu. W progu przystanął i odwrócił się.

— Przy okazji chciałbym wszystkich uprzedzić, że na korytarzu stoi policjant w cywilu, który nie pozwoli żadnemu z was samowolnie się stąd oddalić.

— Nie znam się zbyt dobrze na prawie — odezwał się Muir, przeciągając słowa. — Ale mam wrażenie, że nie może pan nas tutaj zatrzymywać wbrew naszej woli.

— Święta prawda, panie Muir. Gdybyście jednak państwo mieli zamiar się rozejść, byłbym zmuszony przenieść naszą małą sesję na komendę. — Mówiąc to, Timothy rzucił księżnej niewinne spojrzenie. — Co dla niektórych z państwa byłoby dosyć niezręczne.

Gdy drzwi gabinetu zamknęły się za nimi, Timothy zajął miejsce za biurkiem pani Van Heuten i polecił Bobby'emu przysunąć sobie krzesło, a następnie wyszukał wśród swoich papierów kilka czystych notatników do stenografowania.

— Wszystko przygotowałem, Bobby. W każdym notatniku u góry wypisałem nazwisko podejrzanego. Zamierzam rozwikłać kolejno zagadkę każdego z nich i dlatego chcę, żeby ich zeznania były notowane osobno.

Na bladej, wymizerowanej twarzy Bristola pojawił się wyraz zaskoczenia. — To jakiś dowcip, Trant, czy rzeczywiście masz im wszystkim coś do zarzucenia? Nie wyobrażam sobie, dlaczego ktokolwiek mógłby chcieć śmierci Klary.

— Ja też długo nie mogłem sobie tego wyobrazić — odparł wolno Timothy. — Ale zmieniłem zdanie. Powiedziałaś mi kiedyś, że pani Van Heuten była powszechnie szanowaną, współczującą osobą i wierną przyjaciółką. No cóż, Bobby, zdołała cię okpić tak samo, jak okpiła prawie wszystkich w Nowym Jorku.

Wstał i odsunął parawan, zasłaniający ukryte drzwi do umywalni.

— Widzisz, Bobby, do jej gabinetu prowadziły dwa wejścia. Gdybym chciał być melodramatyczny, powiedziałbym, że te dwie pary drzwi są symbolem jej podwójnego życia. — Detektyw wskazał drzwi wiodące do poczekalni. — Tędy wchodzili prawdziwi klienci biura porad literackich. — Jego palec przesunął się na drugie wejście. — A przez te drzwi pani Van Heuten prowadziła interesy z innymi, mniej przyzwoitymi klientami.

— Z innymi klientami? — wykrzyknął Bobby ze zdumieniem.

— Nie winię cię za to, że nie zdawałeś sobie z tego sprawy. — Timothy ponownie zajął miejsce za biurkiem. — Widzisz, spośród dziewięciu osób, które odwiedziły panią Van Heuten w dniu jej śmierci, osiem należało do świata zza parawanu. Ty byłeś jedynym prawdziwym klientem biura porad literackich.

— A niech mnie — odparł słabym głosem Bobby.

— Ale niepotrzebnie uprzedzam fakty. Skoro zapowiedziałem, że rozwiążę zagadkę każdego z gości, nic nie stoi na przeszkodzie, żebym zaczął od ciebie.

— Ode mnie?

— Naturalnie, Bobby. Chyba nie chcesz, żebym cię pominął, prawda?

Bobby uśmiechnął się nerwowo. — W porządku. Chcesz, żebym notował?

— Jak najbardziej. — Timothy podał mu notatnik opatrzony nagłówkiem „Bristol”. — Z notatki sporządzonej przez pannę Price wynika, że wyszedłeś od pani Van Heuten około wpół do czwartej. Po wyjściu z biura porad literackich poszedłeś prosto do wydawnictwa Saltera, żeby dowiedzieć się, co postanowiono w sprawie twojej powieści „Śmiejący się anioł”. Zgadza się?

— Tak. Ale, na miłość boską, nie tak szybko. — Bobby popatrzył na niego błagalnie znad poruszającego się żwawo ołówka.

— Dobrze. Zjawileś się w wydawnictwie i Lawrence Graves oznajmił ci, że nie wyda twojej powieści. Oczywiście byłeś rozczarowany. Byłeś też wściekły, ponieważ wiedziałeś, albo przynajmniej domyślałeś się, że Graves jest mężczyzną, który uwiódł ci żonę. Oskarżyłeś go więc o to, że — ni mniej, ni więcej — odrzucił twoją książkę ze względów osobistych, po czym....

— Chwileczkę. — Bobby notował w skupieniu, wysuwając z ust czubek języka i wywijając go aż na górną wargę.

— Po czym — ciągnął Timothy — aby jednak dowieść, że tak nie było, Graves pokazał ci kompletną dokumentację dotyczącą twojej powieści — dokumentację, w której znajdował się również pewien list napisany przez panią Van Heuten.

Mówiąc to, wyjął z kieszeni list, który tego samego ranka otrzymał od Gravesa, i rzucił Bobby'emu. Chłopak chwycił go w locie i spojrzał na detektywa.

— A więc już to czytałeś? Uznałem, że postąpiła paskudnie, szczególnie że zapewniała mnie, jak bardzo powieść jej się podoba.

— To zrozumiałe, Bobby. — Timothy uśmiechnął się. — To był właśnie motyw, który skłonił cię do zamordowania pani Van Heuten. Najpierw zachwycała się książką w twojej obecności, a potem dowiedziałeś się, że skrytykowała ją w liście do wydawcy. Poza tym byłeś dodatkowo zdenerwowany z powodu obojętności Helen. Zraniony tym, że pani Van Heuten, twoja jedyna prawdziwa przyjaciółka, wcale nią nie była, wróciłeś do biura porad literackich, wszedłeś tylnym wejściem do gabinetu i zaszytutowałeś ją.

Bobby nie odezwał się, dopóki starannie nie zanotował każdego słowa. Kiedy podniósł głowę znad kartki, na jego twarzy malowała się konsternacja, jak gdyby nie był pewien, czy Timothy mówił poważnie.

— Może i jestem — jak to się mówi — wyjątkowo spięty — powiedział wreszcie. — Ale chyba nie aż tak neurotyczny. Rozsierzony artysta w szale zabija kobietę, która umniejszyła jego geniusz. Chciałbym być na tyle przekonany o swoim geniuszu, żeby mordować ludzi, którzy mnie nie doceniają. Byłbym wtedy prawdopodobnie o wiele lepszym pisarzem. Poza tym zgodzisz się ze mną, że twoja teoria ma kilka poważnych luk. Na przykład, w jaki sposób dowiedziałeś się o istnieniu tylnego wejścia?

Timothy uśmiechnął się. — Jesteś pisarzem. Domyśliłeś się.

— Ale pozostaje problem morderstwa Tolfreya. Jak mogłem go zabić, skoro wszedłem na górę razem z tobą?

— To proste, drogi Bobby. Zabiłeś go wcześniej. Potem zszedłeś na dół, zczekałeś na mnie i...

— I wykorzystałem cię, żeby zdobyć alibi — dokończył Bobby, najwyraźniej pod wrażeniem rozumowania detektywa. — Warto to uwiecznić na papierze... Zaczekaj chwilę, Trant, zaraz przeczytam ci to na głos.

— Nie trzeba. — Głos Timothy'ego znów zabrzmiał poważnie. — To była tylko zabawa przed prawdziwym przesłuchaniem. Jako jedyny autentyczny klient biura porad literackich nie będziesz brał w nim udziału. Ale — dodał — są jeszcze trzy sprawy, Bobby. Ty i twoja żona spotkaliście Tolfreya w restauracji kilka godzin przed tym, jak pani

Van Heuten została zamordowana. Czy któreś z was wspomniało mi może, że się do niej wybierasz?

— Nie. — Bobby z mocą pokręcił głową. — Ja na pewno tego nie zrobiłem, a Helen — nie, ona słowem się do niego nie odezwała.

— Jeszcze jedno pytanie. Czy Graves wiedział, że twoja żona zamierza złożyć wizytę pani Van Heuten?

— On... — Bobby sprawiał nagle wrażenie zaniepokojonego. — Kiedy byłem w wydawnictwie, Helen wspominała, że chce się zobaczyć z panią Van Heuten. Była wściekła z powodu tamtego listu i...

— Graves był przy tym obecny?

— Tak.

— Dzięki. A teraz, Bobby, uważaj, bo to bardzo ważne. Czy przypominasz sobie, co dokładnie pani Van Heuten powiedziała twojej żonie, kiedy zadzwoniła do niej do wydawnictwa Saltera?

Młody człowiek wzruszył ramionami. — Prawdę mówiąc, byłem wtedy zupełnie wytracony z równowagi. Nie przysłuchiwałem się. Mówiła chyba coś o niezapłaconym honorarium za moją pierwszą powieść — omawiały jakieś biznesowe szczegóły.

— Rozumiem. A propos, nie powiedziałaś przypadkiem pani Van Heuten, że Helen chce się z tobą rozwieść i wyjść za Gravesa?

— Ależ tak, ja...

— Doskonale.

Timothy w zamyśleniu przycisnął znajdujący się na biurku guzik, a kiedy drzwi gabinetu się otworzyły i stanęła w nich Madeleine Price, powiedział:

— Niech pani będzie tak dobra i poprosi księżną Walońską, Gilde Dawn, Beatrice Kennet oraz panią Hobart, żeby do nas dołączyły.

Jestem gotów je teraz przyjąć.

## 23.

Chwilę później drzwi gabinetu otworzyły się i weszły przez nie cztery kobiety. Patrycja jak zwykle szła na przedzie. W jej oczach płonął blask dawnej debutantki. Gilda Dawn i Beatrice Kennet były tuż przy jej boku, podczas gdy Susan Hobart, blada i dziwnie przygnębiona, trzymała się kilka kroków za nimi.

Timothy przysunął im krzesła. Zasiadły w milczeniu i utkwiły nieruchome spojrzenia w jego twarzy.

— To będzie raczej krępujące — zaczął cicho detektyw — ale trzeba to wreszcie wyjaśnić.

— Jesteśmy gotowe wysłuchać, co ma nam pan do powiedzenia — odparła gładko Patrycja.

Timothy położył dłonie na biurku. — Zacznę od kilku dość podstawowych faktów. Wszystkie cztery byłyście panie ostatnimi osobami, które widziały panią Van Heuten żywą, i pierwszymi, które przybyły na przyjęcie do Tolfreya. Miałyście wszelką sposobność popełnić obie zbrodnie. — Poklepał leżące przed nim papiery. — Jestem pewien, że złożyście to panie na karb nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, ale niestety będziecie musiały się bardziej postarać, żeby wyjaśnić mi, dlaczego tamtego popołudnia odwiedziłyście panią Van Heuten uzbrojone w cztery rewolwery.

Bobby spojrział na niego ze zdumieniem znad swoich notatek. W ciszy, jaka zapadła, Gilda Dawn wyjęła papierosa i nachylając się, przybliżyła do niego platynową zapalniczkę.

— Jest pan naiwny, oczekując, że to potwierdzimy — powiedziała.

— Niewykluczone — ciągnął niezrażony Timothy — że gdyby opowiadania, które byłyście łaskawe mi przekazać, okazały się autentyczne, twierdziłybyście, iż zamierzałyście pod groźbą użycia broni zmusić panią Van Heuten do udzielenia wam porady literackiej. — Detektyw pokręcił ze smutkiem głową. — Ale ponieważ rozmawiałem już ze studentką całodobową agencją świadczącą usługi w maszynopisanu na Uniwersytecie Columbia, niestety, jest już na to za późno.

— Nawet... Nawet jeśli nie napisaliśmy tych opowiadań — wtrąciła bez tchu Susan Hobart — to *naprawdę* spotkałyśmy się z panią Van Heuten w sprawie pewnego tekstu. Tak było, panie Trant.

— Wiem. — Trant odszukał w leżącej przed nim stercie papierów dokument, który pani Van Heuten zaczęła pisać na krótko przed swoją śmiercią — dokument, który Jervis niesłusznie wziął za jej testament. — Chodzi o ten tekst, prawda?

Złośliwy uśmieszek wykrzywił na chwilę usta Beatrice Kennet. Księżna Walońska obruszyła się:

— Zanim wystąpi pan z kolejnymi absurdalnymi oskarżeniami, panie Trant, może byłby pan tak miły i wyjaśnił nam, jaki mogliśmy mieć motyw, aby usiłować zastraszyć czy też zabić panią Van Heuten?

Timothy milczał przez chwilę. Ze spokojem odwzajemnił spojrzenie księżnej. — Życzenie sobie panie poznać motyw? A może oszczędzicie mi kłopotu i wyznacie go z własnej, nieprzymuszonej woli?

— Daj pan spokój, Trant — rzuciła lodowatym tonem Beatrice Kennet. — Zawsze marzyłam o tym, żeby usłyszeć policyjną rekonstrukcję zbrodni.

— Zgoda. Same panie tego chciałyście. — Timothy spojrział w dół na swoje dłonie. — Wyłożę to paniom tak, jak sam to rozumiem. Niezwykłe jest to, że pierwszej poszlaki dostarczyła mi sama księżna. Powiedziała kiedyś, że to za przyzwoitość szanowano panią Van Heuten, ta cecha była jej największym atutem. Dała mi w ten sposób do zrozumienia, że Klara wiedziała, jak zarobić na swojej pozycji towarzyskiej. Powszechnie wiadomo, że jeśli chodzi o literaturę, pozycja towarzyska nie jest w stanie zagwarantować wysokich zarobków — a już na pewno nie na takim poziomie, aby wystarczyły na utrzymanie apartamentu przy Park Avenue, organizację wystawnych przyjęć oraz zgromadzenie tysięcy dolarów oszczędności na koncie w banku. Miałem więc wszelkie prawo przypuszczać, że pani Van Heuten wykorzystywała powszechne poważanie, jakim się cieszyła, swoją pozycję towarzyską oraz znajomość ludzkiej natury w inny, przynoszący znacznie większe dochody sposób.

— Ma pan niezwykle dar opowiadania — zauważyła przeciągle Gilda Dawn przez chmurę niebieskawego dymu. — Powinien pan pracować w branży filmowej.

— A ponieważ — ciągnął cicho Timothy — dochodowe przedsięwzięcia i powszechne poważanie rzadko idą ze sobą w parze, pani Van Heuten potrzebowała asystenta. Z wielką niechęcią przyznałyście się panie do znajomości z panem Tolfreyem, jednak chyba go nie doceniałyście. Pomimo swojego pociągu do alkoholu i tego, że chodził niemal wiecznie pijany, Tolfrey był równie wielkim znawcą ludzkiej natury jak pani Van Heuten. — Detektyw zamilkł na moment.



Jego wargi przybrały nieco nienaturalny, niebieskawy kolor. — Czy teraz, drogie panie, jesteście gotowe wyznać mi prawdę?

— Niech pan mówi dalej — odparła Beatrice Kennet ze złowróżbnym spokojem. — Zamieniamy się w słuch.

— No cóż, doskonale. Spróbujmy zatem nakreślić portret psychologiczny Tolfreya. Wiemy, że dużo podróżował po Europie. Wiemy, że miał liczne znajomości we wszystkich sferach. Louise Campbell zeznała, że często przyprowadzał klientów do biura porad literackich i że pani Van Heuten wypłacała mu nieoficjalną prowizję. Wiemy, że pani Van Heuten była raczej skąpa. A mimo to w dniu swojej śmierci wręczyła Tolfreyowi czek na trzysta pięćdziesiąt dolarów. To spora prowizja jak za klienta, który płaci nam trzy dolary od tysiąca przeczytanych słów. Czyżby pani Van Heuten dawała Tolfreyowi procent za sprowadzanie jej innych, nie zajmujących się literaturą i o wiele bardziej dochodowych klientów?

Po raz pierwszy od początku przesłuchania Susan Hobart okazała zainteresowanie tym, co miał do powiedzenia. Słuchała go teraz uważnie, pochylona do przodu na krześle, z twarzą napiętą i bardzo bladą.

— Dopiero w tej chwili — kontynuował Timothy — wszystko zaczyna się układać w spójną całość. Załóżmy, że pani Van Heuten i Tolfrey byli współnikami w interesie, do którego Tolfrey wyszukiwał klientów. Kim mogli być owi klienci? Oczywiście znajomymi pana Tolfreya. Znamy nawet kilku spośród nich. Na przykład ksiązę Waloński, który był tak miły, że dał panu Tolfreyowi własną fotografię, oprawioną w dużą, srebrną ramkę. Jest też John Hobart, słynny gracz w polo, który znał Tolfreya na tyle dobrze, żeby wymierzyć mu cios w szczękę oraz złożyć towarzyską wizytę zaledwie kilka minut po swoim przyjeździe do Nowego Jorku. Chociaż nie mam na to jeszcze żadnego dowodu, domyślam się jednak, że Tolfrey znał też blisko niejakiego pana Davenhama, angielskiego aktora i wkrótce byłego już męża Gildy Dawn, jak również pana Loveringa, znanego archeologa, który, jak mniemam, niedługo zdobędzie status byłego męża panny Kennet.

Po jego słowach w gabinecie zapadła martwa cisza.

— Dodajmy do tego fakt — mówił dalej Timothy — że księżna wolała raczej zaryzykować kradzież fotografii swojego męża niż

pozwolić, aby jego znajomość z Tolfreyem ujrzała światło dzienne, oraz to, że pan Hobart, dzielnie szukając wiarygodnego wytłumaczenia swojej wizyty u pani Van Heuten, był na tyle nietaktowny, aby przyznać, iż obiecał jej dwadzieścia procent zysków z *pierwszego roku swojej działalności*.

Cztery kobiety wpatrywały się w niego z wyraźnym niezdecydowaniem. Dłoń Beatrice Kennet zawisała nieruchomo w powietrzu; tkwiący w niej papieros tlił się z wolna.

— A niech mnie — powiedziała pisarka. — Ten młodzieniec od kolorowych koszul nie jest jednak taki głupi.

— Chciałbym teraz — podjął szybko Timothy — żebyście wysłuchały panie wymyślonej przeze mnie opowieści o męskiej przyjaźni. Obawiam się, że nie będzie ona tak profesjonalna, jak dzieła panny Kennet, ani tak makabryczna, jak „Górna koja”, lecz mimo to jest całkiem wzruszająca. Zacznę od udania się pana Tolfreya w jedną ze swych licznych podróży do Europy. Widzę go, jak siedzi w elegancji — powiedzmy — paryskiej restauracji, pijąc i jedząc ze smakiem. Obsługuje go mężczyzna, który, nie wiedzieć czemu, wydaje się być ulepiony z lepszej gliny niż przeciętni kelnerzy. Tolfrey, znakomity znawca ludzkiej natury, wciąga go w rozmowę i dowiadyuje się, że oto osobą nalewającą mu wino jest nikt inny, jak arystokratyczny wygnaniec, książę Dymitr Waloński.

Księżna zbladła na te słowa, lecz nie próbowała przerywać.

— W trakcie przyjacielskiej pogawędki pan Tolfrey napomyka księciu, że jego urodzenie predestynuje go do czegoś lepszego, niż usługiwanie w restauracji. Jest pewien, że w Ameryce mógłby zapewnić jego książęcej wysokości wiele rozrywek. Jest wręcz gotów zapłacić za jego podróż przez ocean. Książę jest naturalnie zachwycony.

Omawiają między sobą szczegóły, po czym wypływają razem do Nowego Jorku. Książę jest oczarowany Nowym Światem i jego mieszkańcami, a pan Tolfrey aż nadto chętnie służy mu swoją pomocą.

Zna kogoś, kto idealnie nadaje się na przyjaciółkę goszczącego w Ameryce księcia — kobietę, która obraca się w najwyższych towarzyskich sferach, pełną zrozumienia i wyrozumiałą. Pani Van Heuten zaprasza zatem księcia Walońskiego na kolację.

Księżna wyjęła z torebki niedużą, białą chusteczkę do nosa i nerwowo obracała ją w palcach.

— Wyobrażam sobie to obiecujące spotkanie — dodał Timothy.  
— Pani Van Heuten czaruje i jest oczarowana. Książę potrzebuje gotówki? Nic prostszego, ona z największą chęcią wybawi go z kłopotu. Czy zgodziłby się zawrzeć z nią nieoficjalną, towarzyską umowę? Ona da mu pieniądze, on zaś spłaci dług, przekazując jej, hm, *dwadzieścia procent swoich zarobków z pierwszego roku działalności...* Pani Van Heuten z niezwykłą delikatnością przedstawia księciu plan jego wizyty w Nowym Jorku. Musi być oczywiście bardzo ostrożny, zawierając nowe znajomości. Księciu nie wypada zadawać się z osobami stojącymi niżej od niego w społecznej hierarchii. A już z pewnością nie księciu sponsorowanemu przez *samą* panią Van Heuten. Klara, jak już wiemy, jest wielkim znawcą ludzkiej natury. Dokonuje szybkiego przeglądu swoich znajomych, a następnie — trafnego wyboru. Podchodzi do telefonu. Niemal słyszę, jak mówi: „Moja droga Patrycyjo, po prostu *musisz* przyjść do mnie w sobotę na kolację. To tylko nieoficjalne spotkanie w małym kręgu znajomych. Wiesz, odwiedził nas książę. Tak, moja droga, książę Waloński!”

— Pan... pan musi... — zaczęła słabym głosem księżna.

— Proszę pozwolić mi skończyć, księżno. Panna Cheney z przyjemnością przyjmuje zaproszenie. Oczekując na jej przybycie, pani Van Heuten, śmiejąc się, szepcze księciu na ucho: „Nie zapomni pan o naszej towarzyskiej umowie, prawda, mój książę? Dwadzieścia procent”. Zjawia się panna Cheney. Kolacja nadzwyczajnie się udaje. Książę jest absolutnie zachwycający. Po kolacji, dziwnym zbiegiem okoliczności, Patrycja Cheney oraz książę zostają sami. Cóż mogłoby być bardziej naturalnego niż płomienny romans, rozkwitający pod czułym, matczynym okiem Klary Van Heuten? Cóż bardziej naturalnego niż dwoje tak doskonale dobranych ludzi, złączonych ze sobą przez powszechnie poważaną i znaną w towarzystwie Klarę Van Heuten? Chyba nie można się dziwić, że po ślubie pani Van Heuten uznaje, iż należy jej się niewielkie wynagrodzenie za to, czego dokonała?

— Nie musi pan mówić dalej, panie Trant — przemówiła cicho Patrycja Walońska.

Timothy dostrzegł wyraz jej oczu i wydał niemal niesłyszalne westchnienie ulgi. Dzięki Bogu, miał rację — i wyglądało na to, że jego bezczelność ujdzie mu na sucho.

— Wszystko, co pan powiedział, jest prawdą i nie ma sensu dłużej tego przed panem ukrywać. — Nawet w takim momencie Patrycja panowała nad sobą. Powstała z godnością abdykującej królowej.

— Klara Van Heuten była dokładnie taką kobietą, jak ją pan opisał. Wykorzystywała swoją pozycję i ludzi, którzy byli na tyle naiwni, żeby uważać ją za swoją przyjaciółkę. Jej działalność była okrutna i pozbawiona skrupułów — prowadziła jednostronne i niezwykle dochodowe biuro matrymonialne.

— Dzięki Bogu, w końcu się wydało — wykrzyknęła Beatrice Kennet. — Teraz możemy się nareszcie rozluźnić i przestać odgrywać rolę *femmes fatales*.

Na wargach Patrycji zagościł słaby uśmiech. — Jak pan to sprytnie wydedukował, panie Trant, byliśmy wszystkie na tyle głupie, żeby pozwolić pani Van Heuten się wykorzystywać.

— Nie byliście głupie — zaprotestował cicho Timothy — tylko po prostu miałyście pecha, księżno. Pani Van Heuten była na swój sposób geniuszem. Wątpię, czy ktokolwiek prowadził kiedyś lewe interesy z podobnym taktem i dyskrecją. — Jego spojrzenie przesunęło się po twarzach pozostałych trzech kobiet. — Kiedy popatrzy się na osoby, które wykorzystywała, wyraźnie widać, że kusily ją tylko najwyższe stawki.

— Wyraźnie też widać — wtrąciła ze spokojem Beatrice Kennet — dlaczego żadna z nas, czterech naiwnych, hm, dziewczyn, nie była szczególnie skora do współpracy z panem, panie Trant. Która kobieta chciałaby się przyznać, że została sprzedana swojemu mężowi?

— A która kobieta chciałaby zostać sprzedana? — W oczach detektywa malowała się wielka powaga. — Dobry Boże, myślicie panie, że wam nie współczuję? Jako człowiek z krwi i kości byłbym pierwszym, który by wiwatował, gdybyście zamordowały panią Van Heuten i Dane'a Tolfreya za to, że zajmowali się tak brudnymi interesami. Ale jestem też policjantem. Wasza czwórka miała wszelką sposobność popełnienia tej zbrodni — i wszelką motywację, aby jej dokonać.

— To prawda. — Gilda Dawn wydobyła z torebki lusterko i przeglądając się w nim, umalowała swoje i tak już przesadnie karminowe usta. — Co nie znaczy, że przyznajemy się do popełnienia któregoś z

tych morderstw, panie Trant. Bóg mi świadkiem — wystarczająco często łamałam na ekranie wszystkie dziesięć przykazań, aby wiedzieć, że zbrodnia nie popłaca!

Patrycja Walońska zapaliła papierosa i przyjrzała mu się zamyślna.

— Nie popełniłyśmy żadnego przestępstwa, panie Trant. Domagałyśmy się jedynie swoich praw. Ja pierwsza domyśliłam się, czym tak naprawdę trudniła się pani Van Heuten. Stało się to zupełnie przypadkowo. Trzy miesiące po ślubie mój mąż zaproponował, abyśmy wykupili jego rodzinny majątek na Starym Kontynencie. Zawsze marzyłam o domu w Europie, więc pomysł ten wydał mi się znakomity. Oczywiście zdawałam sobie sprawę, że Dymitr nie dysponuje własnymi środkami, ale nie miało to dla mnie znaczenia. Wymienił pewną kwotę, która — jak powiedział — wystarczy, aby pokryć wszystkie koszty, a ja otworzyłam mu kredyt w banku. Kilka tygodni później popłynął do Europy...

Timothy dał znak Bobby'emu Bristolowi. Przez ostatnich kilka minut młody człowiek prawie niczego nie zapisywał; teraz na nowo zaczął pilnie notować.

— Było to nawet dość zabawne — mówiła wolno księżna. — Po wyjeździe Dymitra wpadłam na pomysł zrobienia mu niespodzianki i postanowiłam osobiście zająć się organizacją remontu naszej nowej posiadłości. W tym celu skontaktowałam się z agentem od tej nieruchomości. Wtedy prawda wyszła na jaw. Agent powiedział mi, że ta inwestycja mojego męża kosztowała nieco mniej niż połowę sumy, o jaką poprosił mnie Dymitr.

— A pani domyśliła się, że różnica trafiła do kieszeni pani Van Heuten?

— Rzecz jasna, nie miałam na to żadnego dowodu. Klara była zbyt ostrożna. Jednak tak naprawdę nigdy jej nie ufałam i gdy w końcu zebrałam wystarczająco dużo informacji, aby mieć pewność, co się właściwie stało, byłam... wściekła, to za mało powiedziane. Naturalnie dostałam to, na co zasłużyłam. Kobieta, która wychodzi za mąż za zubożalego księcia, zazwyczaj musi zapłacić za to jakąś cenę. Przysnaję, że poślubiłam Dymitra przede wszystkim dlatego, iż uznałam, że... hm, miło byłoby być księżną.

— I jest nią pani w każdym calu — zauważył z powagą Timothy.

Ku jego zaskoczeniu, Patrycja ponownie się uśmiechnęła. — Nigdy nie uważałam, że można coś robić połowicznie — powiedziała. — Lecz nawet jeśli odkrycie, iż Dymitr nie był bez skazy, nie złamało mi serca, to i tak czułam się silnie upokorzona. I gotowa skrócić kark drogiej Klarze. Początkowo miałam zamiar stanąć z nią twarzą w twarz i wygarnąć, co tak naprawdę o niej myślę, ale zrozumiałam, że to nic nie da. Na tym polegał spryt pani Van Heuten: gdy już wydała za mąż którąś ze swoich znajomych, ta miała całkowicie związane ręce. Nigdy nie ośmieliłaby się jej zdemaskować.

— Nawet po jej śmierci — dodał Timothy. — Dlatego tak trudno było mi to wszystko rozgryźć. Domyślałem się, iż uznaliście, że najlepszym wyjściem będzie zmasowany atak?

Patrycja Walońska przytaknęła. — Wiedziałam, że to niemożliwe, aby tylko mnie to spotkało. Wiedziałam też, że jeśli ktoś nie powstrzyma Klary Van Heuten, będzie ona nadal handlować swoimi przyjaciółkami w zamian za znaczną prowizję. Dokonałam w myślach przeglądu wszystkich kobiet, które u niej poznałam i które poślubiły niedawno mężczyzn bez pieniędzy.

— I tak trafiła do nas — wtrąciła Beatrice Kennet. — Do innych naiwnych.

— Wynajęła pani agencję detektywistyczną Dentona, żeby je rozpracowała, prawda, księżno? Chciała pani mieć pewność, że trafiła na właściwe osoby?

— I bardzo szybko ją zdobyłam. — Patrycja Walońska wzruszyła ramionami. — Potem wysłałam do każdej telegram z wiadomością, żebyśmy się jak najszybciej spotkały i omówiły wspólnie tę sprawę. Zresztą niektóre z nich zdążyły się już domyślić prawdy.

— Ja... coś podejrzewałam — mruknęła Lady Lotus. — Mój uroczy mążus zaszedł mi za skórę w połowie naszego miodowego miesiąca, kiedy zaczął mnie nękać o sto tysięcy dolarów na sfinansowanie jakiejś sztuki, w której miał zagrać w Londynie. I chociaż poznaliśmy się u Klary, początkowo nie połączyłam ze sobą tych dwóch faktów. Uznałam jedynie, że jego sztuka nie jest dla mnie warta stu tysięcy dolarów i wystąpiłam o rozwód.

— Ja natomiast wykazałam się pożałowania godną głupotą. — Beatrice Kennet uśmiechnęła się gorzko. — Klara rzeczywiście była bardzo sprytna — wybierała mężczyzn, którzy wcale nie wyglądali na

zigolaków. Mój Darnley Lovering był tak słodki, uduchowiony i tak szczerze zafascynowany archeologią. Kiedy poprosił, abym sfinansowała jego wyprawę w celu przeprowadzenia wykopalisk w tahitańskich świątyniach, czy coś w tym rodzaju, dałam się złapać jak mucha na lep. Nigdy bym się nie domyśliła, że pięćdziesiąt procent mojego wkładu pójdzie na rzecz budowania świątyni Klary Van Heuten. Pomijając to wszystko, moje małżeństwo było całkiem udane, dopóki trwało. Była to kosztowna zabawa — ale jednak zabawa.

Susan Hobart siedziała zupełnie nieruchomo, sprawiając wrażenie jeszcze mniejszej niż w rzeczywistości. Zagryzła nerwowo dolną wargę, ale nic nie powiedziała.

— Miałam już gotowy plan — podjęła księżna — a pozostałe go zaakceptowały. Rzecz jasna, wszystkie postanowiłyśmy rozwieść się z naszymi mężami, ale chciałyśmy także rozprawić się z panią Van Heuten. Postanowiłyśmy złożyć jej wizytę w biurze, a następnie zmusić do napisania i podpisania oświadczenia wyjaśniającego cały proceder. Dałoby to nam broń przeciwko niej na wypadek, gdyby próbowała wciągnąć jeszcze kogoś w swoje, hm, matactwa matrymonialne. Wzięłyśmy ze sobą rewolwery, żeby w razie potrzeby móc ją trochę nastraszyć.

— Nie muszę chyba mówić — wtrąciła Gilda Dawn — że nie były naładowane.

W oczach Timothy'ego pojawił się czujny błysk. — A zatem takie jest wasze wytłumaczenie. Odwiedziłyście panią Van Heuten wyłącznie jako przedstawicielki społecznej sprawiedliwości, a nie jako... wzburzone kobiety.

— Księżna przesadziła nieco, opisując nobliwy charakter naszych pobudek — odparła Beatrice Kennet. — Czuliśmy oczywiście potrzebę związania rąk starej wiedźmie, ale chciałyśmy też odzyskać swoje pieniądze. Przynęłam sobie, że nie uśmiechnę się, dopóki nie zrekompensuję sobie tych przeklętych tahitańskich świątyń.

— Co się dokładnie wydarzyło, kiedy zjawiłyście się w biurze porad literackich?

— Dokładnie to, czego się spodziewałyśmy. — Patrycja zachowywała niezmałowany spokój. — Przekonałyśmy panią Van Heuten, że nie żartujemy. Wyjęłyśmy rewolwery i wymusiłyśmy na niej obietnicę, że napisze oświadczenie. — Na jej wargach pojawił się cień

uśmiechu. — Pani Van Heuten żyła, kiedy wychodziłyśmy z jej gabinetu. Była w trakcie pisania oświadczenia.

Timothy wziął do ręki kartkę, na której pani Van Heuten skreśliła słowa: „Ja, Klara Houston Van Heuten, niniejszym oświad...”

— Nie zaczekałyście panie, aż skończy pisać?

Patrycja Walońska pokręciła przecząco głową. — Uznałyśmy, że lepiej będzie zostawić ją samą. Dlatego właśnie powiedziałyśmy sekretarce, żeby aż do piątej nikt jej nie przeszkadzał. Zamierzałyśmy spotkać się z nią na przyjęciu koktajlowym i wtedy odebrać od niej podpisane oświadczenie. — W jej oczach ponownie zagościł złowrogi błysk. — Zagroziłyśmy, że jeśli go nam nie przekaże, zdemaskujemy ją w obecności wszystkich zaproszonych gości.

— Tak jej *powiedziałyśmy*. — Gilda Dawn zapomniała się do tego stopnia, że wyjęła gumę do żucia ze swojej ozdobionej kryształami górskimi torebki. — Na szczęście była już wtedy tak wystraszona, że nam uwierzyła. Oczywiście nigdy byśmy tego nie zrobiły. Żadna z nas nie mogła sobie pozwolić na to, żeby „zupa się wylała”. Gdyby moja publiczność poznała prawdę, jak nic wygwizdali by mnie z ekranu.

— Może teraz już pan rozumie — mruknęła księżna — dlaczego wtedy na przyjęciu koktajlowym zachowywałyśmy się tak dziwnie. Byłyśmy już co najmniej wzburzone, a kiedy oznajmił nam pan, że pani Van Heuten została zamordowana... — Księżna spojrzała na bladą, milczącą Susan Hobart. — Nic dziwnego, że biedna Susan zemdląca.

— I nic dziwnego, że potraktowałyście mnie panie tak lodowato — zauważył z uśmiechem Timothy. — Podejrzewałyście, jak sądzę, że jestem kolejnym kandydatem na męża ze stajni pani Van Heuten. Co z jednej strony można nawet uznać za komplement.

Beatrice Kennet niecierpliwie zerknęła na zegarek.

— Chyba możemy na tym zakończyć, panie Trant. To chyba jasne, że wszystkie znalazłyśmy się w bardzo niezręcznej sytuacji. Pani Van Heuten została zamordowana. Gdyby policja odkryła, z jakiego powodu złożyłyśmy jej wizytę, wyszłoby na to, że jesteśmy nie tylko głupie, ale i najbardziej podejrzane. Oczywiście umierałyśmy ze strachu, że znajdziecie jej oświadczenie. Nie miałyśmy pojęcia, że była na tyle taktowna, aby zginać, zanim je napisała. Spotkałyśmy się



u księżnej i doszliśmy do wniosku, że najlepszym sposobem będzie trzymać się razem i podczas przesłuchania przedstawić wspólną wersję wydarzeń. Z kłopotu wybawił nas niesympatyczny pan Tolfrey. Jakimś cudem odkrył, że byliśmy tego popołudnia u pani Van Heuten. Był tak samo przestraszony jak my — a nawet bardziej. Bał się, że wyjdzie na jaw jego udział w brudnych interesach Klary. Dlatego też był tak miły i przesłał nam owe nie całkiem stosowne maszynopisy. Poza tym to chyba oczywiste, że nie mogliśmy zamordować pani Van Heuten. Prawdę mówiąc, byliśmy wściekle, słysząc, że nie żyje. Wraz z jej śmiercią straciliśmy ostatnią szansę na odzyskanie naszych pieniędzy.

— A ja mam nadzieję — dodała niemal błagalnym tonem księżna — że uda się panu nie wciągać nas w tę sprawę, panie Trant. W końcu próbowaliśmy tylko ratować swoją reputację. Gdyby to przedostało się do gazet, byłybyśmy straszliwie upokorzone.

— Oczywiście, rozumiem — odparł współczująco Timothy. — Jak powiedziałem na początku, zamierzam zniszczyć wszystkie dowody, które nie mają bezpośredniego związku z morderstwami. Jeśli więc zatem nie zamordowałyście panie pani Van Heuten...

Urwał, wzruszając ramionami.

— Jeszcze tylko dwa pytania. Panno Dawn, czy gdy tamtego popołudnia wychodziłyście panie z budynku, powiedziała pani: „Dzięki Bogu, już po wszystkim. To spojrzenie zaszczutego zwierzęcia — nigdy go nie zapomnę”?

Lady Lotus przytaknęła. — Zachowałam się chyba nieco melodramatycznie. Ale pani Van Heuten bardzo się przestraszyła nas i tych rewolwerów. Nienawidzę patrzeć na ludzi, którzy się czegoś boją...

— Dziękuję pani. — Timothy wyglądał na zadowolonego. Przeniósł spojrzenie na panią Hobart. — A czy pam ma coś do dodania na temat tego hałasu, który słyszała pani za parawanem?

Błękitne, porcelanowe oczy Susan Hobart rozbłysły.

— Tylko to, że naprawdę go słyszałam — przysięgam, że tak było.

— Jest pani niezwykle uprzejma i pomocna, pani Hobart. — Timothy zerknął na drzwi. — Myślę, że to na razie wystarczy, drogie panie. Czy mogłybyście być tak miłe i zaczekać w sekretariacie, aż...

— Chce pan powiedzieć — przerwała mu ostro Patrycja — że nie możemy sobie pójść?

Timothy uśmiechnął się zagadkowo.

— Jeszcze nie, księżno...

## 24.

Gdy cztery damy opuściły gabinet, Timothy otarł z czoła niemal niewidzialne krople potu. Udało mu się podważyć skorupy pierwszych czterech małży. Wszystko wskazywało na to, że ten dzień może jednak zakończyć się jego sukcesem.

Odwrócił się do Bobby'ego Bristola, który rozcierał nadgarstek zmęczony zbyt długim pisaniem. Na twarzy młodzieńca malował się wyraz całkowitego oszołomienia.

— Oto prawdziwe oblicze twojej powszechnie szanowanej, dobrej Klary Van Heuten, Bobby.

Spojrzał na listę gości i przycisnął dzwonek, żeby wezwać Madeleine.

— Pan Muir, panno Price.

Rzucił Bristolowi notatnik opatrzony nazwiskiem Muira i rozsiadł się wygodnie na krześle.

Drzwi otworzyły się niemal natychmiast, ukazując ich oczom Dereka Muira. Olśniewający w nowym, ekstrawaganckim szarym garniturze, młody człowiek podszedł do krzesła i usiadł. Wydawał się bardziej niż zwykle zadowolony z siebie.

— A zatem, panie Trant, co mogę dla pana zrobić?

— Mógłby pan — odparł ostro Timothy — wyjaśnić mi, dlaczego z takim uporem kłamał pan przez całe śledztwo.

Muir zaczął zrywać celofan z pudełka papierosów.

— Kłamstwo jest kłamstwem tylko wtedy, gdy ktoś udowodni, że nim jest.

— Mam dowody, że jak dotąd kłamał pan w sprawie swojej znajomości z Danem Tolfreyem, w sprawie dwustu pięćdziesięciu dolarów, które pan od niego otrzymał, w sprawie pańskiego rzekomego zawodu autora opowieści kryminalnych oraz w sprawie pańskiej wizyty u pani Van Heuten.

— Sporo tych kłamstw — zgodził się uprzejmie Muir.  
— Wystarczy ich, żeby postawić panu zarzut zamordowania pani Van Heuten oraz Dane'a Tolfreya. — Timothy wziął z biurka maszynopis, który Muir mu dostarczył. — Szkoda, że studencka całodobowa agencja świadcząca usługi w maszynopisaniu nie zdążyła tego przepisać w całości, panie Muir.

— Po pańskim wczorajszym telefonie, który obudził mnie we wczesnych godzinach rannych, domyśliłem się, że odkrył pan prawdę. — Muir teatralnie wzruszył ramionami. — Muszę przyznać, że teraz, kiedy pan mnie zdemaskował, odczuwam znaczną ulgę. — Jego palce drżały lekko, gdy podnosił zapalną, żeby zapalić papierosa.

— Ale poza drobnymi nieścisłościami w moich zeznaniach nadal nie rozumiem, jakie ma pan wobec mnie zarzuty. W końcu, jak pan sobie zapewne przypomina, znałem ofiarę zaledwie kilka minut. A może jestem jednym z tych morderców, którzy zabijają bez wyraźnego motywu?

— Miał pan doskonały motyw, panie Muir — odparł szorstko Timothy. — Zraniona próżność. Tolfrey wybrał pana i wysłał do pani Van Heuten jako potencjalnego kandydata, którego mogłaby wykorzystać do swojej pozaliterackiej działalności. Z przyczyn, jakich nigdy nie poznamy, pani Van Heuten uznała, że się pan do tego nie nadaje. To musiało urazić pańską dumę. A już na pewno rozwiało pańskie nadzieje na szybki zarobek poprzez intratne małżeństwo. — Detektyw podniósł głowę znad papierów i popatrzył na Muira. — Oto pański motyw, panie Muir. Co pan teraz powie?

W oczach Muira widać było wahanie, gdy wypuszczał z ust perfekcyjne kółeczko błękitnego dymu.

— Sądzę — mruknął — że skoro tak stawia pan sprawę, będę zmuszony wyznać panu prawdę.

— To byłoby bardzo rozsądne z pana strony.

Muir rzucił Bobby'emu lekko kpiące spojrzenie.

— Niech pan zanotuje każde słowo, panie Bristol, a z przyjemnością się pod tym podpiszę. Oto oficjalne wyznanie człowieka, który nie popełnił morderstwa, który nigdy nie pisał kryminałów i który, jeśli mamy być szczerzy, nigdy nie zajmował się niczym poważnym.

— A zwracając się do Timothy'ego, powiedział: — Wbrew pańskim najgorszym podejrzeniom, panie Trant, nadal niewiele wiem o

owej złowrogiej, pozaliterackiej działalności pani Van Heuten. Rzeczywiście znałem Tolfreya, ale była to tylko przypadkowa znajomość z baru. Kiedy go poznałem, był zdecydowanie nietrzeźwy, lecz zrobił na mnie wrażenie bystrego faceta, ja zaś byłem wtedy, jak to się potocznie mówi, w życiowym dołku. Kiedy więc zaczął składać mi dosyć bełkotliwie różne propozycje, słuchałem go z dużym zainteresowaniem. Mówił coś o tym, jak to mnie ustawi dzięki kontaktom z właściwymi ludźmi. Właściwi ludzie — to brzmiało rzecz jasna kusząco. Pociągnąłem go za język i wtedy wymienił nazwisko pani Van Heuten. A nawet napisał mi tę słynną rekomendację.

— W której — wtrącił Timothy — przedstawił pana jako człowieka o zabójczych talentach... uwodzicielskich.

— Tego dowiedziałem się dopiero później. — Derek Muir wzruszył ramionami. — Wtedy jeszcze nie zdawałem sobie z niczego sprawy. Od Tolfreya zdołałem dowiedzieć się tylko tyle, że pani Van Heuten zna wielu bogatych ludzi, że zaopiekuje się mną jak rodzona matka i że mam wysłuchać, co mi powie. Ja zaś miałem tylko udawać autora historyjek kryminalnych, siedzieć, uśmiechać się i rozmawiać z nią o książkach. Wszystko to trochę dziwnie brzmiało, ale zgodziłem się. Spotkałem się z panią Van Heuten. Siedziałem, uśmiechałem się i rozmawiałem o książkach. Ona zaś okazała mi całkowity brak zainteresowania. I na tym koniec.

— Nie domyślił się pan, o co w tym wszystkim chodzi? — zapytał sceptycznie Timothy.

Muir uśmiechnął się. — Nie twierdzę, że byłem zupełnie nieświadomy tego, co się działo. Jak tylko ją zobaczyłem, domyśliłem się, że pani Van Heuten nie jest wcale taka miła, jak się na pierwszy rzut oka wydaje. Ale jako że najwyraźniej nie miałem stać się pionkiem w jej brzydkiej grze, nie poświęciłem temu zbyt wielkiej uwagi. Po prostu wyszedłem od niej dużo smutniejszy, lecz — zapewniam pana — równie niewinny, jak przyszedłem.

— Bardzo to wszystko zwyczajne.

— Bo życie *jest* zwyczajne, panie Trant. — Muir wykonał lekceważący gest swoją wypielęgnowaną dłonią. — Dopiero potem zrobiło się nieciekawie. Wieczorem, gdy wróciłem bezpiecznie na łono Madame Perkins, zadzwonił telefon. To był pan Tolfrey. Był niezmiernie wzburzony. Czy słyszałem już straszną wiadomość? Jeżeli nie chcę

zaszkodzić sobie ani jemu, mam trzymać gębę na kłódkę. W razie wizyty policji miałem podać się za początkującego autora kryminałów i na dowód pokazać maszynopis, który od niego dostanę.

— Pan zaś wymógł na nim dwieście pięćdziesiąt dolarów jako łapówkę za pańskie milczenie?

— Niech pan nie będzie taki dosadny. — Muir uśmiechnął się, najwyraźniej wielce z siebie zadowolony. — Ja tylko wyjaśniłem panu Tolfreyowi, jak nieznośna jest dla mnie sama myśl o tym, że miałbym okłamywać policję. On zaś odparł, że postara mi się to jakoś wynagrodzić, po czym odłożył słuchawkę. Proszę sobie wyobrazić moje zdumienie, gdy posłaniec z Western Union przyniósł mi dwieście pięćdziesiąt dolarów!

Timothy pochylił się nad biurkiem. — Czy Tolfrey powiedział panu coś jeszcze?

— Nie. To znaczy... zapytał, czy nie wiem, kto jeszcze odwiedził tego dnia biuro porad literackich. Opowiedziałem mu o Gildzie Dawn i jej przyjaciółkach. Wyglądało na to, że bardzo się tym przejął.

— Znakomicie — powiedział Timothy.

— Może teraz zrozumie pan, dlaczego podczas naszych przemilych rozmów tak subtelnie mijałem się z prawdą. — Muir wrzucił niedopałek do popielniczki. — Okłamałem pana z trzech zasadniczych powodów, panie Trant. Nie chciałem być zamieszany w coś, co jak podejrzewałem, było bardzo nieciekawym procederem. Przyjmując zaś pieniądze od Tolfreya, uznałem, że powinienem podtrzymać jego wersję — przynajmniej tyle byłem mu winien. A po trzecie, widząc, że śledztwo prowadzi tak niekonwencjonalny policjant, nie mogłem oprzeć się pokusie zwodzenia go przez jakiś czas. — Derek Muir uśmiechnął się rozbajająco. — I doskonale się przy tym bawiłem.

— Wydział Zabójstw zawsze chętnie dostarcza ludziom rozrywki — odparł cicho Timothy. — Dziękuję panu, panie Muir. Na razie to wszystko. Proszę być tak miłym i zaczekać na zewnątrz...

Muir wstał i ruszył do drzwi. Po chwili jednak przystanął, rumieniąc się nieznacznie.

— Panie Trant, byłbym wdzięczny, gdyby wyświadczył mi pan pewną przysługę. Panna Dawn poszukuje właśnie nowego partnera do filmu. Bardzo jej zależy, żeby to był ktoś wykształcony i pochodzący

z Nowego Jorku. W rozmowie z nią podkreślałem, że jestem rodowitym mieszkańcem malowniczego Manhattanu. Nie chciałem, aby... aby dowiedziała się, iż całkiem niedawno przybyłem tutaj z odległych krańców stanu Iowa.

— Nie sędzę, abym miał rozmawiać z panną Dawn o geografii naszego kraju — odparł Timothy.

Po wyjściu młodego człowieka Bobby podniósł na niego pytający wzrok znad notatek. Lecz Timothy zdawał się tego nie zauważać; był głęboko pogrążony w myślach.

Jego oczy rozszerzyły się nieznacznie, gdy drzwi gabinetu otworzyły się i wszedł przez nie John Hobart.

Gracz w polo przeszedł przez pokój rażnym i dumnym krokiem, lecz widać było, że brak mu zwykłej pewności siebie. Jego aksamitne oczy o wyzywającym spojrzeniu również nieco spochmurniały. Timothy wyczuł skrywany pod pozorami niepokój Hobarta.

— Przepraszam, że wchodzę nieproszony, ale domyślam się, że jestem następny na tej feralnej liście, i chcę mieć to jak najszybciej za sobą.

— Ja również — odparł Timothy.

Hobart rozsiadł się wygodnie na krześle. — Nie wiem, czy Susan nie złamała prawa mówiąc mi, że straszliwa prawda ujrzała w końcu światło dzienne. Niechętnie panu pomagam, ale doprawdy nie ma już żadnego powodu, dla którego miałbym dalej kłamać.

— Cieszę się, że zdaje pan sobie z tego sprawę.

— Zdaję sobie z tego sprawę — powtórzył Hobart, wsuwając do ust papierosa — ponieważ przez cały ten czas wiedziałem, że nie jestem w tej sprawie prawdziwym podejrzanym. Nie da się przecież zaprzeczyć, że o czwartej piętnaście byłem w samolocie, a nikt przy zdrowych zmysłach nie może twierdzić, że w niecałe sześćdziesiąt sekund pokonałem odległość dzielącą biuro Klary od lotniska w Newark.

— Zgadzam się — przytaknął niespodziewanie Timothy.

— Świetnie. Bierzmy się więc do roboty. — Hobart zerknął z rozbawieniem na Bobby'ego. — Postaram się mówić zwięźle, aby oszczędzić naszego biednego stenografa. Pan, panie Trant, najwyraźniej podejrzewa, że jestem jednym z owych występnych młodzieńców Klary. I wcale pana za to nie winię.

— Staram się niczego nie wykluczać, panie Hobart. Gdy tylko dowiedziałem się, że prawdziwym autorem „Parady polo” jest gubernator Senegambii, uznałem, że interesy, jakie łączyły pana z panią Van Heuten, były raczej natury matrymonialnej niż literackiej.

— Tu się pan oczywiście nie myli. Przyznaję, że nieco mnie pan zaskoczył, składając mi wizytę w Winton. Musiałem improwizować, opowiadając panu swoją wersję wydarzeń. — Hobart pochylił się do przodu, a jego giętkie ciało wyraźnie się napięło. — Nie ma żadnego powodu, dla którego miałby mi pan uwierzyć, Trant, ale przysięgam, że wpłatałem się w to wszystko bez... bez swojej wiedzy.

— Czyżby?

— To prawda. Opowiem panu dokładnie, jak to się stało. Wyznając prawdę, wyjdę na głupca, ale lepiej być głupcem niż łajdakiem. — Hobart wyszarpnął z ust papierosa opalonymi palcami i zmiażdżył go w popielniczce. — Mniej więcej rok temu postanowiłem pożegnać się z grą w polo. Brakowało mi gotówki, żeby dalej to ciągnąć. Pisały o tym wszystkie gazety. Wie pan, obiecujący młody zawodnik kończy karierę z powodu braku funduszy. Kilka dni później ktoś przyprowadził do mnie Tolfreya. Nie zrobił na mnie większego wrażenia poza tym, że wlewał w siebie niebywałe ilości brandy.

— A Tolfrey złożył panu wiadomą propozycję?

Hobart pokazał w uśmiechu swoje białe zęby. — Był niezwykle taktowny. Zaczął od tego, jaka to ogromna szkoda, że muszę zrezygnować z gry w polo. Jeżeli to tylko kwestia pieniędzy, być może mógłby znaleźć mi sponsora.

W tym miejscu Hobart krótko i w dość brutalnych słowach przedstawił szczegóły oferty Tolfreya. Pani Van Heuten została przez niego opisana jako kobieta, która może służyć ogromną pomocą młodym mężczyznom, którzy jej się spodobają. Oczywiście, należało zachować dyskrecję, rozmawiać wyłącznie o książkach i słuchać jej we wszystkim.

— Naprawdę nie miałem zielonego pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi, kiedy po raz pierwszy spotkałem się z Klarą. Podejrzewałem, że prowadzi nie do końca czyste interesy, ale w zasadzie niewiele mnie to obchodziło. Złożyłem więc niezobowiązującą obietnicę dotyczącą jej udziału w zyskach i ani się obejrzałem, a Klara zaprosiła mnie do siebie na kolację i przedstawiła mi Susan.

Hobart popatrzył w dół na swoje silne, opalone dłonie. — Oczywiście Klara dopilnowała, żebyśmy zaczęli się spotykać, ale przez cały czas była diabelnie dyskretna i ani razu nie napomknęła, o co jej tak naprawdę chodzi. — Nagle podniósł głowę; w jego ciemnych oczach malowały się spokój i szczerść. — A ja byłem po prostu naiwny. Przysięgam, że zupełnie zapomniałem o wszystkich obietnicach i umowach. Ponieważ od pierwszej chwili, gdy tylko ją ujrzałem, kiedy nie wiedziałem jeszcze nawet, kim jest, zupełnie straciłem dla Susan głowę.

— Zawsze uważałem — zauważył Timothy — że pani Van Heuten miała dar zbliżania do siebie odpowiednich osób.

— Faktycznie, w naszym przypadku świetnie się spisała. — Hobart uśmiechnął się ironicznie, błyskając białymi zębami. — Może pan sobie wyobrazić moją irytację, kiedy wkrótce po naszym ślubie pani Van Heuten podarowała Susan swoją fotografię w posrebrzanej ramce, mnie zaś wręczyła szczegółowy raport sporządzony przez biuro finansowe Tolfreya, zawierający dokładne informacje na temat rocznych dochodów Susan. Dołączyła do tego uroczy liścik, w którym starannie wyliczyła, w jakiej kwocie brutto zamknie się owe dwadzieścia procent, które byłem jej winien.

W oczach detektywa pojawił się wyraz rozbawienia. — Obawiam się, że pani Van Heuten brakowało poczucia humoru.

— Jeśli o mnie chodzi, pani Van Heuten brakowało praktycznie wszystkiego — odparł Hobart. — Rzecz jasna, zdałem sobie wtedy sprawę, w co się właściwie wplątałem. Klara zaczęła mnie zasypywać listami — najpierw pełnymi słodkich subtelności, później, gdy nie wykazywałem chęci jej splanenia, stopniowo zmieniającymi się w pogrożki. W jednym z nich dała mi do zrozumienia, że wyjawi Susan całą prawdę — nie pozostawiła wręcz co do tego wątpliwości. — Hobart umilkł, po czym dodał spokojnie: — Ale wtedy już za nic miałem jej groźby, bo... sam zdążyłem wyznać Susan prawdę.

Timothy wyglądał na zaskoczonego. — Powiedział pan o wszystkim swojej żonie?

— Owszem. Tak się zresztą dziwnie złożyło, że powiedziałem jej o tym wieczorem w przeddzień otrzymania przez nią telegramu od księżnej. Zachowała się naprawdę wspaniale. Czuję się jak ostatni łajdak, ona jednak... — Hobart popatrzył z powagą na Timothy'ego



— Już raz panu powiedziałem, że ożeniłem się z jedną z najbardziej uroczych kobiet w Ameryce. Nie żartowałem.

— A zatem pańska żona o wszystkim wiedziała, kiedy przyjęła zaproszenie księżnej?

— Zgadza się. Poleciała do Nowego Jorku samolotem o dziesiątej. Tamtego ranka dostałem od Klary wyjątkowo podły list, wzywający mnie do stawienia się w biurze porad literackich. Susan błagała, bym go zlekceważył, ale ja wpadłem we wściekłość. Kiedy Susan wyjechała, postanowiłem złapać samolot o jedenastej i raz na zawsze powiedzieć pani Van Heuten, co może zrobić z naszą umową. A po przylocie do Nowego Jorku...

— Spotkał pan Tolfreya? — wtrącił Timothy.

— Właśnie. Byłem szczerze zachwycony naszym spotkaniem i z wielką przyjemnością wymierzyłem mu cios w szczękę. Żałuję tylko, że nie mogłem zrobić tego samego z Klarą. — Hobart wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Mimo wszystko jestem dżentelmenem. Powiedziałem jej za to bez ogródek, że może mi grozić, ile wlezie, a i tak nie wyciągnie ode mnie ani centa. Na koniec zauważyłem uprzejmie, że dni jej bezkarności są policzone.

— Po czym wyszedł pan od niej i kwadrans po czwartej wsiadł do samolotu lecącego do Winton, co daje panu niezbite alibi — podsumował obojętnym tonem Timothy. — W porządku, panie Hobart. Myślę, że to na razie...

— Johnny!

Detektyw poderwał głowę do góry i zobaczył, że drzwi gabinetu stają otworem, a do środka wpada, niemalże biegnąc, drobna Susan Hobart. Twarz małej milionerki była blada, lecz pełna determinacji. Stała twardo u boku męża i rzuciła Timothy'emu wyzywające spojrzenie.

— Musiałam wejść, panie Trant. Nie wiem, o co podejrzewa pan mojego męża, ale to z pewnością nieprawda.

— Czyżby? — zapytał uprzejmie Timothy.

— On — on mi wszystko wyjaśnił. Wiedziałam o wszystkim, zanim jeszcze księżna przysłała mi tamten telegram. Oczywiście, początkowo wpadłam w rozpacz. Później jednak zrozumiałam, co się tak naprawdę wydarzyło. John nigdy nie był świadomie zamieszany w to... ohydne przedsięwzięcie, panie Trant, przysięgam.

— On sam również mnie o tym zapewnił — odparł Timothy.  
— I wydaje mi się, że pan Trant mi wierzy. — Hobart spojrział na żonę z oddaniem i czułością. — Właśnie mówiłem mu, że nie jestem ciebie godzien. Naprawdę, nie musisz mnie bronić.

— Ależ muszę. — Kobieta z mocą potrząsnęła lokami. — Muszę porozmawiać z panem Trantem — z pewnego powodu. — A zwracając się do detektywa, rzekła: — Oczywiście przeżyłam straszny szok, słysząc, że pani Van Heuten została zamordowana. Widzi pan, przyszła mi wtedy do głowy ta okropna myśl, że... że może mój Johnny... Przecież tak naprawdę pani Van Heuten bardziej skrzywdziła jego niż mnie. Wiedziałam, co Johnny o niej myśli i...

— Podejrzewała pani, że pani mąż mógł zabić panią Van Heuten? — upewnił się Timothy.

— Wcale bym go nie winiła, gdyby rzeczywiście to zrobił — odparła śmiało Susan. — Ale byłam przerażona. Dlatego właśnie zachowałam się tak głupio i... usiłowałam pana przekupić. Teraz już jednak wiem, że ma... doskonale alibi.

Timothy uśmiechnął się szeroko. — W rzeczy samej, pani Hobart. To naprawdę doskonale alibi.

— Jest jeszcze coś. — Susan Hobart uroczyście nachyliła się nad biurkiem, znizając głos do szeptu — tak, jakby nawet w tym momencie onieśmiałą ją bliskość Patrycji Walońskiej. — Księżna już na początku zapowiedziała nam, że... musimy rozwieść się z mężami, bo tylko w ten sposób zdołamy odzyskać naszą godność. — Drobną kobietką uśmiechnęła się przebiegle. — Ale ja wcale nie chcę zachowywać się z godnością. Jedno panu powiem: co to za przyjemność być bogatą, skoro nie można mieć przy sobie mężczyzny, którego się pragnie? Dlatego nie mam zamiaru rozwodzić się z Johnnym.

Oczy Timothy'ego zachmurzyły się lekko, lecz już po chwili wyciągnął do Hobarta otwartą dłoń. — Pozwolę więc sobie jako pierwszy pogratulować bohaterom „Prawdziwych romansów”.

— Dzięki. — Hobart zerknął z niepokojem na zegarek. — O piątej spotykamy się w Ritzu z przyjaciółmi. To kameralna uroczystość...

— O piątej? Jest pan bardzo dokładny, jeśli chodzi o godziny, prawda, panie Hobart? No cóż, myślę, że już wkrótce będziecie państwo mogli odejść. Czy leciecie do Winton dziś wieczorem?

— Myśleliśmy raczej o jutrzejszym samolocie o wpół do dziewiątej rano.

— Na państwa miejscu wybrałbym ten o wpół do pierwszej — to o wiele lepszy samolot. A tak przy okazji, proszę nie zapomnieć, że jesteście już po zmianie czasu na zimowy.

Gdy państwo Hobart wychodzili z gabinetu, detektyw uśmiechnął się pod nosem. Następnie zwrócił się do Bobby'ego Bristola:

— Cóż, Bobby, oto i koniec twojej ciężkiej pracy. Bardzo ci dziękuję. Teraz postaraj się zapomnieć te wszystkie okropności, które tutaj usłyszałeś.

Młody człowiek popatrzył na niego ze zdumieniem. — Chyba nie chcesz powiedzieć, że to już wszystko?

— Niezupełnie. Po prostu podczas następnego przesłuchania będę potrzebował policyjnego stenografa — wyjaśnił łagodnie detektyw. — Tymczasem jednak nie mogę trzymać tu dłużej tych wszystkich ludzi.

Przycisnął guzik i w drzwiach gabinetu stała Madeleine.

— Panno Price, czy mogłaby pani poprosić tu z powrotem państwa Hobart, pana Muira, księżną, Gildę Dawn oraz pannę Kennet? A pani zaczeka na zewnątrz z panią Bristol.

Madeleine znikła, a Bobby spojrział nerwowo na Timothy'ego.

— Słuchaj no, Trant, dlaczego... dlaczego nie wezwałeś jeszcze Helen?

Detektyw nie zdążył odpowiedzieć, ponieważ w tej samej chwili do gabinetu nadciągnął podenerwowany tłumek. Podejrzani zbliżyli się do biurka i stanęli przed nim w niespokojnym rzędzie.

Timothy wziął do ręki stertę zapisanych przez Bobby'ego notatników i z uśmiechem potoczył spojrzeniem po zgromadzonych.

— Cóż — powiedział — chciałbym podziękować wszystkim państwu za współpracę. Na początku obiecałem zniszczyć wszystkie informacje, które nie mają bezpośredniego związku z żadnym z morderstw. Dlatego też każde z was dostanie ode mnie pożegnalny prezent.

— Chce pan powiedzieć, że zostaliśmy oczyszczeni z zarzutów? — zapytała Beatrice z udawaną ulgą w głosie.

— Tak sądzę. — Timothy wydobył spośród swoich notatek pojedynczą kartkę papieru. — Dziś rano przez kilka godzin z matematyczną

dokładnością ustalałem pewne fakty dotyczące tej sprawy. Nie będę zanudzał państwa całością mojego rozumowania, lecz przedstawię jedynie cztery podstawowe warunki, jakie spełnia morderca pani Van Heuten.

Patrząc na kartkę, przeczytał, co następuje:

- (1) Morderca zabił Tolfreya i groził pannie Price, ponieważ bał się czegoś, co Tolfrey wiedział na temat tylnego wejścia do biura pani Van Heuten.
- (2) Kiedy księżna i jej przyjaciółki rozmawiały z panią Van Heuten, ukrywał się w umywalni.
- (3) Zamordował panią Van Heuten pomiędzy godziną kwadrans po czwartej, kiedy to cztery damy opuściły gabinet, a wpół do piątej, kiedy ktoś inny wszedł do gabinetu tylnym wejściem.
- (4) Motywem zabójstwa pani Van Heuten było coś, co miało związek z jej pozaliteracką działalnością.

Odłożył kartkę na biurko i zwrócił się do otulonej w futro Patrycji Walońskiej, która stała wyprostowana niczym struna.

— Księżno, pani i pani towarzyszki weszłyście i wyszłyście głównymi drzwiami. Nie widzę zatem powodu, dla którego miałybyście grozić pannie Price w związku z Tolfreyem i tylnym wejściem. To wyklucza was, jeśli chodzi o pierwszy warunek — a co za tym idzie, także jeśli chodzi o następne warunki z wyjątkiem ostatniego. — Mówiąc to, podał jej stenogram Bobby'ego. — Nie wiem, na ile uda się odcyfrować bazgroły Bobby'ego, domyślam się jednak, że wołałaby się pani tego pozbyć.

Księżna uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Na ustach Beatrice Kennet również zagościł przelotny uśmiech, zaś Gilda Dawn obdarzyła go ciepłym: „To miło z pana strony.”

Następnie Timothy zwrócił się do Dereka Muira:

— Choć może się to wydać dziwne, panie Muir, pańska własna szczerłość wyeliminowała pana z grona podejrzanych. Gdy mniej więcej dwadzieścia po piątej obecne tu cztery damy opuszczały budynek, panna Dawn pozwoliła sobie na pewną uwagę, którą pan przypadkiem usłyszał i powtórzył mi co do słowa. Fakt ten dowodzi, że o godzinie czwartej dwadzieścia, w czasie gdy w przybliżeniu popełnione zostało morderstwo, znajdował się pan na ulicy.

Muir niecierpliwie chwycił podany mu stenogram.

— Całe życie chciałem mieć alibi — powiedział. — Zachowam to na pamiątkę do końca moich dni.

Spojrzenie Timothy'ego spoczęło na Robercie Bristolu. — Ty też możesz zabrać swój stenogram, Bobby. Spośród wszystkich tutaj zgromadzonych byłeś jedynym autentycznym klientem biura porad literackich.

Gdy Bobby odebrał własnoręcznie sporządzony stenogram swojego „przesłuchania”, Timothy zwrócił się do Johna Hobarta, stojącego w zrelaksowanej pozie u boku żony.

— I wreszcie pan, panie Hobart. Obawiam się, że nie mogę wykluczyć pana, jeśli chodzi o żaden z czterech warunków — lecz tak się szczęśliwie składa, że w związku z pana potwierdzoną obecnością na pokładzie samolotu dysponuje pan jakże poręcznym alibi. — Mówiąc to, rzucił mu jego akta. — Na to nic już się nie da poradzić, prawda?

— Rzeczywiście — odparł niewzruszony Hobart. — A więc wszyscy wyszliśmy żywi z Krainy Cieni. Kto w takim razie ponosi odpowiedzialność za przerwanie jakże obiecującej kariery drogiej Klary, naszej sekretnej swatki?

Timothy odpowiedział mu poważnym spojrzeniem. — Muszę jeszcze przesłuchać dwie osoby, panie Hobart. A pan nie chce się chyba spóźnić na to spotkanie w Ritzu. — Po tych słowach skłonił się na pożegnanie, wskazując im drzwi. — Przykro mi się z państwem żegnać, ale nawet najlepsi przyjaciele muszą się kiedyś rozstać.

Niegdysiejsi klienci pani Van Heuten z widocznym ożywieniem zaczęli tłoczyć się w przejściu. Pierwsi opuścili gabinet John i Susan Hobart, za którymi podążył Derek Muir, sprytnie plasując się u boku Gildy Dawn. Beatrice Kennet wyszła sama.

Księżna już zamierzała pójść w ich ślady, gdy Timothy ją zatrzymał.

— Chwileczkę, księżno.

Patrycja Walońska przystanąła przy biurku. — O co chodzi?

— Obawiam się, że ja też pozwoliłem sobie na drobną kradzież. Proszę mnie nie wydać. — Spod sterty notatek detektyw wydobyl oprawioną w ramkę fotografię księcia Walońskiego. — Pomyślałem, że chciałaby to pani mieć.

Księżna wzięła od niego fotografię. Spojrzała najpierw na nią, potem na niego, a następnie zrobiła najbardziej nieoczekiwaną rzecz pod słońcem.

Patrycja Walońska, bez wątpienia najbardziej dystygowana młoda matrona w Nowym Jorku, księżna nad księżnymi, nachyliła się nad biurkiem i pocałowała Timothy'ego w same usta.

— Czy wie pan — powiedziała impulsywnie — że zachował się pan jak... jak fantastyczny gość...?

## 25.

Jedynie Bobby Bristol nie ruszył się z miejsca. Nadal siedział przy biurku, z wyrazem niezwykłej determinacji na swojej wrażliwej, bladej twarzy.

— Lepiej wyjdź razem ze wszystkimi, Bobby — powiedział cicho Timothy.

Młodzieniec odwrócił się ku niemu. — Musisz powiedzieć mi prawdę, Trant. Czy policyjny stenograf ma być obecny przy rozmowie z Helen?

— Niestety tak.

— Nie możesz... nie możesz tego zrobić. — Bobby mówił cicho, lecz stanowczo. — Posłuchaj, nie wiem, co zaraz powiesz, ale przecież innym odpuściłeś. Jej też musisz odpuścić.

— Co przez to rozumiesz?

— Czy ja nie mógłbym zastąpić policyjnego stenografa? Proszę... W końcu Helen nadal jest moją żoną i... Zresztą nigdy by czegoś podobnego nie zrobiła. Ona...

Timothy wolno skinął głową. — Zgoda, Bobby. Możesz zostać. Młody człowiek uśmiechnął się z wdzięcznością i usiadł na krześle, nerwowo obracając w palcach ołówki.

Przyciskając guzik, Timothy wezwał Madeleine.

— Jestem teraz gotów przyjąć panią Bristol, panno Price.

Niemal natychmiast do gabinetu weszła Helen Bristol. Obdarzywszy Bobby'ego przelotnym uśmiechem, zajęła miejsce naprzeciw Timothy'ego, wbijając w niego lodowate spojrzenie swoich zimnych oczu.

— Czy może mi pan wyjaśnić, dlaczego zatrzymał mnie, pozwalając jednocześnie wszystkim innym odejść?

— Przykro mi, że pan Graves musi tak długo obywać się bez pani w wydawnictwie, ale muszę zadać pani kilka pytań.

— Nigdy nie daje pan za wygraną, prawda? — Helen Bristol wyjęła z torebki papierosa i zapaliła.

— Z nas dwojga to *pani* jest naprawdę twardym graczem, pani Bristol. To pani przepowiedziała śmierć pani Van Heuten niecały kwadrans po tym, jak rzeczywiście została zamordowana. Chciałbym prosić panią, aby powiedziała mi, dlaczego przysłała tu pani tamtego popołudnia i nazwała panią Van Heuten głupią i podłą.

— Mam to panu powtórzyć po raz szósty? A może już ósmy? — Młoda kobieta zadziornie wysunęła do przodu podbródek. — Przeczytałam ten wstrętny list, w którym skrytykowała powieść Bobby'ego. Pracuję w branży wydawniczej i wiem, że to okrutne rozpałać w autorze fałszywą nadzieję. Przyszłam tutaj, żeby powiedzieć to pani Van Heuten.

— Czy dobrze ją pani знаła? — spytał niespodziewanie Timothy.

— Prawie wcale — tylko jako niesympatyczną kobietę, z którą musiałam czasem współpracować.

— Nie była z nią pani zaprzyjaźniona?

— Oczywiście, że nie.

— Ale gdyby niespodziewanie zjawiła się pani w jej gabinecie, pani Van Heuten nie byłaby zaskoczona, prawda? Pomyślałaby, że odwiedziła ją pani w jakiejś sprawie służbowej związanej z, hm, panem Gravesem i wydawnictwem Saltera...

— Nie rozumiem, do czego pan zmierza — odparła Helen Bristol.

— Pytam, czy Klara byłaby zdziwiona, widząc panią u siebie?

— Raczej nie.

— Świetnie. — Timothy odwrócił się za siebie, wskazując ukryte za parawanem tylne wejście. — A czy nie byłaby zdziwiona, gdyby weszła pani przez te drzwi?

— O co panu...? — zaczęła Helen niepewnie.

— Przestań! — W oczach Bobby'ego odmalowały się szok i oburzenie. — To nieprawda, Trant. Dobrze wiesz, że Helen nie wiedziała o istnieniu tylnego wejścia.

— Obawiam się, że się mylisz, Bobby. Pani Bristol, czy to prawda, że wasze wydawnictwo mieściło się kiedyś dokładnie pod nami — w pomieszczeniach piętro niżej, wynajmowanych obecnie przez amerykańsko-japońską spółkę handlującą sztucznym jedwabiem?

— Tak.

— I że tamto biuro — ciągnął Timothy — jako jedyne w budynku posiada dokładnie takie samo tylne wejście? Nie trzeba było szczególnej pomysłowości z pani strony — ani ze strony któregośkolwiek z pracowników wydawnictwa — aby domyślić się, że do biura porad literackich prowadzi taka sama droga.

— Ale...

— Uspokój się, Bobby, sama dam sobie radę. — W głosie Helen Bristol zadźwięczała stal. — Co skłoniło pana do poczynienia tych jakże odkrywczych uwag, panie Trant?

— Chciałem po prostu udowodnić, że mogła pani dostać się do tego gabinetu tylnym wejściem.

— A dlaczego chciał pan tego dowieść?

— Ponieważ posłużyła się pani tym wejściem po południu w dniu śmierci pani Van Heuten.

Helen pogardliwie odrzuciła głowę do tyłu. — Domyślam, że zaprzeczanie temu na nic się nie zda?

— Absolutnie na nic.

— Jeżeli sugeruje pan, że zamordowałam panią Van Heuten, to na miłość boską, niech mi pan powie, jaki miałam po temu powód? Chyba nie sądzi pan, że zabiłam ją, bo... bo nieuprzejmie wypowiedziała się o powieści Bobby'ego?

Timothy pochylił się nad biurkiem i odparł, zniżając głos: — W jaki sposób poznała pani Bobby'ego, pani Bristol?

— Już panu mówiłam. Był... był klientem biura porad literackich. Oficyna Saltera wydawała jego pierwszą książkę. Zaglądał do nas na dół i...

— Innymi słowy, poznała go pani poprzez panią Van Heuten?

— Można tak powiedzieć. Ale jakie to ma znaczenie?

— Dla pani miało to ogromne znaczenie, pani Bristol. — Timothy patrzył na nią nieubłaganym wzrokiem. — Niestety, tak się pechowo złożyło, że zawarłszy z panią Van Heuten umowę, zgodnie z którą miała ona znaleźć pani bogatego męża, trafił się pani jedynie



biedny Bobby, który zaledwie kilka miesięcy po ślubie z panią stracił cały swój majątek.

Helen Bristol poruszyła się gniewnie na krześle. — To kłamstwo.

— Zaprzecza pani, że to pani Van Heuten zaaranżowała wasze małżeństwo z Bobbym?

Bristol patrzył teraz na żonę szeroko otwartymi oczyma, w których malowało się coraz większe przerażenie. Przez chwilę Helen Bristol siedziała całkiem nieruchomo. Po czym wybuchła:

— Nie, nie zaprzeczam. Zaprzeczam jednak pańskim ohydnymsynsuacjom. Pani Van Heuten była w pewien sposób odpowiedzialna za to, że się z Bobbym poznaliśmy. Po ślubie rzeczywiście usiłowała mnie w podły sposób szantażować. Wtedy jednak nie rozumiałam jeszcze, o co jej właściwie chodzi. Nie zawierałam z nią przecież żadnej umowy. — Kobieta zaśmiała się szorstko. — Dobry Boże, sądzi pan, że potrzebowałam pomocy takiej starej wiedźmy jak pani Van Heuten, żeby wyjść za mąż?

— Nie — przyznał Timothy. — Wcale tak nie uważam. Jestem też gotów uwierzyć, że nieświadomie wplątała się pani w tę aferę, pani Bristol.

— Więc dlaczego pan to u diabła wywleka — i to w obecności Bobby'ego...? — Twarz Helen Bristol płonęła. — Nie wyszłam za Bobby'ego dlatego, że był synem bogatego człowieka. Wyszłam za niego, bo był mi bliski.

— A jednak — mruknął Timothy — poprosiła go pani o rozwód niemal natychmiast po tym, jak dowiedziała się pani, że niczego nie odziedziczy.

— To cholerne kłamstwo! Odeszłam od Bobby'ego, bo nasze małżeństwo było nieudane i ponieważ... ponieważ zakochałam się w innym mężczyźnie. Co to zresztą może pana obchodzić? Chyba nie wierzy pan, iż zamordowałam panią Van Heuten tylko dlatego, że... że oczekiwała ode mnie czegoś w rodzaju prowizji od mojego małżeństwa z Bobbym.

Timothy nie spuszczał z niej wzroku. — Ale przecież nie zapłaciła jej pani, prawda, pani Bristol?

— Ja miałabym jej zapłacić! — prychnęła wzgardliwie Helen. — Na miłość boską, niech pan będzie poważny!

— Tak też przypuszczałem. — Timothy mówił teraz bardzo cicho. — Pytała mnie pani o ewentualny motyw, jaki mogłaby pani mieć, aby zamordować panią Van Heuten. Sądzę, że znalezienie go powinno być stosunkowo łatwe. Mam wrażenie, że w rozmowach ze mną była pani dosyć prawdomówna, pani Bristol, skłamała pani jednak w jednej ważnej kwestii — mówiąc o rozmowie telefonicznej, jaką odbyła z nią pani tamtego popołudnia, gdy Bobby był tutaj, w biurze porad literackich.

— Mówiłem ci przecież, że nie rozmawiały o niczym... ważnym — wtrącił słabym głosem Bobby. — Byłem tutaj. Wszystko słyszałem. Po prostu... rozmawiały o interesach.

— O twoim honorarium za pierwszą książkę, zgoda — przytaknęła Timothy. — Mam wszelkie powody, aby przypuszczać, że pani Van Heuten właśnie takich słów użyła. Zawsze była niezwykle taktowna. Ale to nie honorarium za *książkę* miała na myśli, prawda, pani Bristol?

Helen popatrzyła na niego ze wściekłością. — O co panu chodzi?

— Przypuśćmy, że mówiąc o zaległym honorarium za ostatnią powieść Bobby'ego, pani Van Heuten miała na myśli prowizję, jaką spodziewała się od pani otrzymać w zamian za zaaranżowanie pani małżeństwa z Bobby'm. Przypuśćmy, iż dowiedziała się od Bobby'ego, że zamierza pani poślubić Gravesa — czyż nie dostrzegłaby w tym doskonałej szansy, aby wydobyć od pani pieniądze, które — jak uważała — była jej pani dłużna? Bobby stracił cały majątek. Jako jego żona, nie byłaby pani w stanie spłacić długu, nawet gdyby pani chciała. Lecz pan Graves, będąc znanym wydawcą, jest prawdopodobnie całkiem zamożnym człowiekiem. Wychodząc za niego, mogłaby pani uregulować dług, jaki zaciągnęła pani u niej w związku ze swoim pierwszym małżeństwem.

Detektyw pochylił się gwałtownie do przodu. — To właśnie sugerowała podczas tamtej rozmowy pani Van Heuten, prawda? Bardzo dyskretnie dała pani do zrozumienia, że jeśli nie zgodzi się pani jej zapłacić, powie panu Gravesowi, w jaki sposób zawarła pani swoje pierwsze małżeństwo.

— Jeżeli nawet, to i tak nie miało to dla mnie żadnego znaczenia — rzuciła Helen, wzburzona. — Zresztą... sama zamierzałam powiedzieć o wszystkim Larry'emu.

— Nie wątpię — odparł Timothy. — Lecz nawet jeśli rzeczywiście tak było, telefon pani Van Heuten musiał panią rozwścieczyć i trochę przestraszyć. Dowiadując się wszystkiego od pani, pan Graves mógłby okazać wyrozumiałość. Ale pani Van Heuten z pewnością przedstawiłaby mu całą sprawę w odpowiednich barwach. Groźba, którą usłyszała pani przez telefon, mogła stanowić o wiele wiarygodniejszy motyw dla złożenia wizyty w biurze porad literackich niż ten, przy którym pani do tej pory obstawała. Mogła też stanowić bardzo silny motyw zabójstwa Klary Van Heuten.

Helen zacisnęła usta. Milczała.

— Niewykluczone zresztą — mruknął Timothy — że udałoby się pani uniknąć kary za morderstwo, pani Bristol, gdyby nie wróciła pani do biura jeszcze raz — tym razem frontowym wejściem — i nie próbowała odwrócić od siebie podejrzeń, ogłaszając sekretarce ową sensacyjną przepowiednię. To już było odrobinę za sprytne.

Helen Bristol zerwała się z miejsca. Jej zielone oczy płonęły niebezpiecznym blaskiem.

— Mogę tylko powiedzieć, że wszystko, co pan powiedział, to stek ohydnych, podłych kłamstw. Nie zamordowałam pani Van Heuten. A jeśli... jeśli ma pan jeszcze jakieś pytania, odpowiem na nie dopiero po rozmowie z adwokatem.

— Myślę, że to bardzo rozsądne z pani strony, pani Bristol.

W grobowej ciszy, jaka po tych słowach zapadła, Timothy nacisnął przycisk na biurku. Gdy w drzwiach stała Madeleine, odezwał się cichym głosem:

— Niech pani będzie tak dobra i poprosi czekającego przed frontowym wejściem policjanta, żeby tutaj przyszedł.

Po kilku sekundach do gabinetu wszedł potężnie zbudowany osobnik o znudzonym wyrazie twarzy. Timothy wskazał mu panią Bristol.

— Joe, obecna tutaj dama chciałaby skontaktować się ze swoim adwokatem. Dotrzymasz jej towarzystwa. Domyślam się też, że będzie chciała spotkać się z niejakim panem Gravesem z wydawnictwa Saltera. A jeżeli pan Graves wyrazi taką chęć, może z nią tutaj przyjść.

— Jasne.

Joe przeszedł przez pokój i stanął naprzeciwko Helen, wpatrując się w nią obojętnym wzrokiem. Kredowo blada i zdeterminowana, ruszyła wraz z nim do wyjścia.

— Helen...! — za jej plecami rozległ się okrzyk Bobby'ego.

Helen Bristol odwróciła się, posłała mężowi blady uśmiech i już jej nie było.

Przez kilka chwil Bobby i Timothy siedzieli w milczeniu.

— Przykro mi, Bobby — odezwał się wreszcie detektyw. — Ale próbowałem cię ostrzec.

Młody człowiek miał zapadnięte policzki. — To... to jest zbyt okropne, Trant. Nie mogę w to uwierzyć.

— Jakoś to przebolejesz. — Timothy wstał z krzesła. — A teraz lepiej stąd zmykaj. Mam jeszcze coś do załatwienia z panną Price i...

— Zaczekaj! — Bobby również się podniósł. W jego oczach roz-  
błysło podniecenie. — Ale Helen jest niewinna!

Timothy uśmiechnął się odrobinę sceptycznie. — Obawiam się, że nie znasz jeszcze połowy dowodów, jakie mam przeciwko niej.

— Mam gdzieś dowody. — Nigdy dotąd Timothy nie widział, aby jego przyjaciel z dzieciństwa był tak ożywiony i pewny siebie. — Znam Helen. To moja żona i... może uznasz mnie za wariata, ale ja nadal ją kocham. Może nieświadomie dała się wciągnąć pani Van Heuten w te jej brudne interesy, ale wiem, że nigdy nie mogłaby nikogo zabić. I... mogę to udowodnić.

— Jakim sposobem, Bobby?

— A kiedy pani Hobart słyszała ten szelest za parawanem?

— Na krótko po wejściu do gabinetu.

— Tak też myślałem. — Oczy Bobby'ego błyszczały. — W takim razie chyba wiem, kto naprawdę zabił panią Van Heuten. Domyślam się, że... że mi nie wierzysz, ale — cóż, przysięgam ci, że mam pewien pomysł, który jak ulał pasuje do twoich notatek ze śledztwa.

— Kogo zatem podejrzewasz?

— Kogoś spoza kręgu podejrzanych, kto nie pojawił się dotąd w tej sprawie. Proszę cię, daj mi szansę. — Młody człowiek chwycił Timothy'ego za rękaw. — Pozwól mi tutaj zostać, pozwól mi spróbować rozgryźć tę sprawę, zanim... zanim aresztujesz Helen.

Przez chwilę detektyw stał niezdecydowany. Potem odwrócił się gwałtownie.

— Zgoda, Bobby. Masz czas do jej powrotu. Jeśli mam być szczery, myślę, że masz jedną szansę na tysiąc, żeby dowieść jej niewinności, ale... — Mówiąc to, wskazał leżące na biurku papiery. — Masz tutaj wszystkie moje notatki i maszynę do pisania. Zobaczmy, co uda ci się wymyślić. A ja tymczasem porozmawiam z panną Price.

Zostawił Bobby'ego w gabinecie, gorączkowo przerzucającego dokumenty i przeszedł do sekretariatu. Promienie zachodzącego słońca padały przez okno na ciemne włosy Madeleine, uwydatniając frapujący zarys jej profilu.

— No i cóż, panie Trant — odezwała się, widząc go. — Czy naprawdę zdołał pan rozwiązać tę zagadkę?

Timothy opadł na krzesło obok niej. — Tak sędzę, panno Price. Bobby podjął ostatnią, heroiczną próbę zrobienia ze mnie głupca. Ale nie wierzę, że mu się powiedzie.

— A więc to pani Bristol! — Madeleine pokręciła głową. — Nie wiem, rzecz jasna, dlaczego to zrobiła. Ale to takie straszne.

— Moja droga panno Price, każde morderstwo jest czymś strasznym — odparł Timothy.

Przez chwilę obydwójce milczeli. W sąsiednim pomieszczeniu Bobby zaczął pisać na maszynie. Słyszeli słaby odgłos szybkich uderzeń w klawisze.

— Cóż, panno Price, wróćmy zatem do naszej drugiej zagadki — mruknął Timothy. — Czy zapoznała się pani z tym wycinkiem z gazety? Czy w dniu feralnego wypadku samochodowego Madeleine Price zamierzała uciec ze swoim szwagrem?

— Zamierzałam. — Twarz Madeleine była bardzo blada, a jej ryśy ściągnięte. — Teraz już mogę powiedzieć panu prawdę. Wiem, że to było okropne z mojej strony, ale... wszystkie pana podejrzenia są prawdziwe.

Timothy wyprostował się na krześle. — Naprawdę? Madeleine przytaknęła. — Teraz wszystko to wydaje mi się złym snem. Gilbert był szalony, myśląc, że zakochał się we mnie po ślubie z Louise. Ja zaś byłam podła, godząc się na wspólny z nim wyjazd. — Kobieta zwróciła się ku niemu; w jej oczach pałał gniew. — Przysięgam jednak, że wtedy jeszcze nie wiedziałam tego o Louise. On... powiedział mi o tym dopiero, gdy już byliśmy w drodze. Dlatego przesiadłam się na jego miejsce i zawróciłam. Wściekł się i próbował odebrać mi kierownicę. Wtedy to się stało... Mielśmy wypadek. — Popatrzyła w dół

na swoje dłonie. — Kiedy dowiedziałam się o Louise, zrozumiałam, jaka byłam głupia i okrutna.

Timothy wyglądał na całkowicie zbitego z tropu. — Czego się pani dowiedziała o Louise?

— Jak to czego? Tego, że jest w ciąży — to chyba oczywiste.

Przez kilka sekund Timothy wpatrywał się w nią nic nierozumiejącym wzrokiem, po czym zaśmiał się cicho.

— A więc *taka* była przyczyna wypadku.

— Ale przecież... Myślałam, że sam pan się tego domyślił!

— Moja droga panno Price, nie doceniła pani mojej chorej wyobraźni. Znalazłem zupełnie inne wytłumaczenie tej historii.

— Jakie? Co pan podejrzewał? Coś gorszego?

— Coś znacznie gorszego, panno Price. Bardzo sprytnie wymyśliłem sobie, że jest pani morderczynią. Myślałem, że z premedytacją zabiła pani swojego szwagra.

Madeleine dosłownie opadły ręce. — Ale... dlaczego?

— Wydedukowałem to, widząc pani przywiązanie do siostrzenicy. Myślałem, że... jest pani matką Elaine.

Dziewczyna zerwała się z krzesła. Na moment w jej oczach zapłonęło święte oburzenie. — Podejrzewał pan, że jestem nie tylko morderczynią, ale i... samotną matką?

Timothy uśmiechnął się szeroko. — W tym właśnie tkwił pani urok.

— A niech mnie.

— Proszę mi wierzyć — dodał detektyw, wstając — że rumienię się aż po cebulki włosów.

Stali teraz bardzo blisko siebie. Ciszę mącił jedynie dobiegający z gabinetu słaby stukot maszyny do pisania.

— Pamięta pan przecież — odezwała się cicho Madeleine — powiedziała panu, że to ja jestem winna śmierci Gilberta. Dlatego... postanowiłam poświęcić swoje życie Louise i Elaine. Żeby im to wynagrodzić.

Timothy nie odpowiedział.

— No cóż — rzekł po chwili. — Wkrótce albo Bobby, albo ja doprowadzimy tę sprawę do końca. To znaczy, że między nami wszystko skończone. Nie będzie więcej wspólnych wycieczek samolotem...

— Ani kupowania czerwonych kapeluszy — dodała niespodziewanie Madeleine.

Timothy odwrócił się ku niej z wolna.

— Wie pani, panno Price, tyle razem przeszliśmy, ja zaś obraziłem panią na wszystkie możliwe sposoby. Mam wrażenie, że istnieje tylko jedno honorowe wyjście z tej sytuacji. Czy przypadkiem nie miałyby pani ochoty wyjść za mnie za mąż?

Madeleine spojrzała na niego lekko zaskoczona. — Dobry Boże... nie.

— Tak też podejrzewałem. — Timothy ze smutkiem pokręcił głową. — Od początku obawiałem się, że gwiazdy nam nie sprzyjają. To najgorsze w pracy policjanta — przywiązuje się do swoich podejrzanych, lecz oni nigdy nie przywiązują się do niego.

## 26.

Na dobrych kilka chwil Timothy zapomniał o skomplikowanej sprawie morderstwa pani Van Heuten i jej jak dotąd wciąż niepewnym zakończeniu. Wrócił jednak prędko do rzeczywistości, widząc otwierające się drzwi biura i wchodzącego przez nie policjanta w cywilu, za którym podążały dwie osoby: pobladła, lecz wciąż bojowo nastawiona Helen Bristol oraz potężny, wielce wzburzony Larry Graves. Bez płaszcza i kapelusza znany wydawca jeszcze bardziej przypominał mistrza boksu wagi ciężkiej, gotowego wkroczyć na ring.

Timothy skinieniem dał znak policjantowi, żeby zaczekał na zewnątrz. Graves tymczasem zmierzył go wściekłym wzrokiem.

— Co pan sobie wyobraża, do diabła?

— Przyznałem jedynie rację pani Bristol, gdy powiedziała, że może potrzebować adwokata — odparł spokojnie detektyw.

Graves prychnął z pogardą. — W takim razie zapewne ucieszy pana wiadomość, że wynająłem samego Willarda Smythe'a — najlepszego prawnika w Nowym Jorku. Będzie tu za chwilę. Jeżeli więc zamierza pan zrobić z siebie kompletnego idiotę, jest pan na jak najlepszej drodze.

— To tylko pańskie zdanie. — Rozbrajająco uprzejmym gestem Timothy wskazał przybyłym krzesła. — Obawiam się, że musimy poczekać na pana Smythe'a, zanim będę mógł zadać pani Bristol kilka dodatkowych pytań. Tymczasem proszę się rozgościć.

Młoda kobieta usiadła, ze zmęczeniem dając znak Gravesowi. — Na razie róbmy to, co on każe, Larry. Nie warto się sprzeciwiać.

— Owszem, warto. Jeżeli ten świeżo upieczony policjancik z Princeton myśli, że uda mu się zrobić cię w to morderstwo...

Timothy z uśmiechem zwrócił się do Helen. — Powinno pani pochlebiać, że ma pani tylu wiernych sobie obrońców, pani Bristol. — Ruchem głowy wskazał drzwi do gabinetu. — Bo w tej chwili jest tam Bobby. Ma całkiem odmienny pogląd na tę sprawę i właśnie robi, co może, aby udowodnić mi, że mylę się co do pani. — Spojrzał na Gravesa i w jego spojrzeniu pojawiła się lekka kpina. — I coś mi mów, że pani mąż może okazać się o wiele bardziej pomocny niż pan Graves i jego drogi prawnik razem wzięci.

— Ale niby co...? — zaczęła kobieta.

Urwała, ponieważ drzwi gabinetu otworzyły się na oścież i Bobby wpadł jak burza do sekretariatu. Włosy prawie stały mu dęba na głowie, a w jego oczach lśnił triumf. Wcisnął Timothy'emu w dłonie plik zapisanych na maszynie kartek.

— Proszę bardzo — zawołał. — Może i jestem marnym pisarzem, ale chyba całkiem niezły ze mnie detektyw. Znajdź w tym jakieś nieścisłości, jeśli potrafisz.

Ruszył impulsywnie w stronę Helen, lecz na widok Gravesa przystanął i zachmurzył się.

Timothy w zamyśleniu przeglądał kartki maszynopisu. Wreszcie podniósł wzrok.

— Przejdźmy do gabinetu — powiedział — i wyjaśnijmy sobie wszystko raz na zawsze.

Helen i Graves spojrzeli niepewnie na Bobby'ego. W milczeniu wstali i podążyli za nim i detektywem do gabinetu pani Van Heuten. Po krótkiej chwili wahania Madeleine poszła w ich ślady.

Timothy ponownie zajął miejsce za biurkiem. Bobby w wielkim napięciu nie odstępował go ani na krok.

— Wszystko to jest wbrew wszelkim procedurom, pani Bristol — odezwał się detektyw. — Wygląda na to, że Bobby znalazł nowego podejrzanego w tej sprawie. Jeśli to, co powie, będzie przekonujące, jestem gotów zmienić zdanie. — Przeniósł baczne spojrzenie na Gravesa. — Czy chce pan wysłuchać tego, zanim zjawi się pański adwokat?

Graves sprawiał wrażenie skrępowanego obecnością Bobby'ego i



swoją własną dwuznaczną pozycją.

— Bóg jeden wie, o co w tym wszystkim chodzi, ale jeśli policja musi zachowywać się jak objazdowy cyrk...

— Doskonale. — Timothy podał Madeleine maszynopis Bobb'y'ego. — Panno Price, będzie pani tak dobra i przeczyta to jako jedyna bezstronna osoba w tym towarzystwie?

Madeleine wyglądała na zaskoczoną. Bobby zapalił papierosa i zaczął się nerwowo przechadzać po pokoju. Helen i Graves siedzieli w milczeniu.

Sekretarka położyła papiery przed sobą na biurku i zaczęła czytać bezbarwnym, pozbawionym wyrazu głosem:

— „NIE MAM WIELE CZASU, TRANT, I PRAWDOPODOBNIENIE BĘDZIE TO WSZYSTKO MOCNO ZAGMATWANE, ZAMIERZAM CI JEDNAK UDOWODNIĆ, ŻE HELEN W ŻADNYM WYPADKU NIE MOGŁA ZAMORDOWAĆ PANI VAN HEUTEN.

CAŁE TWOJE ROZUMOWANIE OPIERA SIĘ NA MOTYWIE, PRAWDA? TWIERDZISZ, ŻE PANI VAN HEUTEN SZANTAŻOWAŁA HELEN, GROŻĄC JEJ, ŻE POWIE GRAVESOWI O ZAARANŻOWANYM MAŁŻEŃSTWIE ZE MNĄ, JEŚLI HELEN NIE ZGODZI SIĘ ZAPŁACIĆ ZA JEJ MILCZENIE PIENIĘDZMI SWOJEGO DRUGIEGO MĘŻA. TAKI JEST MOTYW, PRZY KTÓRYM OBSTAJESZ, PRAWDA? OTÓŻ WIEDZ, ŻE TO NIE JEST ŻADEN MOTYW. UDOWODNIĘ CI TO NA PODSTAWIE TWOJEGO WŁASNEGO ROZUMOWANIA.

TWIERDZISZ, ŻE MORDERCA BYŁ W ŁAZIENCIE W CZASIE, GDY KSIĘŻNA I JEJ PRZYJACIÓŁKI ROZMAWIAŁY W GABINECIE Z PANIĄ VAN HEUTEN. UMYWALNIĘ DZIELI OD BIURKA ZALEDWIE KILKA KROKÓW. MORDERCA Z PEWNOŚCIĄ SŁYCHAŁ WSZYSTKO, CO ZOSTAŁO TUTAJ POWIEDZIANE. GDYBY MORDERCĄ BYŁA HELEN, ZROZUMIAŁABY, ŻE DLA PANI VAN HEUTEN GRA SIĘ SKOŃCZYŁA. PO KONFRONTACJI Z KSIĘŻNĄ BYŁA BEZRADNA. NIE MOGŁABY POWIEDZIEĆ PRAWDY ANI GRAVESOWI, ANI MNIE, ANI NIKOMU INNEMU. NIE MOGŁABY JUŻ OD NIKOGO WYLUDZIĆ ZŁAMANEGO CENTA. TO PODPISANE PRZEZ NIĄ OŚWIADCZENIE ZWIĄZAŁOBY JEJ RĘCE. A ZATEM, BEZ WZGLĘDU NA TO, JAK BARDZO HELEN PRAGNĘŁA ŚMIERCI PANI VAN HEUTEN PRZED SWOJĄ WIZYTĄ W BIURZE PORAD LITERACKICH, TERAZ, PO WYSŁUCHANIU Z UKRYCIA WSZYSTKIEGO, CO MIAŁA DO POWIEDZENIA KSIĘŻNA, NIE MIAŁA POWODU JEJ ZABIJAĆ...” —

Widzisz, Trant? — wtrącił prędko Bobby. — Czy to nie logiczne?

— Bardzo logiczne, Bobby. Ale jestem bardzo ciekaw, co będzie dalej.

Helen słuchała w napięciu, wpatrując się w Bobby'ego z niewypowiedzianą wdzięcznością. Graves odchylił się do tyłu na krześle, wyglądając na nieco zaskoczzonego.

— Czy mam czytać dalej? — spytała Madeleine.

Timothy skinął głową.

— „BĘDĘ Z TOBĄ CAŁKIEM SZCZERY, TRANT. PRYZNAJĘ, ŻE Z WIELKĄ SATYSFAKCJĄ ODDAJĘ W TWOJE RĘCE CZŁOWIEKA, KTÓRY — JAK UWAŻAM — NAPRAWDĘ ZAMORDOWAŁ PANIĄ VAN HEUTEN ORAZ DANE'LA TOLFREYA. MOŻE JESTEM TROCHĘ STAROŚWIECKI, ALE TRUDNO MI ODCZUWAĆ SYMPATIE WOBEC KOGOŚ, KTO UWIÓDŁ MOJĄ ŻONĘ. PRAWDĘ MÓWIĄC, MYŚLĘ, ŻE CHYBA GO NIENAWIDZĘ. JEDNAK NIE JEST TO POWÓD, DLA KTÓREGO GO OSKARŻAM.

OSKARŻAM GO, PONIEWAŻ WIEM, ŻE JEST WINNY...”

Graves poruszył się niespokojnie na swoim krześle. W jego oczach pojawiła się czujność.

— „SPRÓBUJĘ ODTWORZYĆ WSZYSTKO TAK, JAK TO MOIM ZDANIEM WYGLĄDAŁO. DOBRY BOŻE, NIECH MÓJ POŻAŁOWANIA GODNY TALENT PISARSKI WRESZCIE SIĘ NA COŚ PRZYDA. WIDZĘ, GDZIE SIĘ TO WSZYSTKO ZACZEŁO — W WYDAWNICTWIE SALTERA, PO POŁUDNIU W DNIU MORDERSTWA. SIEDZIMY RAZEM: HELEN, JA, NO I GRAVES. HELEN JEST WŚCIEKŁA Z POWODU TELEFONU PANI VAN HEUTEN. MÓWI, ŻE MUSI SIĘ Z NIĄ NATYCHMIAST ZOBACZYĆ.

ZDENERWOWANA WYBIEGA, ZOSTAWIAJĄC MNIE I GRAVESA.

WYCHODZĘ ZARAZ ZA NIĄ, ALE WIDZĘ JESZCZE WYRAZ TWARZY GRAVESA. WIDZĘ, ŻE JEST CZYMŚ ZMARTWIONY, ZDENERWOWANY. A JA WIEM CZYM. KOCHA HELEN — TAK JAK JA JĄ KOCHAM. I CHOCIAŻ NIE WIE, Z JAKIEGO POWODU HELEN JEST WŚCIEKŁA NA PANIĄ VAN HEUTEN, WIE, ŻE JEST PORYWCZA, ZDOLNA DO NIEPRZEMYŚLANYCH DZIAŁAŃ. NIE CHCE, ŻEBY SAMA SPOTKAŁA SIĘ Z PANIĄ VAN HEUTEN. BOI SIĘ TEGO, CO MOGŁABY JEJ POWIEDZIEĆ. PRZEZ CHWILĘ ZASTANAWIA SIĘ, CZYBY ZA NIĄ NIE POBIEC I NIE SPRÓBOWAĆ JEJ ZATRZYMAĆ. ALE UZNAJE, ŻE TYLKO BY SIĘ WYGŁUPIŁ. NAGLE PRZYPOMINA SOBIE DAWNE BIURO WYDAWNICTWA I TO, ŻE PROWADZIŁO DO NIEGO TYLNE WEJŚCIE. PRZYPOMINA SOBIE, ŻE DO BIURA PORAD LITERACKICH TAKŻE PROWADZI TYLNE WEJŚCIE. TO IDEALNA DROGA, ABY DOSTAĆ SIĘ NIEZAUWAŻONYM DO BIURA — I BYĆ W POGOTOWIU NA WYPADEK, GDYBY HELEN PRZYSZŁO DO GŁOWY ZROBIĆ COŚ PORYWCZEGO. MOŻESZ GO UZNAĆ ZA GŁUPCA, ALE NIE ZAPOMINAJ, ŻE JEST ZAKOCHANY. ZAKOCHANY CZŁOWIEK CZĘSTO

ZACHOWUJE SIĘ JAK GŁUPIEC. SAM WIEM TO NAJLEPIEJ. IDZIE WIĘC POSPIESZNIE DO BIURA PORAD LITERACKICH I Z ŁATWOŚCIĄ DOSTAJE SIĘ TYLNYM WEJŚCIEM DO PRZYLEGAJĄCEJ DO GABINETU UMYWALNI. WSPOMNIAŁEM, ŻE NIENAWIDZĘ GRAVESA, ALE MUSZĘ MU ODDAĆ SPRAWIEDLIWOŚĆ. NIE SĄDZĘ, ABY JUŻ WTEDY NOSIŁ SIĘ Z ZAMIAREM ZAMORDOWANIA PANI VAN HEUTEN...”

Bobby, spięty i milczący, nie przestawał nerwowo przechadzać się po gabinecie. Był to dziwny widok. Graves sprawiał wrażenie, jakby zdumienie odebrało mu mowę. Helen ukryła twarz w dłoniach i patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem, podczas gdy Madeleine czytała dalej, wolno i wyraźnie:

— „WYOBRAŹ GO SOBIE W TAMTEJ CHWILI — UKRYTEGO W UMYWALNI. ZZA DRZWI DOBIEGA GO KOBIECY GŁOS — BYĆ MOŻE PODNIESIONY I ZDENERWOWANY. GŁOS TEN JEDNAK NIE NALEŻY DO HELEN. Z ROSNĄCYM ZDUMIENIEM SŁUCHA, JAK KSIĘŻNA WALOŃSKA OSKARŻA PANIĄ VAN HEUTEN O PODŁY HANDEL ŻONAMI I MĘŻAMI. JEST ZSZOKOWANY, LECZ NIE BIERZE TEGO DO SIEBIE. TO, CO SŁYSZY, NIE MOŻE MIEĆ Z NIM NIC WSPÓLNEGO — ANI Z HELEN. A JEDNAK... ZARAZ, ZARAZ, TO MOGŁOBY WYJAŚNIĆ PEWNE SPRAWY ZWIĄZANE Z HELEN I ICH ZWIĄZKIEM, KTÓRYCH DOTĄD NIE ROZUMIAŁ. JEJ GORYCZ, GDY MÓWIŁA O PANI VAN HEUTEN, DROBNE ALUZYJE, RZUCANE BYĆ MOŻE PRZEZ SAMĄ PANIĄ VAN HEUTEN. NAGLE DOCIERA DO NIEGO STRASZNA PRAWDA. DOBRY BOŻE, CZYŻBY TO DLATEGO HELEN WYSZŁA ZA BOBBY’EGO BRISTOLA, TEGO BEZNADZIEJNEGO, NIEUDOLNEGO NIBY-GENIUSZA? I... I DLATEGO PORZUCIŁA GO, KIEDY STRACIŁ CAŁY MAJĄTEK? CZY TO MOŻLIWE, ŻE Z TEGO SAMEGO POWODU USIŁUJE TERAZ ZWIĄZAĆ SIĘ Z NIM, ODNOSZĄCYM SUKCESY WYDAWCĄ? HELEN, KOBIETA, KTÓRĄ KOCHA, KOBIETA, KTÓRĄ UWAŻA ZA IDEAL, OKAZUJE SIĘ BYĆ POZBAWIONA SKRUPUŁÓW I ZEPSUTA. INTERESUJĄ JĄ TYLKO PIENIĄDZE. TO PO PROSTU NIEWIARYGODNE. JEDNAK KOCHANEK RÓWNIE ŁATWO WIERZY W TO, CO NAJGORSZE, JAK W TO, CO NAJLEPSZE.

CZY WIDZISZ GO, CZEKAJĄCEGO W UMYWALNI, AŻ KSIĘŻNA SKOŃCZY MÓWIĆ — SKOŃCZY GO TORTUROWAĆ? TERAZ KAŻDE SŁOWO, KTÓRE ONA WYPOWIADA, DOTYCZY RÓWNIEŻ HELEN. STOI TAM, SKULONY PRZY DRZWIACH, NIENAWIDZĄC PANI VAN HEUTEN BARDZIEJ, NIŻ KOGOKOLWIEK W SWOIM ŻYCIU. W TYM RÓWNIEŻ JEST PEWNA LOGIKA — ZWARIOWANA LOGIKA ZAKOCHANEGO. ZAMIAST POGARDZAĆ HELEN, POGARDZA KOBIETĄ, KTÓRĄ JĄ ZDEPRAWOWAŁA, SKUSIŁA DO WZIĘCIA UDZIAŁU W SWOICH BRUDNYCH MATACTWACH. TO PANI VAN HEUTEN JEST

KOBIETĄ, KTÓRĄ PRAGNIE W TEJ CHWILI ZAMORDOWAĆ...”

W gabinecie panowała teraz niczym niezmacona cisza. Nawet Bobby przestał nerwowo się przechadzać. Stał pod ścianą, z oczyma utkwionymi w podłogę, a jego oddech stał się szybki i urywany.

— „KSIĘŻNA I JEJ TOWARZYSZKI POWIEDZIAŁY JUŻ WSZYSTKO, CO MIAŁY DO POWIEDZENIA. BLEFUJĄC, POBIŁY PANIĄ VAN HEUTEN JEJ WŁASNĄ BRONIĄ. WYCHODZĄ, ZOSTAWIAJĄC JĄ, ZASTRASZONĄ, ŻEBY NAPISAŁA OŚWIADCZENIE. WYCHODZĄ. TERAZ NIC JUŻ NIE POWSTRZYMUJE GRAVESA PRZED TYM, ABY WEJŚĆ... ABY WEJŚĆ I... MAM TĘ SCENĘ WYRAŹNIE PRZED OCZYMA. PANI VAN HEUTEN, SIWOWŁOSA I DOBRODUSZNA, SIEDZI PRZY SWOIM BIURKU. NIEWYKLUCZONE, ŻE PO WYJŚCIU KSIĘŻNEJ DOCHODZI DO WNIOSKU, ŻE SPRAWY NIE PRZEDSTAWIAJĄ SIĘ AŻ TAK ŹLE, JAK JEJ SIĘ Z POCZĄTKU WYDAWAŁO. CZY TO MOŻLIWE, ABY TE CZTERY KOBIETY POSTAWIŁY NA SZALI SVOJĄ REPUTACJĘ, ŻEBY JĄ ZDEMASKOWAĆ? CZY PRZYPADKIEM TYLKO NIE BLEFOWAŁY? CZYŻBY MIMO WSZYSTKO BYŁA BEZPIECZNA? NAGLE SŁYSZY ZA SOBĄ SZMER. ODWRACA SIĘ GWAŁTOWNIE I... DZIĘKI BOGU, TO TYLKO PAN GRAVES. PRZEZ MOMENT MYŚLAŁA, ŻE TO KTOŚ, KOGO MOGŁABY SIĘ OBAWIAĆ.

«DROGI PANIE GRAVES, PRZYSZEDŁ PAN W SPRAWIE JAKIEGOŚ MASHYNOPISU?» — UŚMIECHA SIĘ I W TEJ SAMEJ CHWILI UŚMIECH ZAMIERA JEJ NA WARGACH NA WIDOK WYRAZU JEGO TWARZY. SIEDZI NIERUCHOMO, BŁADA I CORAZ BARDZIEJ PRZERAŻONA, PODCZAS GDY ON MÓWI JEJ, CZEGO SIĘ WŁAŚNIE DOWIEDZIAŁ. NIE POSIADA SIĘ Z WŚCIEKŁOŚCI. NA KONIEC ZADAJE JEJ PYTANIE, KTÓREGO SIĘ PRZEZ CAŁY CZAS OBAWIAŁA. MÓWI, ŻE KOCHA HELEN. CZY TO PRAWDA, ŻE ONA, PANI VAN HEUTEN, BEZWSTYDNI SPRZEDAŁA HELEN BOBBY'EMU BRISTOLOWI, BEZRADNEMU, NIC NIEZNACZĄCEMU MŁODEMU GŁUPCOWI, KTÓREGO JEDYNĄ ZALETĄ BYŁA FORTUNA BRISTOLÓW?

ROZUMIESZ, JAK SZYBKO PANI VAN HEUTEN MUSIAŁA MYŚLEĆ? OTO ZNALAZŁA SIĘ W PRAWDZIWYM NIEBEZPIECZEŃSTWIE. KSIĘŻNA WALOŃSKA MOGŁA OBAWIAĆ SIĘ UJAWNIEŃ PRAWDY, LECZ TEN MĘŻCZYZNA NIE MUSIAŁ SIĘ NICZEGO BAĆ. SAM NIE BYŁ W NIC UWIKŁANY. MÓGŁ PÓJŚĆ WPROST NA POLICJĘ I OPOWIEDZIEĆ O WSZYSTKIM, CO TU USŁYSZAŁ. TYM RAZEM NAPRAWDĘ ZOSTAŁA PRZYPARTA DO MURU. ALE CHWILECZKĘ — MOŻE JEDNAK ISTNIEJE JAKIEŚ WYJŚCIE? PRZYPUŚCMY, ŻE PRYZNA, IŻ HELEN BRAŁA CZYNNY UDZIAŁ W CAŁEJ AFERZE. GRAVES POWIEDZIAŁ, ŻE KOCHA HELEN. MOŻE TO JEST JEJ SZANSA? JEŻELI POWIE MU, ŻE HELEN BYŁA W TO WPLĄTANA, MOŻE GRAVES JEDNAK JEJ

NIE ZDEMASKUJE, NIE CHCĄC ZASZKODZIĆ KOBIECIE, KTÓRĄ KOCHA?

«POWIEDZ MI — NACISKA ROZWŚCIECZONY GRAVES — TY NAPRAWDĘ SPRZEDAŁAŚ HELEN BOBBY'EMU BRISTOLOWI?»

«TAK — ODPOWIADA ONA. — SPRZEDAŁAM.»

SPRYTNA KLARA VAN HEUTEN — OCALIŁA SKÓRĘ, PO RAZ PIERWSZY W ŻYCIU WYZNAJĄC PRAWDĘ. POPEŁNIŁA JEDNAK JEDEN FATALNY BŁĄD. ZAPOMNIAŁA, ŻE MA DO CZYNNIENIA Z CZŁOWIEKIEM ZAKOCHANYM; ZAPOMNIAŁA O NOŻU DO PAPIERU, POŁYSKUJĄCYM TAK KUSZĄCO NA JEJ BIURKU, POD BUKIETEM ZŁOCISTYCH CHRYZANTEM. GRAVES USŁYSZAŁ TO, CO CHCIAŁ USŁYSZEĆ. PANI VAN HEUTEN POTWIERDZIŁA JEGO NAJGORSZE PRZYPUSZCZENIA. ZAŚLEPIONY WŚCIEKŁOŚCIĄ BIERZE DO RĘKI NÓŻ DO PAPIERU I ZADAJE CIOS — PIERWSZY, DRUGI, TRZECI I JESZCZE JEDEN...”

— Może pani przerwać, panno Price.

Głos Timothy'ego, przerywający tę dziwnie fascynującą opowieść, zabrzmiał obco nawet w jego własnych uszach. Pozostali siedzieli w milczeniu, zaszokowani. Helen wpatrywała się w Bobby'ego; Bobby odwzajemnił jej spojrzenie.

W końcu Graves odezwał się jako pierwszy, rozkładając swoje potężne ręce w geście niewysłowionego zdumienia.

— Nigdy w życiu — powiedział — nie słyszałem takiego steku bzdur.

Timothy zignorował go. Nie spuszczał wzroku z Bobby'ego.

— Cóż, Bobby. Moje gratulacje. Czy znalazłeś równie przekonujące wyjaśnienie śmierci Tolfreya?

Młody człowiek wzdrygnął się i popatrzył na niego nieprzytomnie.

— N-nie. Nie... zdążyłem...

— W porządku. W takim razie dokończę tę opowieść za ciebie.

— Timothy podniósł się z bardzo ponurym wyrazem twarzy. — Panno Price, proszę usiąść przy tym biurku.

Madeleine usłuchała go, nie kryjąc, że nic nie rozumie. Usiadła z ramionami sztywno wyprostowanymi po bokach. Timothy uśmiechnął się triumfalnie.

— Miałem jednak rację, pani Bristol. To Bobby okazał się pani wybawicielem. Podał prawdziwy powód morderstwa pani Van Heuten. Wyjaśnię wam teraz, dlaczego także Dane Tolfrey musiał zginąć.

— Zanim znowu zacznie pan tę polkę — warknął Graves — może łaskawie przyjmie pan do wiadomości, że nie miałem najmniejszego pojęcia o istnieniu tylnego wejścia, prowadzącego do biura wydawnictwa, ani o istnieniu podobnego wejścia do biura porad literackich pani Van Heuten...

— Myślę, że mówi pan prawdę, panie Graves. Zamierzam jednak dowieść, w jaki sposób mógł pan odkryć owo tylne wejście, nawet jeśli wcześniej nie wiedział pan o jego istnieniu. — Mówiąc to, wskazał siedzącą za biurkiem Madeleine. — Niech pan sobie wyobrazi, że to jest pani Van Heuten. Nie ma pan zamiaru jej mordować, nie ma pan też pojęcia o istnieniu tylnego wejścia.

— Ale...

— Chwileczkę. — Timothy zniknął za parawanem. Pozostali usłyszeli odgłos zamykających się za nim drzwi umywalni.

Na chwilę zapadła cisza, po czym detektyw wyłonił się zza parawanu, zataczając się jak pijany.

— Widzi pan, panie Graves? Niech pan sobie wyobrazi, że ja to Dane Tolfrey. Pan zaś rozmawia właśnie z panią Van Heuten o czymś całkiem zwyczajnym. Podnosi pan wzrok i kogo widzi? Nietrzeźwego mężczyznę, wyłaniającego się zza parawanu. W tej chwili nie ma to dla pana żadnego znaczenia. Dopiero później, kiedy wydarzyło się wszystko to, o czym tu mówiliśmy, pan zaś chce się dostać niezauważony do gabinetu pani Van Heuten, przypomina pan sobie tamtego pijanego mężczyznę. Dochodzi pan do wniosku, że w gabinecie muszą być dodatkowe drzwi i że te drzwi nie są prawdopodobnie zamknięte na klucz. W ten sposób odkrywa pan istnienie tylnego wejścia.

— Czekaj no pan...

— I to jest właśnie powód — ciągnął cicho Timothy — dla którego Dane Tolfrey został zamordowany, a Madeleine Price odebrała telefon z pogroźkami. Po zabójstwie zdał pan sobie sprawę z tego, że tylne wejście odegra ważną rolę w policyjnym dochodzeniu. Pan jednak był bezpieczny. Nikt nie wiedział, że był pan świadom jego istnienia — to znaczy nikt z wyjątkiem Tolfrey a, który widział pana w gabinecie pani Van Heuten tego dnia, gdy sam wszedł do biura, korzystając z tylnego wejścia. Niespodziewanie dociera do pana, że Tolfrey stanowi śmiertelne zagrożenie. Gdyby przypadkiem przypomniał sobie tamtą niewinną scenkę, przypomniałby sobie również, że

wiedział pan o istnieniu tamtych drzwi. Powiedziałby policji i wszystko by się wydało. Tolfrey musiał zatem zginąć. Nie dlatego, że — jak twierdził — odkrył tożsamość mordercy, lecz z powodu tamtej drobnostki.

Graves wstał; swoim potężnym ciałem górował nad Timothyem.

— Ale to nieprawda — krzyknął. — Nigdy wcześniej nie byłem w gabinecie pani Van Heuten i nigdy nie widziałem Tolfreya wchodzącego tylnym wejściem!

Timothy wykonał w jego kierunku uspokajający gest.

— Oczywiście, że nie, panie Graves. Mówiąc „pan”, miałem na myśli *prawdziwego* mordercę, który doskonale wie, że tak właśnie było.

Powoli odwrócił się i przeniósł wzrok na wymizerowaną, ściągniętą twarz Bobby'ego Bristola.

— Prawda, Bobby?

Odpowiedziało mu milczenie.

— Musiałem posłużyć się podstępem i wybrać bardzo okrężną drogę — powiedział spokojnie detektyw. — Uznałem jednak, iż tylko tak zdołam udowodnić, że Robert Bristol zamordował panią Van Heuten oraz Dane'a Tolfreya.

Mówiąc to, zerknął na Helen.

— Przepraszam panią, pani Bristol. Byłem wobec pani wyjątkowo nieuprzejmy. Ale wiedziałem, że jedynym sposobem zdobycia dowodów obciążających Bobby'ego Bristola jest przekonanie go, iż uważam, że to pani jest morderczynią. Wiedziałem — wiedziałem, że Bobby za bardzo panią kocha, aby pozwolić na aresztowanie pani za zbrodnię, którą sam popełnił.

— Ale jak...? — zaczął Bobby.

— Ciebie również przepraszam, Bobby. Bóg jeden wie, że pani Van Heuten nie była aniołem. Ale jestem policjantem i muszę wykonywać swoją pracę nawet wtedy, gdy jest tak nieprzyjemna jak w tej chwili. Wiedziałem, że potrafisz stenografować. Poprosiłem cię, żebyś robił notatki i w ten sposób dowiedział się, co udało mi się odkryć. Starannie wyeliminowałem pozostałych podejrzanych, chcąc, abyś myślał, że tak naprawdę jestem przekonany o winie Helen. Następnie zostawiłem cię tutaj samego, żebyś napisał swoją wersję wydarzeń, ponieważ... cóż, ponieważ przypuszczałem, że domyśliłeś się,

do czego zmierzam, i postanowiłeś spisać swoje zeznania. Nigdy bym nie wpadł na to, że spróbujesz oczernić Gravesa. Obawiam się jednak, że twoje oskarżenie wystarczy mi za twoje przyznanie się do winy. Nie muszę chyba mówić, że każdy, nawet najdrobniejszy morderca, jaki mu przypisujesz, jak ułał pasuje do ciebie. Każda ława przysięgłych domyśli się, że nie byłbyś w stanie odmalować tak dokładnie tego, co się tu wydarzyło, i tego, jak czuł się wtedy morderca, gdybyś sam nim nie był. Innymi słowy, napisałeś własne przyznanie się do winy.

— Wygląda na to, że przynajmniej ty uznałeś mój styl za przekonujący. — Bobby wyprostował się. Wyglądał żałośnie, lecz zaskakująco godnie. — Przypuszczam jednak, że twoja ława przysięgłych będzie potrzebowała bardziej namacalnego dowodu.

— I otrzyma go. Zdradziłeś się, pisząc ten dość histeryczny list do swojej żony. — Timothy wyjął go z kieszeni. — Napisałeś tam: „Lepiej nie mieć powodzenia na rynku wydawniczym, niż z powodzeniem sprzedawać samą siebie.” To dowodzi, że wiedziałeś o interesach prowadzonych przez panią Van Heuten i uważałeś, że Helen była w nie zamieszana. Jedynym zaś sposobem, w jaki ty — *jedyny autentyczny klient biura porad literackich* — mogłeś się o tym dowiedzieć, było ukrycie się w umywalni i podsłuchiwanie, jak księżna Walońska demaskuje ciemne sprawy pani Van Heuten — czyli dokładnie to, o co właśnie oskarżyłeś Gravesa.

— Bardzo sprytnie — odparł kpiąco Bobby.

— Jest jeszcze coś. Już wczoraj mogłem na to wpaść. Tolfrey wysłał telegramy do kilku osób, zapraszając ich do siebie na przyjęcie. Prasa nie podała żadnych nazwisk, więc Tolfrey mógł zaprosić tylko tych spośród podejrzanych, o których wiedział, że w dniu morderstwa byli w biurze porad literackich. Wiedział o wizycie Muira, ponieważ sam go umówił z panią Van Heuten. Wiedział też o odwiedzinach czterech dam, bo Muir powiedział mu o tym przez telefon. Ale wysłał też telegram do *ciebie*, Bobby. Skąd wiedział, że odwiedziłeś tego dnia panią Van Heuten? Ty sam przyznałeś, że nic mu o tym nie mówiłeś. A zatem mógł się tego dowiedzieć tylko widząc cię tutaj na własne oczy. *To ty byłeś w gabinecie, kiedy Tolfrey wszedł tylnym wejściem wcześniej tego feralnego popołudnia.*

— Ależ...



— I przez cały czas miałem to podane na tacy. W swoim liście oskarżającym Louise o popełnienie morderstwa Tolfrey napisał: „Jeżeli mi pan nie wierzy, proszę zapytać Bobby'ego Bristola”. Znowu *Bobby Bristol*...

— W porządku — przerwał mu cichym głosem Bobby. — Gdybym nawet przyznał, że byłem tutaj, kiedy przyszedł Tolfrey, to czego to dowodzi?

— Samo w sobie — niewiele. Tak się jednak składa, że mam jeszcze jeden dowód, tym razem decydujący. Bóg jeden wie, że sobie na niego nie zasłużyłem — wpadł mi w ręce na skutek najdziwniejszego zbiegu okoliczności. — Timothy wyjął z kieszeni podłużną szarą kopertę. — W ostatniej sprawie, którą prowadziłem, mordercę skazano na podstawie dowodu, który zmaterializował się po tym, jak poprosiłem w pralni, żeby wysłali jego garnitur do przebadania w policyjnym laboratorium. Najwidoczniej pracownicy pralni uznali, iż oczekuję, że zrobią to samo z każdym nieznanym im garniturem, jaki trafi do nich opatrzony moim nazwiskiem. Nie podejrzewałem wcale, że jesteś winny, kiedy wysyłałem Oscara, żeby posprzątał twoje mieszkanie; nie miałem pojęcia, że samorzutnie odda twoje garnitury do czyszczenia. Nawet kiedy Oscar zostawił mi wiadomość, że dzwonił do mnie z pralni, niczego się nie domyśliłem. Ale tak się właśnie stało — ludzie z pralni wysłali twoje ubranie do zbadania w laboratorium, Bobby.

Wyjął z koperty kartkę, mówiąc:

— Ten oto raport wskazuje na mnie jako na podejrzanego. Kiedy dowiedziałem się, że laboratorium odkryło na moim rękawie ślady krwi, której grupa zgadzała się z grupą krwi pani Van Heuten, pomyślałem, że to musi być jakieś nieporozumienie. Ale nie było żadnego nieporozumienia. Krew znaleziono na rękawie *twojej* marynarki. Byłeś bardzo nieostrożny, Bobby.

W ciszy, jaka zapadła, Timothy skinął na Madeleine Price, która wciąż trzymała w dłoni plik kartek zapisanych przez Bobby'ego.

— Poproszę pannę Price, żeby w tym dokumencie zmieniła nazwisko „Graves” na „Bristol”. Kiedy to zrobi, może zechcesz się pod nim podpisać, Bobby. W całej tej sprawie jest aż gęsto od skrajnych emocji. Na dłuższą metę lepiej dla ciebie będzie, jeśli sam się przyznasz.

Bobby Bristol stał jak skamieniały, tylko żyły na jego szyi pulsowały sino na tle bladej skóry. Nagle pozwolił ramionom bezwładnie opaść po bokach.

— Jesteś naprawdę bardzo sprytny, Trant. — W jego głosie na nowo zabrzmiał cyniczny ton. — Nieźle mnie rozpracowałeś. Wyczułeś, że jestem właśnie takim typem sentymentalnego frajera, który jest w stanie wpaść w szal i zamordować kobietę tylko dlatego, że ta pozbawiła go złudzeń. Miałem swój własny... idealny obraz Helen. Pani Van Heuten go zniszczyła. Ja zniszczyłem ją. Nie ukrywam, że zabiłem Tolfreya wyłącznie po to, żeby ratować własną skórę. To był nędzny postępek, świadczący o mojej słabości. Ale — ale to było tak absurdalnie łatwe.

Zwilżył usta językiem. — Kupiłem nóż w „Tysiącu i jeden drobiazgów”. Poszedłem do hotelu wcześniej, przed wyznaczoną godziną przyjęcia. Tolfrey mnie wpuścił. Robił tajemnicze miny i wydawało mu się, że jest niezwykle przebiegły. Poprosił nawet, żebym poszedł z nim do łazienki i pomógł mu poukładać ręczniki dla gości. Oczywiście, gdy tylko wspomniał o tylnym wejściu, wiedziałem, że mnie podejrzewa... Akurat nachylał się nad wanną. Wyjąłem... wyjąłem nóż i ugodziłem go... — Bobby wzruszył ramionami. — Może wyda się to dziwne, ale wcale nie żałuję, że zamordowałem tych dwoje wyjątkowo niesympatycznych ludzi. Tylko... jednej rzeczy nigdy nie zdołałam sobie wybaczyć...

Mówiąc to, wykonał niepewny, rozpaczliwy gest w kierunku swojej żony. — Jedyne, co mogę powiedzieć, Helen, to że jest mi bardzo, bardzo przykro. Powinienem był... wiedzieć, że nie mogłaś świadomie brać udziału w tym ohydny, stręczycielskim procederze. Pocięsza mnie jedynie to, że — jak sama powiedziałaś — byłem ci bliski, kiedy się pobieraliśmy.

Helen Bristol nie odpowiedziała. Ta bezpośrednia, trzeźwo patrząca na życie kobieta odwróciła głowę, aby ukryć — nie gniew czy odrazę, ale łzy, które ją oslepiły.

Wargi Timothy'ego były całkiem sine. Po raz kolejny dał znak Madeleine Price. — Twoje zeznanie, Bobby.

— Zeznanie! — Bristol obrócił się na pięcie, śmiejąc się szorstko. — Na nim opiera się cały akt oskarżenia, prawda, Trant? Postawiłeś wszystko na jedną kartę, wierząc, że potulny, niepozorny Bobby Bristol

będzie gotów pożegnać się z życiem za pomocą jednego potulnego, niepozornego pociągnięcia piórem. Otóż tutaj twoja psychologia cię zawiodła...

Rzucił się naprzód, pchnął drzwi prowadzące do umywalni i zatrzasnął je za sobą, przekręcając tkwiący w zamku klucz.

— Przecież on...! — krzyknęła Madeleine Price i urwała.

— Na schodach pożarowych czeka policjant w cywilu. — Detektyw mówił bardzo cichym głosem. — Zaraz przyprowadzi go z powrotem.

Następnie zwrócił się do Helen Bristol.

— Teraz już pani rozumie — powiedział sucho — dlaczego chciałem, żeby sprowadziła pani adwokata. Uznałem, że pani i pan Graves powinniście zrobić przynajmniej tyle — zapłacić za obronę Bobby'ego.

Żona Bobby'ego na wpół uniosła się z krzesła i utkwiała zielone oczy w drzwiach umywalni. Jej palce nerwowo szarpały białą chusteczkę.

— Biedny Bobby — szepnęła. — To jest... Och, to jest po prostu straszne.

— Tak, pani Bristol. To naprawdę straszne. Obawiam się, że ja również okazałem się dwulicowy. Miałem jednak nadzieję, że w ten sposób zdobędę przyznanie się do winy.

Graves zwrócił się ku niemu z lekko ironicznym błyskiem w oku. — Muszę przyznać, że wspólnie z Bobbym spreparowaliście przeciwko mnie niezły akt oskarżenia. Była w nim tylko jedna drobna nieścisłość.

— To znaczy? — spytał Timothy.

— Wasz genialny motyw. Widzi pan, ja wiedziałem o pozalite rackiej działalności pani Van Heuten. Helen powiedziała mi o wszystkim tamtego popołudnia dziesięć minut przed tym, jak poszła spotkać się z panią Van Heuten w jej biurze. — Mężczyzna wzruszył ramionami. — W tym miejscu Bobby niesłusznie przypisał mi swoją własną motywację. Wcale nie byłem zszokowany i na pewno nie aż tak wzburzony, żeby posunąć się do morderstwa. Byłem jedynie... rozbawiony.

Timothy podszedł do biurka i drżącymi palcami zapalił papierosa.

— Jeśli ktoś już musiał zamordować panią Van Heuten — powiedział — Bobby miał prawdopodobnie najmniej do stracenia. Życie nie miało mu przecież zbyt wiele do zaoferowania. Jego powieści nie nadawały się do druku. Jego majątek przepadł. A żona, którą tak bardzo kochał, nie chciała...

Urwał w momencie, gdy drzwi umywalni otworzyły się z hukiem i wpadł przez nie policjant w cywilnym ubraniu, z twarzą białą jak ściana.

— Trant...

— Uciekł?

— On... — Mężczyzna rozejrzał się z rozpaczą po zgromadzonych. — Zanim zdążyłem go chwycić, już to zrobił. Skoczył w dół i spadł na podwórko... Z wysokości pięciu pięter.

— Nie żyje?

Mężczyzna skinął głową.

Timothy wolno zgasił papierosa w popielniczce.

— Szkoda - powiedział cicho. — Nie przypuszczałem, że może się zabić.

I chyba tylko jedna Madeleine Price domyśliła się, że kłamał i że właśnie na to liczył.